

Ewa Koziara

Antopol - Tokary

Wskrzeszone wspomnienia



2010



Ewa Koziara

Antopol - Tokary

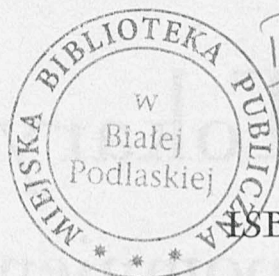
Wskrzeszone wspomnienia

2010

Redakcja: Ewa Koziara

Projekt okładki: Ewa Koziara

Copyright by: Alicja Rudniewska, Ewa Koziara



ISBN 978-83-925-461-4-6

127435

94(438):929.5 A/2(438)

Wydawca: Ewa Koziara, e-mail: ewakoziara@autograf.pl

Nakład: 500 egz.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Skład i druk: Drukarnia "AWA-DRUK" Radzyń Podl.
tel. 83 352 25 91

Miejska Biblioteka Publiczna
Biała Podlaska



5 209502000005

Wstęp

„Jak miła Panie jest świątynia Twoja...” - refren psalmu, śpiewanego co roku w rocznicę poświęcenia własnego kościoła, nabiera w dniu dzisiejszym szczególnego znaczenia. Nasz kościół parafialny otrzymał wyjątkowy dar - piękne, wykonane ze smakiem artystycznym witraże.

Słowa wdzięczności i gorących podziękowań pragniemy złożyć fundatorce witraży Pani Alicji Marii Rudniewskiej.

Czcigodna Fundatorko! Antopol, Podedwórze, Opole Piechy to przecież Twoje rodzinne strony - kraj lat dziecińczych. Od 1869 r. historia tych miejscowości związana jest z rodziną Zaleskich, której pobyt tu zapisał się złotymi zgłoskami. Świątynia, w której gromadzimy się na Eucharystycznej Ofierze powstała w znacznej mierze dzięki zaangażowaniu i wsparciu finansowemu Twoich przodków. Dzisiaj, swoim darem kontynuujesz ich dzieło.

Niech dobry Bóg obdarzy Panią i Pani rodzinę wszelkimi łaskami, niech da potrzebne zdrowie i siły, a Matka Boża Szkaplerzna otacza swą matczyną opieką.

Podziękowanie pod którym podpisali się - *Wdzięczni mieszkańcy parafii Opole*, wygłosiła 29 września 2010 r. pani **Antonina Słyszko** podczas uroczystości poświęcenia jednego z trzech witraży ufundowanych przez panią **Alicję Rudniewską**.

Ks. kanonik **Jan Liwak** proboszcz parafii Podwyższenia Krzyża Świętego rozpoczynając Mszę św. powiedział: - *Chcemy podziękować Bogu za dar, który otrzymaliśmy od Pani Dziedziczki Alicji Rudniewskiej. Witamy ją i dziękujemy!*

Następnie powitał wszystkich zebranych, wśród których byli, rodzina i znajomi pani Alicji: **Tomasz Natorff** rodzina ze strony ojca Alicji Rudniewskiej, **Zofia Dernałowicz** historyk, **Larysa Dernałowicz** żona Huberta Dernałowicza, **Teresa Poniewierska** z d. Kobylńska, **Piotr Łoś**

dziennikarz radiowy, **Elżbieta Zubowska** projektantka witraży, **Mirosław Spirowski** wykonawca witraży.

W Mszy św. uczestniczyły władze samorządowe gminy Podedwórze: **Krzysztof Chilczuk** wójt gminy, **Artur Becher** przewodniczący Rady Gminy Podedwórze, przedstawiciele rodzin dawnych pracowników majątków Antopol i Piechy oraz osoby z Antopola i Podedwórza, z którymi pani Alicja Rudniewska jest zaprzyjaźniona.

Ksiądz proboszcz poinformował, że w czasie Mszy św. zostanie poświęcony witraż przy bocznym ołtarzu, który przedstawia historię rodziny Zaleskich.

Po uzyskaniu rekompensaty za Tokary pani Alicja Rudniewska dziękując ks. Janowi Liwakowi za gorliwe i skuteczne modlitwy w tej intencji, zaproponowała jemu wybór tematyki witraży w prezbiterium. Ksiądz proboszcz zdecydował, że powinny to być wielkie postacie Kościoła w Polsce a mianowicie Ojciec Święty i ks. Prymas Tysiąclecia.

Trzeci witraż w bocznej nawie, w oknie nad tablicą komemoratywną powstał wedle rysunku zainspirowanego projektem Alicji Rudniewskiej. Na witrażu są odwzorowane Kaplica - Mauzoleum rodziny Szlubowskich, dzisiejszy Biały Kościół w Podedwórz, nie istniejący już, spalony w 1943 r. przez bolszewicką partyzantkę dwór w Antopolu, drewniany kościół w Tokarach, którego budowę wspierała Maria Rudniewska z mężem Romanem i tokarski dwór - oficyna. Tokary po stryju Adamie Zaleskim odziedziczył Bohdan Zaleski syn Henryka i ten majątek w posagu dostała Maria Rudniewska. U dołu z lewej strony jest kapliczka z 1646 r. w Opolu-Podedwórz pamiątą czasy dawnych właścicieli: Kopciów, Szlubowskich, Zaleskich. Z prawej strony słup graniczny symbolizujący utratę Tokar. Wijąca się droga obsadzona włoskimi topolami rozumiana jest jako metafora związków rodzinnych: Szlubowskich-Zaleskich-Rudniewskich. U dołu widnieje herb rodziny Zaleskich Lis-Bzura.

Od Szlubowskich dobra Opole kupił Leon Zaleski, a jego brat Henryk Zaleski poprzez małżeństwo z Antoniną Piotrowską córką Andrzeja Korwin Piotrowskiego i Marianny Salomei z d. Szlubowskiej spokrewnił obie rodziny.

Leon Zaleski sprzedał swoją część dóbr opolskich. Przy rodzinie Henryka i Antoniny zostały majątki Antopol i Piechy, które Antonina wniosła Henrykowi w posagu.

W czasie kazania ks. Jan Liwak między innymi powiedział: *Dziękujemy za wielki dar jaki otrzymała nasza społeczność parafialna. Najwięksi Polacy*

XX w., Słudzy Boży będą nam ciągle przypominali, że warto żyć przyjaźnie z Bogiem, że warto należeć do kościoła Chrystusowego. Trzeci witraż, który dzisiaj poświęcimy pozwoli nam pamiętać o dawnych dziedzicach tych ziem Szlubowskich i Zaleskich.

Chcę podziękować Dziedzicze Alicji Marii Rudniewskiej fundatorce naszych trzech witraży, mówiąc: Pani okazała serce otwarte. Dzisiaj jest dzień św. Michała Archaniola, pani jest naszym aniołem.

Pragnę podziękować projektantkom paniom Marcie Piwockiej i Elżbiecie Zubowskiej. Wszyscy, którzy przybywają teraz do naszej świątyni są zachwyceni tymi witrażami - pięknem, które Bóg ukazuje w tym dziele. Dziękuję panu Mirosławowi Spirowskiemu wykonawcy witraży, dziękuję panom Henrykowi i Wojciechowi Zieńczukom z Opola za wykonanie ram okiennych do okien witrażowych. Dziękuję wszystkim za to, co dokonali by nasza świątynia była piękna. Bóg zapłać wszystkim.

Ksiądz kanonik Jan Liwak proboszcz parafii poświęcił witraż przy bocznym ołtarzu nad tablicą komemoratywną, która również związana jest z historią rodziny Zaleskich i Rudniewskich.

Witraże w prezbiterium zostały poświęcone przez ks. biskupa Zbigniewa Kiernikowskiego podczas wizytacji parafii Opole w dniu 30 listopada 2010 r.

Mieszkańcy parafii Opole-Podedwórze, władze samorządowe gminy dziękowały pani Alicji Rudniewskiej za dar witraży dla wspólnoty parafialnej. Pani Antonina Słyszko wygłosiła w imieniu parafian podziękowanie. Tej części uroczystości towarzyszyło nieukrywane wzruszenie.

Po Mszy św. wszyscy spotkali się w Antopolu na uroczystym obiedzie u zaprzyjaźnionych z fundatorką państwa **Barbary i Tadeusza Kisielów** w Antopolu.

W czasie rozmowy pan Piotr Łoś zapytał, czy wypada w dzisiejszych czasach mówić do pani Alicji Rudniewskiej dziedziczko?

Kiedy po raz pierwszy dowiedziałam się o pani Alicji Rudniewskiej to usłyszałam: - Ostatnia dziedziczka Antopola mieszka w Warszawie i czasem tutaj przyjeżdża, zatrzymuje się u Kisielów w Antopolu.

Wtedy poznałam panią Barbarę Kisiel, która po uzyskaniu zgody pani Alicji Rudniewskiej udostępniła jej numer telefonu. Wkrótce poznałyśmy się osobiście.

Rozmawiając o rodzinie Zaleskich z ludźmi z Antopola, Piech i Podedwórza słyszy się określenie dziedzic, dziedziczka, które brzmi bardzo naturalnie.

Tak było, tak się mówiło. Trzeba pamiętać, że o pani Alicji Rudniewskiej tak mówią ludzie z jej pokolenia, ludzie którzy pamiętają dawny dwór i panujące wówczas stosunki społeczne.

Rodzina Zaleskich była ludzom życzliwa, do dzisiaj w pamięci zbiorowej pozostała Zofia Zaleska, która była osobą wymagającą, ale również współczującą, chciała i potrafiła pomagać ludziom oraz jej syn Janusz Zaleski wujek Alicji Rudniewskiej, ostatni dziedzic Antopola, który został skrytobójczo zabity we własnym domu. Ludzie pamiętają, że był dobrym panem i wielką nadzieją rodziny. Historia pokrzyżowała plany.

Jedna z moich rozmówczyń podkreśliła: - To byli dobrzy państwo, nikomu krzywdy nie zrobili.

Siostra Janusza Zaleskiego Maria Rudniewska, po II wojnie światowej, kiedy tylko sytuacja na to pozwoliła, nawiązała kontakt z ludźmi z Antopola, Piech i Podedwórze, kontynuowała to pani Alicja Rudniewska.

W krypcie grobowej opolskiego kościoła została pochowana Zofia Zaleska w 1958 r., Maria Rudniewska w 1983 r.

Pani Alicja Rudniewska fundując witraże potwierdza ważny dla rodziny Zaleskich związek z tą ziemią i ludźmi, którzy z życzliwością wspominają dawnych... dziedziców tych ziem Zaleskich.

To jest historia, to już jest świat, którego nie ma i pani Alicja Rudniewska ma tego świadomość. Po niej nikt już nie nazwie w Antopolu, Piechach, Opolu, Podedwórze nikogo dziedziczką, dziedzicem. I tylko tutaj tak o niej mówią.

Alicja Rudniewska jest ostatnią dziedziczką Antopola.

Nasze spotkania, listy, rozmowy utwierdzały mnie w przekonaniu, że rzeczywiście reprezentuje ona świat, którego już nie ma, a jednocześnie to w jej życiu, w życiu jej pokolenia nastąpiło spotkanie tego co było, z tym co życie przyniosło. Należało się więc zmierzyć z nowym czasem zarówno w wymiarze osobistym jak i grupy społecznej jaką reprezentowała i reprezentuje.

Z tych spotkań wyłoniła się ta książka, którą oddaję do rąk czytelników.

Zarówno ze strony ojca **Romana Rudniewskiego** (1893-1965), jak i matki Marii Zaleskiej (1904-1983), rodzina była szlachecka, ziemiańska i inteligencka.

Niewątpliwym zwycięstwem polskiej szlachty - ziemiaństwa jest fakt, że dwór ziemiański stał się symbolem polskości, patriotyzmu, tego co piękne, godne zapamiętania i pielęgnowania.

Do drugiej wojny światowej polski krajobraz charakteryzowały mniejsze, większe dworki szlacheckie, zawsze z drzwiami na oścież otwartymi dla gości. Dwór otoczony był parkiem. Taki dom - dwór szlachecki symbolizował ciągłość rodzinnej tradycji, a zarazem narodowej historii

i polskiej kultury. W takim dworze została wychowana Alicja Rudniewska i taki dom był zawsze punktem odniesienia jej osobistych, życiowych decyzji.

Nie idealizuje ona świata swojego dzieciństwa, miała odwagę i potrafiła żyć w Polsce Ludowej. Z nadzieją przyjęła zmiany po 1989 r., aktywnie działa w Stowarzyszeniu Historyków Sztuki, Związku Ziemian, w Związku Powstańców Warszawy, w organizacjach kombatanckich AK. Zawsze otwarta na współpracę z innymi.

Wywalczyła rekompensatę za mienie zabużańskie i swoją część odszkodowania przeznaczyła na witraże w opolskim kościele. Jak sama podkreśla: - *Nie wyobrażałam sobie wydania tych pieniędzy na codzienne potrzeby, od początku myślałam o witrażach, dlatego też ośmieliłam się prosić ks. Jana Liwaka o modlitwę w intencji pomyślnie zakończonej sprawy.*

Alicja Rudniewska jest żołnierzem Powstania Warszawskiego, historykiem sztuki, zna języki obce, miała rodzinę za granicą..., dlaczego nie wyjechała? To pytanie wracało w naszych rozmowach.

Taki los? - uśmiecha się. *Emigracja jest obrzydliwa, ile ja się tam wyklóciłam! Czy w czynszówce, czy w pałacu ale u siebie* - powiedziała.

A u siebie to w Polsce, w Warszawie, w Antopolu, w Tokarach, to ludzie z którymi cały czas utrzymywała i utrzymuje kontakty. U siebie to kościół czerwony w Opolu, kościół w Tokarach, groby bliskich - rodziny i przyjaciół.

Dlatego też w Antopolu, Piechach, Opolu, Podedwórz, Tokarach nazywają ją jeszcze Dziedziczką. Po niej, tak już do nikogo nie powiedzą.

Publikacja ta w dużej części składa się ze wspomnień pani Alicji Rudniewskiej, która o swoim domowym archiwum mówiła: *Jakimś cudem ocalały dawne listy, szczątki notatek, przypadkiem odnalezione w najmniej spodziewanych miejscach kwity i wykazy, strzępy pamiętnika mej Matki, opowieści i wspomnienia najbliższych, relacje znajomych. Wypisy z archiwów, hipoteki, repertoriów uwierzytelniają niejako rzetelność mej pamięci i ustnych przekazów.*

W naszym warszawskim domu do sierpnia 1944 roku pieczołowicie przechowywane, kompletowane a nawet opracowywane były papiery, fotografie, dokumenty rodzinne i majątkowe dotyczące utraconych w 1919 roku dóbr na Inflantach - Eleonorowa i Atspuki oraz Tokar, które byliśmy zmuszeni opuścić w 1939 roku. W 1943 roku został spalony dom w Antopolu i pod znakiem zapytania była przyszłość majątku.

Założone zostały albumy z fotografiami, dokładnie opisane, bo nie dowierając zwodniczej pamięci pragnęliśmy zachować najwięcej utrwalonych obrazów na kliszach, opatrując je szczegółowymi opisami i datami.

Jakże często przeglądaliśmy te opaste albumy wstydząc się nierzadko wzruszeń i też jakie prowokowały, wskrzeszały drogie widoki, przedstawiały nieżyjących już bliskich. Ogarniała nas wówczas tęsknota za utraconym czasem.

Jakże mogłyby być bogato ilustrowane wspomnienia kreślone dziś gdyby je ożywiały fotografie i gdybyż było można wnieść tekst pamiętników Mamy - tak rzetelnie i pięknie dokumentujących nasze dawne życie.

Mamusia dostawała moc zdjęć robionych przez licznych przyjaciół i rodzinę goszczących w Tokarach i Antopolu. Śliczna pani **Wanda Stefanowska** ofiarowała akwarele z widokami z parku tokarskiego, pani **Millerowa**, pan **Tadeusz Breza**, wuj **Aleksander Zaleski** i wielu, wielu innych uzupełniali nasze albumy.

W dniu 4 sierpnia opuszczaliśmy w popłochu mieszkanie przy ul. Marszałkowskiej 25 - kamienica była już podpalona. Nie wynieśliśmy absolutnie niczego.

Dziś u schyłku życia, zdając sobie sprawę z nieodwracalnego zjawiska przemijania i odchodzenia w niepamięć wszystkiego co drogie i ważne, staram się wskrzesić we wspomnieniu czas dawny, czas dzieciństwa i młodości.

Kiedy dzisiaj wspominam tamte lata to wracają różne zabawne historie, przypominam błahe epizody, które w danym momencie nas zajmowały.

Do niedawna na skraju dawnego folwarku w Antopolu rosły jeszcze trzy topole, uwieczniłam je na fotografii. Wyglądają smutnie, nawet wrony je opuściły. Dziś już nie ma dworu, ani zabudowań folwarcznych, prawie nie ma już parku. Niewybaczalna była i jest obojętność urzędu konserwatorskiego w Białej Podlaskiej i w Lublinie, na apele objęcia opieką konserwatorską zabytkowego założenia parkowego w Antopolu.

Piękny niegdyś staw, zdobiący park i ożywiający aurę tego miejsca jest dziś zbiornikiem odpadów i śmieci nagromadzonych od lat przez intruzów.

Park umarł, a drzewa, które jakimś cudem tam się ostały, powoli konają w opuszczeniu.

Antopol - to już dziś wspomnienie. Wspomnienie nie tylko odległego dzieciństwa. To jeszcze tęsknota za tym wszystkim, co łączyło się z tym czarodziejskim miejscem, czarowną krainą, w której trwał czas cudownej miłości rodzinnej, czułości ukochanej Babci, która okazywała ją spoj-

rzeniem, uśmiechem, słowami. To czas słuchania Jej mądrych bajek i przypowieści, uczenia paciorka...

To uśmiech ludzi z życzliwego otoczenia. To czas, gdy poczucie bezpieczeństwa niczym nie było zmaczone, a bezpieczeństwo niczym nie zagrożone. To radość, gdy duma rozpierała pierś w błogim poczuciu przynależności do kochających i kochanych.

To także zapachy, ulotne ... dziś tak trudne do odszukania. To czas, gdy dziecko ogarniał szczery podziw dla urody i rozmachu życiowego Mamy, i wielki respekt dla mądrości i siły czulego Ojca, to też wdzięczność za korzystanie z pobłażliwości uwielbianego Wujaszka Janka...

... moc uczuć i myśli przepełniało kiedyś serce dziecka.

Nadszedł smutny, ale nieodwołalny czas likwidowania osobistych pamiątek, gromadzonych przez długie lata, a które nie powinny po mojej śmierci trafić w niepowołane ręce.

Nie od dziś wiadomo, że dekret z 1944 roku wydany został bezprawnie. W rozparcelowanych i upaństwowionych majątkach odebrano ziemianom prawo własności nawet do ich siedlisk. Interpretacja dekretu o reformie rolnej poszła tak daleko, że nawet zabroniono dawnym właścicielom przebywania w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od ich domów. Nie było to nawet zgodne z literą prawa, prawa które ustanowił nowy, narzucony przez Stalina rząd. W konsekwencji praca kilku pokoleń uległa zniszczeniu. Dwory w Antopolu i Piechach spłonęły w czasie okupacji, zostały zniszczone przez radziecką partyzantkę, która współpracowała z polską, w ramach dywersji na tyłach wroga. Dwór w Antopolu tak jak wiele dworów na Podlasiu w czasie wojny był objęty ligenszaftem, a więc produkowana tutaj żywność była przekazywana na front. Partyzanci jesienią 1943 r. spalili nie tylko dwór w Antopolu, ale również gorzelnię, murowaną zabudowę folwarczną - obory i chlewnie z całym inwentarzem. Taki sam los spotkał dwór, cegielnię i folwark w Piechach.

Po wojnie nie było do czego wracać, ale też nie można było.

Ziemiaństwo w okresie międzywojennym reprezentowało odchodzący świat Polski szlacheckiej. Wielowiekowa tradycja stanowa została podcięta w XVIII w. przez trzy rozbiory Polski i 123 lata niewoli pod zaborami Rosji, Prus i Austrii. Polski nie było na mapach istniała jedynie w umysłach i sercach Polaków. To w domach szlacheckich żyła tradycja Rzeczypospolitej Obojga Narodów, to tam pielęgnowano tradycje polskich powstań narodowo-wyzwoleńczych i tam oczekiwano z utęsknieniem wolnej Ojczyzny.

Nie można też zapomnieć, że to polską szlachtę i magnaterię na czele z ostatnim królem Polski Stanisławem Augustem Poniatowskim obarczono słuszną odpowiedzialnością za upadek Ojczyzny. Król nie powinien abdykować a polska magnateria leżeć plackiem przed tronami zaborców, z prośbą o pozostawienie majątków. Zabiegi o majątki i intratne synekury demoralizowały magnatów. Polski król, dopóki żył dawał też tego przykład. Polskie magnatki były damami dworu w Petersburgu i na innych dworach u zaborców, co całe rody odbierały jako wyróżnienie.

123 lata niewoli, to przynajmniej pięć pokoleń urodzonych i wychowanych pod zaborami. Trzeba było żyć i ludzie żyli tak jak umieli, tak jak im na to warunki pozwalały. Za kultywowanie polskości, przywiązanie do religii rzymskokatolickiej, udział w powstaniach narodowych były surowe represje ze strony państw zaborczych. Warstwa szlachecka ponosiła konsekwencję utraty bytu narodowego.

Nie bez przyczyny w latach 1918-1939 toczyła się w odrodzonej Polsce dyskusja o roli ziemiaństwa w nowoczesnym społeczeństwie. Głośno myślano nad tym, co ta warstwa społeczna może jeszcze krajowi dać.

Ale to też ziemiaństwo, tradycja szlachecka wniosła istotny wkład w odbudowę państwa polskiego po I wojnie światowej.

Lata Polski Ludowej to czas, kiedy wszystkimi sposobami starano się szlachtę i ziemiaństwo wymazać ze zbiorowej świadomości. Jeśli już wspomniano to była przedstawiana w najgorszym świetle. Nie prowadzono też ponad 50 lat badań historycznych nad rolą szlachty i ziemiaństwa w historii Polski. A przecież to ta warstwa społeczna uchroniła polską świadomość. Szlachta przez stulecia wносиła znaczący wkład w rozwój gospodarczy i kulturalny kraju. Tak jak i inne grupy społeczne, na przestrzeni wieków zmieniała się i starała dostosowywać do zmieniającej się rzeczywistości.

Wspomnienia pani Alicji Rudniewskiej, próba przedstawienia historii rodziny Zaleskich i Rudniewskich stanowi przyczynek do historii Polski szlacheckiej i ziemiańskiej.

Spotkania z panią Alicją Rudniewska zawsze należały do bardzo interesujących. Doskonała pamięć i poczucie humoru, o czym niech świadczą jej wiersze na temat... nóg:

Nogi

Wspominam czas miły - wspominam czas drogi

gdy silne i przyjazne były moje nogi.

*Umieśnione łydki, kolana sprężyste
wysokie podbicie - uda nie obwisłe... .*

*Czyż byście teraz były obrażone,
za kilometry spacerów razem przemierzone?*

*Ach, wy moje stopy masowane czule,
czemuż teraz sprawiacie aż tak przykre bóle... .*

Raz marzniecicie, raz parzycie, obrzydzacie życie.

*Czy można was prosić - czy można was błagać,
przestańcie mi dokuczać - przestańcie nawalać.*

*Chcę być zdrowa wreszcie i bardziej radosna,
zobaczyć co na mieście zmieniła nam wiosna*

*Chcę jak dawniej chodzić, biegać,
nie czuć zmęczenia, śmiać się, pisać i ubierać.*

*Spotykać przyjaciół i w ich zacnym gronie,
Brylować, plotkować, zapomnieć o chorobie*

Nogi kochane to od was zależy

Wszystko w waszych rękach

Jeśli serce macie!!!

Pani Alicja Rudniewska poświęciła dużo czasu i siły na spotkania ze mną, dziękuję za to, ponieważ bez jej pomocy ta publikacja by nie powstała.

Historia osobista pani Rudniewskiej pozwala przyjrzeć się codziennemu życiu warstwy społecznej, która już nie istnieje. Jest to jednocześnie historia ciekawa z punktu widzenia obyczaju dworu polskiego, który pod wpływem wydarzeń historycznych, w jakich uczestniczyło polskie ziemiaństwo, zmieniał się a jednocześnie pozostawił trwałe wartości, do których warstwa ta była przywiązana i które wyznaczały jej rolę w społeczeństwie.

I jeszcze jedno, opowieści pani Rudniewskiej o bliskich ludziach to ciekawy materiał badawczy. Ich życie dobiegło końca, istnieją już tylko w jej pamięci i opowieściach.

Ewa Koziara

Rodzina Zalewskich vel Zaleskich

... Zalescy przez osiedlonego tu w Dołholisce Ratajewicza szwagra swego zawiadomieni przybyli i stanęli do licytacji... Tak zapisał w swojej Kronice Domowej Kajetan Kraszewski, brat Józefa, zamieszkały w Romanowie, sąsiad Antopola.

Z dokumentów wynika, że dobra Opole w 1869 r. nabył na licytacji za sumę 57512 rb. (około 383 tys. zł p.) **Leon Zalewski** (1828-1882)¹⁾.

Wówczas majątek należał do **Michała Szlubowskiego**, syna **Ignacego**. Za długi w Towarzystwie Kredytowym został wystawiony na licytację.

Tradycja ustna, tak się mówiło w Antopolu Zaleskich przekazuje, że dobra Opole kupili bracia **Zalescy Leon i Adam**.

Zalewscy vel Zalescy pochodzili z Tokar. Pierwsza na Podlasie przybyła z majątku Popławszczyzna, w czerwcu 1862 roku **Aniela Zalewska** córka **Pawła i Anieli z Czarnockich**.

Paweł Zalewski (ok. 1800-1875), syn **Adama** miał kilkoro dzieci. Genealogia rodziny wymaga szczegółowych badań archiwalnych, a mając na uwadze rozpiętość lat, nie można wykluczyć, że Paweł Zaleski mógł mieć dwie żony: **Annę c. Floriana Czarneckiego** i Anielę z Czarnockich.

Paweł i Aniela mieli dzieci: Anielę późniejszą Ratajewiczową, **Leona**, który kupił Opole; **Pawła** lekarza w powiecie olgopolskim na Ukrainie; **Ryszarda** właściciela majątku Syczyki; **Henryka**, który osiadł w Antopolu; **Zygmunta** notariusza w Kijowie potem osiedlonego w Odessie; **Władysława** mieszkającego w guberni jeniisejskiej na Syberii, ożenionego z Rosjanką. Ich córka wyszła za mąż za doktora Tondosa, dyrektora sanatorium w Zakopanem, gdzie mieszkała w okresie międzywojennym.

¹⁾ Dariusz Tarasiuk, *Dzieje parafii w Opolu, Podedwórze-Lublin* 2010; W Archiwum Państwowym w Lublinie w dziale dotyczącym Dołholiski jest akt ślubu Witolda i Anieli z Zalewskich Ratajewiczów oraz akt chrztu Anieli; w Archiwum parafii rzymskokatolickiej w Wisznicach jest akt zgonu Anieli Ratajewiczowej.

Wśród tych potomków brakuje Adama, który z Leonem kupili Opole oraz siostry Jadwigi.

Zalescy z Opola i Antopola nie utrzymywali bliskich stosunków z Ratajewiczami. Z ustnych przekazów rodzinnych pani Alicji Rudniewskiej wiadomo, że Leon i Adam byli synami **Pawła Zaleskiego** prawnika z Kijowa, właściciela dóbr Tokary i Syczyki oraz **Anny** córki **Floriana Czarneckiego** kapitana strzelców konnych. Dziad Anny **Jan Antoni Czarnecki** z żoną **Felicjaną z Czosnowskich** ufundowali klasztor oo kapucynów w Lubieszowie na Polesiu.

Paweł i Anna Zalescy mieli dzieci: **Władysława, Zygmunta, Ryszarda, Leona, Henryka i Adama** oraz córkę **Jadwigę**, która w 1886 r. wyszła za mąż w Warszawie za **Ludwika Eydziatowicza**.

Z kolei w tym przekazie brakuje Anieli i Pawła.

Aniela Zalewska (1833-1908) z majątku Popławszczyzna koło Tokar wyszła za mąż za **Witolda Ratajewicza** 17 czerwca 1862 r. Ślub dawał im ks. Maciej Piotrowski w kościele wielanowskim, świadkami na ślubie byli: Kazimierz Szadurski, Piotr Zalewski i Józef Zalewski. Na ślub zgodzili się rodzice Witolda - Wojciech i Julia z Majewskich Ratajewiczowie oraz Paweł i Aniela z Czarnockich Zalescy. Aniela i Witold wspólnie zakupili majątek Dołholiska, gdzie po ślubie zamieszkali.

Aniela Zalewska była chrzczona 20



Henryk Zaleski (1840-1917)



Antonina Zaleska (1850-1935)

lutego 1834 r. w kościele wielanowskim: Aniela Marianna Zalewska ur. 10 sierpnia 1833 r., z powodu słabości ochrzczona z samej wody przez ks. Tokarzewskiego, chrzestni: **Kazimierz Wróblewski, Bogumiła Mańkowska, Piotr Zalewski, Pelagia Czarnocka, Feliks Mańkowski, Aniela Czarnocka.**

Aniela zmarła w 1908 r., akt zgonu sporządził ks. **Jan Majsterski**, który był proboszczem w Wisznicach dwa razy, po raz pierwszy w latach 1899-1915. Została ona pochowana na cmentarzu w Wisznicach. Na starym wisznickim cmentarzu w dobrym stanie zachowany jest grobowiec rodziny Ratajewiczów.

Leon Zaleski był w 1876 r. kandydatem szlachty włodawskiej na sędziego, żonaty z **Ledóchowską**. W przekazach występuje też jako żona Leona **Maria Benisławska**. Leon gospodarzył na dobrach Opole, które sprzedał 1 lipca 1880 r. Stefanowi Zabielle s. Kazimierza z Żeliznej. Po sprzedaży dóbr opolskich, ale bez folwarku Sytyta, przeniósł się do Warszawy. Wówczas też spłacił 9 tyś. rubli długu siostrze Anieli z Dołholiski.

Henryk Zaleski (1840-1917) herbu Lis - Bzura, brat Leona ożenił się z **Antoniną Joanną Nepomuceną Korwin Piotrowską** (1850-1935) urodzoną 14 września 1850 roku w majątku rodziców Bezwola.

Adam Zaleski, brat Leona i Henryka ożenił się z **Natalią (Emilia) Korwin Piotrowską** i osiedli w Tokarach, gmina Wysokie Litewskie.

Panny Korwin Piotrowskie mieszkały z ojcem i braćmi w Antopolu, majątku sąsiadującym z Opolem i stąd znajomość i późniejsze małżeństwo.

Antopol i Piechy należały do rodziny Piotrowskich a wniosła je w posagu **Marianna Salomea Szlubowska** córka **Antoniego Szlubowskiego** i **Kunegundy z Karskich**, która wyszła za mąż za **Andrzeja Korwin Piotrowskiego** z Bezwoli. Żył krótko zmarła w 1856 r. tak, że wychowaniem dzieci zajmował się ojciec.



*Grób rodziny Ratajewiczów
na wisznickim cmentarzu*

Z tego małżeństwa było pięcioro dzieci: najstarszy **Adam Jan Feliks** zm. w 1920 r., kawaler; młodszy **Gustaw Antoni** niespodziewanie zmarł w lutym 1878 r. i trzy córki: **Zofia** została zakonnicą u Karmelitanek Bosych w Krakowie **siostra Zofia od Jezusa**, Antonina i Natalia.

Andrzej Korwin Piotrowski był powstańcem listopadowym, człowiekiem czynu. Wspominany jest jako niepoprawny romantyk i ryzykant. Z myślą o dużych dochodach włączył się w kupowanie fabryk jedwabiu w Lionie i na tym interesie stracił ogromne pieniądze, wówczas też stracił majątek Bezwolę i zamieszkał w Antopolu.

Dobra ziemskie Bezwola znajdowały się w bezpośrednim sąsiedztwie miasteczka Wołyń i w pobliżu Radzyna. Nabył je od rządu Królestwa Polskiego w 1830 r. **Leon Nowakowski**. Po jego śmierci przeszły na własność jego żony Anieli z Piotrowskich Nowakowskiej. Potem dostały się licznym spadkobiercom z rodziny Piotrowskich, by stać się w sierpniu 1853 r. własnością Andrzeja Korwin Piotrowskiego²⁾.

Dobra Bezwola wraz z Cichostowem i Żminem od Andrzeja Korwin Piotrowskiego kupił kontraktem kupna-sprzedaży z 1856 r. **Maciej Rogowski**.

Wówczas też Piechy rozpisano na dzieci, obawiając się, że Andrzej Piotrowski włączy je w swoje interesy.

Andrzej Korwin Piotrowski zmarł 18 września 1880 r. i został pochowany na cmentarzu w Opolu.

Własność Antopola i Piech przeniesiona została na pięcioro dzieci **Antoniego Korwin Szlubowskiego**. Wypis z Księgi Hipotecznej dla dóbr Hołowno vel Antopol nr 166 wymienia następujące osoby jako właścicieli: *Feliks Korwin Szlubowski; Józef Kazimierz Barnaba Korwin Szlubowski; Stanisław Florian Korwin Szlubowski; Maryanna Salomea Joanna Teresa z Szlubowskich Andrzejowa Piotrowska; Konstancja Maryanna ze Szlubowskich Edwarda hr. Łubieńskiego małżonka*.

Księgi Hipoteczne nr 513 z lat 1843-1882; nr 515 z lat 1905-1938 dla dóbr ziemskich Piechy wymieniają następujące osoby - córki i synów *Andrzejostwa Korwin Piotrowskich jako właścicieli Piech: Adam Jan Feliks Antoni Maryan; Natalia Joanna, Nepomucena Kunegunda Konstancja Marya; Gustaw Antoni Jan Nepomucen Maryjan; Antonina Joanna Nepomucena*

²⁾ A. Koprukowniak, Dobra ziemskie rządowe - prywatne Cichostów i Żminne w 1830-1915; Archiwum Państwowe w Lublinie, Oddział w Radzynie Podlaskim, syg. 2-5, dobra ziemskie Bezwola.

Bronisława Marya; Zofia Joanna Marya Franciszka Teresa.

Z czasem Antopol i Piechy stały się wyłączną własnością Antoniny Joanny Nepomuceny Bronisławy Maryi z Korwin Piotrowskich Henrykowej Lis Zaleskiej.

Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego z 1880 roku wymienia Antopol jako folwark dóbr Hołowno vel Antopol w powiecie włodawskim, gmina i parafia Opole o powierzchni 2683 morgi. Ponadto do tych dóbr należał folwark Feliksów, Kaniuki, przyległości łąki Sierak oraz wieś Hołowno Antopolskie. W Hołownie była cerkiew dla ludności Rusińskiej, parafia unicka istniała tutaj od 1700 r.

Dwór w Antopolu prawdopodobnie został postawiony przez Antoniego Szlubowskiego (1773-1848) na początku XIX w., niektóre z jego dzieci rodziły się w Antopolu, co może świadczyć, że tutaj mieszkał.

Folwark i dobra Piechy powiat włodawski gmina i parafia Opole składały się w 1879 r. z folwarków: Piechy, Niecielin, Mosty, Załuzie oraz z wsi: Mosty, Grabówka, Bojary, razem 3390 morgów. W dobrach Piechy była goźdźnia i cegielnia.

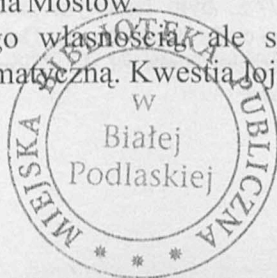
Henrykostwo Zalescy nie zajmowali się majątkami, zlecając ich prowadzenie dzierżawcom i rządcom. Często podróżowali, większość roku przebywali w Nicei, mieszkali też na Kaukazie i Krymie, mieli mieszkanie w Kijowie i w Warszawie.

Takie zachowanie dawnych dziedziców nie było wówczas przykładem odosobnionym.

Rząd rosyjski prowadził regularną politykę niszczenia ekonomicznego polskiego ziemiaństwa. Konfiskaty po powstaniu styczniowym zniszczyły wiele polskich majątków. Ziemianie - Polacy byli pozbawieni dostępu do tanich kredytów i tym sposobem skazani na lichwiarskie procenty od zaciąganych u Żydów pożyczek. Często spłata takich weksli kończyła się sprzedażą części ziemi czy lasu, jeśli nie parcelacją majątku. Stąd wzięła się niechęć dworów do Żydów.

W Antopolu gospodarowali rządcy i nie zawsze uczciwi dzierżawcy. Na przykład Mateusz Targoński (1835-1910), w obliczu konieczności spłaty weksli wyznaczył dzień spłaty. Żydzi stawili się z wekslami, które on spisał, a weksle spalił i nie zapłacił. Zaleskiemu przedstawił, że sprawa została załatwiona i zażądał przepisania Mostów.

Folwark Mosty stał się jego własnością, ale sposób „pozbycia się” dłużników był sprawą problematyczną. Kwestia lojalności rządców, dzier-



zawców w stosunku do właściciela była sprawą dość skomplikowaną w ówczesnych stosunkach społecznych i gospodarczych nie tylko w majątkach Zaleskich.

W tamtych czasach takie zachowanie nie było w zaborze rosyjskim odosobnione, niemniej nie usprawiedliwia to w niczym zachowania Mateusza Targońskiego.

Po Mateuszu Targońskim Mosty odziedziczył jego syn Józef Ignacy, następnie Paweł Czesław Targoński (1896-1948) syn Józefa.

Majątek Mosty sąsiadował z Antopolem, była to, ta sama parafia w Opolu. W czasie II wojny Zofia Zaleska pozwoliła pochować żonę Czesława Targońskiego Annę Michalinę z domu Morawską (1904-1942) w krypcie Zaleskich w czerwonym kościele. Anna zmarła zimą, zamrożnięta ziemia uniemożliwiła wykopanie grobu.

W okresie międzywojennym dzierżawcą Piech został Antoni Targoński. Janusz Zalewski w liście do matki napisał ... *Ale zdaje się będzie to z deszczu podrynnę.*

Jedynym dzieckiem Henryka i Antoniny był **Bohdan Zaleski** (1873-1919) herbu Lis-Bzura, urodzony w 1873 r. w Antopolu, poseł do I Dumy, właściciel dóbr Antopol, Piechy na Podlasiu i Atspuka, Eleonorowo na Inflantach. Po bezpotomnej śmierci stryja Adama dziedziczy Tokary.

Skończył Gimnazjum Wojciecha Górskiego w Warszawie studiował w Instytucie Technicznym w Gembloux i na uniwersytecie w Luttich. Po ukończeniu nauki wrócił do kraju, daje się poznać z najlepszej strony, wykazując wielki dar organizacyjny, olbrzymią pracowitość i zdolności. Wchodził do władz kilku towarzystw rolniczych i gospodarczych. Był m.in. dyrektorem Siedleckiego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu oraz członkiem Towarzystwa Rolniczego w Siedlcach. Współpracował z licznymi czasopismami i napisał wiele broszur na tematy ekonomiczne.

Politycznie był związany z ruchem narodowym. W 1906 r. uzyskał z rekomendacji Stronnictwa Narodowo Demokratycznego - SDN⁷⁾ mandat do I Dumy z guberni siedleckiej. Został przydzielony do II Oddziału Dumy. Podczas akcji wyborczej do następnej Dumy pracował w Komitecie wyborczym guberni siedleckiej i jako jego delegat w Centralnym Komitecie Wyborczym w Warszawie.

⁷⁾ SDN - utworzone w 1897 r., było legalnym przedstawicielstwem ruchu narodowo-demokratycznego, na którego czele stanął Roman Dmowski. Walczyło o autonomię drogą negocjacji. Jego politycy zostali wybrani do Dumy. W 1919 r. SDN przekształciło się w Związek Ludowo-Narodowy.

W następnych latach poświęcił się działalności gospodarczej. Był założycielem, głównym udziałowcem i długoletnim dyrektorem Krajowej Spółki Gorzelniczej S. Tarnowski, Zaleski i Ska w Warszawie oraz współzałożycielem w 1911 r. i członkiem firmowym zarządu Spółki Gorzelniczej Północno-Zachodniej w Wilnie (1911-1914).

W okresie I wojny światowej działał na terenie guberni witebskiej. Wziął udział w polskim zjeździe politycznym w Moskwie 3-9 sierpnia 1917 r. Uczestniczył w prowadzonych podczas zjazdu obradach działaczy polskich z tzw. Ziemi Zabrzanych, w wyniku których powołana została Rada Kresowa. 19 sierpnia 1917 r. został wybrany przez Radę Polską Ziemi Inflanckiej na zastępcę delegata Rady do Rady Polskiej Zjednoczenia Międzypartyjnego. Powierzono mu także zadanie zorganizowania finansów samorządowych w Inflantach polskich^{*)}.



*Bohdan Henryk Józef Zaleski
(1873-1919)*

Doświadczenie w prowadzeniu gospodarstwa zdobywał w Turwi i Kopaszewie w Poznańskim. W ówczesnym czasie majątki Chłapowskich były wzorem nowoczesnego rolnictwa jak również miejscem, gdzie można było odbyć praktykę a dobre zwyczaje gospodarcze przenieść do swoich majątków.

Warto przypomnieć, że to generał Dezydery Chłapowski uczynił ze swoich majątków kuźnię kadr dla Polski. W wieku 28 lat rozpoczynał nowe życie. Błyskotliwa kariera u boku Napoleona zakończyła się wielkim rozczaro-

^{*)} Cz. Brzoza, K. Stepan, Posłowie polscy w parlamencie rosyjskim 1906-1917. Słownik biograficzny str. 239, W-wa 2001.

waniem w stosunku do wodza. Dezydery Chłapowski (1788-1879) nie umiał przeboleć, jego zdaniem, zdrady przez Napoleona Polski (ówczesnego Księstwa Warszawskiego). Uznał, że trzeba poczekać na lepsze czasy i wówczas zawalczyć o wolność. Ale czekać nie można bezczynnie, nie można też marnować sił na przedwczesne zrywy. Dwa razy w ciągu swojego długiego życia generał włączał się do tworzenia wojska: Powstanie Listopadowe (1830 r.) i Wiosna Ludów (1848 r.).

Po upadku Napolena wyjeżdża do Anglii gdzie uczy się nowoczesnego rolnictwa. Po powrocie do rodzinnej Turwi porządkuje majątek i wprowadza nowoczesne zasady gospodarowania. W tym okresie zaczął też przyjmować praktykantów na naukę, nie tylko z poznańskiego ale z całej Polski aby nieśli jego idee dalej.

Zdaniem Dezyderego Chłapowskiego należało uzbroić kraj materialnie i moralnie do zadań, które w sprzyjających okolicznościach staną przed Polakami. W obszarze materialnym podstawą jego programu była dążność do bogacenia się indywidualnego a przez to do podniesienia gospodarczego całego kraju. Ziemianie powinni pracować systematycznie i fachowo na roli, osobiście nadzorować proces produkcji, powinni być oszczędni w życiu codziennym, pracować społecznie dla dobra wsi i podnoszenia poziomu chłopów. Skromność przyjąć, ograniczenie życia towarzyskiego, służenie ciągle przykładem - to zadania, których nikomu nie narzucał, ale realizował we własnej rodzinie.

Moralnym wsparciem tej ciężkiej i trudnej pracy była wiara katolicka i stąd jego zaangażowanie w odnawianie autorytetu kościoła rzymskokatolickiego w poznańskim. Kościół Katolicki miał być podstawą duchowego odrodzenia Polaków.

Pomimo różnorodnych trudności Dezydery Chłapowski odnosi wielki sukces gospodarczy, jeszcze przed powstaniem listopadowym spłaca wszystkie długi i zaczyna skupować okoliczne upadające majątki, w tym okresie nabył też Kopaszewo, które odziedziczył jego syn Kazimierz (1832-1916). I za czasów Kazimierza Chłapowskiego, kontynuatora idei generała, Bohdan Zaleski praktykował w Turwi i Kopaszewie³⁾.

Bohdan Zaleski żeni się z **Zofią Doliwą Sobocką** z Matwiejowicz w Owruckiem na Wołyniu i osiada z rodziną w Antopolu. Zofia uczyła się w gimnazjum w Siedlcach i w tym mieście gubernianym poznała Bohdana Zaleskiego.

³⁾ Krzysztof Morawski, Wspomnienie z Turwi, Kraków 1981.

Pierwszy syn Bohdana i Zofii Zaleskich **Jerzy** urodził się w 1903 r. w Antopolu, następnie **Maria**, **Kazimiera**, **Zofia** i **Janusz**, który urodził się w Skaryszewie (koło Pułtusza), gdzie wówczas Bohdan Zaleski dzierżawił majątek.

Najstarszy Jerzy zarażony przez mamkę gruźlicą kiszek, umiera w 1912 r. po dwuletnim pobycie w Beaulieu na Riwierze Francuskiej, dokąd Bohdan wywiózł rodzinę dla ratowania zdrowia pierworodnego. Jerzy został pochowany w dwunastoosobowym grobowcu, który kupili mu rodzice.

Po stracie sześciolatniego syna Zalescy z dziećmi przenoszą się na Inflanty, gdzie ojciec Henryk Zaleski powierza mu dwa ogromne leśne majątki Atspukę i Eleonorowo - około 10 tys. ha.

Henryk Zaleski odziedziczył Atspukę i Eleonorowo po stryju ojca, który był ożeniony z baronówną Borch i stąd drogą zapisu majątki trafiły do Henryka Zaleskiego, który w 1913 r. przekazał je synowi. Inflanckie ślady rodziny Zaleskich są mało znane.

Zanim Bohdan Zaleski przeprowadził się na Inflanty gospodarzył w Antopolu i na tym terenie pracował, dziś możemy powiedzieć społecznie.

Z powodu kryzysu państwa rosyjskiego wywołanego rewolucją 1905 roku, car Mikołaj II (1894-1917) zmuszony był zgodzić się na ustanowienie pierwszego parlamentu w cesarstwie - Dumy. Została powołana na mocy Manifestu cara z 30 października (17 października w kalendarzu juliańskim) 1905 roku. **Pierwsza Duma** zebrała się w kwietniu 1906 r., w jej skład wchodziło 478 posłów, w tym 54 posłów polskich. Duma została rozwiązana przez cara zaledwie 10 tygodni po rozpoczęciu funkcjonowania. Wśród polskich posłów byli m.in. książę **Seweryn Czetwertyński** z Suchowoli, **Roman Dmowski**, **Władysław Grabski**, Bohdan Zaleski.

Doświadczenie to przekonało Bohdana Zaleskiego, że na płaszczyźnie politycznej nadal trudno będzie osiągnąć trwałe cele. Jednocześnie udział



*Zofia z Doliwa Sobockich Zaleska
(1875-1959), foto 1922 r.*

w stosunkowo wolnych wyborach do I Dumy i krótkie posłowanie były potwierdzeniem jego aktywności na polu działalności gospodarczej, społecznej i politycznej.

Przed pierwszą wojną światową animatorem nowoczesności na Podlasiu był książę Seweryn Czetwertyński (1873-1945), z którym Bohdan był nie tylko w przyjaźni, ale i w interesach. Panowie byli rówieśnikami, co niewątpliwie pozwoliło dobrze współpracować na polu społecznym i gospodarczym.

W 1907 r. zostało założone Centralne Towarzystwo Rolnicze (CTR). Dążyło aby stać się wspólną dla całego rolnictwa reprezentacją wsi, zróżnicowanej wielkością gospodarstw, formą ich własności, charakterem produkcji i jej opłacalnością. Działo na terenie Królestwa Polskiego, a po roku 1918 na terenie 9 województw, w tym województw wschodnich. Wśród aktywnych działaczy i organizatorów byli: Stanisław Chełchowski - pierwszy prezes i założyciel CTR, Seweryn Czetwertyński, Władysław Grabski, Marian Kiniorski, Kazimierz Rogoyski, Adam Dziedzicki.

W okresie przed I wojną światową Bohdan Zaleski bierze udział pod kierunkiem **Władysława Grabskiego** w pracy Centralnego Towarzystwa Rolniczego, w Biurze Pracy Społecznej. Działa na Podlasiu w Okręgowym Towarzystwie Rolniczym, gdzie wspólnie z prezesem **Czesławem Karpińskim** i **Teodorem Libiszowskim** z Sosnowicy tworzą triumwirat pracy społecznej. Organizują zjazdy, wystawy w Warszawie i w Lublinie⁴⁾.

Seweryn Czetwertyński stał się współwłaścicielem Hotelu Europejskiego poprzez małżeństwo z **Zofią hr. Przeździecką**, córką **Gustawa i Marii z Czapskich**, właścicielką dóbr Falenty i współwłaścicielką Hotelu Europejskiego w Warszawie. Ślub odbył się 11 lipca 1898 r. i młoda para zamieszkała w Suchowoli, którą Seweryn otrzymał w darze ślubnym.

W 1924 r. właściciele Hotelu zawiązali spółkę akcyjną pod nazwą Hotel Europejski. Prezesem zarządu spółki został Seweryn Czetwertyński. Hotel utrzymywał swą najwyższą kategorię i jako jedyny wśród polskich hoteli zaliczany był w klasyfikacji międzynarodowej do hoteli luksusowych.

Nie dziwi więc, że dostarczane produkty spożywcze musiały być najwyższej jakości, o co dbano z niezwykłą starannością. Wiele majątków

⁴⁾ Pamiętnik Teodora Libiszowskiego, t. 1 rękopis.

staralo się być dostawcami hotelu. Antopol przez kilka kolejnych lat dostarczał sery i cielęcinę - produkty starannie wyselekcjonowane.

Wówczas też zaczęto budować nowoczesne gorzelnie na Podlasiu. Zostaje zbudowana gorzelnia w Antopolu, która w znacznym stopniu finansowała utrzymanie majątku. Aktywność gospodarcza Bohdana Zaleskiego miała na celu poprawienie kondycji ekonomicznej Antopola i Piech.

Budowa czerwonego kościoła

Ojciec i syn - Henryk i Bohdan Zalescy zaangażowali się w poczynania katolików dążących do odzyskania kościoła - kaplicy grobowej Szlubowskich. Prawosławni do których formalnie obiekt należał nie chcieli go zwrócić. Sprawa trafiła do Dumy, ostatecznie po trzech miesiącach burzliwych dyskusji przegłosowano, że świątynia opolska pozostaje przy prawosławnym. I tak było do 1918 roku. Rekompensatą za zabranie kościoła stanowiła zgoda rządu carskiego na postawienie nowego kościoła katolickiego na terenie parafii Opole.

To, co działo się w trzeciej Dumie (1907-1912) upowszechnił **Bronisław Szlubowski** wydając w 1910 r. książkę - *O kościół w Opolu*. We wstępie wyraził swoją opinię o zaborze przez cerkiew prawosławną kościoła w rodowym Opolu.

Zaraz po uzyskaniu rządowego pozwolenia na budowę kościoła zawiązał się na zebraniu parafialnym w czerwcu 1910 r. Komitet Budowy Kościoła, jego przewodniczącym został Henryk Zaleski a członkami panowie: Mierzeński, Żółciński i Targoński - właściciele okolicznych majątków, ks. proboszcz Wacław Chojecki oraz włościanie, z których każdy reprezentował jedną ze wsi wchodzących w skład parafii. Właściciel majątku Antopol Henryk Zaleski członek dozoru kościelnego, wyjaśniał w liście lubelskiemu biskupowi, że parafianie, chociaż są ubodzy odmawiają przyjęcia rosyjskich pieniędzy, bo obawiają się, że potomni powiedzą, że swoje święte prawo do opolskiego zabranego kościoła sprzedali.

W związku z wynikłymi nieporozumieniami w sierpniu 1910 r. zawiązał się nowy komitet, którego przewodniczącym został Alfred Mierzeński a członkami ziemianie: Henryk Zaleski, Józef Targoński z Mostów, Jan

Żółciński dzierżawca majątku poduchownego w Opolu oraz siedmiu chłopów⁵⁾.

Komitet miał realizować postanowienia zgromadzenia parafialnego dotyczące prowadzenia budowy. Wołą parafian było wzniesienie dużej świątyni, za kwotę około 40000 rubli. Zanim zapadła decyzja o budowie panowie Zaleski i Mierzeński zapewniali kilkakrotnie władze diecezjalne, iż w przypadku podjęcia tej inwestycji biorą na siebie lwią część kosztów jakie będzie ona wymagała. Obietnicy dotrzymali i już na pierwszym zebraniu poświęconym sprawom finansowym złożyli na początek funduszu nowego kościoła po pięć tysięcy rubli. Pan Żółciński dołożył do tego tysiąc rubli. Pieniądze na budowę pozyskano więc od właścicieli okolicznych majątków oraz ze zbiórek przeprowadzonych wśród ludności. Władze guberniane wyrażały zgodę na przeprowadzenie kwest, ale poza guberniami siedlecką i lubelską, co niewątpliwie miało na celu ograniczenie hojności darczyńców. Przeprowadzeniem kwest zajął się **Antoni Krawczuk**.

Kościół budowano od 1911 do 1914 r. Najpierw projektem miał zająć się **Zygmunt Zdanowski** architekt gubernialny z Siedlec, ale z inicjatywy Bohdana Zaleskiego postanowiono zwrócić się do architekta w Warszawie. Wzięty w tym okresie budowniczy, autor wielu projektów kościołów wznoszonych w charakterystycznym stylu neogotyku nadwiślańskiego z czerwonej cegły, architekt **Stefan Szyller** zostaje poproszony o projekt i wykonanie kościoła w Opolu⁶⁾.

Na potrzeby wznoszonego kościoła Henryk Zaleski rozbudował w Piechach cegielnię.

Budowa przebiegała sprawnie. Przypuszczalnie w 1913 r. ukończono prezbiterialną część świątyni a 13 listopada 1914 r. następcą ks. W. Chojckiego (1905-1910 r.), ks. **Ludwik Zaorski** (1910-1917 r.) informował listownie biskupa, że kościół jest gotowy i czeka na poświęcenie.

Poświęcenia kościoła pw. Podwyższenia Krzyża Świętego dokonał ks. bp **Zenon Kwiek** - biskup lubelski w grudniu 1914 r.

⁵⁾ Dariusz Tarasiuk, *Dzieje parafii w Opolu*, s. 55

⁶⁾ W korespondencji pomiędzy ks. Henrykiem Ćwiklińskim rezydentem parafii Opole-Podedwórze a Alicją Rudniewską z 1983 r. omawiana była kwestia autorstwa projektu architektonicznego Czerwonego Kościoła. Wówczas publikacja Jerzego Żywickiego autorstwo projektu i budowę, zgodnie z pierwszą dokumentacją przypisała architektowi gubernialnemu Zdanowskiemu. Komitet Budowy odstąpił od pierwszej decyzji i powierzył pracę Stefanowi Szyllerowi. W Kurii Siedleckiej ks. Ćwikliński odnalazł dokumenty potwierdzające zmianę i o tym pisał do Alicji Rudniewskiej.

Kościół zyskał formę neogotycką, według ówczesnych przekonań była to najbardziej odpowiednia forma dla kościoła i chyba ważne było też to, że gotyk reprezentował kulturę zachodnią więc trudno taką budowlę zamienić na cerkiew prawosławną.

Fasadę świątyni tworzą dwie nierównej wysokości wieże frontowe ze spiczastymi hełmami, trójnawowy - halowy korpus na rzucie prostokąta, nieco niższe od niego prezbiterium o szerokości nawy głównej i trójbocznym zasklepieniem absydy. Pod prezbiterium krypta grobowa dziedziców Antopola - Zaleskich.

Parafia Opole - Gmina Podedwórze

Do tradycji historycznej gminy Podedwórze zaliczyć należy zamieszkiwanie w przeszłości na jej terenie ludności zróżnicowanej wyznaniowo. Jest to zjawisko typowe dla regionu pogranicza kulturowego polsko-ruskiego. W przeszłości istniały tutaj świątynie prawosławne, zamienione później na unickie oraz łacińskie. Zgodne funkcjonowanie parafii należących do różnych obrządków w czasach przedrozbiorowych gwarantowała uznająca zasadę tolerancji religijnej Rzeczypospolita.

W czasie gdy Szlubowscy budowali rodzinną kaplicę w Opolu był dobrze zachowany, parafialny, drewniany kościół katolicki i cerkiew unicka.

Cerkiew spaliła się i wówczas biskup **Wojciech Skarszewski** wychodząc naprzeciw prośbom unitów, których wówczas było więcej w parafii niż łacinników, przekazał im w użytkowanie kościół łaciński w Opolu.

Katolicy zaczęli odprawiać swoje nabożeństwa w kaplicy Szlubowskich. Z tego właśnie powodu od 1811 r. w urzędowych pismach funkcjonuje ona jako kościół parafialny pw. Zwiastowania NMP.

Bronisław Szlubowski w 1910 r. wydał książkę: *O kościół w Opolu* (Rozprawy w Izbie Państwowej Petersburskiej nad interpelacją Koła Polskiego).

W słowie wstępnym czytamy: *Walka o kościół w Opolu* jaka rozegrała się w Izbie Państwowej na tle interpelacji, wniesionej przez Koło Polskie, była jednym z najbardziej znamienitych epizodów, charakteryzujących stosunek rosyjskiego przedstawicielstwa narodowego do katolicyzmu i do polskości. Dlatego znaczenie tej walki i dyskusji, jaka się z powodu interpelacji odbyła, wybiega daleko poza ramy zagadnienia ściśle lokalnego. W każdej innej

kwestii stosunek większości Izby do katolicyzmu i polskości nie został postawiony na gruncie tak zasadniczym, nie został oświetlony tak jasno i szczerze, powiedzmy nawet tak cynicznie. Dlatego, jako najbliższej zainteresowany w tej sprawie, uważałem za potrzebne, przez wydawnictwo dosłownego przekładu według stenogramów urzędowych Izby Państwowej wszystkich przemówień, jakie w dyskusji nad interpelacją wygłaszano, znamieny ten w dziejach stosunków polsko-rosyjskich epizod utrwalić i przez to ułatwić przyszłym historykom orientowanie się w dzisiejszych ciernistych, bo psychopatycznych czasach. Epizod ten posiada głębokie, dla charakterystyki dzisiejszych czasów i stosunków poważne znaczenie. W dyskusji tej bowiem jak w zwierciadle, odbiły się rysy zwróconego ku nam oblicza rosyjskiego przedstawicielstwa narodowego i dlatego zasługuje ono na bliższe omówienie i dokładną charakterystykę.

W dalszej części publikacji czytamy:

Kościół rzymsko-katolicki w Opolu wybudowany został przez Łukasza Kopcia, kasztelana brzeskiego w 1643 r. Jego syn Aleksander Kopeć wojewoda brzeski w cztery lata później ufundował przy kościele parafię rzymsko-katolicką i uposażył ją.

Majątek Opole na początku XIX przeszedł na własność rodziny Szlubowskich. Józef Szlubowski (pierwszy właściciel z rodziny Szlubowskich) postanowił wybudować w Opolu kaplicę grobową dla siebie i swojej rodziny, wkrótce po zaczęciu budowy umarł i synowie dokończyli jego dzieła.

Kościół nie jest duży, murowany kryty dachówką, z podziemnymi katakumbami dla chowania zmarłych. W 1811 r. stał się kościołem parafialnym ponieważ w tym czasie cerkiew unicka zawaliła się, wówczas parafianie greckokatolicy zwrócili się z prośbą do władz kościelnych aby udostępniono im jeden z dwóch kościołów katolickich: kościół parafialny bądź nowo wybudowaną kaplicę. Wówczas w parafii więcej było unitów niż łacinników i dlatego przekazano unitom kościół parafialny, który był drewniany ale w dobrym stanie i rozmiarami znacznie większy niż kaplica. Na parafialny kościół rzymsko-katolicki przeznaczono wówczas kaplicę grobową, która nadal należała do rodziny kolatorów, ale od 1811 r. figurowała w spisach diecezjalnych jako kościół parafialny z wymienieniem fundatorów z imienia i nazwiska. Kościół w Opolu nie przestał być kaplicą grobową aż do roku 1868 a więc do czasu wyprowadzenia się rodziny Szlubowskich z Opola, wszyscy jej członkowie byli tam chowani.

Na ścianach kościoła opolskiego, o czym pisze Bronisław Szlubowski w cytowanej publikacji było wmurowanych 12 tablic pamiątkowych na

których wymieniono zmarłych spoczywających w katakumbach. - „..., *dziś częściowo zamazanych wapnem, częściowo zakrytych ikonami, tak, że tylko na siedmiu można wyczytać napisy z wymienieniem nazwisk nie tylko Szlubowskich, ale i drugih z nimi po kądzieli spokrewnionych osób.*”

Część rodziny przeniosła się do kupionego w 1834 r. Radzyna, gdzie w 1854 r. wybudowano drugą kaplicę grobową.

W 1875 r. oficjalnie na Podlasiu zniesiono unię i przepisano unitów na prawosławie. Unici opolscy nie chcieli modlić się w cerkwi prawosławnej i chodzili do kościoła. Władze carskie postanowiły zamknąć kościół - kaplicę grobową, jako ognisko propagandy. Ówczesny proboszcz ks. Szott został z Opoli usunięty, przeniesiono go tak jak i parafian opolskich do kościoła w Sosnowicy. Ks. Szott przyjeżdżał jeszcze do Opoli i odprawiał nabożeństwa do chwili kiedy mu tego oficjalnie zabronił generał-gubernator Kotzebue w kwietniu 1877 r.

Ten sam Kotzebue w grudniu 1876 r. odmawia zatwierdzenia ks. Kosmańskiego na stanowisko administratora kościoła w Opolu. Odmowa powtarza się też w maju 1883 r., pomimo że 200 parafian poręczyło za odpowiednie dochody parafii własnymi podpisami.

W lutym 1890 r. wyszedł ukaz carski nakazujący przekazanie kościoła prawosławnym. Generał gubernator Hurko komunikuje o tym biskupowi lubelskiemu. Dziekan włodawski zdał miejscowemu proboszczowi prawosławnemu Charłampowiczowi kościół, 6 morgów gruntu i budowlę, zaś inwentarz kościelny odwiózł do kościoła w Sosnowicy.

Po oddaniu księdzu prawosławnemu kluczy Kościoła - kaplicy nastąpiła dewastacja kościoła i profanacja grobów, żelazna krata zabezpieczająca wejście do podziemi znikła. Kościół niszczał za przyzwoleniem nowego właściciela cerkwi prawosławnej.

Dlatego też parafianie opolscy upominali się wielokrotnie o niego. Wszystkie starania parafian i rodziny fundatorów o zwrot kościoła nie osiągały skutku. W 1894 r. zmarł car Aleksander III, który wobec Polaków prowadził nieugiętą politykę rusyfikacyjną dążącą do uczynienia z zaboru rosyjskiego integralnej części cesarstwa rosyjskiego. Na tron wstąpił car Mikołaj II. Wówczas to parafianie opolscy napisali petycję do tronu o zwrot kościoła. Petycja ta pozostała jednak bez odpowiedzi.

W 1903 r. utworzono nową diecezję prawosławną w Chełmie na jej czele stanął biskup Eulogiusz, który uznał, że wyświęcenie opolskiego kościoła na cerkiew pozytywnie oddziało na umysły opornych unitów i skłoni ich ku prawosławiu. Na miejsce księdza Charłampowicza wyznaczył nowego księ-

dza Salwickiego i nadał mu godność dziekana. Miał on doprowadzić do wyświęcenia kościoła na cerkiew. Ale w tym czasie ogłoszono ukaz tolerancyjny 1905 r.

Bronisław Szlubowski pisał: *Zdawałoby się, że ukaz otworzy zapieczętowaną świątynię opolską. Tymczasem stało się inaczej. Ukaz tolerancyjny jak na ironię losu, najwięcej zaszkodził temu kościołowi.*

Po wydaniu ukazu tolerancyjnego ludzie z Opola i okolic udali się do kościoła w Sosnowicy gdzie wpisywali się do libri conversorum, efektem tego było, że parafia rzymskokatolicka w Opolu liczyła ponad 3000 dusz, a parafia prawosławna znacznie zmniejszyła swoją liczbę. Należy pamiętać, że na terenie parafii opolskiej były jeszcze dwie parafie prawosławne w Opolu i w Hołownie.

Parafianie postanowili jeszcze raz ponowić prośbę do tronu o zwrot kościoła. Nie mogąc doczekać się odpowiedzi w październiku 1906 r. sami weszli do kościoła i zaciągnęli straż, pilnując świątyni dniem i nocą. Naczelnik powiatu włodawskiego przybył ze strażnikami i rozpedził ludzi, wielu z nich pobito.

Wówczas ludzie zwrócili się do dziedzica Opola pana Mierzeńskiego, który udostępnił im pałacową oranżerię, przerobioną na kaplicę.

Kaplicą zajął się ks. Chojewski, który aktywnie włączył się w starania parafian dotyczące zwrotu kościoła.

Nadal podnoszono sprawę opolskiej świątyni, w 1907 r. zapewniono włościan, że sprawą zajmie się Duma co uspokoiło ludzi.

Prawosławne władze duchowne postanowiły jednak sprawę załatwić inaczej, zgodnie z prawem obowiązującym w cerkwi prawosławnej zabrania się oddawania innemu wyznaniu świątyni poświęconej na prawosławną. 2 grudnia 1907 r. duchowni prawosławni w towarzystwie strażników dokonali poświęcenia kościoła opolskiego na cerkiew prawosławną.

Bronisław Szlubowski jeździł do Petersburga i rozmawiał z dyrektorem departamentu obcych wyznań, który obiecywał mu zwrot kościoła. Starał się o audiencję u prezesa gabinetu ministrów, jednak książę Stołypin posłuchania mu odmówił.

Do cesarza wybrała się również delegacja włościan opolskich na czele z Antonim Krawczukiem, który przez dwa lata zajmował się sprawą kościoła. Ciągłe przebywał w Petersburgu, odwiedzał kancelarie władz, które mogły w sprawie kościoła coś uczynić.

Kiedy starania nie przynosiły pożądanego efektu powstała myśl, aby wnieść interpelację do Dumy. Wówczas zaofiarowano parafianom 8000 rubli na wybudowanie nowego kościoła. Parafianie ofertę odrzucili, kwotę powie-

kszano aż zaproponowano 15.000 rubli. Po wniesieniu interpelacji kwotę podwyższono do 18.000 rubli. Parafianie jeszcze raz zwrócili się z prośbą do cesarza i tym razem cesarz prośbę rozpatrzył ale odrzucił. To zaważyło ujemnie na losach interpelacji w Dumie.

Interpelacje wniesiono do Izby Państwowej dnia 7 grudnia (24 listopada) 1908 r. W jej treści opisano stan faktyczny kościoła - kaplicy. Pod obrady Dumy weszła dopiero 9 lutego (27 stycznia) 1910 r.

Interpelacja nadała sprawie kościoła opolskiego dużego rozgłosu, liczone też na to, że przy tej okazji zostanie poruszona kwestia zabranych kościołów katolickich. Chociaż interpelacja dotyczyła jedynie lokalnego incydentu to nikt nie miał wątpliwości, że sprawa ta miała znaczenie precedensowe. Natomiast dla wielu Rosjan sprawa ta stanowiła pretekst do podsycania nastrojów nacjonalistycznych, uznali oni, że ewentualny zwrot kościoła opolskiego za zamach na własną dumę narodową oraz na najbardziej żywotne interesy narodowe i religijne. Debata w sprawie kościoła w Opolu prowadzona była aż na sześciu posiedzeniach i weszła w kwestię stosunków polsko-rosyjskich. Od samego początku przybrała bardzo ostry ton narzucony przez silną grupę nacjonalistów, rekrutujących się z posłów skrajnej prawicy, zażartych wrogów wszystkiego co polskie i katolickie.

Na bieżąco obradami interesował się Bronisław Szlubowski, pod wpływem oburzenia jakie wzbudził w nim poziom dyskusji w Dumie nad opolską interpelacją, napisał list, który wydrukowała gazeta Rieczy.

Po ogłoszeniu niekorzystnego dla opolskich katolików werdyktu **Bronisław Szlubowski** pisze: *Przeciwnicy interpelacji nie mogli sami ustalić należycie powodów zabrania kościoła opolskiego przez duchowieństwo prawosławne. Pragnąc za wszelką cenę udowodnić, że duchowieństwo prawosławne poczyniło sobie najzupełniej prawnie, mówcy z prawicy wysnuwali aż cztery argumenty: 1) Duchowieństwo prawosławne zabrało kościół, jako swoją bezsporną, na mocy Ukazu z 1890 r. własność; 2) zabranie kościoła traktuje się jako kara za to, że katolicy zajęli go poprzednio; 3) kościół należało poświęcić na cerkiew prawosławną, gdyż katolicy rozpuszczali pogłoski, że Cesarz przeszedł na katolicyzm; 4) kościół należało zabrać dlatego, żeby wykazać, że w kraju rządzą Rosjanie, nie zaś katolicy, Polacy.*

(...) To są argumenty przemawiające za tym, że kościół opolski należało zabrać i uczynić zeń świątynię prawosławną. Nie zauważyli tylko mówcy, że w pogoni za ilością argumentów, zniweczyli ich jakość. Boć jeśli kościół opolski stanowi bezsporną własność duchowieństwa prawosławnego, to wykonanie tego prawa własności nie może być aktem zemsty. Gdzie zaś jest zemsta tam nie ma prawa. I gdyby ci mówcy nie byli na wskroś przeżarci

rakiem obłudy, powinni zamiast wygłaszania długich tyrad, powiedzieć krótko: zabraliśmy kościół, bo mieliśmy po temu siłę. Nie oddamy go wam, bo nie macie siły, aby go odebrać. Byłoby to przynajmniej krótkie i jasne, i nie byłoby potrzeby uciekania się do śmiesznych i samych Rosjan poniżających argumentów, że kościół opolski należało zabrać dlatego, że rozpuszczano pogłoski, że Cesarz rosyjski przyjął katolicyzm.

Czytając publikację Bronisława Szlubowskiego nie sposób nie zauważyć historycznego tonu wystąpień rosyjskich posłów, którzy z pełnym przekonaniem mówili o ciemnionej przez Polaków Rusi Zabuzzańskiej, gdzie prawosławnych palono i bito. Przedstawiono historie prześladowania ludności prawosławnej od Jagiełły po powstanie styczniowe podkreślając liczne gwałty ze strony sfanatyzowanych łacinników. Mówiono o nieszczęsnej Chełmszczyźnie, którą całą siłą uciska polska niewola i o nieszczęsnych unitach, siłą oderwanych od cerkwi prawosławnej. Sic! To był 1910 rok, Szlubowski cytował scenogramy wystąpień posłów.

Nie wykluczone też, że w Dumie przy okazji kościoła opolskiego przygotowywano propagandowy grunt do wydzielenia z granic Królestwa Polskiego odrębnej guberni chełmskiej, którą w 1912 r. utworzono z części guberni lubelskiej i siedleckiej.

W 1910 r. w Opolu było dwie cerkwie prawosławne i kapliczka-czasownia na cmentarzu grzebalnym. Katolicy mieli swoją kaplicę w oranżerii pana Mierzeńskiego. Rozpoczęto budowę kościoła w 1911 r., budowla została poświęcona w 1914 r., ale pozostała niedokończona, bowiem według pierwotnych planów miała mieć jeszcze kolumnowy portyk przed fasadą i kruchtę prowadzącą do kaplicy pogrzebowej.

W latach trzydziestych Bronisław Szlubowski sprowadził do Opola wielkie bloki piaskowca i granitu, które miały być wykorzystane do dokończenia portyku i kruchty. Do dziś leżą owe bloki piaskowca przed kościołem, zapadłe już w ziemię, szerniałe, pewnie zwietrzałe lub zmurszałe. Nikt już nie pamięta skąd się tam wzięły i w jakim celu leżą właśnie w tym miejscu.

W 1938 r. w testamencie zapisał on też dla kościoła w Opolu 10 tys. zł, co świadczy o związkach emocjonalnych Bronisława Szlubowskiego zarówno z przeszłością rodziny jak i gniazdem rodzowym.

Kościół w Opolu był twierdzą katolicyzmu i polskości na tej ziemi.

Ani pierwsza wojna światowa ani druga nie wyrządziły poważnych szkód świątyni, tylko czas i wilgoć.

I wojna światowa

Pierwsza wojna zastaje Henryka i Antoninę Zaleskich w Kijowie. Natomiast Bohdan Zaleski z rodziną jest na Inflantach. Z tego okresu zachowała się korespondencja i fotografie dzieci Bohdana.

Antonina Zaleska wracając do Polski przywiozła listy i dlatego zachowały się w papierach rodzinnych. Później przechowywała je Zofia Zaleska, Maria Rudniewska i Alicja Rudniewska.

Z listów Bohdana Zaleskiego dowiadujemy się, że w listopadzie 1916 roku wyjechał on na kurację do Soczi. Pisał do rodziców z drogi, jak i z Soczi, co świadczy o synowskim przywiązaniu. Opisuje swoje spostrzeżenia, dzieli się ocenami. Podróż miał męczącą i trudną.

- *Do Tuapse dojazd znośny* - pisał, *ale dalej do Soczi nie było żadnej komunikacji. Morzem nie wolno, benzyny dla samochodów zabrakło.*

Jechał więc dorożką, dobrą szosą, podróż trwała dwa dni. Soczi podobała się Bohdanowi i przewiduje duży rozwój tej miejscowości. Pobliskie miasteczka Gagry i Suchumi nie robią na nim wrażenia - *są nędzne* - pisze. Z usług lekarza sanatoryjnego nie był zadowolony, stosował się więc do zaleceń lekarza z Kijowa, który tą kurację zalecił. - *Czuję się doskonale* - informuje. *Przypuszczam, że to robi pogoda więcej jak kuracja.*

Pisze 12 listopada 1916 r.: *W Soczi zastałem deszcz, ale nazajutrz wypogodziło się i dotychczas jest formalne lato. Nie gorzej jak na prawdziwej riwierze, może nawet lepiej. Natomiast urzędnicy są ohydne. Ten najlepszy hotel na wybrzeżu przypomina Iwonice albo Szczawnicę porządkami swoimi. Restauracja wstrętna i droga. Polaków mało, zaledwie kilku, publiczności też niewiele bo sezon ma się ku końcowi. Spotkałem kolegę z Dumy, posła z Mińskiej guberni, ciężko chorego na serce. Mała z niego zatem pociecha, ale dobrze, że choć jeden swój znalazł*



Dzieci Bohdana i Zofii Zaleskich, foto 1917 r. Dyneburg: od lewej siedzi Janusz, stoi Maria po prawej stoi Kazimiera, siedzi Zofia

się tutaj. Nazywa się Lubański. Wczoraj także przyjechał sympatyczny Polak, inżynier gubernialny z Kielc pan Włodzimierski. Obecnie buduje szosy pod Pińskiem, a tu jest na kuracji po zapaleniu płuc. (...)

Gdyby nie ciekawe teraz gazety nudziłbym się strasznie. Z domu miałem parę listów. Wszystko tam po dawnemu pomyślnie. Ale dotychczas nie otrzymałem listu od Papusia. Zdaje się, że tu poczta idzie bardzo długo. Listy z domu odbieram po dziewięciu dniach za ledwie.

Doszły mnie świeżo zatwierdzone przepisy o odszkodowaniach wypracowane przez komisję Futona. Zdaje się, że za budowlę Tokarskie i Czyżewice będzie można zabiegać o 50 proc., bo jest zaświadczenie komendanta twierdzy. Co do Antopola, który ma tylko zaświadczenie policji obawiam się, że nic się nie da zrobić. Będę wracać na Moskwę - Smoleńsk to się dowiem i doniosę.

Wówczas budowana była kolej wzdłuż wybrzeża od Tuapse do Batumy, co zdaniem Bohdana przyczyni się do rozwoju. - Klimat jest odrobinę chłodniejszy niż na francuskiej riwierze - opisuje. Mniej upalny latem zimą zaś dżdżysty sezon trwa od marca do grudnia, największy zjazd kuracjuszy to lipiec-październik, choć kilka hoteli otwartych jest cały rok. Roślinność jest nadzwyczajna - palmy, masę cyprysów, magnolii, agaw, bananów. W listopadzie skończyły się już winogrona i brzoskwinie, gruszki i jabłka są znośne. Specjalnością miejscowości są francuskie śliwki, które są suszone i wysyłane.

Po kuracji wraca do domu, z listów pisanych do rodziców z Inflant w 1917 roku wynika, że żyją i pracują tak jak na to sytuacja pozwala. Rodzina jest w stałym kontakcie listowym. Rodzice przebywają w Kijowie już od dwóch lat: - Jankowi dokucza katar grubej kiszki - informuje ich o wnukach, ryzykować wyjazd do miasta do lepszych lekarzy nie jest wskazane, chociaż nastroje w okolicy trochę się poprawiły. Ekscesów nie ma ale ferment wciąż trwa. Od czasu do czasu pojawia się zapowiedź nowej awantury, która najczęściej do skutku nie dochodzi. Kilku obywateli aresztowano bez słusznej racji.

Wiosna 1917 roku była nadzwyczaj sucha i względnie ciepła. W maju spadły deszcze, które były potrzebne. Siewy kończył w maju, ale z braku nasienia nie wszystko zasiał. - Owsa ani ziarnka nie ma w naszej okolicy - pisze 24 maja 1917 r., konie karmimy wszyscy makuchami. Na ogół zapowiada się tutaj formalny nieurodzaj, a tymczasem głód biedniejszym chłopom zagląda w oczy. Z braku żyta niektórzy mielą na mąkę wykę. (...)

Są wszelkie dane, że nadchodzi bardzo poważny kryzys finansowy. Nieunikniony jest straszny spadek rubla i kolosalne podrożenie wszystkiego.

Rodzice Bogdana - Antonina i Henryk planowali zimę 1917 roku spędzić na Kaukazie bądź Krymie, i Bohdan uważa, że pomimo złej sytuacji z tych planów nie powinni rezygnować.

Wyjechali we wrześniu. Przed wyjazdem z Kijowa mieli się spotkać ze **Stanisławem Młodzianowskim**, który wiozł od Bohdana szczegółowy list, spis urodzajów, inwentarzy i plenipotencje na dochodzenie strat poniesionych w razie ewakuacji. Ale do spotkania nie doszło.

Bohdan z Atspuki 19 września pisze: *Naznaczona jest ewakuacja urzędów cywilnych, a co jeszcze dotkliwsze masę wojska rozkwaterowano na wsi. Ja mam u siebie dużą piekarnię. Żyjemy jak w obozie. Nie wpływa to jednak na zmianę postanowienia o pozostaniu tutaj na stałe. Najdotkliwsze jest to, że nie mamy poczty w Warklanach. Póki co pozostała tylko w Rzeżycy. (...)*

Tymczasem siedzimy pod strachem Bożym, niepokojeni ciągłymi plotkami o tym co w najbliższych czasach nam grozi. Dzieci są zdrowe i najszcześliwsze, gdyż nie zdają sobie sprawy z sytuacji. Jesień mamy obrzydliwą, chłodną i dżdżystą. Z gospodarstwem nie wesoło. Dochodów żadnych. Żyjemy tylko z tego co się utarguje za drzewo do piekarni od wojskowych. Produktów mało ale na wsi łatwiej bądź co bądź przeżyć. Pozostałem w dodatku bez rządcy i leśniczego, bo Werner mi się rozchorował i wyjechał. Obywam się z jednym Piotrusiem, a on wszystkiemu podołać nie może, gdyż ja często muszę jeździć do Rzeżycy, gdzie mam dużo honorowych urzędów. Najcięższe w tym wszystkim jest ta ciągła niepewność dnia jutrzejszego. Strasznie to męczy i denerwuje. Pomimo to na zdrowiu trzymam się dobrze.

List ten został wysłany już do Soczi, Bogdan jest z wyjazdu rodziców zadowolony, są dalej od wojny i bardziej bezpieczni.

Z Eleonorowa 15 października pisze: *Żyjemy w dalszym ciągu pod niepewnością co przyniosą najbliższe dni. Niebezpieczeństwo najścia nie jest obecnie tak groźne jak w sierpniu, ale są okoliczności podobne, nie mniej przykre. Najprzykrsze jest ciągle sąsiedztwo wojska, którym zapełniona jest okolica, na ogół zachowują się bardzo niesfornie, duże straty nam przynoszą, głównie w lasach, na co przy obecnym rozluźnieniu dyscypliny nie ma żadnej rady. Wzdłuż rzeki Małty budują teraz nową linię okopów, na które masę u mnie drzewa wyrabują, za które nie prędko doczekam się zapłaty. Bliskość wojska natomiast chroni od gwałtowniejszych przejawów anarchii agrarnej i w tym zakresie spokojniej tu jak w innych guberniach.*

Przyjmuję coraz żywszy udział w politycznym życiu polskim na kresach i w Piotrogradzie. Uczestniczę w Radzie Międzypart. Piotrog. Pomimo dużych trudności komunikacyjnych często z domu wyjeżdżam ale na krótko.

(...) W domu u mnie wszystko po dawnemu. Dzieci zdrowe uczą się, panna Bukowska, francuska i Marja Godou wciąż są u nas, a także Antonina, która wobec śmierci stryja Władysława chce tutaj sprowadzić Hanę. Werner wyjechał, zostałem tylko z Rybińskim i Listłowskim. U nas coraz trudniej o prowizję. Bydło doszczętnie zarekwirovano. Białego chleba już smaku nie pamiętam. Cukru, herbaty, kawy, tytoniu brakuje. Jest tylko mięso, niedrogo z powodu obawy o rekwizycje.

W tym liście informuje jeszcze rodziców o planowanym wyjeździe do Piotrogradu. Zimą planuje też wyjazd do Kijowa w celu załatwienia różnych spraw i odebrania od Kraszewskiej 4000 rb. Motyw interesów z Kraszewską przewija się w listach Bohdana kilkakrotnie.

W liście pisanym z Atspuki 19 listopada 1917 r. Bohdan pisze o swoim niepokoju, że żadnych wiadomości od rodziców nie ma, mimo jego trzech wysłanych listów. Prosi o list i wiadomość. Informuje: *Do ostatnich dni października życie w Atspuce było znośne w porównaniu z tem co jest obecnie. Teraz odjęto mi prawo administrowania majątkiem. Mamy otrzymywać dla przeżywania się tyle ile wynosi ordynaria parobka. Otrzymujemy mleko od dwóch krów, opał, wreszcie wolno korzystać z koni tylko do stacji kolejowej i do kościoła. Obchodzą się z nami dość grzecznie, awantur dotychczas nie ma. Wobec takiego położenia, które z pewnością z biegiem czasu pogarszać się będzie, zresztą w tej okolicy na przednówku głód jest nieunikniony, myślę, że już długo na wsi nie wytrzymamy. Początkowo myślałem o wywiezieniu rodziny do Soczi. Staje temu na przeszkodzie utrudniona komunikacja, a teraz wzgląd na możliwości zawarcia rozejmu, ewentualnie pokoju. W tych warunkach lepiej nie odjeżdżać tak daleko, więc zdecydowałem się wynająć mieszkanie w Rieżycy, na wypadek gdyby w Atspuce nie można było wytrzymać. Zarówno tutaj jak i w Rieżycy nie można nazwać się bezpiecznym, ale mniej więcej to samo zagrożenie wszędzie.*

Nawet Finlandia przeżywa okres zamętu. Na ogół słyszę, że pobyt na Kaukazie jest jeszcze najznośniejszy. Skutkiem tego coraz więcej publiczności tam napływa. Będzie tam jednak o wiele lepiej jak tutaj, gdzie się czujemy jakby w więzieniu, pokutnikami za nie spełnione winy.

Dzieci za wyjątkiem Maryjki są po dawnemu szczęśliwe, bo nie zdają sobie sprawy z sytuacji. Przechodziły tej jesieni wietrzną ospe, poza tym wszyscy są zdrowi.

Ostatni z zachowanych listów Bohdan pisze 3 grudnia 1917 r. z Eleonorowa, cieszy się, że wieść o rodzicach doszła go przez Aleksandra z Rudy, brata

stryjecznego. Wie, że z Soczi przenieśli się do Gagr, ale dlaczego, tego nie wie, prosi o wiadomość.

O sytuacji w Atspuce pisze: *Już od wzięcia Rygi wyjechać z rodziną gdzie bądź dalej, było niepodobieństwem. Jesteśmy wszyscy zdrowi.*

Obecne czasy przypominają mi rekolekcje, ruszyć się nigdzie nie można, wiadomości brak bo gazety bardzo nieregularnie dochodzą, na wsi jest jeszcze pobyt najznośniejszy. Podtrzymujemy się nadzieją, że tak długo to trwać nie może. To że możemy tu wytrwać zawdzięczamy w znacznej mierze obecności dużej ilości wojska niemieckiego. Póki ono nie głodne to utrzymuje względny porządek. Ale do wiosny dosiedzieć tu nie będzie można, o ile pokój bądź rozejm nie będzie zawarty, bo nieunikniony będzie głód. Gdzie się wtenczas podziejemy nie mam pojęcia.

W czasie napadu na dwór w Eleonorowie w 1918 r. Bohdan Zaleski zostaje ciężko ranny w głowę. W konsekwencji traci częściowo władzę umysłową. Zalescy powracają do Polski, ewakuując część służby a nawet inwentarz, z przeznaczeniem do Tokar.

Zatrzymują się w swym warszawskim mieszkaniu przy Al. 3 Maja 14.

W Warszawie 27 listopada 1919 roku został spisany akt notarialny, w którym czytamy, że - przed notariuszem Markiem Borkowskim urzędującym w gmachu Wydziałów Hipotecznych Sądu Okręgowego w Warszawie stały osoby zdolne do działań prawnych: Aleksander Zaleski, ziemianin zamieszkały w Brześciu Litewskim przy ul. Krzywej 12; działający w imieniu i na rzecz Antoniny z Piotrowskich Zaleskiej, wdowy po Henryku Zaleskim, na mocy pełnomocnictwa udzielonego mu przez nią samą, w obecności świadków obywateli Państwa Polskiego: Zygmunta Anyżewskiego i Jana Puchalskiego zamieszkałych w Warszawie.

Aleksander Zaleski będąc upoważnionym przez Antoninę Zaleską z prawem całkowitej lub częściowej substytucji, aktem niniejszym upoważnia Teodora Wiśniewskiego, agronoma majątku Antopol, powiatu włodawskiego, ziemi siedleckiej do administrowania dobrami mocodawczyni swej Antoniny Zaleskiej Hołowno vel Antopol. Upoważnia do przyjmowania i wydalania zarządzających i służby, do zaciągania w imieniu Antoniny Zaleskiej od instytucji bankowych, od osób fizycznych lub prawnych pożyczek pod zabezpieczenie hipoteczne rzeczonych dóbr, bądź pod weksle z zabezpieczeniem kaucji hipotecznych w kwotach bez ograniczenia wysokości i pod warunkami według swojego uznania.

Z dokumentu tego wynika, że do Polski wróciła już Antonina Zaleska, której mąż Henryk Zaleski zmarł na Krymie w 1917 r. Syn Bohdan z powodu utraty zdrowia miał ograniczony wpływ na losy rodziny.

W dokumentach i publikacjach nazwisko Zaleski występuje zamiennie Zaleski-Zalewski. Ta zmienność jest powielana, a w okresie międzywojennym nazwisko bywa pisane jako równorzędne Zaleski vel Zalewski. W książce „Księżna Anna z Sapiehów Jabłonowska 1728-1800” pod red. Adama Wołka i Zbigniewa Wójcika, wyd. Siemiatycze 2001, na s. 46, 47 jest: - Wielmożny pan Franciszek Zalewski, sędzia ziemi drohickiej..., a na następnej stronie ten sam Franciszek pisany jest Zaleski. Zdaniem pani Alicji Rudniewskiej poprawna wersja nazwiska brzmi Zaleski. Jej dziad Bogdan używał wersji nazwiska Zaleski.

W Wigilię Bożego Narodzenia 1919 r. Bohdan Zaleski w swoim warszawskim mieszkaniu odbiera sobie życie.

Zgodnie z relacją rodziny, tego dnia rano czyta artykuł w gazecie opisujący unicestwienie kilku majątków na Lubelszczyźnie, wymieniono też Antopol. To była bezpośrednia przyczyna sięgnięcia po broń. W tym czasie w domu był służący, który natychmiast pobiegł i zawiadomił Bronisława Szlubowskiego, który wówczas przebywał w Warszawie. Sprowadził on lekarzy i umieścili Bohdana w klinice Omega przy Alejach Jerozolimskich. Pomimo pomocy umiera.

Trumnę ze zwłokami złożono w katakumbach na Powązkach, gdzie miała pozostać do czasu wykończenia grobowca pod kościołem w Opolu. Trzy lata później trumnę sprowadzono do krypty grobowej pod czerwonym kościołem.

Karmelitanka Zofia od Jezusa, siostra Antoniny pisała w 1920 r. do zony swojego siostrzeńca Bohdana - Zofii Zaleskiej, że wie, o powziętej przez nią decyzji zabrania matki Bohdana Antoniny do siebie, ale martwi ją stan zdrowia siostry: - *Pragnęłabym aby Antosia mieszkała w Warszawie u pani Studzińskiej z pielęgniarką. Więcej chodzi o pokój i zgodę jak o resztę a znam ja te choroby i wiem, że jej zawsze niedobrze będzie, bo cierpi wewnętrznie, nie sypia. Dziecku kazać można, ale matce chorej trzeba dogadzać i ulegać.*

Zofia zabiera jednak Antoninę do Antopola, gdzie otacza ją opieką.

Powołana została w 1920 r. Rada Familijna, w skład której weszli seniorzy rodziny: Bronisław Szlubowski - główny opiekun małoletnich sierot, Henryk Koźmiński, Włodzimierz Rulikowski z Poturzyna, a także

Łoś, Stanisław Młodzianowski, Zdziechowski, mąż siostry Zofii - Marii Zdziechowskiej.

Młoda wdowa Zofia z Doliwa Sobockich Bohdanowa Zaleska z czworgiem dzieci: Marią, Zofią, Kazimierą i Januszem osiadają w zdewastowanym zupełnie Antopolu. Ogromnym wysiłkiem woli walczy o przetrwanie. Parę listów jakie zachowały się z tych lat, pozwala odtworzyć po trosze życie antopolskiej rodziny w tym trudnym pierwszym dziesięcioleciu po śmierci Bohdana Zaleskiego.

Udaje się jej urządzić dwór sprowadzonymi z warszawskiego mieszkania i przywiezionymi z Łotwy meblami, udekorować pięknymi portierami i dywanami.

Zofia Zaleska mając tylko problematyczne oparcie w radzie familijnej, która wzięła na siebie administrację majątkami, udziela się w Związku Ziemian Inflantczyków, który walczy o zwrot majątków pozostawionych na Inflantach. W tym czasie Związek przyczynił się do powstania poufnego układu między rządami Polski i Łotwy w sprawie indywidualnych podań obywateli polskich o przedłużenie terminu likwidacji nieruchomości na Łotwie do końca 1926 roku. Związek także wynegocjował odszkodowania, które rząd łotewski wypłacił właścicielom przymusowo opuszczonych polskich majątków. Zanim jednak te pieniądze nadeszły, dla ratowania zadłużonego i ogołoconego Antopola, Zofia sprzedaje Czyżewice i zaczyna parcelować dobra Tokary, zapisane Bohdanowi Zaleskiemu przez jego stryja Adama.

Potrzeby finansowe były ogromne, dochody ich nie pokrywały, bo narzuceni przez radę familijną administratorzy, rekrutujący się przeważnie spośród powinowatych ziemian zza kordonu, słabo sobie radzili.

Pomimo niepewnych dochodów dużą wagę przywiązywała Zofia Zaleska do kształcenia dzieci, którymi opiekowały się wówczas dwie dawne guwernantki francuskie, przywiezione z Inflant. Zaangażowano też nauczycielki, które przygotowały ich do egzaminów: Marię - Misię i Kazimierę - Mirę do Szymanowa gimnazjum ss. Niepokalanek, później Kazimierę przeniesiono do Urszulanek w Tarnowie. Najmłodszą Zofię do Zgromadzenia Sacré Coeur w Zbylitowskiej Górze, syna Janusza do gimnazjum oo. Jezuitów w Chyrowie.

Gdy dzieci umieszczone zostały w zakładach naukowych z internatami jedna z guwernerek odeszła, ale zaangażowana została do kuzynów Zaleskich - Dernałowiczów w Białce pod Radzyniem. Z mademoiselle Brillon Zofia Zaleska nie chciała się rozstać i pozostała ona w Antopolu.

W 1927 r. najstarsza córka Maria wychodzi za mąż za inż. Romana Rudniewskiego, w posagu otrzymuje Tokary. Zostaje wstrzymana parcelacja tego majątku. Z czasem Roman Rudniewski wykupił weksle żony i jej rodzeństwa, przyczynił się tym samym do uzyskania wyłącznego prawa własności żony do dóbr Tokary, jak również do części Piech.

Na początku lat 30. tych nastąpił zwrot pieniędzy za Inflanty. Fundusz podzielono, Zofia i Kazimiera za swoją część pojechały na pół roku na Riwierę francuską. Tam poznały panie Szymanowskie, które zapoznały panny Zaleskie z Janem Sikorskim. Zofia została w 1934 r. jego żoną, ślub brali w kościele Zbawiciela w Warszawie.

Tą uroczystość pani Alicja Rudniewska doskonale pamięta, ponieważ niosła tren wołając wio, wio. Długo jej to pamiętano i przypominano.

Kazimiera była zaręczona ze Skirmuntem, który zginął w 1939 r. z rąk bolszewików, w 1941 r. wychodzi za mąż za Tadeusza Puchniewskiego.

Swoją część pieniędzy Maria Rudniewska udostępniła mężowi, który wówczas zakładał za poradą ministra Kwiatkowskiego spółkę autobusową. W Płocku spółka wybudowała pierwszy dworzec autobusowy, który istnieje do dzisiaj.

Rodzeństwo jest już dorosłe i rada familijna rozwiązana. Jednak dziadek Bronisław Szlubowski z Radzyna nadal czuwał nad swymi krewnymi. Parokrotnie wspierał finansowo, gdy zobowiązania wobec Urzędu Kredytowego Ziemińskiego groziły sekwestrem i licytacją majątku.

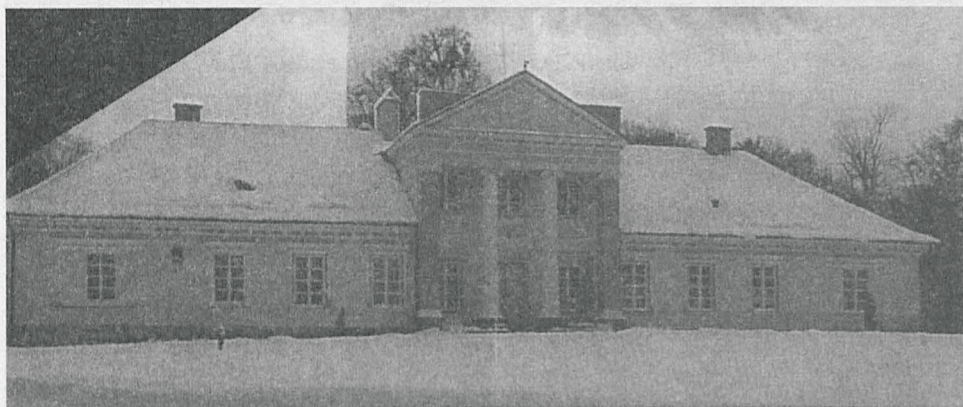
Antopol we wspomnieniach Alicji Rudniewskiej

Dwór antopolski był okazałą budowlą drewnianą - modrzewiową, podpiwniczoną na wysokich fundamentach, dziesięcioosiową. Dach dwuspadowy z lukarnami kryty gontem. Na osi środkowej piętroży ryzalit trzy osiowy, z tympanonem wspartym na czterech kolumnach. Do ganku prowadziły z podjazdu schody o 8 stopniach. Ściany działowe murowane. Wnętrze mieściło 18 pokoi, oświetlonych lampami naftowymi, dwie łazienki, dwie ubikacje bez kanalizacji. Piece dostosowane do opału drewnem.

Wybuch pierwszej wojny światowej wywołał ogólną panikę, co skłaniało do ucieczki na wschód. Bronisław Szlubowski z Radzyna zamówił pociąg towarowy do ewakuacji cennych mebli, obrazów a nawet boazerii ze swego pałacu. Niestety Zalescy z Antopola ulegli jego namowiem, aby skorzystać z oferowanego miejsca w wagonach i wywieźć co cenniejsze meble antopolskie w bezpieczne miejsce. Ten skład pojechał do Rosji, miał dotrzeć

do Petersburga, a w czasie rewolucji wszystko przepadło. Z cenniejszych mebli zostały szafy gdańskie, bo były za duże i portret Prędowskiej.

Bohdanowa Zaleska po tragicznej śmierci męża i po ucieczce w 1919 r. z Inflant zastała dwór antopolski ogołocony i zrujnowany. Konieczny okazał się gruntowny remont wnętrza, przede wszystkim należało wymienić



*Dominium Antopol-Piechy Parczew, skrzynka nr 16. Ziemia Siedlecka,
foto z czasów II wojny światowej*

podłogi. Sprowadzono specjalistów z Lublina, którzy po usunięciu zdewastowanych parkietów, natknęli się pod ich warstwą na gruby wojłok, z pod którego, ku ogólnemu zaskoczeniu i zdziwieniu, wyłonił się nie tknięty zębem czasu, lśniący o pięknym wzorze parkiet. Tak piękne nowe podłogi zobowiązały do godnej rekonstrukcji wnętrza.

W warszawskich mieszkaniach przy ul. Boduena i ul. Aleji Trzeciego Maja było wystarczająco dużo stylowych mebli. Problem stanowił transport i likwidacja mieszkań w stolicy.

Dwa salony, buduar, biblioteka i stołowy zostały pięknie urządzone, ale brakowało obrazów i portretów. W stołowym wisiał ogromny portret pędzla Simmlera - Bronisławy Szlubowskiej z d. Prędowskiej, w salonie kopia Przejścia Napoleona przez Alpy. Liczne sztychy w empirowych, mahoniowych ramach dekorowały ściany, pasując do trzech garniturów mebli w stylu Księstwa Warszawskiego i empire.

W dużym salonie okrągły piec kaflowy ze stylowym zwieńczeniem, ustawiony w sklepionej wnęce podkreślał jednolitość stylu wnętrza.

Wysokie trema z konsolami ustawione między oknami wychodzącymi na południową werandę uatrakcyjniały wystrój salonu.

Biblioteka, w której dominowały wysokie, oszklone szafy z półkami na książki, mieściła wygodną kanapę i fotele tak zwane klubowe, kryte brzo-

wo-wiśniową skórą, między nimi stał niski stół, na którym kładziono dzienniki i prenumerowane czasopisma, czytano nawet *Illustrated London News*. Na ścianach wisiały sztychy tak zwane angielskie portrety końskie.



W antopolskim salonie 1921 r., od lewej siedzi Irena Bernatowicz późniejsza Grużewska, rodzeństwo Zaleskich: Maria, Zofia stoi Janusz, siedzi Kazimiera

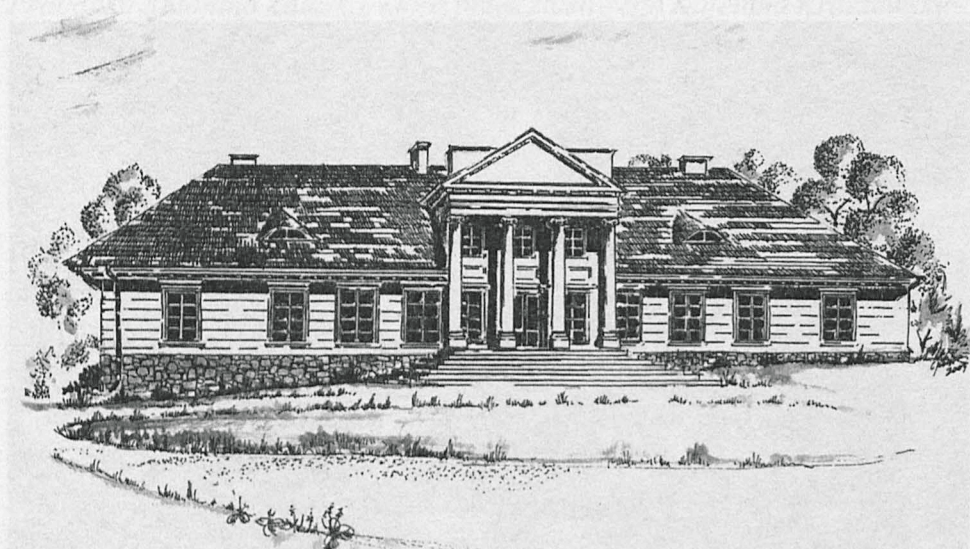
Pokoje gościnne na piętrze urządzone były meblami jesionowymi tak zwanymi hamburskimi, bardzo dekoracyjne łóżka ze słupkami nocnymi na nocniki. Każda sypialnia wyposażona była w umywalnię, były to komody o marmurowych blatach, na których stawiano miednice czy miski i dzbanki na wodę, przeważnie porcelanowe bądź fajansowe. W komodach umieszczany był bidet i kubelki na brudną wodę.

Nie pamiętam tapet, ale na pewno były we wszystkich pokojach. W każdej sypialni były także wysokie parawany, a przed niektórymi piecami stały dekoracyjne ekrany na ogół w mahoniowych ramach.

W hallu, z którego prowadziły schody na piętro stały dwie ciężkie szafy zwane holenderskimi, w których wisiały burki i dachy a także tragi na płaszcz i kapelusze.

W pobliżu dworu, zwanego przez służbę palacem była oficyna, niski, parterowy, drewniany budynek z gankiem w szczytowej ścianie. Swym wyglądem

nawiażywał do stylu typowego dworku. Było tam parę pokoi gościnnych, pomieszczenia mieszkalne dla służby, pralnia a za wejściem przez ganek biura administracji. Często po fajerzancie siadywali tam pracownicy gorzelni czy folwarku.



*Dwór w Antopolu spalony przez partyzantkę bolszewicką w 1943 r.,
rysunek z fotografii Ewy Partyki*

Babcia Zofia bardzo często utyskując na brak środków potrzebnych na remont oficyny starała się tłumaczyć trudną sytuację materialną złą polityką rządu sanacji, który odwraca się tyłem do dworów, stojąc frontem do wsi i chłopów.

Było kilka głębokich studzien w parku i na jego obrzeżach, ale najzdatniejsza woda do picia była w studni na terenie folwarku. Stamtąd stróż nocny Artem parę razy dziennie przywoził beczkowitzem wodę do dworu. Przy wejściu do kuchni stała wielka kadź, do której przelewano wodę z beczkowitzem.

Obok tej folwarcznej studni biło źródółko z krystaliczną wodą zasilając mały stawek, a stamtąd wąskim strumykiem dopływała woda do dużego stawu w przeciwnej stronie parku. W małym stawie nieopodal granicy z parkiem, tuż przy źródółku łowiono karasie podawane w śmietanie. Były ulubionym daniem mieszkańców dworu.

Babcia Zofia Zaleska, ostatnia dziedziczka, była osobą niestychanie ener-

giczną, wymagającą, ale przy tym bardzo serdeczną i bezpośrednią w obcowaniu z ludźmi, których darzyła zawsze rozbrajającym uśmiechem. Kochała swój dom i park, ale potrafiła być bezwzględna gdy służba w czymkolwiek uchybiła. Zwykle miała tzw. wyręczycielkę, osobę odpowiedzialną za prowadzenie domu i prace służby domowej.



W antopolskim salonie siedzą dwie siostry; 1934 r., od lewej Mira Zaleska i Maria z Zaleskich Rudniewska

Ogromną wagę przywiązywała do starannego utrzymania w pedantycznym porządku podjazdu i alei wokół gazonu. Gazon przed dworem był wielkich rozmiarów, porównywalisma go do warszawskiego Placu Zbawiciela, porośnięty był trawą, która musiała być regularnie koszona czy strzyżona, brzegi okantowane, a kamienie, które wyznaczały o zmroku łuk podjazdu należycie bielone. Natomiast aleja wokół gazonu musiała być codziennie grabiona, pewnie także graczowana, ale ważne było, aby ślady grabi były widoczne.

Pamiętam, że po wybuchu wojny i z nastaniem nowej administracji pomocnik ogrodnika Maniek syn Ogrodniczki, odwołał się do pana Strehla, aby codzienne grabienie zastąpić bronowaniem, wszyscy uznali, że była to pierwsza próba sabotowania wymagań i nakazów Dziedziczki i przypodobania się niemieckiej administracji. Nie przydała mu się ta służalcza

postawa wobec Niemców, bo potraktowany został okrutnie, po prostu zastrzelono go z powodu domniemanej niesubordynacji.

Przed wejściem kuchennym pod krzakami zaprowadzony był barwinek. Ta zawsze zielona roślina służyła do dekoracji półmisków i potraw. Dzięki niej stół we dworze zawsze wyglądał odświeżenie.

Prababka Antonina Zaleska, która przez złośliwego Kajetana Kraszewskiego w jego pamiętniku przedstawiona została jako niezupełnie normalna, zapamiętana była przez współczesnych jej ludzi jako osoba niesłyszanie szczodra, bo rozdawała kawałki ziemi swym pupilom. Wzruszające jest pismo, przechowywane do dziś w gminie, w którym żona lokaja nazywana Lokajką Gruszkową odmawia zapłaty na Fundusz Ziemiński za działkę, której własność potwierdzono w okresie podziału gruntów majątkowych z okazji reformy rolnej z 1944 r. Gruszkowa pisze, że działka o trzech ha dana jej była przez panią Zaleską, jako łaskawizna w 1918 r. Takich łaskawizn było więcej.

Pamiętam moją prababkę z wczesnych lat mego dzieciństwa. Było to kilka lat przed jej śmiercią. Była już staruszką po osiemdziesiątce, wymagającą stałej opieki, obecności i posługi i to nie tylko przez jedną osobę. Rzadko już siadała do stołu z rodziną. Utkwiła mi w pamięci zabawna historia, gdy pod choinka znaleźliśmy z bratem dwie pary sanek. Natychmiast usiadła na sankach i prosiła aby ją obwozić wokół stołu. Cieszyła się jak dziecko, popędzała nas, wołała: - Nie klusem, proszę galopem!! Ciocie i wujaszek asekurowały ją na zakrętach. Jej radość udzieliła się wszystkim, a Jej śmiech był całkiem młodzieńczy. I taką prababcię pamiętam do dziś, gdy już samą jestem w jej wieku.

Tej zimy dostaliśmy sanki, pięknie wykonane przez folwarcznego stelmacha i okute przez kowala Cichego. W niczym nie ustępowały takim ze sklepu. Nareszcie nie osłaniano nam twarzy tiulem dla ochrony przed mrozem. Nosiliśmy nie krepujące ruchów wełniane trykoty z szalem i czapki z pomponem. Maniek nauczył mnie zjeżdżać „na śledzia”. Sam zaprzęgał się do sanek, czym sprawiał nam nie lada radość.

Z tych dawnych wspomnień muszę przytoczyć zapamiętany fakt, jaki wywarł na mnie wówczas wielkie wrażenie. Na długo przed wojną stajnia cugowa i wozownia mieściły się w murowanych budynkach po lewej stronie alei wjazdowej - vis-a-vis skrzyżowania w kierunku podjazdu do dworu. Tam rezydował stary stangret Kowalski i właśnie do niego przyszedłem z moją wychowawczynią. Nad szerokimi acz niewysokimi wrotami stajni zaskoczył mnie, wówczas

wydał mi się niesamowity widok. Był to duży ptak z rozpostartymi skrzydłami przybity do górnej futryny, jego schylona głowa z dużym dziobem wyglądała przeraźliwie smutno. Kowalski widząc moje zdziwienie a może przerażenie - objasnił, że wszędzie i zawsze nad wejściem do stajni przybija się martwego wielkiego ptaka, bo on odstrasza końskie muchy - gzy, które są najgorszym wrogiem koni. Nie pamiętam, abym w innych stajniach napotykała podobne odstraszacze, ale starałam się każdorazowa zamykać oczy przed wejściem do antopolskiej stajni.

Babcia Zofia to najbardziej energiczna osoba jaką znalazłam, ale i najbardziej czuła o wielkim sercu i niesamowicie rozwiniętym poczuciu odpowiedzialności za rodzinę, wyrażającym się w opiekuńczości rozciągniętej nie tylko na najbliższych, ale i na przyjaciół, znajomych i służbę.



Uroczystość poświęcenia sztandaru Sodalicii Mariańskiej ufundowanego przez majątek Antopol, 1930 r. Na uroczystości było 11 księży, w środku siedzi Zofia Zaleska, na zdjęciu są pracownicy z majątku i wiejskie dziewczyny. Zofia Zaleska była protektorką Sodalicii Mariańskiej w Antopolu-Opolu, prowadziła majowe litanie ku czci Najświętszej Marii Panny w swym dworze, rozwijała ducha polskości i patriotyzmu wśród młodzieży czworaków

Z zapisków Babci pochodzących z okresu okupacji mam spis kilkunastu nazwisk pracowników majątku. Wiele z nich pamiętam doskonale, ale większości nie znałam z nazwiska.

Jan Kowalski był stangretem i jego pamiętam najbardziej. Przemila twarz z błęd wąsem, jasne oczy, świetnie się prezentował na koźle w swej granatowej liberii. Powoził nie tylko cugowymi końmi w zaprzęgu do landa czy powozu, ale także powoził zaprzęgiem wozu drabiniastego, na coroczne wyprawy do lasu, gdzie było palone ognisko i pieczone ziemniaki. Władek Kowalski syn Jana był pracownikiem gorzelni. Stanisław Olszewski był stelmachem, przed wojną zrobił nam piękne sanki. Miał córkę Sabinę. Kowal Kazimierz Cichy owe sanki „podkuł”, aby nabrały ślizgu. Ogromną chlewnią zajmował się Jan Buławski. Pamiętam jak mi powiedział, że zajmowanie się trzodą chlewną jest jego powołaniem i, że niczego innego nie chciałby w życiu robić. Miał syna też Jana, nazywano ich magazynie-



Pracownicy antopolskiego dworu, stoją od lewej strony:

Bolesław Drzewicki palacz w gorzelni, Borkowski karbowy, Stanisław Olszewski stelmach, żona Skrzypczaka gorzelanego, Zawistowski rolnik z Antopola, następna kobieta i mężczyzna nie zidentyfikowani, ostatni Bolesław Pyszek z Ratajewicz, dzieci na zdjęciu z rodziny Skrzypczaków, na dole pierwsza z lewej córka Krugleja a druga Ludwika gosposia Skrzypczaka, foto 1938 r.

rami świń. Karbowym był Kazimierz Borkowski, bardzo go nie lubiłam, bo kiedyś na moich oczach rozdeptał maleńką kaczkę. Na pewno zrobił to przez nieuwagę, ale zawsze mi się kojarzył z widokiem rozmiażdżonego pisklęcia. Palaczem w gorzelni był Bolesław Drzewicki. Jako nocny stróż zatrudniony

był Artem Kruglej, do pomocy miał trzy psy, zamykane na dzień w ciemnej drewnutni. Miał syna Józefa i córkę Stefanę.

Pralnia mieściła się w oficynie i tam rządziła Ogrodniczka, wdowa po ogrodniku, była najdawniejszą i do ostatka wierną służącą Babci Zaleskiej. Mieszkała w oficynie ze swoim synem Mańkiem, który był pomocnikiem w prasowni, gdzie żelazka były na duszę, a także na węgiel drzewny. Maniek pomagał też stróżowi Artemowi. Po spaleniu Antopola, podejrzany przez Niemców o kontakty z partyzantami, został zastrzelony na terenie folwarku.

Niemcy sprowadzili w 1943 r. nowego rządcę do Piech, Zalewskiego, który poprzednio był u Zambrzuskich pod Mławą w Anielinie.

Gajowym był Bobowski. Ponoć swego czasu nie mógł poradzić sobie ze złodziejami drzewa. Przyjęto mu pomocnika, który miał opinię groźnego i bezwzględniego zabijaki. Kradzieże natychmiast ustały bo tak wielki postrach budził. Z czasem Kropiwiec nabył małą parcelkę, sam się pobudował a lasy stały się bezpieczne.

Drugim gajowym był Bujan, jego siostrzeńcem był Artem Kruglej, który poprzednio pracował i mieszkał w Romanowie. W pewnym okresie gajowym był Jan Konon.

Skrzypczak był głównym gorzelanym, w czasie okupacji mieszkał i pracował w gorzelni, wyjechał w 1943 r.

W zapiskach Babci widnieją jeszcze nazwiska: Jan Szepel, Stanisław Litwiniuk, Jan Pałaszkiwicz, Jan Matwiej, K. Mackiewicz, Jan Smoliński, Aleksander Adamiuk, A. Martyniuk, Adam Dewczuk, Antonina Petruk, Stanisław Zinkowski, Jan Koniuszym, Aleksander Matwiej, Kowalkowski, Aleksander Paluszkiewicz. To prawdopodobnie pracownicy gorzelni, folwarku i pewnie mieszkańcy czworaków.

Przed zamknięciem granicy między Generalną Gubernią a terenami Polski zajętej przez bolszewię przyjechała do Antopola grupa pracowników z majątku Porzeczce państwa Skirmuntów, zaprzyjaźnionych jeszcze z dawnych czasów z Babcią. Pamiętam kobiety, które zostały zatrudnione we dworze, Władysława w pralni a Stefcia i Lodzia Kamińska zostały pokojówkami. Pamiętam, że dostały mieszkanie w czworakach.

Szofer Skirmutów Zienkowski w Antopolu był stangretem, jego córka Mita, wyszła za mąż za Władka Kowalskiego. Burczak był inwalidą, zatrudniono go w oranżerii i przy zegarze w gorzelni.

Rządcą od czasu wybuchu wojny był Gorski, który przeniósł się z Piech do gorzelni w Antopolu. Później był przysłany Niemiec Flichtner. Po admini-

stratorze Strehlu nastał administrator Mercie. Podobno strzelał do okien czworaków.

Długoletnią pupilką babci Zofii Zaleskiej była Natalia Ciemniewska, wdowa po nauczycielu szkoły w Leoncinie.

Natalia była dużo młodsza od męża, który wcześniej zmarł z zostawił ją z czwórką dzieci. Mieszkała w Leoncinie, kolonii położonej między Piechami a Mostami. Najmłodszą jej córką była Jadzia, prawie moja rówieśnicą. Grzeczna, nieśmiała, zadbana dziewczynka, którą babcia zapraszała często, abym się mogła z nią bawić. Przy stole Babcia częstowała Jadzię, zachęcała aby próbowała przygotowanych smakowitych kąsków, a Jadzia jakby nie głodna bądź bez apetytu nieodmiennie dziękowała i odmawiała jedzenia. Na takie dictum Babcia niewzruszenie odpowiadała - Podziękuje Jadzia, ale jak zje!

W latach 80.XX wieku dowiedziałam się, że Jadzia owdowiała, straciła dwóch synów. Mimo tragicznych doświadczeń losu z rozrzewnieniem wracaliśmy do wspomnień odległego dzieciństwa i wczesnej młodości, przywoływaliśmy pamięć o naszych drogich już nieobecnych.

Trudno było nie pamiętać starej Ciemniewskiej - matki Jadzi, która po tragicznej śmierci wujaszka Janka, często odwiedzała Babcię Zofię, zawsze pełna serdeczności i współczucia w jej ciężkiej żałobie.



Jadwiga Ciemniewska

Wielki dom antopolski zamieszkały przez liczną rodzinę, stałych rezydentów, częste wizyty nieraz paromiesięczne krewnych i osób zaprzyjaźnionych wymagał licznej służby i dobrej organizacji.

Po wielkiej wojnie nie zatrudniano już kucharza, ale pracowały wytrawne kucharki mające do pomocy sztab podkuchennych. Do specjalnych wypieków jak na przykład bankuchenów wzywana była Gruszkowa, wdowa po lokaju, nazywana Lokajką.

Za mego wczesnego dzieciństwa żył jeszcze lokaj Joachim, który nocował w tzw. przepierzeniu przy holu wejściowym. Liczne pokojowe obsługiwały

pokoje gościnne, paliły w piecach, dbały o czystość umywalni, które były w pokojach. Dwie pokojowe podawały do stołu i odpowiedzialne były za pokój kredensowy, w którym trzymano naczynia, porcelanę i srebro. Inna znów miała pod swą opieką niezliczone lampy naftowe, które codziennie musiały być oprawiane, a w lichtarzach i kandelabrach zmienione świece.

Tym „frazimmerem” dyrygowała zarządzająca, zwana też wyřęcycielką. Niestety za mej pamięci zmieniały się często. Ale jedna panna Stanisława była niezapomniana, a to za sprawą cukierków. Otóż panna Stanisława знаła tajemnice wyrobu krówek, czyli specjalnej konsystencji kajmaku albo kruchego, albo ciągnącego się, w każdym razie pysznego. Wymyśliła nawet ozdobne papierki do zawijania wydłużonych kostek naszych przesmacznych łakoci. Do papierków posłużył zapas kalki zostawionej przez wuję Frankowskiego, był to rodzaj pergaminu, który pocięty na małeńkie prostokąty, miał naniesione pastelami kolorowe kwiatki - niezapominajki, margerytki, rumianki, łąkowe kwiatuszki, jakie pewnie smakowały i prawdziwym krowom.

Guwernantka mademoiselle Brillon była ogromnie lubiana przez wszystkich, pamiętam, że zabawnie kaleczyła język polski, ale dzięki niej mówiło się stale po francusku. Służba nazywała ją Panią Madame albo Panią Medemoiselle. To z jej inicjatywy powstała tzw. koza na strychu, był to przestronny pokój, w którym składana była nie używana już garderoba domowników, albo już niemodna, albo z której wyrosły dzieci, też zniszczona bielizna stołowa, stare portiere itp., wszystko to zalegało w czeluściach wielkich szaf, w skrzyniach, niemodnych staroświeckich kufrach i przedpotopowych walizach.

Pamiętam jakże często Mamusia wyciągała stamtąd swoje panieńskie sukienki oddawane później do przeróbki żydowskiej krawcowej w Wiszni-cach z przeznaczeniem dla mnie. Ale też i stamtąd wyciągane były stare suknie, chyba jeszcze Babci Antoniny, na kreacje dla moich lalek. Do dziś mam w oczach aksamitny płaszcz-bekieszę obszytą futerkiem, artystycznie wykonany przez moją mademoiselle. Moja wielka lalka Giga wyglądała w niej jak dorosła dama, bo miała nawet mówkę.

Któregoś roku, jeszcze za życia Babci Antoniny „Tupawej” zaangażowana została nauczycielka Angielka, bo ciocia Zosia musiała się podciągnąć w tym języku.

Mademoiselle Brillon nie znała angielskiego i pamiętam jej zawsze speszona minę, gdy przy stole wszyscy usiłowali mówić w tym języku.

Missis Froom spędziła w Antopolu parę letnich miesięcy, była to już dobrze

starsza pani, jak Mamusia mówiła, bardzo angielska w typie i sposobie bycia, szczupła, energiczna, drobna i siwowłosa. To właśnie jej, my domownicy antopolscy zawdzięczaliśmy celebrowane wspólnie podwieczorki o godzinie piątej - tea time! W czerwonym salonie podawano herbatę, ciasto i plastry bułki na tosty, a że w owym czasie nie było tosterów, kromki bułki nadziewaliśmy, za przykładem missis Froom na widelec i opalaliśmy ją nad otwartym ogniem kominka. Moc było przy tym zabawy, ale i bałaganu przy smarowaniu masłem gorących grzanek, które nawet bez konfitur smakowały wysmienicie.

Tylko mademoiselle Brillon, nie podzielała naszych zachwytów i uznania dla tea time, w tym wydaniu.

Mademoiselle zachorowała i po krótkim pobycie w szpitalu w Lublinie zmarła chyba w 1937 roku.

Ilekoć wracam myślą do coraz bardziej odległych, coraz bardziej wyidealizowanych lat mego dzieciństwa, zauważam, że zacierają się w mej pamięci fakty, twarze i okoliczności, głosy i krajobrazy, z jednym małym wyjątkiem. Psy!

Lord antopolski, majestatyczny seter irlandzki Wujaszka Janka. To on nas zawsze pierwszy witał przy podjeździe, a zanim Kowalski powożoną czwórką okrążał wielki gazon Lord już stał na schodach pod kolumnami ganku i gościnnie zdawał się czynić honory domu. Na wszystkich fotografiach domu antopolskiego można było go dostrzec, rzadko chyba opuszczał swe ulubione miejsce na gazonie lub na ganku. Jego sylwetka tak bardzo była związana z domem, że gdy po latach zabrakło Lorda, gazon wydał się martwy i oczami błędziliśmy, wypatrując jego zwykłe miejsce.

Za mego dzieciństwa nie był to już pies młody. Pamiętam go jako spokojnego, nieco rozleniwionego, przybierającego majestatyczne pozy, bardzo dekoracyjnego w płomiennym kolorze swej sierści. Ożywiał się w obecności swojego pana Wujaszka Janka.

Pamiętam, kiedy Wujaszek posadził mnie przed sobą na siodle. Jechaliśmy stępą alejką w stronę oranżerii. Lord nas dogonił i tak zaciekle począł obszczekiwać konia, skacząc mu do pyska, że ten w zniecierpliwieniu strzygł uszami, aż zaczął rzucać zadem. Ktoś zdjął mnie z siodła, na co pies natychmiast ucichł i jednym wielkim susem znalazł się na grzbiecie konia przed osłupiałym Wujaszkiem. Wujaszek tłumaczył, że mądry pies szczekał ostrzegając przed niebezpieczną dla dziecka jazdą, ale wszyscy byli przekonani, że była to manifestacja zazdrości o osobę jego pana, i w końcu nikt nie miał mu tego za złe.

Był jeszcze w Antopolu wózek z okresu mego niemowlęstwa, już nieco zdezelowany, nie jeździł przecież po asfalcie. Pocciwy Maniek, syn Ogrodniczki sprokurował rodzaj uprzęży, dzięki czemu mogłam Lorda zakładać do wózka i obwozić lalki. Oczywiście nie siadałam z lalkami, tylko szłam obok, tak jak obok fury chodzą furmani przy zwózce siana czy zboża. Dużo starszy ode mnie Maniek wiernie towarzyszył w tych wyprawach do ciemnej alei grabowej, poprawiał uprzęż, wiązał postronki, był nieodzowny, a lubił przy tym wspominać, jak to dawniej Brońca pozwalała mu pchać wózek, gdy przechadzała się ze mną po parku. To wówczas dowiedziałam się od Mańka o końskim cmentarzu za parkiem, gdzie jednego roku zakopano kilkanaście koni zastrzelonych po stwierdzeniu u nich wścieklizny.

Kiedyś Wujaszek ze smutkiem powiedział, że z Lordem dzieje się coś niedobrego, że jest słaby i na domiar nieszczęścia chyba wszystkie pchły z okolicy uwzięły się i obsiadają biedne psisko. Później często zastawaliśmy Lorda owiniętego szczelnie w prześcieradła i derki, wysmarowanego maścią, bo wdała się egzema. Legowisko Lorda przeniesiono z przepierzni do sypialni Wujcia, który go troskliwie leczył i doglądał.

Kiedyś nadszedł dzień odstrzału wron, które upodobały sobie od lat włoskie topole, którymi wysadzona była aleja wjazdowa i droga na folwark. Wujcio wraz z rządcą i gorzelanym, we trzy dubeltówki poszli przed wieczorem na to przykre, a konieczne polowanie. Lord im towarzyszył. Wśród okropnego krakania rozszalałych wron i odgłosu wystrzałów dał się słyszeć przeraźliwy skowyt Lorda, po krótkiej chwili pies przybiegł do domu, skrył się pod stołem, wył i skomlał na przemian. Wujaszek był wręcz zażenowany taką reakcją swego myśliwskiego psa na strzały. Usprawiedliwiał go, że pewnie jeszcze chory i już stary, że nie wolno więcej przy nim strzelać.

Dziś już wiem, że psy też miewają przeczucia. Lord wył na odgłos strzałów, bo przeczuwał że sam zginie od kuli i że kula przetnie młode życie jego pana.

Lord nie był jedynym domowym czworonogiem dworu antopolskiego. Drugim była suczka Dziunia, foksterierka, biała w łaty. Za mej pamięci nie była już młodką, o czym świadczyła jej tusza i powolne ruchy. Była ulubionym psem Babci Zofii i pewnie dlatego zdawała się uzurpować sobie pozycję „pierwszego po Bogu”, a raczej „pierwszej po Pani”. Jej nieco wylupiane oczy, jeśli nie były z wyraźnym uwielbieniem utkwione w twarzy Pani, to wodziły z niesmakiem po otoczeniu. Z podkulonym, podciętym ogonkiem, dreptała krok w krok za Babcią, która w tym czasie była jeszcze młodą pięćdziesięcioletnią kobietą, chociaż określano ją jako Jaśnie Panią Starszą! Jakże niechętnym wzrokiem mierzyła Dziunia każdego, kto stanął

na jej drodze. A już zupełnie była nie do zniesienia, gdy po deserze lub przy kolacyjnej herbacie brała ją Babcia na kolana. Wówczas Dziunia stawiała wyprężona jak na piedestale, przednimi łapami oparta o stół, z góry wodziła wzrokiem po siedzących w koło. To, że siedziała na pierwszym miejscu, na kolanach pani domu, która ją przy wszystkich wyróżniała, dodawało jej takiej pewności siebie, takiej dumy i wyniosłości, że doprawdy u wszystkich prowokowała antypatię. Niebezpiecznie było w takich momentach zbliżać się do Babci dla ucałowania rąk na dobranoc - Dziunia warczała i zdolna była ugryźć. Często ją Babcia karciła, wówczas rozpacz w oczach Dziuni budziła nasze szczere współczucie i litość.

Dziunia była wnuczką pary foksterierów nabytych przez Babcie po 1919 roku. Po przymusowym opuszczeniu majątków na Łotwie zmuszona była Babcia zamieszkać w Antopolu, zastała dom zdewastowany przez hordy bolszewickie i do tego zaszczurzony. Trudno było pozbyć się gryzoni, które przez blisko dwa lata bezkarnie okupowały ogromny dom. W końcu sprowadzono fletnistę, który ponoć w księżycową noc wywiódł prawie wszystkie szczury grając na flecie, doprowadził je do specjalnie w tym celu postawionej kładki na stawie i tam potopił w przemyślnie ustawionej gorzelnianej kadzi. Za poradą szczurołapa foksteriery znalazły się we dworze antopolskim, a ich potomstwo rozchwytywane było przez okoliczne dwory, gdzie również walczono z tą plagą. Za moich czasów szczurów już szczęśliwie nie było, ale pamięć o nich była wciąż żywa, przerażające opowieści rozbudzały dziecięcą wyobraźnię, zaszczepiając lęk przed czeluściami ciemnych pokoi, wyostrzały słuch na podejrzaną skrzypnięcie, trzaski i ciche stukoty - ot, na zwykłe odgłosy starych domów. Wspomniano, że szczury w swej beczelności nie uszanowały nawet wuja Aleksandra i w czasie snu osmieliły się odgryźć mu wąsy, ale tylko z jednej strony.

Może Dziunia nie była wcale harda i wyniosła, ale niezręcznie okazywała dumę z tego, że to dzięki niej i jej przodkom nie powtórzyła się więcej plaga szczurów w antopolskim dworze?

Pewnej nocy obudził mnie psi skowyt dochodzący gdzieś z głębi parku. Podbiegłam do okna i otwierając lufcik usłyszałam już wyraźnie, przerażliwe psie wołanie. I już zupełnie nie zważając na ciemności, zbiegłam po schodach do przepastnego korytarza i bocznym wyjściem wybiegłam na dwór; potem pędem przez nieznany mi nocą park w kierunku stawu, stamtąd bowiem dochodził skowyt. U brzegu stawu zarośniętego trzciną i tatarakiem, wiedziałam już na pewno, że pies jest w wodzie najpewniej unieruchomiony. Nawet sekundy się nie zastanawiając weszłam w gęszcz wodnych zarośli, czując jak stopy grzęzną mi w obrzydliwym mule. Kierowana skowytem,

dobrnęłam zanurzona po pas do nieszczęsnego stworzenia, zapłatanego w worek obciążony kamieniem. Biedactwo opierał się łapką o trzcinę, ale nie miał już sił ani możliwości wykonać najmniejszego ruchu. Wydobyłam pieska, który dosłownie wczepił mi się w ramiona, drżąc cały, ale już uciszony. Głaszcząc biedaka i uspakajając wyniosłam na brzeg, cała też mokra, umorusana i zabłocona. To podli ludzie, chcąc pozbyć się prawie dorosłego szczeniaka usiłowali utopić go w worku i to w naszym stawie. Na brzegu zobaczyłam Władysławę z pralni, która podążała moim tropem, nadbiegł też Artem nocny stróż. I wówczas wprowadził mnie w zdumienie, sprawiając mi nie lada przyjemność okrzykiem: Widziałem z daleka jak panienka biegła przez park i jak kozak gnała, przesadzając krzaki. A więc byłam w oczach Artema kozakiem. Bardzo go teraz polubiłam. Władysława pomogła mi w pralni napoić pieska ciepłym mlekiem i doprowadziła mnie do porządku. Piesek okazał się śliczną suczynką, czarną w łaty. Oczywiście wzięłam ją na górę, gdzie w łóżku przytulona do mnie psinka zasnęła. Nazwałam ją może nieładnym imieniem Nera, ale było to najczulsze, najserdeczniejsze, przymilne stworzenie, objawiające swe przywiązanie i wdzięczność nawet wzrokiem, oczkami stale wpatrywała się we mnie i czuliła, pełna umizgów, jakby potrzebowała stale mej bliskości.

Rosła szybko, miała w sobie coś z wyżła pointera, była ładna, ale główną jej cechą była niesłychana serdeczność i przywiązanie do mnie. Ci z domowników, którzy pamiętali Dziunię, foksterierkę Babci śmiali się, że Nera przerosła ją nie tylko wzrostem, ale i okazywaniem swej miłości.

Kozak był odważny, a mnie do tego wydarzenia niełatwo było tę odwagę sobie udowodnić. Ach jakże trudno było opanować lęk nawet przed przesuwającymi się smugami cienia na suficie w nocy, gdy rolety były źle spuszczone. Jakże bałam się czeluści ciemnych pokoi, ciemności napawały mnie panicznym strachem, paraliżującym wprost kolana. Mój strach łączył się z potwornym uczuciem obrzydzenia na przykład na widok myszy, czy nawet na sam jej chrobot, na dotyk pajęczyny, a obrzydzenie nie do opanowania, nie do przezwyciężenia wywoływał widok kożucha na mleku. Z pewnością kozak nie znał tego typu słabości i to mnie męczyło okropnie, bo chyba idealizowałam sobie kozaka, którego pewnie myliłam z rycerzem Zawiszą Czarnym z Grabowa, o którym tyle nasłuchiwałam się od Babci.

Nareszcie nie bałam się schodów i nocy w przestronnym pokoju. Nera zawsze mi towarzyszyła, nie odstępowała na krok. A gdy sobie uświadomiłam, że potrafiłam pokonać lęk, wybiegając nocą z piętra do parku i wejść do wody pełnej szczypawek, pijawek i ropuch, nigdy więcej niczego już się nie bałam. Zostało mi tylko obrzydzenie i niepokój na widok myszy.

Z czasem, gdy wkroczyłam w świat Sienkiewicza, nie chciałam z opisywanymi przez niego kozakami utożsamiać się, a wśród ballad Mickiewicza Czaty stały się moim ulubionym utworem, może za sprawą kozaka Nauma, który wypalił... w sam łeb wojewody...

Park w Antopolu

Najbardziej charakterystyczne dla parku antopolskiego były włoskie topole. W jednym z dziewiętnastowiecznych Tygodników Ilustrowanych drzeworytami natknęłam się na artykuł wychwalający te drzewa, których smukła i strzelista linia nawiązywała do egzotycznych cyprysów. Podano w nim, że wielu ziemian ulegając modzie zaryzykowało obsadzenie dróg i parków w swych siedzibach, szybko rosnącymi sadzonkami. Antopolskie topole obsadzały teren folwarku i drogi wjazdowej.

Pamiętam, gdy jako dziecku niemiłosiernie dłużyła mi się jazda powozem ze stacji kolejowej we Włodawie, zasypiałam pod ciepłą burką, czy dachą, raz po raz budząc się wypatrywałam na horyzoncie wysmukłych drzew, tak charakterystycznych dla sylwety otoczenia Antopola. A gdy już je dostrzegałam, ogarniało mnie radosne podniecenie na myśl, że kochany dom już blisko, zaraz się znajdę w ramionach Babci i w objęciach Wujaszka.

Dawniej topoli było bez liku, wydawały mi się piękne, wysmukłe i tajemnicze, ale chyba najbardziej ukochały je wrony, których gniazda bezkarnie okupowały dosłownie wszystkie gałęzie. Przerażliwe krakanie i furkot ich skrzydeł były wprost ogłuszające. Bardzo też brudziły i trzeba było podejmować decyzje o ich odstrzale. To były smutne polowania, do dziś pamiętam oszalałe loty i złowrogie krakanie, a później prawdziwy lament nieszczęśliwych ptaków.

Dworski park antopolski przecinała szeroka aleja wjazdowa - tak nazwana, bo wjeżdżało się nią w obręb parku i od strony wschodniej od Mostów a także od strony zachodniej od Piech i Opolu. O dziwo aleja była brukowana - wybita kamieniami tzw. kocimi łbami. Jeszcze w dzieciństwie wyjaśniono mi, że bruk wzmacnia odgłos stuku podkutych koni i kół pojazdów, które miały być słyszane zawczasu we dworze, zwiastując przyjezdnych.

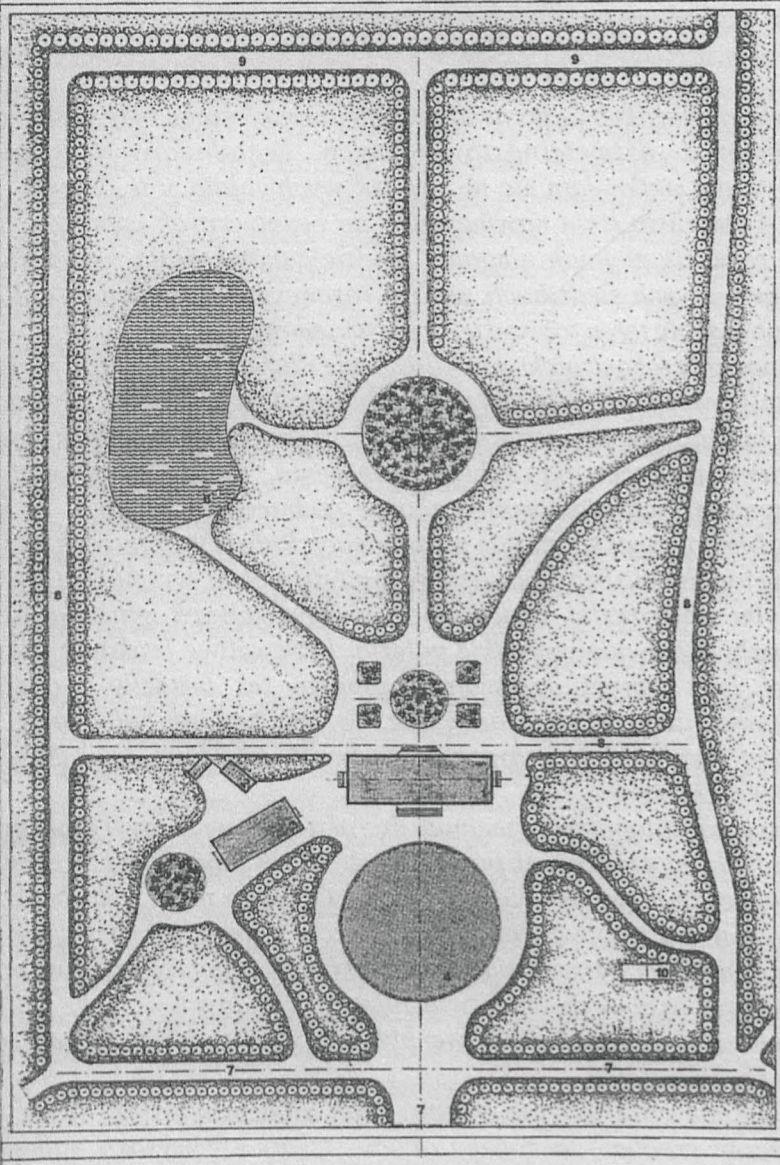
W połowie długości alei wjazdowej był skręt w prawo do podjazdu, ogromny gazon okrążała alejka.

Gęsto rosnący starodrzew z obu stron alei wjazdowej tworzył jakby niebotyczny szpaler - a korony drzew stykały się wysoko nad głowami, stwarzając wrażenie wnętrza tunelu. Od strony wschodniej szpaler częściowo

ZAŁOŻENIE PARKOWE ANTOPOL

SZKICOWE ODTWORZENIE

1	PALAC	7	STAW
2	OSIĄZERNIA	8	ALEJA WIAZOWA
3	GRYCZNA	9	ALEJA GRABOWA
4	GAZON	10	ŚCIEŻKA LIPOWA
5	KŁOSIE		



Szkicowe odtworzenie założenia parkowego w Antopolu

wo odsłaniał dojazd do gorzelni, do której prowadziła prostopadle biegnąca droga. Jakby na straży owego wschodniego wjazdu stał tzw. magazyn-spichlerz, potężna budowla z impregnowanych bali drewnianych, kryta blachą. Po stronie zachodniej parku, prostopadle do alei wjazdowej biegła długa aleja grabowa o gęstym poszyciu, często nazywana szpalerem grabowym. Mur ogrodzenia osłaniał park wzdłuż tej alei, za nim była łąka z bijącym tam źródłem, który tworzył mały stawek - łowiono w nim karasie. Źródło wąskim strumykiem zasilalo dekoracyjny staw po wschodniej stronie parku.

W roku 1926 blisko styku zachodniego wjazdu do parku z aleją grabową założony został kort tenisowy. Otoczony wysoką siatką, podłoże miał wyrównane i utwardzone, a nawierzchnia walcowana była mieloną czerwoną cegłą. Ciężki walec stał zawsze w pogotowiu do wyrównania powierzchni i niwelowania wszelkich śladów. Pamiętam wysokie, białe lakierowane krzesło z pulpitem, do którego wchodziło się po paru stopniach i ławki na podwyższeniach dla obserwatorów gry.

Południowa elewacja dworu miała dużą werandę obrośniętą dzikim winem. Wygodne fotele wiklinowe ustawione wokół stolików były ulubionym miejscem sjeisty mieszkańców i gości dworu, a także brydżowych rozgrywek. Z obu stron werandy prowadziły schodki do ogrodu, w prawo aleją w kierunku szpaleru grabowego, a w lewo do oranżerii, za którą były inspekty i długi mur z rozpiętymi na nim pędami winorośli.

W czasie okupacji niemieckiej administrator z Liegenschaftu zastrzegł sobie wyłączność do winogron. Do dziś wspominam wspólne wyprawy z Jankiem Bilkiewiczem, na „kradzież” zabronionych nam winogron, które tak jak u La Fontaine'a były zielone i kwaśne.

Dalej za oranżerią wzdłuż wschodniej strony parku biegła druga aleja grabowa obok stawu, a za nią dzika część parku ze słynnym cmentarzem koni zastrzelonych w czasie zarazy wścieklizny.

Natomiast na osi werandy przy południowej elewacji dworu był klomb różany z bukszpanem, a po bokach na tle srebrnych świerków stały ławki ogrodowe z białej brzozy. Stojąc na jednej z tych ławek nikczemny bandyta z sąsiedztwa strzelał w okno sypialni Babci, a trafił w skroń Jej ukochanego Syna - Wujaszka Janusza. To był październik 1939 r.

Północna część parku, bardziej dzika z potężnym starodrzewiem i gestwiną krzaków, które kiedyś otaczały stajnię cugową i wozownię, czekała na projekt ucywilizowania, czyli wytyczenia alei. Dalej był sad, szkółka drzewek owocowych, rozległy maliniak, mały stawek zwany bagnem i ogród warzywny.

Na wysokości magazynu, jakby flankującego początek alei wjazdowej, prostopadle do niej wiodła droga do gorzelni. Kilka wolnostojących budynków z czerwonej cegły m.in. „podwał” ze zbiornikami na okowitę, połączony rurami, częściowo wkopany w ziemię kryty był darnią, za nim blaszany, wysoki komin, dalej zasadniczy korpus gorzelni, mieszczący wszystkie urządzenia do produkcji alkoholu więc kotłownię, w podziemiach drożdżownię, silniki na parę, słodownię, magazyn wywaru. Z frontu zlokalizowane były mieszkania dla pracowników gorzelni.

W czasie kampanii, która zaczynała się jesienią po wykopkach kartofli i trwała przez całą zimę panował tu uporczywy hałas charakterystyczny dla czynnych urządzeń mechanicznych. Tętniło tu życie w zgiełku i znoju wielu zatrudnionych pracowników.

Dziś już nie ma ani dworu, nie ma zabudowań folwarcznych, prawie nie ma już parku. Wielkie szczęście miał stary, dobry dwór, że go tylko szlachetny ogień unicestwił.

Jedną z miłszych atrakcji oprócz przyjazdów gości na polowania po 15 sierpnia - na kaczki, później na kuropatwy, były wyprawy do tak zwanego boru na ognisko z pieczeniem kartofli i na grzyby. Oczywiście jechało się drabiniastymi wozami z siedzeniami, które mościł sam, nasz kochany stangret Kowalski, a musiały to być podobno lekko ubite grochowiny pokryte słomą i przykryte pledami. Utkwiła mi w pamięci jedna taka wyprawa w czasie pobytu miss Froom. Jechaliśmy dwoma wozami, a młodzi wujowie Olek Tomaszewski, Adzik Sochaczewski, Staś Młodzianowski, Miś Krzeczunowicz i Wujaszek Janusz obsiedli linijkę. Reszta: ciocia Zita z narzeczonym Jasiem Sikorskim, ciocia Mira, miss Froom, ja z modemoiselle, ciocia Maniusia i pan Skirmunt wozami. Z tyłu ustawione były kosze z płukanymi kartoflami, dzbanki z maślanką, z kompotem z wiśni, garczki z masłem, koce i nasze koszyczki z kozikami.

Trasa do boru prowadziła wśród łąk i pastwisk, później duktem leśnym, za leśniczówką Bobowskiego, aż nad rzeczkę.

Furmani zajęli się ustawianiem ogniska, w którym musiało się spalić tak dużo drewna, aby uzyskać odpowiednią ilość popiołu i żaru do upieczenia w nich kartofli.

Wszyscy rozproszyli się po lesie w poszukiwaniu grzybów. Było tam też moc czarnych jagód i nawet poziomek, których byłam wielką amatorką. Starsi ogłosili konkurs na największy koszyczek pełen grzybów, ale liczyły się tylko borowiki czyli prawdziwki, koźlaki i rydze, żadne surojadki, maślaki czy nawet kanie nie wchodziły w rachubę.

Głośne pohukiwania „hop” „hop”, nawoływania, słyszeć było zewsząd, ale niestety komary zaczęły dawać się we znaki i psuły dobre humory.

Kochany Kowalski niepostrzeżenie dopełnił mój koszyczek dorodnymi prawdziwkami i Wujaszek Janek ogłosił mnie „królową grzybobrania”. Wcale nie byłam dumna z tego wątpliwie zasłużonego zaszczytu, ale pamiętam, że coraz bardziej lubiłam Kowalskiego.

Kartofle choć parzyły palce, smakowały wyśmienicie, nawet masło i sól okazały się zbędne. Zapach zwęglonej skórki i puszysty mięszk ziemniaków zapadł w pamięć jako nieosiągalny później smak z leśnego ogniska.

Minęło więcej niż pół wieku, gdy podczas bytności w Podedwórz u Bilkiewiczów, tym razem z uroczą panią, generałową Marią Drucką Lubecką, jej mąż zginął w Katyniu, matką mych dwóch przyjaciółek: Bisi Lubeckiej i Teresy Dangel, zażywałyśmy odpoczynku na prawdziwej wsi, z dala od miasta. Troskliwi i gościnni gospodarze starali się urozmaicić nam pobyt i raz po raz dopytywali, co by nam zrobiło przyjemność. Wyraziłyśmy nasze życzenie, aby móc wybrać się wozem do lasu, nie koniecznie na pieczenie kartofli, ale może na grzyby czy poziomki. I oto nazajutrz po obiedzie oznajmiono nam uroczyście, że dwa wozy czekają już przed domem, że wszyscy pojadą nam towarzyszyć.

Trudno mi dziś oddać słowami, jak nieprawdopodobne było nasze zdziwienie i jak głupie musiałyśmy mieć miny, gdy ujrzałyśmy przed domem dwa samochody, chyba Wartburga i Warszawę - dwa wozy!!! Nie przyszło nam do głowy, że nasze marzenie jazdy wozem drabiniastym z siedzeniami ze słomy i grochowiny, może być tak opacznie zrozumiane.

Gościnny dwór antopolski

Po tragicznej śmierci Bohdana Zaleskiego w grudniu 1919 roku, dwór antopolski stał się ostoją osieroconej rodziny, wdowy Zofii Zaleskiej z czwórką nieletnich dzieci i matki Bohdana Antoniny Zaleskiej.

Wśród pamiątek pani Alicji Rudniewskiej zachował się list **Anastazji Sobockiej** jej prababki, matki Zofii Zaleskiej, która 20 września 1916 r. z Matwiejowicz w powiecie owruckim napisała: *Drogie moje Dziadki i Wnuczeta, dziwi mnie mocno wasze milczenie, od wyjazdu waszego słowa jednego nie miałam na moje dwa listy, czy to z powodu znieczulenia czasów, dla Matki, która dla ciebie Zosiu jedna została, o sobie nie mogę nawet pisać, co się ze mną dzieje, Bóg mi wszystkie dzieci odebrał. Od Szymka od*

miesiący żadnej wiadomości nie mam. Nie wiem czy żyje, dawniej co tydzień ciągle pisywał. Listy były bardzo smutne. Proszę na wszystko Bohdana aby się dowiedział od Wacława czy on żyje i napiszcie mi natychmiast.

Miechacka po miesiącu odjechała, jest to kobieta nieuczciwa, nic jej nie można zawierzyć, przekonałam się. Kupiłam tobie półtora puda groszku suszonego, pud gruszek suszonych przygotowałam Wam, co wobec wojny nie wiem jak wam odesłać. Proszę was na wszystko piszcie do mnie o wszystkim - złe czy dobre - gdyż tego wszystkiego nie przeżyję. Tyle mam rozmaitych przykrości, niepokoju o dzieci, prawie o życie, z tym majątkiem trudno dać radę, bez zdrowia. Las potrzebuje dozoru, a tu nie mam ludzi, którzy by pilnowali porządnie, muszą okradać - będzie rekwizycja na lasy, bo rząd potrzebuje drzewa, a tu nikt tanio nie chce sprzedać. Bernatowiczowa jest w Kurhanach z Jarząbkowską. Wyjście jej za mąż w wielką dumę ją wpędziło i w chciwość.

Walki się toczą nie wiadomo czym się skończą, a ja jak ten puszczyk siedzę w domu, rozmyślam nad swoim smutnym losem, że sama jedna zostałam, od rodziny oderwana - od Dzieci i Wnuków. Smutny mój los bardzo. Już bym się zadawała choć korespondencją - ale i tego mi odmówiono. Widać tak Bóg chciał, żeby cały świat cierpiał... . Czekam od Was jak najprędzej wiadomości. Kochająca Was Babka i Matka Sobocka.

Zofia Zaleska miała bardzo ciekawy rodowód, uchwała sejmowa z 1676 roku uznawała jej praszczurów **Tomasza i Adriana Kozłowskich** za starożytną szlachtę polską. W 1782 r. Kozłowscy opuścili ziemię smoleńską i czernihowską. Jej pra pra dziad **Dymitry** był właścicielem Wystupowicz i Muchojed liczących 125 tysięcy dziesięcin. Jego syn **Jakub** żonaty z Niedźwiecką miał kilka córek i trzech synów: **Pawła, Adriana i Grzegorza**. W 1816 r. Jakub sprzedał Muchojedy i nabył Słoweńszczyznę, Jaźbereń, Żyrozomin i Kozłów Chutor. Pod zastaw Chlanego dostał od Horwatha 60 tysięcy rubli, które przekazał Grzegorzowi, on zaś za te pieniądze kupił klucz matwiejowski liczący około 20 tysięcy dziesięcin, a składał się z: Panalewu, Kurhan, Matwiejowicz, Rudni Niżnej, Rudni Średniej i Wierchniej.

Anastazja, matka Zofii była córką Grzegorza Kozłowskiego i Prószyńskiej herbu Ogończyk z Łoszyca, wyszła za mąż za **Doliwa Sobockiego**, w posagu dostała Matwiejowicze w powiecie owruckim. Ich dzieci to: **Szymon**, wspomniany przez matkę w liście, zginął w 1918 r., jest bohaterem książki *Owruczanin*; **Maria** żona Zdziechowskiego, brata Adama z Czerepaszyna na Podolu; **Zofia** żona Bohdana Zaleskiego.

Anastazja z Kozłowskich Sobocka miała brata Adama i siostry: Ewelinę, Narcyzę, Ludwikę, Antoninę:

- **Adam** żonaty z Leontyną z Jewdokimów Szujską, secundo voto Michałową Junosza Borkowską. Synowie Adama i Leontyny to: Leon, Władysław, Jerzy.

- **Ewelina** zamężna za **Janem Potockim**, bezdzietna.

- **Narczyza** żona **Gozdawy Jarząbkowskiego**, w posagu dostała Kurhany, jej jedyna córka wyszła za **Giejsztofa Bernatowicza**, jej wnuczki to **Irena Grużewska** i **Maniusia Ułaszynowa**.

- **Ludwika** żona **Władysława Frankowskiego**, wnuka Józefa Frankowskiego podstarosty mielnickiego, mieli dwoje dzieci Eugeniusza i Florę.

- **Antonina** zamężna za Adamowiczem herbu Leliwa, właścicielem dóbr Skorodne na Mińszczyźnie, ich córka **Emilia** była żoną **Aleksandra Ipohorskiego-Lenkiewicza** dziedzica dóbr Dąbrowa na Polesiu. Mieli syna Tomasza, który zmarł w młodym wieku.

Leon Kozłowski - brat cioteczny Zofii Zaleskiej⁶⁾

Ciekawa jest historia rodu Kozłowskich, z którego pochodziła Anastazja.

Leon Kozłowski syn Adama i Leontyny to potomek kniaziów Kozłowskich herbu własnego Michał Archaniół, który ród swój wywodzą od Rurykowiczów.

Po opuszczeniu ziemi smoleńskiej i czernihowskiej w 1782 r. Dymitry Kozłowski kupuje Wystupowicze i Muchojedy. Jego syn Jakub ożenił się z Niedźwiecką z która miał dzieci: Pawła, który później był kapitanem, Grzegorza rotmistrza i Adryjana, który po odbyciu obowiązkowej na te czasy dla dworzan służby wojennej został w Petersburgu senatorem oraz córki.

Jakub sprzedał Muchojedy i w 1816 r. kupił Słoweńszczyznę. Jaźbereń, Żyrozomin, Kozłów Chutor. Syn jego Grzegorz kupił klucz matwiejowski. Począwszy od Jakuba wszystkie kobiety-żony były katoliczkami, a dom prowadzony w polskim stylu.

Synowie Adama Kozłowskiego Leon, Władysław i Jerzy, razem z nim zostali potwierdzeni w szlacheństwie, w księgach szlachty ziemskiej w Żytomierzu, w deputackim zebraniu w 1904 r.

Władysław nie ożenił się. Jerzy był żonaty z ziemianką panną Skrubska

⁶⁾ Alicja Rudniewska, poświęciła Leonowi Kozłowskiemu obszerny artykuł.

i doczekał się z nią potomka syna Józefa, urodzonego w 1928 r. Jerzy przeszedł szlak bojowy w szeregach wojska generała Andersa. Po wojnie ściągnął do Londynu syna, który ukończył tam studia politechniczne, następnie Akademię Teologiczną, po czym w Anglii został wyświęcony na księdza. Jako proboszcz pracował w Anglii i Norwegii, prowadził też misję katolicką na Ukrainie.

Po rewolucji 1917 r. rodzice

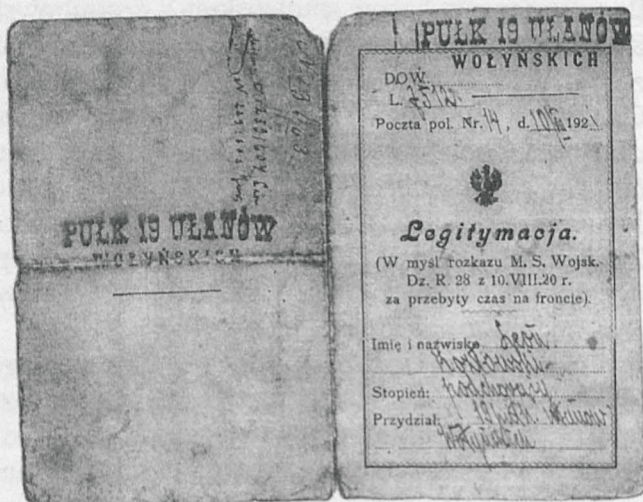
Leona Kozłowskiego, Adam i Leontyna z Jewdokimów Szujskich osiedli na stałe w Pińsku i Druskienikach. Leontyna Szujaska skoligacona była z książęcymi rodzinami Wiśniowieckich i Lubomirskich, a także hrabiowskimi Krasińskich i Tyzenhauzów.

Leon Kozłowski postać niezwykle barwna, bywał w Antopolu. Urodził się 1 maja 1899 r. w Jazbereniu, majątku swych rodziców, leżącym w powiecie owruckim w guberni mińskiej. Gimnazjum ukończył w Mozyrzu. W zawierusze wojennej i rewolucyjnej traci dom rodzinny spalony przez zbuntowane bandy chłopskie.

Dnia 5 grudnia 1917 r. zaciąga się do wojska jako ochotnik - szeregowiec służy w 3 Korpusie Wojska Polskiego na Ukrainie, w 7 Pułku Ułanów, w oddziale dywizji rotmistrza Feliksa Jaworskiego, w Straży Obywatelskiej w powiecie owruckim. Jako kapral



*Leon Kozłowski brat cioteczny Zofii Zaleskiej
fot. 1922 r.*

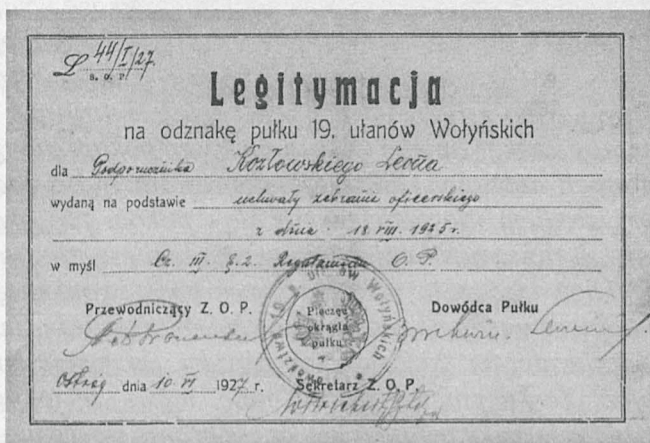


*Legitymacja Leona Kozłowskiego
Pułk 19 Ułanów Wołyńskich*

służył w 16 Pułku Ułanów Irkuckich, a jako starszy ułan w 3 Pułku Ułanów w Centrum Szkolenia Kawalerii w Grudziądzu. Zostaje przyjęty do 19 pułku Ułanów Wołyńskich już jako podchorąży, a 16 lipca 1921 roku zostaje awansowany na podporucznika. W 1922 r. przeniesiony do rezerwy.

W 1932 r. awansowany w rezerwie do stopnia porucznika. Od 1922 r. mieszka w Warszawie i studiuje na SGGW i w 1925 r. otrzymuje dyplom inżyniera rolnika. W okresie wakacyjnym odbywał praktyki rolne między innymi w dobrach swej kuzynki Bohdanowej Zaleskiej w Antopolu i w Kopaszewie u Chłapowskich. Jako stypendysta wyjeżdża do Francji i Argentyny.

Zachowała się kartka z dziennika Leona Kozłowskiego z lat dwudziestych, w którym wspomina z rozczeniem pobyt wakacyjny w Antopolu: *Bug już blisko..., konie zmęczone, pomału przesuwać się po gładkiej szosie... Bryczka łagodnie kołysze się na swoich resorach. Oddałem się myślom. Tak, ja już jadę.*



W 1925 r. Leon Kozłowski został odznaczony odznaką pułkową

Gdzie? Dokąd? Z tyłu pozostał ukochany Antopol. Jego aleje, ławeczki, staw pośrodku ogrodu..., jego ludzie. Dużo chwil smutnych i radosnych... . Dużo różnych wspomnień, oczarowania, zachwyty, wzruszenia i przeżywania. Już 20 km oddziela mnie od Antopola, jak to dużo, nie widzę ukochanych, nie wdycham powietrza antopolskiego, nie wchłaniam zapachu tych cudnych kwiatów, które ongiś przynosiły mi takie multum szczęścia. Zapomina się, wydaje się, że to był tylko sen, że w rzeczywistości tego nigdy nie było, że to kraj tylko marzeń. Widzę różnobarwne klomby kwiatów, orzechy włoskie, między klombami siedzi w wiklinowym fotelu, z laską w rękę i poduszeczką pod nogami, w białej czapce - babcia. Coś czyta, lub o czymś myśli - widocznie o swoim losie. Wybiega Zośka na werandę wesółą, ładną, całą w bieli, wygląda jak Amerykanka, biegnie gdzieś do parku, gdzieś do Alej Zapomnień lub Alei Westchnień a może nawet i na ławeczkę marzeń, nad brzegiem stawu. A tam gdzieś dalej, pod drzewami Janeczek z Olkiem łapią chrabąszcze - to mają być ich marynarze niedawno wykonanej floty, a teraz

schowanej do kosza, do dnia wypowiedzenia wojny panu Wacławowi i mnie. Janeczek ma być admirałem, Olek jego zastępcą, Zosia szefem sztabu. Jakaś narada u nich, coś zapisują, prowadzą rozmowy o swoich torpedowcach, krążownikach. Jeden nazywa się Tytan, drugi Albatros. Zosia bierze gorący udział w naradach, starają się utrzymać w sekrecie swe plany. Podczas obiadu mówimy im, - kiedyż nareszcie wypowiecie nam wojnę. Przecież wasza flotylla w koszu gotowa zepsuć się, obawiacie się nas, jesteście tchórzami. Oni z kolei dowodzą, że to my jesteśmy tchórzami, że u nas nie ma żadnej floty..., my odpowiadamy, że to nasz sekret wojenny, gdzie i jaką dysponujemy siłą zbrojną, że najlepiej pokaże wynik wojny, rezultat walki, czyja flota lepsza, czyja wygra. Oni stoją na swoim, wszyscy się śmiejemy, kpimy z nich, mówimy, że oni są zobowiązani do wypowiedzenia nam wojny, nawet tylko z racji obrazy ich parlamentariuszy. Bo gdy oni przyszli, to znaczy Zośka, Janek i Olek do naszego pokoju jako parlamentariusze... i po długich debatach, które nie doprowadziły do żadnego skutku, a gdy ja przyszedłem niespodziewanie do pokoju nie okazali należytego hołdu, zostali przez nas haniebnie wygwizdani i wszyscy razem poszliśmy na dół. Oni dowodzą, że to nasza niegrzeczność, że oni muszą wzmocnić swoją flotę i dopiero wtedy na nas się zemścić. Wszyscy się śmiejemy jest nam dobrze. Zaznaczam im, że Zośka ich zdradzi, jak każda kobieta, której nie można ufać. Zośka gniewa się na mnie, mówi, że to ja prędzej zdradzę pana Wacława niż ona Janka i Olka. Ja bronię się, że nie jestem dziewczyną. Pan Wacław też mnie podtrzymuje. Wstajemy od stołu idziemy bawić się..., jakże jest przyjemnie i dobrze. Zośka znowu w dobrym humorze, ale widać, że nie miałaby nic przeciwko temu, żeby przejść na naszą stronę. Starsi jej więcej imponują.

Miry nie ma, widocznie gdzieś samotnie spędza czas w zacisznym kącie, w ekstazie wspomnień lub marzeń -zawsze z książką w ręku.

Słyszę muzykę to z pewnością gra Misia, dźwięki ostre i silne, ale ładne i pewne, gra mój ulubiony romans, jeszcze parę mocnych akordów i muzyka milknie.

Na twarzy Babci robią się fałdy, znak niezadowolenia. Babcia nie lubi muzyki, to u niej nerwowa reakcja, a przy tym ma bardzo dobry słuch. Misia idzie do swego pokoju zaczyna coś pisać, korzysta z czasu, że jej nikt nie przeszkadza. Oddaje się całkowicie temu - myśli, wyobraża sobie, marzy, jej pióro szybko śmiga po papierze grubego zeszytu, gdzie już niejedna stronica została zapełniona wyobraźnią przeplataną z uczuciem. Na werandzie pokazała się Ciocia Zosia, doniosłym głosem zaczyna wołać na dzieci, jeszcze parę okrzyków - dzieci chodźcie na kolację. Niecierpliwi się, że nikt się nie odzywa.

Pracę zawodową Leon Kozłowski podejmuje w Kościanie jako agronom powiatowy, przeprowadzając w ramach ówczesnej reformy rolnej parcelację wielkoobszarowych majątków ziemskich. Za namową swych przyjaciół z Polesia państwa Ćwirko - Godyckich, rezygnuje z działki pod Łuckiem z puli nadań ziemi przyznawanej zdemobilizowanym osadnikom wojskowym. Godyccy po sprzedaniu swojego majątku na Polesiu kupili Oblasy pod Puławami, który zaczęli parcelować. Inżynier Kozłowski przeprowadził powierzoną mu parcelację i w rozrachunku w 1927 r. otrzymał resztówkę o powierzchni 17 ha z ruinami zamku w Janowcu. I w tym momencie dała o sobie znać istic ułańska fantazja i zagrała krew przodków. Ruiny zamku zostały ogrodzone i zabezpieczone. A mógł rozebrać ruiny i jeszcze na tym zarobić, bowiem w ówczesnym czasie w pobliżu budowana była szosa.



*Janowiec 1958 r., park przy zamku, od lewej
Leon Kozłowski, Lila Rudniewska,
Stanisław Karpiel architekt*

We współpracy z Towarzystwem Opieki nad Zabytkami Przeszłości przeprowadził konieczne prace budowlane i stworzył muzeum, gdzie zgromadził wiele ciekawych eksponatów, znalezionych w ruinach a pokazujących piękną polską przeszłość. Udaje mu się odnowić a nawet umeblować dwie komnaty w baszcie. Sam zamieszkuje w przyziemiu skrzydła wschodniego. Na piętrze rozlokowuje swoje zbiory staroci i historycznych pamiątek, zapoczątkowując przyszłe muzeum zamkowe.



*Alicja Rudniewska na wakacjach w Janowcu
początek lat 60.tych*

Bez zwiedzających zabytki umierają - mawiał i z wielką otwartością przyjmował licznych gości.

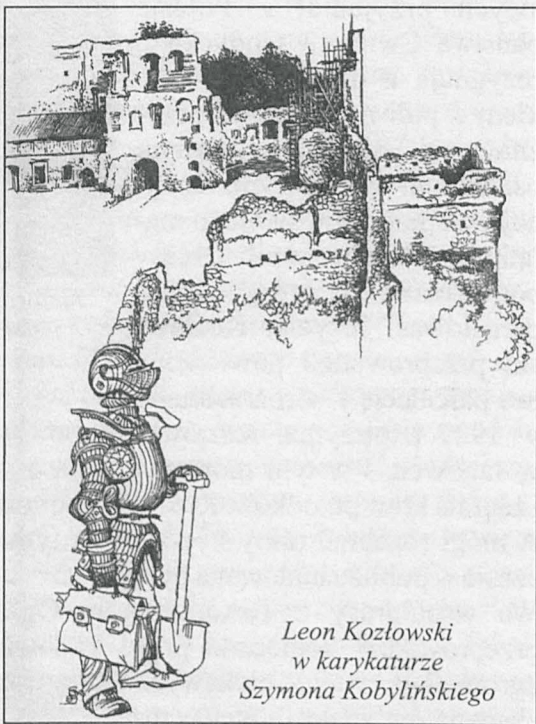
W latach 30.tych XX wieku Leon Kozłowski jest atrakcyjnym, eleganckim młodym człowiekiem, o szlachetnych rysach twarzy - opowiada pani Alicja

Rudniewska. Wczesna siwizna dodawała mu szczególnego uroku, co przy jego ujmującym sposobie bycia, doskonałych manierach, świetnej postawie i ułańskiej fantazji sprzyjało wielkiemu powodzeniu. Nosił beret baskijski, czerwony frak do jazdy konnej z fularem u szyi, co na tle potężnych ruin nadawało jego sylwetce wręcz romantyczny styl. Pozował na kapitana Fracasse z powieści Gautiera, choć nie miał kota Belzebuba, zadawałajac się wierzchówką. Z czasem opanowały go śmieszne z pozoru dziwactwa, jak na przykład zarządzenie wciągania chorągwi na baszcie zamku na jego przyjazd i ściąganie jej gdy zamek opuszczał. To zresztą chętnie spełniał zaprzyjaźniony dawny jego ordynans Poleszuk.

W 1936 r. Leon Kozłowski zawarł ślub z Teresą hr. Międzyńską herbu Suche Komnaty. W 1938 r. przychodzi na świat ich jedyna córka Bożena.

Muzeum zamkowe rozrastało się z biegiem lat i przed turystami stało otworem o każdej porze.

Warto tutaj przytoczyć fragment publikacji **Włodzimierza Kalickiego** Panowie na zabytkach: W dzień powszedni mgr inż. Kozłowski, adiunkt Instytutu Upraw, Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach, budził się w swym skromnym puławskim mieszkaniu, jadł śniadanie i z teczką w ręku wyruszał do pracy. Wieczorem zasiadał zwykle do pucowania kolekcji staroci i bibelotów. W soboty i niedziele zaś po murach i wieżach swego zamku w Janowcu nad Wisłą z godnością spacerował książę Kozłowski. Dyrygował dozorcą Złotnikiem, osobiście oprowadzał po włościach wycieczki szkolne. Żadna z dziejowych przeciwności nie zmusiła go do porzucenia zamku. (...) W każdy dzień wolny od pracy książę Kozłowski z zadumą spozierał z baszty na odległą linię Wisły i strome dachy wsi leżącej u stóp wiślanej skarpy, niegdyśszej własności jego poprzedników. Książę



Leon Kozłowski
w karykaturze
Szymona Kobylińskiego

Kozłowski mógł spacerować po swym zamku, ongiś jednym z najwspanialszych zamków magnackich w Polsce, ponieważ świeżutka władza ludowa nie bardzo wiedziała, co począć z obywatelem Kozłowskim Leonem, inżynierem, geodetą i właścicielem zamku w jednej osobie. Zamek nabył w 1927 r. od poprzedniego właściciela, Feliksa Ćwirko-Godyckiego, najzupełniej legalnie. Nie można było nawet przyczepić się do pochodzenia pieniędzy. Leon Kozłowski zapłacił zań pracą własnych rąk. Jako tutejszy geodeta przeprowadził parcelację majątku Oblassy. Z braku go-



Гербъ князей Козловскихъ.

Kozłowscy herbu własnego Michał Archaniol

tówki właściciel zamiast wynagrodzenia odpisał mu zrujnowany zamek i 17 ha resztówkę. Pasożytem społecznym obywatel Kozłowski po wojnie nie był, przeciwnie, wzorowo wywiązywał się ze swych etatowych obowiązków w instytucie. Mieszkał skromnie, z nikim podejrzanym się nie kontaktował. O książęcej mitrze, pokrewieństwie z Lubomirskimi, Radziwiłłami, moskiewskimi Rurykowiczami i miłościwie panującą w Londynie dynastią Sachsen Couburg-Gotha opowiadał jedynie szkolnym wycieczkom. Czegoż jednak szkolnej dziatwie się nie opowiadało? Był Popiel, mysz, Wanda, smok, mógł być i książę Kozłowski. W urzędach mówił przezornie, że jest przede wszystkim miłośnikiem historii i tak po prawdzie tylko stróżem szacownego zabytku. (...) Skromnie żyjąc z państwowej posady właściciel Janowca nie ranił demokratycznych wyobrażeń urzędników z awansu także

dlatego, że nikt jakoś w jego arystokratyczną genealogię nie chciał uwierzyć.

Księcia geodetę zostawiono w spokoju. Tak to Leon Kozłowski jako jedyny budowanie socjalizmu w Polsce oglądał, co prawda wyłącznie w dni ustawowo wolne od pracy, z murów własnego zamku. (...)

Przetrwanie ruin do dziś jest wyłączną, historyczną wręcz zasługą pana Kozłowskiego. (...)

Pensję adiunkta oraz dochody ze sprzedaży biletów wstępu na zamek i do muzeum Leon Kozłowski inwestował w mury. Żył więcej niż skromnie, oszczędzał na wszystkim. Zamku uratować jednak nie był w stanie. (...) W 1972 r. zawaliła się większa część ściany frontowej od strony Janowca. Pan Kozłowski zrozumiał, że nic dobrego dla zamku uczynić już nie może. Zgodził się odsprzedać go państwu.

Molestowano go w tej sprawie od lat. (...) Ostatni właściciel zamku w Janowcu akt zrzeczenia się swych praw na rzecz skarbu państwa podpisał 2 lipca 1975 r. W dwa tygodnie później uroczyście oddał klucze od zamkowej bramy. (...) Dziwna rzecz, ale w momencie oddawania przez pana Kozłowskiego kluczy nikomu z obecnych nie było wesoło. Ostatni legalny właściciel zamku w Polsce opuszczał swoje włości.

Do końca opuścić ich nie był w stanie. (...) Przyjeżdżał z Puław, interesował się pracami, do ostatnich dni zamek pozostał treścią jego życia. Zmarł w roku 1977. Grób na janowieckim cmentarzu, w cieniu zamkowych murów, kryje metalowa płyta z popiersiem zmarłego i inskrypcją: **Leon Kozłowski, mgr inż. Adiunkt IUNG w Puławach, właściciel zamku Janowieckiego, były rotmistrz 19 p. ułanów wołyńskich, odznaczony krzyżem za waleczność i pracę społeczną. Pochodzi z Wielkich Książąt Udzielných Smoleńskich i Czernihowskich, rodu królewskiego, b. właściciel dóbr na Rusi i Litwie.**

Właśnie trudno było uwierzyć, że kniaziowie, później książęta Kozłowscy herbu własnego Michał Archanioł trafili do polskich rodzin drogą asymilacji, podobnie jak znane rodziny książęce Czartoryskich, Czetwertyńskich, Sapiehów i inne pochodzenia rusko-litewskiego.

Józef Wolf w swej książce - Kniaziowie Litewsko-Ruscy Książęta Kozłowscy od końca XIV wieku, wydanej w Warszawie w 1895 r. na stronie 184 pisze: Książęta Kozłowscy są potomkami Wielkich Książąt Dynastii Ruskiej Rurykowiczów, którzy panowali na początku w Rusi, a później w Rosji do 1613 r. Jeden z książąt Rurykowiczów o imieniu Roman zapoczątkował dynastię Romanowych, która panowała od 1613 r. w Rosji,

na Rusi i na Litwie. Książęta Kozłowscy wiodą swój ród od jednej z gałęzi Rurykowiczów, panowali w Księstwie Udzielnym Smoleńskim i Czernichowskim nad Dnieprem, a nazwisko swoje wzięli od miasta Kozłów znajdującego się na tych ziemiach. Wspomniane księstwa Smoleńskie i Czernichowskie w swej historii kilkakrotnie należały do Polski i Litwy w wiekach XIII, XIV i XV.

W haśle Janowiec autorzy Wielkiej Encyklopedii Powszechnej nie odwagżyli się po II wojnie światowej napisać, że zamek jest własnością prywatną - osobistym muzeum właściciela.

Z otwarciem muzeum w 1919 r. została założona wielka księga gości - oprawna w skórę, z tłoczeniami. W zamyśle pana Kozłowskiego miała być kroniką wydarzeń zamkowych. Na pierwszej stronie za kolorową winietą, ciekawy wpis: Komisja Międzyzwiązkowa Kulturalno-Artystyczna z Warszawy - inaugurując pierwszą kartę Księgi Podpisów Wycieczkowiczów, z radością stwierdzając szybkie zapełnianie się jej kart nowymi nazwiskami chętnych poznania przeszłości i zabytków kraju ojczystego - składa zarazem wyrazy szczerego uznania J.W.P. Kozłowskiemu za kulturalne poczynania nad odnowieniem historycznego zamczyska Janowiec - dnia 8 września 1919 roku i dalej podpisy: J. Kwapisiewicz, Kowalska, Surowiecki, Norbert Zabłocki, Kazimierz Bronecki, Józef Szlubowski.

Na przestrzeni lat księgę zapełniają podpisy. W 1933 roku przyjechał do Janowca inżynier Stefan Ossowiecki, słynny jasnowidz, wraz z ówczesnym dyrektorem Polskiego Radia inżynierem Romanem Rudniewskim i goszczonym przez niego Szwedem Eddi Jansonem. W 1936 r. wpisali się Gustawostwo Ostoja-Zalescy ze Stawek na Wołyniu, hrabianka Teresa Miączyńska przed swym ślubem z Leonem Kozłowskim.

Stefan Ossowiecki

$\frac{28}{\sqrt{}} 33 r.$

Roman Rudniewski
28/5. 1933.

*Wpis w księdze pamiątkowej Janowca.
Po lewej stronie autograf inż. Stefana
Ossowieckiego, po prawej inż. Romana
Rudniewskiego, obaj panowie
w maju 1933 r. odwiedzili Janowiec.*

Rok 1948 inauguruje wpis Leona Kozłowskiego, jego żony Teresy i córki Bożeny: ***Dla dobra Kultury i Sztuki i Pamiątek Narodu Polskiego opiekujemy się Zamkiem Janowieckim. Przyszłość jest nauką o teraźniejszości.***

W lipcu 1949 r. przyjeżdżają do Janowca i wpisują się do księgi pamiątkowej: Jan Witkiewicz-Koszyc konserwator, Delegat Głównego Urzędu Konserwatorskiego w Ministerstwie Kultury i Sztuki, dr Gerhard Ciołek konserwator G.U.K., inż. Stefan Deubel konserwator z Ministerstwa Kultury i Sztuki. W sierpniu odwiedzają zamek cztery osoby z Ambasady Brytyjskiej, w księdze widnieją podpisy kandydatów na Wydział Architektury. Jeszcze dziś



Leon Kozłowski lata 60.

budzą grozę słowa z tego okresu: *Wylawiajmy zamaskowanych wrogów obecnego ustroju, których łatwo spotkać nam na każdym miejscu*, podpis nieczytelny. A inżynier architekt Jerzy Tomaszewski pisze: *Po dziesięciu latach ze wzruszeniem zwiedziłem zamek w Janowcu, wydał mi się jeszcze piękniejszy*. Wizytę profesora Jerzego Szablowskiego kierownika Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu dokumentuje wpis i podpis 1 sierpnia 1951 r. W czerwcu 1954 r. miała miejsce wizyta pani Anny hr. Branickiej z Wilanowa i pana Tadeusza Wolskiego, Krystyny Szeremety-Prądyńskiej, Zofii i Mieczysława Pietraszunów architektów, Jerzego i Wandy Ficowskich oraz Ireny Grużewskiej siostry ciotecznej Leona Kozłowskiego.

Gościnność Zofii Zaleskiej sprawiła, że Antopol stał się dla wielu jej krewnych zza kordonu, z dalekich kresów, z owruckiego, Podola i Wołynia pierwszym etapem i przystanią po ucieczce ze swych dawnych stron.

Burze dziejowe - I wojna światowa, rewolucja październikowa pozbawiły liczną rodzinę majątków i domów. Antopol był etapem, a historie tutaj opowiadane ukształtowały w Zofii Zaleskiej przekonanie, że symbolem wszelkiego zła i niegodziwości jest bolszewia. Nazwanie przez nią kogoś bolszewikiem było największą obrazą. Nie przypadkiem też Zofia

w Antopolu zatrudniała tylko Polaków i katolików. Niestety nie ustrzegło to jej syna przed skrytobójczą śmiercią.

Niektórzy przybyli goście zatrzymywali się na dłużej i byli zaangażowani w administracji majątku, jak na przykład Podhorski, inni oczekując możliwości usamodzielnienia się, zdobycia nowych domów i pracy, dochodzili tu do równowagi, często po bardzo trudnych, nieraz dramatycznych przejściach wojennych i czasu rewolucji.

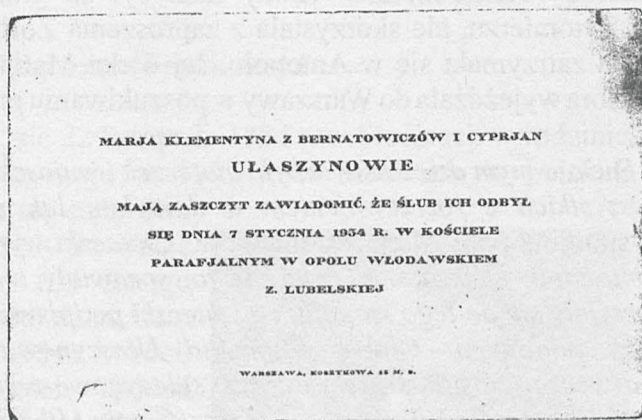
Wielu gościło w Antopolu. Emilia Lenkiewiczowa ciotka Alicji Rudniewskiej, po stracie syna Tomka i wypędzeniu z majątku na dalekim Polesiu była długo rezydentką u Zofii Zaleskiej.

Manusia Bernatowicz - Ułaszynowa, córka Narcyzy z Jarząbkowskich była bardzo częstym gościem, nawet ślub brała w Opolu. Zachowały się fair-pary z tej uroczystości: *Maria Klementyna z Bernatowiczów wzięła ślub z Cyprianem Ułaszynem 7 stycznia 1934 r. w kościele parafialnym w Opolu Włodawskim.*

Guwernerem Cypriana Ułaszyna i jego braci był Jarosław Iwaszkiewicz.

W czasie okupacji Maria Ułaszyn mieszkała w Podedwórz u Łukasza dawnego ogrodnika antopolskiego. Długo pamiętali ją jako panią majorową.

Córka Ludwika i Władysława Frankowskich - Flora wyszła za mąż za Kazimierza Zienkiewicza, był on konsulem



Fair-pary ze ślubu Ułaszynów



Maria z domu Bernatowicz Ułaszyn

w Anglii. Z tego związku był syn Ziemek Zienkiewicz i córka Maria, która od wczesnego dzieciństwa była niepełnosprawna wskutek przebytej choroby Heine-medina. Kiedy mąż był za granicą, Flora przebywała w Żytomierzu, ale skorzystała z zaproszenia Zofii Zaleskiej i na dłuższy czas zatrzymała się w Antopolu. Jej córka Maria mieszkała we dworze, a Flora wyjeżdżała do Warszawy w poszukiwaniu pracy.

- Dużo w moim dzieciństwie było cioteczek i wujaszków, dziś wspominam ich wszystkich z rozrzewnieniem a darzyłam ich wielką serdecznością - wspomina pani Alicja Rudniewska. Cioteczki wyróżniane były nadanymi imionami, które jak się okazywało, sprawiały im przyjemność, a nawet przyjęły się do tego stopnia, że cioteczki podpisywały listy imionami przez nas nadanymi. Ciocia Manusia Ułaszynowa, siostra Grużewskiej zazwyczaj nosiła się w kolorze seledynowo-rezedowym i z racji tych zieloności stała się ciocią Brukselką. Ciocia Mika Jordan Stojowska siostra ojca, chyba najszczuplejsza osoba na świecie, o bardzo długich nogach, ramionach i szyi, którą wyciągała prawie w nieskończoność, została ciocią Żyrąką. Ciocia Irena Grużewska, żona Jerzego Grużewskiego lubiąca nazywać siebie ciotunią - została Kikunią. Prababcia Antonina sroga, ostra i do tego prawie głucha, tupiała nogą lub laską, gdy zniecierpliwiona czegoś nie dosłyszała. To ja osobiście nazwałam ją babcią Tupawą, nikt nigdy inaczej o niej nie mówił. A wujaszek Cyprus, Cyprian Ułaszyn mąż Maniusi, major saperów, który przynosił nam dzieciom pyszne andruty, został wujaszkiem Wafelkiem. Wuj Jaś Sikorski, który często nosił zamiast krawata muszkę, nazwany został Motylkiem.

Starsi nam też nadawali przezwiska, które ponoć pasowały do naszych temperamentów i zachowań. Tak więc brat Karol nazwany został Marzy-cielem-Ślamazarnym, kuzynek Piotr Rudniewski Urwisem-Ścichapek, kuzyn Ryś Zaleski syn Aleksandra Milczkiem-Niepokornym, a ja zostałam Kozakiem-Chyżym. W skrytości ducha cieszyłam się z tego określenia, często snulałam domysły jakim to dawniej naprawdę był kozak i co zrobić, aby się do niego upodobnić. Konną jazdę miałam opanowaną, choć marzyła mi się dżygitówka, bo przecież Nina u Czarskiej w tym celowała, ale skończyło się na marzeniach. Moja generacja czytała książki Czarskiej, gruzińska księżniczka Dżawacha działała na wyobraźnię.

Rodzicami chrzestnymi Alicji Rudniewskiej urodzonej w 1928 roku w Warszawie byli Eugeniusz Frankowski syn Ludwiki rodzonej siostry Zofii Zaleskiej, profesor antropolog i Zofia Monika Szlubowska z domu Chłapowska w prostej linii wnuczka generała napoleońskiego Dezyderego

Chłapowskiego, żona Bronisława Szlubowskiego ostatniego właściciela Radzynia Podlaskiego.

Eugeniusz Frankowski

Eugeniusz Frankowski ur. się 22 listopada 1884 r. w Siedlcach w rodzinie inteligenckiej^{*)}. Maturę uzyskuje w 1907 r. w Siedlcach w polskim gimnazjum. Ale zanim to się stało dwa razy był wydalany ze szkoły za walkę o polską szkołę, w 1902 r. i dlatego z Siedlec wyjechał do Żytomierza, tam sytuacja powtórzyła się w 1904 r. i wrócił do Siedlec. W tym mieście spędził dzieciństwo i wczesna młodość. Po maturze wyjeżdża do Krakowa gdzie podejmuje studia antropologiczne i archeologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po ukończeniu studiów podejmuje pracę asystencką w katedrze antropologii kierowanej przez prof. J. Talko-Hryniewiczza. W latach 1911-1914 prowadzi badania antropologiczne i etnologiczne nad Góralami i Lachami Sądeckimi oraz na Polesiu i Wołyniu.



Eugeniusz Frankowski, Madryt 1919 r.

W 1914 r. wyjeżdża na urlop za granicę i tam zastaje go wybuch I wojny światowej, to uniemożliwia mu powrót do kraju. Zatrzymuje się w Hiszpanii, opanowuje język hiszpański i portugalski i rozpoczyna badania etnograficzne na terenie Hiszpanii i Portugalii, szczególnie interesuje się kulturą Basków. Jego praca naukowa została wysoko oceniona przez miejscowych i światowych badaczy kultury ludów iberyjskich. Po powrocie do kraju kilkakrotnie wyjeżdżał na Półwysep Pirenejski.

W latach 1921-1922 kontynuował pracę w katedrze antropologii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

^{*)} Pełka Leonard J., Eugeniusz Frankowski antropolog i etnograf, [w:] *Intelektualiści rodem z Podlasia*, praca zbiorowa pod redakcją Janusza Sekuły, wydawnictwo Seculum 1997, s. 395-410.

Pierwszą żoną Eugeniusza była Marta Dąbrowska filozof; drugą Maryla Karwowska, z tego związku jest córka Małgorzata po mężu Terlecka.

Z opowieści Mamusi wiem - wspomina pani Alicja Rudniewska, o częstych przyjazdach do Antopola Eugeniusza Frankowskiego, syna siostry babci Zofii. W czasie letnich pobytów w Antopolu prawie codziennie odbywał piesze wyprawy do okolicznych wiosek lub jeździł pajaczkem do odległych osiedli. Wytrwale zbierał tam stare koszule, zapaski czy fartuchy z płótna swojej roboty, haftowane w charakterystyczne motywy, barwnymi nićmi. Wieczorami odrysowywał na kalce w rodzaju pergaminu wzory haftów, skrupulatnie oznaczając miejsce i datę zdobycia danego eksponatu.

Zachowała się fotografia Mamusi ubranej w komplet takiego właśnie stroju ludowego.



Maria Zaleska w stroju ludowym z okolic Antopola z jamnikiem Jamkiem

Pierwsze eksponaty rzemiosła i sztuki ludowej z okolic Antopola a głównie z Hołowna zapoczątkowały imponujący zbiór, który po latach znalazł się w Muzeum Etnograficznym na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Tam też eksponowane było zdjęcie Mamusi w stroju ludowym z okolic Antopola.

Na terenie powiatu włodawskiego spotkały się trzy narodowości słowiańskie: polska, rusińska i białoruska, co niewątpliwie miało wpływ na wykształcenie się specyficznej kultury ludowej.

Z powodu swojej pasji Eugeniusz Frankowski był częstym gościem w Antopolu, gdzie gros czasu spędzał na wędrownkach po okolicy w poszukiwaniu haftów i innych przykładów kultury ludowej.

Dzisiaj w sąsiadującym z Antopolem Hołownie jest Ośrodek Edukacji Regionalnej, który pielęgnuje tradycję i kulturę ludową oraz rozsławia gminę Podedwórze w województwie lubelskim i w Polsce. **Stowarzyszenie na rzecz aktywizacji mieszkańców Polesia Lubelskiego**, które prowadzi Ośrodek działa od 2001 r., jednym z jego celów jest podtrzymywanie tradycji narodowej, pielęgnowanie polskości oraz rozwój świadomości

narodowej, obywatelskiej i kulturowej. Prezesem Stowarzyszenia jest pani **Gabriela Bilkiewicz**.

Czy wobec tego nie można myśleć i mówić, że przeszłość i teraźniejszość łączy genius loci miejsca, który objawił się i sprawił, że Hołowno oraz cała okolica jest terenem jedynym w swoim rodzaju, bo niewątpliwie znajduje się pod opieką dobrych duchów.



Maria Rudniewska pierwsza z prawej, w Radzynie u wujostwa Bronisława i Zofii z Chłapowskich Korwin Szłubowskich, fot.: 1931 r.

Maria Rudniewska z mężem i dziećmi odwiedzała Zofię i Bronisława Szłubowskich w Radzynie, rodziny utrzymywały bliskie kontakty. Te wyjazdy do Radzyna tak zapamiętała pani Alicja Rudniewska: *W Radzynie Podlaskim u ciotecznych Dziadków Zofii i Bronisława Szłubowskich, ogromnie nam dzieciom przypadł do serca jamniczok cioci Zosi Szłubowskiej. Tak jak Dziunia antopolska, stale dreptająca za Babcią i on nie opuszczał swej pani ani na krok. Mimo małego wzrostu grał rolę jej strażnika i obrońcy. Dąsał się*



Gubernia. Pałac Szłubowskich w Radzynie Podlaskim

a nawet warczał, gdy któreś z dzieci zbliżało się do Cioci-Babci, a karcony przez nią łagodnie, natychmiast stawał na tylnych nóżkach i zabawnie służył, machając przednimi łapkami. Ciocia przekonała nas, że to są rzeczywiście szczere przeprosiny za niezamierzone straszenie. Bardzo szybko jamniczek oswoił się z nami, a gdy wybiegaliśmy do parku, opuszczał swoją panią, aby hasać z nami. Jamniczek od inicjałów Cioci nazywał się ZETES. Pamiętam kilka fotografii z tego okresu, na każdej z nich na pierwszym planie był służący na tylnych łapkach Zetes, a w głębi na odsłoniętej werandzie pałacyku na Guberni siedziała Ciocia Zosia, Dziadek Bronisław, Wujaszek Włodzio Rulikowski, Rodzice i ja z bratem.

Na dalsze przechadzki z Ciocią nieodłącznym towarzyszem był zawsze Zetes. Przechadzki najczęściej odbywaliśmy do oranżerii w parku za starym pałacem, zdaniem Cioci najpiękniejszego miejsca w Radzynie. Pod rzeźbionym tympanonem pełno było jaskółczych gniazd z wyzierającymi piskletami o żółtych dzióbkach. Ciocia lubiła obserwować śmigłe loty tych pięknych ptaków, bardzo zaafetowanych w pogoni za muszkami. Nie pozwalała na strącanie gniazd.

Dalsze spacerunki odbywaliśmy końmi i jak zawsze zanudzaliśmy dorosłych o pozwolenie siedzenia na koźle. Pamiętam wstrząsającą historię, którą Ciocia opowiedziała ze swej młodości, miała ona niejako usprawiedliwiać stanowczą odmowę pozwolenia na siadanie obok stangreta. Otóż pewnego razu jechała ze starszymi powozem z zaciągniętą budą, gdy nagle zerwała się burza i konie zaczęły ponosić, ktoś usiłował pomóc stangretowi ściągnąć lejce i o zgrozo ujrzał go na koźle z obciętą głową. Ten straszliwy wypadek spowodowały zerwane, naprężone druty telegraficzne wiszące w poprzek szosy.

Często też po podwieczorku odwiedzaliśmy sierociniec Cioci. Mieścił się w drewnianym budynku w samym miasteczku. Zawiaadywały nim zakonnice. Ta smutna placówka, oczko w głowie Cioci, była wyłącznie przez nią utrzymywana. Rodzina, przyjaciele obligowani byli przez Ciocię do wspomagania sierotek. Przez całe moje dzieciństwo musiałam szanować zabawki i książki, nie mogłam się do nich przyzwyczajać, gdyż Mama zobowiązała się wysyłać częste paki do sierocińca.

I do przytulku biegł za nami Zetes, pozwalał się pieścić małym dzieciom. Pewnie był jedyną żywą zabawką ich smutnego dzieciństwa.

Zofia z Zaleskich i Jan Sikorski

Młodsza siostra Marii Rudniewskiej Zofia Lis Zaleska (1912-2000), wyszła za mąż za Jana Sikorskiego (1898-2002).

Jan Sikorski urodził się 17 maja 1898 r. w rodzinnym majątku w Wielkich Chełmach, matka Anna z Łyskowskich-Sikorska była prezeską Towarzystwa Ziemianek Polskich oraz literatką m.in. autorką Baśni Kaszubskich. Ojciec Jan Sikorski szambelanem papieskim i posłem do sejmu pruskiego oraz sekretarzem przedstawicielstwa poselskiego w Berlinie. W latach 1918-1920, w okresie walk o przyłączenie Pomorza do Polski senior Jan Sikorski reprezentował społeczność polską wobec władz zaborczych. Rodzina Sikorskich była spokrewniona z najznakomitszymi rodami Pomorza.

Jan Sikorski uczył się w bawarskim gimnazjum oo bernardynów w Ettal, później oo kapucynów w Ostrowcu Wielkopolskim. Studiował wybrane przez siebie kierunki w Lozannie, paryskiej Sorbonie. W okresie 20. lecia międzywojennego w wolnej Polsce ukończył studia ekonomiczne w Warszawie, był dziennikarzem Echa Warszawskiego, później prowadził własne przedsiębiorstwo i był producentem filmowym.

Jan Sikorski znał Henryka Sienkiewicza, duchowego króla Polaków, który nauczył go szczególnego patrzenia w przyszłość. Jan Sikorski podzielał poglądy pisarza na futurystyczną rolę kinematografii.

W czasie II wojny Jan Sikorski znalazł się w Norymberdze, skąd przedostał się do Paryża.

Po zakończeniu wojny w 1946 r. Jan Sikorski zwrócił się do poznanego w Paryżu kapitana Legii Cudzoziemskiej Stefana Rybickiego aby ten za poważną stawkę sprowadził z Polski jego żonę i syna. W ten sposób zapoczątkowana została wielka kariera Stefana Rybickiego w wywozie z powojennej Polski części arystokracji na zachód.

Stefan Rybicki był przystojnym mężczyzną a mundur Legii Cudzoziemskiej czynił z niego interesującą i w pewnym sensie egzotyczną postać. Jeździł pięknym kabrioletem, co w tamtych czasach szczególnie w Polsce czyniło



*Zofia z Zaleskich Sikorska,
fot.: 1946 r.*

z niego osobę publiczną. Ze względu na umundurowanie nazywano jego „Białym Kapitanem”.

Latem 1946 r. zjawił się w Piotrkowie Trybunalskim i miał problem z odnalezieniem Zofii Sikorskiej z synem Robertem, ponieważ mieszkali oni u Marii Rudniewskiej na ul. Promenada 14. A w Piotrkowie w owym czasie jakaś rodzina Sikorskich miała rozlewnię wody gazowanej.

Wreszcie trafił i po tygodniowym pobycie w Piotrkowie Trybunalskim szczęśliwie wywiózł do Paryża Zofię Sikorską z Zaleskich z synem.

Stefan Rybicki zasmakował w biznesie wywożenia ludzi na zachód. Było wiadomo, że z Małego Rynku w Krakowie dwa razy w tygodniu odjeżdża autobus do lepszego świata.

Spektakularne było przetransportowanie na zachód Maurycego Potockiego właściciela Jabłonej, który był bez dokumentów, bo został odbity z więzienia przez partyzantkę.

Powodzenie tak uderzyło do głowy, że stracił instynkt samozachowawczy i ten etap swojego życia skończył w więzieniu. Wywoził Andrzeja Potockiego z Krzeszowic, który w swoim bagażu zapakował kolekcję pasów słuckich, z których słynął pałac w Krzeszowicach. Zostali obaj zatrzymani, pasy odebrane i wystawione w Muzeum Narodowym w Warszawie. Stefan Rybicki po jakimś czasie został zwolniony z więzienia, ożenił się z farmaceutką z Łodzi i spełnił swoje marzenie, aby chodzić na spacer z dzieckiem w wózku po ulicy Piotrowskiej.

W 1973 r. Jan Sikorski z żoną osiada w Genewie. Zofia umiera w roku 2000 a Jan Sikorski w 2002 r.

Ks. Krystian Gawron we wspomnieniu pośmiertnym pisał: *Pozostanie on w pamięci Polonii Szwajcarskiej jako wierny, nieprzeciętny świadek jej historii. Po raz pierwszy przybył tutaj na początku maja 1916 r. na studia do Lozanny, aby uniknąć wcielenia do wojska pruskiego.(...) To właśnie w katedrze lozańskiej podczas święta 3 maja 1916 r. po raz pierwszy usłyszał pieśń - Boże coś Polskę, śpiewaną publicznie. Przeżycie było wielkie, rozplakał się.*

Odszedł od nas nestor Polonii Szwajcarskiej. Pozostanie nam w pamięci jako Emigrant, który od pierwszego dnia, aż po ostatnie lata swego życia - na obczyźnie brał udział w życiu polonijnym: w Szwajcarii, w Maroku, w Paryżu i gdziekolwiek się udawał. W wolnej Ojczyźnie spędził zaledwie jedną czwartą swego życia. Pozostanie nam w pamięci jako Człowiek Przyszłości, zawsze wrażliwy na to, co idzie nowe. Czyż nie należy do prekursorów polskiej kinematografii? Pozostanie nam w pamięci jako

Europejczyk. Chociaż dogłębnie był Genewczykiem, potrafił zachować własną polską i katolicką tożsamość. Świadom swego dziedzictwa, potrafił ze zdrowym dystansem patrzeć na zachodzące zmiany w Europie. Niech dobry Bóg, któremu dochował wierności da mu zasłużony odpoczynek wieczny.

Anna Żelaźniewicz we wspomnieniu pośmiertnym upomina się o odznaczenie pośmiertne przez Rzeczypospolitą dla Jana Sikorskiego. ... *bo swym niezwykłym i pracowitym życiem udowodnił, że godnie ją reprezentował.*

Historia dóbr opolskich

Zanim dobra antopolskie trafiły w 1869 r. do rodziny Zaleskich należały do rodziny Kopciów, Sierakowskich i Szlubowskich.

Dobra Opole położone były w ziemi brzeskiej, obecnie jest to teren gminy Podedwórze, powiat parczewski, województwo lubelskie.

W 1528 r. właścicielem dóbr Opole stał się **Sidor Wasilewicz Kopeć**. Doszedł on do swych pokaźnych dóbr po wielu transakcjach dokonanych z osobami, które uzyskały swe majątki w drodze nadania królewskiego w początkach XVI w. Wówczas z reguły król nadawał ziemię dworzanom, sługom i urzędnikom królewskim.

O tym, że był to teren osiadły w średniowieczu świadczy spotykana informacja, że w I poł. XVI w. w Opolu miało miejsce odnowienie fundacji cerkwi. Miała ona nastąpić w 1511 r., choć data ta wydaje się dyskusyjna wobec informacji, że w 1528 r. dobra Opole zakupili Kopciowie. Odnowienia cerkwi dokonać miał Wasyl Kopeć lub jego syn.

W dokumentach znalazł się też zapis, że w 1521 r. duchowny obejmujący cerkiew w Opolu stwierdził, że ludzie osadzeni na trzech włókach należących do cerkwi opolskiej zmarli skutkiem zarazy. Cerkiew przez dłuższy czas pozostawała nie obsadzona.

W 1521 r. włość Opole obejmowała 12 wsi: **Opole, Rusiły, Grabowka, Mosty, Koniuszki, Hołowno, Zaliszcze, Kalinki, Lubiczyn, Chorostyta, Zahajki, Lipowka**. W czasach późniejszych jako wsie pograniczne wymieniono **Kaniuki, Lubiczyn, Chworostytę, Grabówkę, Lipówkę i Zahajki**.

Sidor Wasilewicz Kopeć był synem **Wasyła Iwanowicza Kopcia** bojara smoleńskiego i dworzanina królewskiego.

Swoją karierę zaczynał jako pisarz w kancelarii króla **Aleksandra Jagiellończyka** od którego otrzymał liczne nadania ziemskie. W czasach Zygmunta Starego nadal był pisarzem kancelarii litewskiej, zaś od 1522 r. był marszałkiem hospodarskim na dworze wielkksiążęcym. W latach

1512-1519 jako pisarz ruski, kancelaria litewska posługiwała się językiem ruskim, przebywał u boku króla w Koronie. W 1524 r. był wystawcą ruskich dokumentów królowej **Bony**.

Aleksander Jagiellończyk (1461-1506) i Zygmunt Stary (1467-1548). byli synami Kazimierza Jagiellończyka (1427-1492) i Elżbiety Habsburskiej (1437-1505). Aleksander był królem Polski w latach 1501-1506, a Zygmunt panował w latach 1506-1548. Po śmierci Zygmunta Starego tron polski objął jego syn Zygmunt August (1520-1572) ostatni władca z dynastii Jagiellonów. W 1569 r. pomiędzy Koroną a Wielkim Księstwem Litewskim zostaje zawarta Unia Lubelska, Zygmunt August stał się władcą Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Z chwilą wyboru przez sejm elekcyjny królem Polski Henryka Walezego (1573-1574) rozpoczyna się epoka królów elekcyjnych.

Sidor Wasilewicz Kopeć był ożeniony był z **Marią** córką księcia ruskiego **Konstantego Kroszyńskiego**, z którą miał synów: **Tymofieja**, **Fedora-Iwana**, **Wasyła** oraz córki: **Rainę** żonę kniazia Połubińskiego, **Hannę Iwanowną Bohowitynową**, **Fedorę** żonę **Józefa Chaleckiego** i **Zofię Andrzejową Tryznię**.

Po śmierci Sidora Wasilewicza Kopcia, zmarł w 1531 r., doszło w 1533 r. do ślubu jego córki Rainy Kopciówny z Iwanem Połubińskim synem Wasyła i na mocy przedślubnej intercyzy dobra ziemskie Opole przeszły w posiadanie Iwana Połubińskiego. Sprawa trafiła do sądu, który przyznał dobra Połubińskiemu, ale z możliwością wykupu przez synów Kopcia. Proces o prawo do tych dóbr toczył ze swoim szwagrem Iwanem Połubińskim w 1541 r. Fedor (zm. 1567 r.), który wzorem ojca był dworzaninem królewskim.

W 1555 r. jako właściciele Opola i Rusi występują już Fedor, Iwan, Wasyl Kopciowie⁷⁾.

Na przełomie XVI i XVII wieku dziedzicem dóbr opolskich był **Łukasz Wasilewicz Kopeć**, dworzanin królewski i od 1610 r. podkomorzy brzeski. W 1610 r. ożenił się z **Katarzyną Firlejówną** wojewodzianką krakowską. W 1615 r. został kasztelanem brzeskim, zmarł w 1621 r.

Dobra Opole i Rusiły graniczyły od zachodu z Połubińskimi, od południa dotyczyły na niewielkiej przestrzeni ziem koronnych, dalej zaś otaczały gospodarskie wójtostwo kodenieckie. Od wschodu stykały się z posiadłościami włodawskimi Sanguszków i Sławatyczami Bohowitynow.

⁷⁾ Alina Wawrzyńczyk, Rozwój wielkiej własności na Podlasiu w XV i XVI w., Wrocław 1951 r.

Na rozległym Holeszowym Bagnie stykały się granice wszystkich wymienionych dóbr a także Wisznice Sapiehów, z którymi Kopciowie wiedli długotrwałe spory. Konflikt graniczny między nimi rozpoczął się w 1552 r. gdy Kopciowie oskarżyli Pawła Sapiechę o zagarnięcie części ich ojcowizny - uroczysk Zababino i Wodyc.

Za czasów Łukasza na nowo w 1597 r. rozgorzał spór między nim a Mikołajem Sapiechą. Kopec zażądał od Sapiehy zwrotu zagarniętych ziem, pomimo potwierdzenia słuszności zarzutów Kopciów, nie zakończono sporu, który trwał nadal w XVII w⁸⁾.

Po Łukaszu dobra opolskie odziedziczył jego syn **Aleksander Kopec**, który w 1643 r. dokonał erekcji (fundacji) kościoła w obrządku łacińskim. Zabytkiem architektonicznym upamiętniającym to wydarzenie jest w Podedwórzu kapliczka z Jezusem Frasobliwym z 1646 r., przez miejscowych nazywana świętym Janem.

Aleksander Kopec ożenił się z hrabianką Teofilą z Tęczyna wojewodzianką lubelską. Po jej śmierci w 1635 r. ożenił się z Anną Noskowską podkomorzanką lubelską. Aleksander podobnie jak ojciec został kasztelanem brzeskim, zmarł w 1651 r. Z małżeństwa z Noskowską pozostawił córkę Katarzynę i syna Franciszka Aleksandra kolejnego dziedzica dóbr opolskich.

Franciszek w 1690 r. ożenił się z Katarzyną Stetkiewiczówną podkomorzanką orszańską. Z tego związku urodził się syn Hrehory i córka Franciszka.

Na początku XVIII w. dobra Opole były już własnością Hrehorego, który wzorem przodków był dworzaninem królewskim. W tamtych czasach stopnie oficerskie można było sobie kupić, co też czyni młody i bogaty Hrehory, kupuje stopień



*Kapliczka z 1646 r. w centrum
Podedwórza upamiętniająca fundację
kościoła katolickiego*

⁸⁾ Tarasiuk D. Wisznice, s. 18, Lublin - Wisznice 2006.

generała majora wojsk litewskich. Żeni się z **Teofilą Wapowską**. Hrehory umiera bezpotomnie po roku 1720, jest ostatnim męskim potomkiem Kopciów.

Właścicielką dóbr Opole zostaje jego siostra **Franciszka**. Jej pierwszym mężem był książę Szymon Drucki Lubecki, po jego śmierci wychodzi za mąż za Karola Załuskiego kuchmistrza litewskiego, który umiera w 1735 r. Franciszka Załuska nie miała potomstwa, po śmierci drugiego męża żyła samotnie. Poświęciła się działalności charytatywnej, była fundatorką klasztoru bazylianów w Lubawiczach. Po jej śmierci zm. 10 listopada 1756 r. dobra opolskie od jej spadkobierców kupił strażnik wielki koronny **Józef Sierakowski** herbu Dołęga, syn kasztelana bełskiego.

Józef Sierakowski wydaje swoją córkę Urszulę za Kajetana Bendkowskiego herbu Prawdzic i przekazuje bądź też odsprzedaż swojemu zięciowi część dóbr opolskich - Kalinkę, Chmielów i Lubiczyn. Już w 1766 r. jako właściciel tych wsi figuruje Kajetan Bendkowski.

Kopciowie pieczętowali się herbem Rola odmienna. W herbie tym widniały trzy kroje płózne ułożone w rozstrój a na jednym z nich widniał mały krzyżyk.

Ród Kopciów władał dobrami opolskimi do 1756, a więc ponad 200 lat.

Ród Szlubowskich herbu Ślepowron

Po śmierci ostatniej właścicielki dóbr Opole z rodu Kopciów majątek przechodzi do rodziny Sierakowskich a w 1801 r. kupuje dobra Józef Szlubowski herbu Ślepowron. Od początku XIX wieku dobra Opole stanowiły rodową siedzibę Szlubowskich.

Dobra Opole składały się z folwarków i wsi: Rusiły, Stare Opole, Hołowno z Reyteradą, Kaniuki, Piechy, Grabówka, (B)Pojary, (Ch)Horostyta, Zalesze, Lipówka, Mosty, Zalesie i Szlubowo. Obszar nowo nabytego majątku wynosił 686 włók⁹⁾, 3 morgi i 179 prętów i składał się z czterech kluczy: opolskiego, hołowieńskiego, piechowskiego, horostyckiego. Zapłacono za niego 150000 złotych polskich¹⁰⁾.

⁹⁾ Włoka jednostka powierzchni ziemi: włoka 16,8 ha, składała się z 30 mórg - 1 morga 0,56 ha; morga dzieliła się na 300 prętów kwadratowych.

¹⁰⁾ W Piechota K., *Dobra opolskie Szlubowskich w końcu XVIII i na początku XIX wieku*, praca magisterska napisana w Zakładzie Historii Nowożytnej pod kierunkiem prof. dr hab. Tadeusza Mencla, Lublin 1979, maszynopis UMCS w Lublinie, s. 4-5.

Nowy właściciel Józef Szlubowski podkomorzy ziemi łukowskiej, starosta sulimirski i krasnostawski, poseł na sejm 1790 roku, kawaler Orderu św. Stanisława, ożeniony był z Joanną z d. Piegłowska, h. Nałęcz, córką Mikołaja łowczego ciechanowskiego i Eleonory Gąsiorowskiej herbu Ślepowron.

Razem wychowali trzech synów: Antoniego, Ignacego i Jana, od których wywodzą się poszczególne linie Szlubowskich oraz dwie córki, Maria Salomea wyszła za mąż za Andrzeja Piotrowskiego z Bezwoli, a Konstancja za Edwarda hrabiego Łubińskiego.

Józef i Joanna Szlubowscy rozpoczęli budowę białego kościoła z przeznaczeniem na rodową kaplicę grobową.

Budowę dokonczyli już synowie, obok kościółka postavili grobowiec z piaskowca, w którym spoczywają Józef i Joanna Szlubowscy. Napis na grobowcu świadczy o synowskiej miłości: *Józefowi i Joannie Szlubowskim, Podkomorstwu Ziemi Łukowskiej, Fundatorom Kościoła, ukochanym Rodzicom miłość synowska w hołdzie wdzięczności i przywiązania ten pomnik poświęca dnia 19 listopada 1807 r.*



Grobowiec przy Białym Kościele

Jan Szlubowski

Centralny majątek Opole wraz z Hołownem objął po śmierci ojca najmłodszy **Jan Szlubowski**. Ożenił się z córką generała kościuszkowskiego **Filipa Wacława Haumana** (1754- 1829).

Rzeczą prawdopodobną jest, że rodzina Haumanów, jak wiele innych rodzin przybyła do Polski za Sasów - pisał o generale Kajetan Kraszewski, który po śmierci Haumana otrzymał papiery pozostawione przez generała¹¹⁾.

¹¹⁾ O Filipie Haumanie pisał Kajetan Kraszewski i Bartoszewicz w Encyklopedii Orgelbranda; Kajetan Kraszewski, Generał Filip Hauman i rodzina Antoniego Malczewskiego, Warszawa 1888 r.

Przyszły generał kształcił się w sławnej wówczas Szkole Kadetów w Warszawie. Odnotowano dobre stosunki Haumana z dworem i rodziną królewską, której szczególnymi względami szczyłi się wszyscy wychowankowie tego zakładu.

Hauman był niezwykle przystojnym mężczyzną, co też czyniło go postacią słynną w Warszawie, ożenił się w 1779 r. z piękną panną Konstancją Błęszyńską ze Staszowa w Sandomierskim. Mieli troje dzieci: Konstancję, Edwarda i Filipinę. Małżeństwo okazało się nietrwałe, rozwód wzięli w 1792 r., najstarsza córka miała wówczas 10 lat.

Po raz drugi Hauman ożenił się 21 września 1794 r. z panną Elżbietą Skalską córką Józefa Skalskiego konsyliarza JKM, który dostarczał leki dla całego królewskiego dworu.

W 1796 r. generałostwo przenosi się z Warszawy do Turowa, majątku wziętego w dzierżawę z dóbr międzyrzeckich książąt Czartoryskich.

Z tego małżeństwa była córka Józefa ur. 23 października 1796 r., później żona Jana Szlubowskiego dziedzica Opola.

Po śmierci drugiej żony i śmierci swojego wielkiego przyjaciela Tadeusza Kościuszki generał osiadł w 1818 r. w dobrach narodowych Uścimów i Jedlanka, część starostwa parczewskiego.

Generał zmarł 30 stycznia 1829 r. w Uścimowie, ciało jego złożono w kościele w Opolu.

Po ukończeniu Szkoły Kadetów Filip Hauman otrzymał w 1774 r. nominację na kapitana, w 1777 r. awans z porucznika na sztabs-kapitana w regimencie pieszym księcia Kaliksta Ponńskiego. Później przechodzi do regimentu pieszego XII wojsk koronnych pod dowództwo pułkownika Jana Malczewskiego. Patent został wydany 13 stycznia 1790 r. Tego roku konstytucją sejmową pułkownik Filip Waław Hauman i jego brat Antonii otrzymują szlachectwo i herb Bronisz.

Brat Filipa, Antoni Hauman był również wojskowym, on odbył wyprawę do Egiptu i znalazł się w niewoli tureckiej.

Filip Hauman przyjaźnił się z Tadeuszem Kościuszką i to miało wpływ, że w wypadkach 1794 r. Hauman odegrał ważną rolę. W 1792 r. zostaje odznaczony Krzyżem Virtuti Militarii. 9 października 1793 r. zostaje przeniesiony jako pułkownik do Regimentu Pieszego X Wojsk Koronnych pod dowództwo Działyńskiego.

W czasie powstania kościuszkowskiego regiment Haumana wpłynął na losy ówczesnych wypadków w Warszawie, za co otrzymał tytuł Generała - Majora. We wrześniu 1794 r. wyruszył pod Siedlce pod dowództwo gen.

Sierakowskiego. Hauman walczył pod Dubienką i Chełmem pod dowództwem Zajączka.

Jan Szlubowski był człowiekiem wykształconym, koneserem sztuki, stworzył w swoim dworze w Opolu wspaniałą galerię obrazów i rzeźb, które zakupywał za granicą. Utrzymywał też piękny park.

Znana była jego i Wiktora Małskiego, wuja Józefa Ignacego Kraszewskiego podróż powozem konnym z Podlasia aż do Neapolu.

Z biegiem lat majątek podupadł, dwór i galeria popadły też w ruinę.

Z małżeństwa z Józefą Hauman, która młodo zmarła miał jedną córkę Krystynę.

Jan umiera w Paryżu. Jego zabalsamowane ciało dwa lata po śmierci sprowadzono do Opolu i pochowano w kaplicy - grobowcu Szlubowskich. Są dwie daty śmierci Jana: rok 1858 i rok 1862, a ciało sprowadzono do grobów rodzinnych w 1864 r.

Córka **Krystyna** poślubiła **Jana hr. Wielhorskiego**, powstańca 1831 roku. Kajetan Kraszewski wspomina ją jako osobę rozpieszczoną i kapryśną, pozująca na magnatkę. Straciwszy swoje i męża majątki, po konfiskacie 1863 r., Krystyna Wielhorska przeniosła się do rodziny swej kuzynki Weroniki z Cieszkowskich Szlubowskiej.

Krystyna i Jan Wielhorscy mieli troje dzieci: **Lili, Zygmunta i Jadwigę**, która wstąpiła do karmelu, francuskiego zgromadzenia w Carcassone. Ich syn **Zygmunt Wielhorski** został zesłany na Sybir za udział w powstaniu 1863.

Kiedy w 1867 r. z inicjatywy ks. Aleksandra Jełowickiego, wspartej przez ziemian poznańskich, w Poznaniu osiedliły się karmelitanki z Belgii. Przełożoną klasztoru została matka Jadwiga Wielhorska (1836-1911), profeska francuskiego zgromadzenia w Carcassone. W klasztorze nosiła imię Jadwiga od św. Jana od Krzyża. Klasztor szybko zapełnił się polskimi kandydatkami. W grudniu 1873 roku matka Jadwiga Wielhorska przyjmowała do klasztoru księżną Marię Cecylię z Grocholskich księżnę Czartoryską (1833-1928), która nosiła imię Maria Ksawera od Jezusa.

W 1874 r. w wyniku antykościelnej polityki Bismarcka zakonnice musiały opuścić Poznań i udały się do Krakowa. W 1888 roku matka Jadwiga Wielhorska wyjeżdża do Rzymu, gdzie przez pewien czas mieszkała w klasztorze pw. św. Piotra i Marcelina, następnie w 1889 założyła klasztor Karmelitanek Adoracji Wynagradzającej pod jurysdykcją wikariusza Rzymu. Do klasztoru matki Jadwigi wstępowały często Polki.

W Regule czytamy, że duch Karmelu jest duchem samotności, skupienia, modlitwy. A w pierwszym rozdziale Konstytucji, że karmelici bosi nie powinni z nikim spoza klasztoru podtrzymywać kontaktów bez koniecznej potrzeby.

Matka Maria Ksawera od Jezusa wspominając matkę Jadwigę mówiła, że wrażliwości na potrzeby Kościoła i Zakonu w klasztorze nauczyła się przede wszystkim od matki Jadwigi Wielhorskiej.



*Dwór w Opolu, gniazdo rodziny Szlubowskich, fot. z 1921 r.,
nie istniał już w latach 30. tych XX w.*

Od Krystyny Wielhorskiej dobra Opole kupił Michał Szlubowski syn Ignacego, żonaty z Ignacją Horodyską.

Zadłużone Opole zlicytowano i w 1869 r. sprzedano Leonowi Zaleskiemu.

Leon Zaleski sprzedaje dobra Opole Stefanowi Zabielle, który już w 1897 r. jest ich właścicielem. Od Zabielly część Opola kupił Władysław Szaniawski s. Wiktora. Później okrojony majątek nabył Alfred Mierzeński s. Rafała, który już w 1899 r. był właścicielem Opola, odkupionego od Zabielly i Szaniawskiego¹²⁾.

¹²⁾ Księga hipoteczna, Opole AP w Radzynie Podlaskim zespół hipoteka w Białej Podlaskiej poz. 1715, poz. 1695 Opole Pustki.

Trudna sytuacja ekonomiczna zmusiła Mierzeńskich do parcelacji posiadanego majątku, a tak naprawdę resztówkę wielkich niegdyś dóbr.

Miedzy innymi od Mierzeńskiego nabył drewnianą oficynę i nowo wzniesioną gorzelnię, którą przerobił na młyn Stefan Bilkiewicz, młynarz z sąsiedniego Rudna.

Okrojony budynek dawnej XIX wiecznej gorzelni, przerobionej w XX w. na młyn parowy jest dziś jedynym zachowanym obiektem zabytkowej architektury przemysłowej na tym terenie.

Ignacy Szlubowski

Ignacy (- zm. 1859 r.), na mocy działu pomiędzy braćmi dokonanego 30 października 1814 r. został dziedzicem dóbr Horostyta z wsiami i folwarkami: Zahajki, Lipówka, Zaliszcze.

Z żoną Weroniką z Cieszkowskich (zm. 1857 r.) wychowali dzieci: syna Michała żonatego z Ignacją Horodyską, który bezpotomnie umiera w 1870 r., ostatniego właściciela Opola, na nim wygasła linia Ignacego oraz córki: Emmę - żonę Władysława Rulikowskiego, Ludwikę - żonę Gabriela Rulikowskiego, Józefę - żonę Seweryna Kiełczewskiego, Marcelę - żonę Ratomskiego.

Horostyta, dawniej pisana Chorostyta, to miejscowość założona przez starostów królewskich w początkach XVI w. W 1510 r. król nadał te ziemie Dremlikowi, który pięć lat później sprzedał je Sapiehom. Dobra następnie zakupił Michał Kopeć dworzanin króla Zygmunta Starego. Folwark Horostyta wchodził w skład dóbr Opole.

W 1756 r. po śmierci ostatniej dziedziczki Opola z rodu Kopciów, Franciszki Załuskiej dobra opolskie wraz z Horostytą sprzedane zostały Józefowi Sierakowskiemu.

Należąca do parafii w Opolu wieś Horostyta w 1521 r. otrzymała cerkiewkę pw. Podwyższenia Krzyża Pańskiego, nad którą administrację sprawował opolski proboszcz ks. Ignacy syn Sergiusza. Fundatorem był Michał Wasilewicz Kopeć, dworzanin Zygmunta Starego.

Pierwsza wzmianka o samodzielnej parafii prawosławnej w Horostycie pochodzi z 1699 r. Właściciele majątku Opole Kopciowie, ufundowali nową, drewnianą, jednokopułową świątynię w 1702 roku.

Rozwój i środki materialne parafia zawdzięczała utworzeniu 1843 r. cukrowni przez Stanisława Szlubowskiego, która stanowiła wyposażenie

folwarku Horostyta. Od 1875 r. parafia została włączona do prawosławnej eparchii chełmskiej i należała do drugiego okręgu dekanatu włodawskiego, administracyjnie wchodziła w obręb Guberni Siedleckiej.

W drugiej połowie XIX w. folwark w Horostycie wydzielono z dóbr opolskich i przekształcono w samodzielny. Dla pozyskania pastwisk z inicjatywy Szlubowskiego wykopano kanał melioracyjny w celu osuszenia bagien rozciągających się wokół Horostyty. W tym samym czasie kiedy budowano w folwarku cukrownię, postawiono gorzelnię, wiatrak, cegielnię i dwór.

Kolejnym właścicielem Horostyty zastał Bolesław Deskur, jeden z dowódców powstania styczniowego. To przypomina stojący do dzisiaj w sąsiedztwie świątyni krzyż z 1863 r. upamiętniający miejsce pochówku poległych powstańców styczniowych, którzy przed walką złożyli w horostyckiej cerkwi przysięgę na wierność Polsce.

Po klęsce powstania Deskur wyjechał do Lwowa, a folwark przekazał Hankiewiczom. Ostatnią właścicielką folwarku była Laubertowa. Po 1920 r. budynki zostały zdewastowane, zaś cały folwark poddano parcelacji.

W miejscowości kolonia Horostyta znajdują się stawy będące pozostałością dawnego założenia dworskiego.

Likwidacja parafii nastąpiła w 1947 r. - Akcja Wisła. W 1953 r. administracja państwowa wyraziła zgodę na otwarcie parafii w Horostycie razem z filią w Holi.

Antoni Szlubowski

Antoni (1773-1848), sędzia pokoju powiatu włodawskiego, najstarszy syn Józefa i Joanny Szlubowskich z rodzinnych działów otrzymał Hołowno z folwarkami i wsiami: Antopol, Grabówka, Mosty, Piechy i Kaniuki. Dał początek linii radzyńskiej Szlubowskich. Przez jakiś czas był właścicielem dóbr Mełgiew. Za pośrednictwem Konstantego Zamoyskiego od Anny i Adama Czartoryskich w styczniu 1834 r. nabył dobra Radzyń, co ustawiło go w pozycji ziemiaństwa o majątku milionowym.

Antoni w 1811 r. Hołownie zbudował cerkiew unicką. I on najprawdopodobniej postawił dwór w Antopolu.

Część swojej schedy odsprzedał stryjom Ignacemu i Janowi.

Antoni Szlubowski ożenił się z **Kunegundą z Karskich**, córką **Kazimierza Karskiego** h. Jastrzębiec, poślą z sandomierskiego i **Salomey ze Szczepanowskich** h. Prus. Mieli pięcioro dzieci: **Stanisława Floriana**, **Feliksa** (zmarł bezpotomnie), **Józefa** (sędziego pokoju okręgu radzyńskiego), **Marię Salomeę** i **Konstancję**.

W rodzinnym dziale Feliks i Maria otrzymali dobra położone w obwodzie włodawskim: Feliks Hołowno i Antopol, Maria Piechy.

Dzieci Antoniego i Kunegundy Szlubowskich:

Józef Kazimierz Barnaba Szlubowski, urodzony 11 czerwca 1812 r. w Opolu, został właścicielem części wydzielonej w 1841 r. z dóbr radzyńskich, a nazwanych Dobrami Branica;

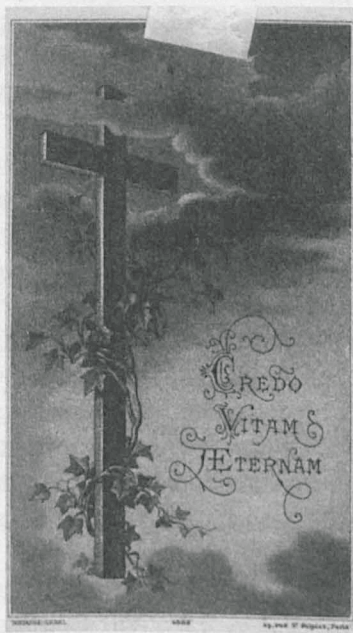
Stanisław Florian Szlubowski, urodził się 3 maja 1816 r. w Hołownie (Antopolu);

Feliks Szlubowski urodzony 22 maja 1819 r. w Terespolu otrzymał Hołowno i Antopol w lutym 1843 r. Zmarł bezpotomnie w 1846 r.;

Maria Salomea urodzona 13 kwietnia 1821 r. w Antopolu, poślubiła Andrzeja Piotrowskiego herbu Korwin - otrzymała Piechy w lutym 1843 r.;

Konstancja, żona Edwarda Łubieńskiego, została właścicielką dóbr ziemskich Chomejowa Wola w lutym 1843 r. (część dóbr radzyńskich) koło Radzynia, które sprzedała w październiku 1849 r. Stanisławowi.

Po Antonim, który zmarł przeżywszy 75 lat w 1848 r. Radzyń odziedziczył n syn Stanisław Florian Szlubowski (1816 - 1895), ugruntował on pozycję



Stanisław Dezyderiusz Szlubowski (1847-1907 r.), syn Józefa (1812-1866 r.) i Joanny Puchały (zm. 1876 r.), wnuk Antoniego. Absolwent Szkoły Głównej mgr prawa i administracji. Uzdolniony malarz, kształcił się pod kierunkiem mgr kolekcjoner malarstwa polskiego. Właściciel Branicy w pow. radzyńskim

Szlubowskich jako jednej z najzamożniejszych rodzin w tym regionie. Potwierdzeniem tej pozycji było uzyskanie tytułu papieskiego hrabiego od Piusa IX w 1869 r.

Stanisław Florian ożenił się w 1850 r. z Bogumiłą Bronisławą Prendowską, córką Wojciecha h. Korwini Kolety Łabędzkiej.

Związki Szlubowskich z Watykanem wiążą się z rodziną Prędowskich, bowiem siostra Bogumiły Bronisławy - Józefa wyszła za mąż za Seweryna hr. Badeni, syna dyrektora Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych; z kolei brat jej - Walerian Henryk ożenił się z markizą Cavaletti kuzynką papieża, był przyjacielem Norwida i honorowym komendantem Gwardii Papieskiej, rezydował w Rzymie. Walerian Henryk hrabia Korwin Prędowski kupił w 1858 r. zamek i posiadłość baronów Collalto Sabino w Lazio.

Stanisław Florian i Bogumiła Bronisława wychowali czworo dzieci: **Henryka** (1852-1927), **Marię** (1853-1930), żona hr. Gustawa Łubieńskiego, oraz bliźniaki

Konstancję (1855-1901), żonę księcia Ludomira Woronieckiego (1850-1913) i **Bronisława** (1855-1939), który po ojcu odziedziczył Radzyń.

Córka Konstancji i Ludomira Woronieckich - Bronisława wyszła za mąż za Waldemara Doria Dernałowicza. Rodzina po 1918 r. na stałe mieszkała w majątku Bronisławy - Białce pod Radzyniem, który ofiarował jej wuj Bronisław Szlubowski, ostatni właściciel Radzyna.

Był to bez wątpienia patriota, na odzyskanie przez Polskę niepodległości zareagował darowizną z 29 maja 1920 r. pałacu w Radzynie z 19 ha. na cele związane z wojskiem. Darowizna ostatecznie została przyjęta przez Ministerstwo Robót Publicznych w 1926 r.



*Portret Bogumiły Bronisławy Prendowskiej
żony Stanisława Floriana
Szlubowskiego, matki
Bronisława Szlubowskiego*

Bronisław ożenił się w 1892 r. z **Zofią Moniką Chłapowską** (1869-1961), z Wielkopolski, z linii Chłapowskich z Kapaszewa. Zofia była w linii prostej



- Zjazd rodziny Dernałowiczów, Mińsk Mazowiecki
Od lewej stoją: Wojciech Dernałowicz, Jeremi Doria-Dernałowicz z żoną, Hubert Doria Dernałowicz z żoną, Lila Rudniewska, siedzą od lewej Kinga z Libiszowskich Dernałowiczowa matka Jeremiego i Huberta, matka żony Jeremiego i Cecylia Krasicka (jej kuzyn Erazm Krasicki był jednym z wykonawców testamentu Bronisława Szlubowskiego)



Rodzinny obiad podczas zjazdu w Mińsku Mazowieckim

wnuczką generała Dezyderego Chłapowskiego z Turwi, wybitnej postaci tamtego okresu i prekursora nowoczesnego rolnictwa.

Pomimo inwalidztwa z powodu wypadku Bronisław sprawnie zarządzał swoim majątkiem, potomstwa jednak nie miał. Dlatego też w 1938 r. adoptował wnuków swojej siostry bliźniaczki - Konstancji Woronieckiej, braci: Stanisława (1909-2001, Francja) i Adama (1911-1993, Brazylia) Doria-Dernałowiczów. Dzisiaj jedynymi sukcesorami Szlubowskich są synowie Stanisława: Jeremi i Hubert.

Herb gminy Podedwórze

Na wniosek Rady Gminy w Podedwórzach został w roku 1998 opracowany herb gminy, który od chwili zatwierdzenia uchwałą Rady Gminy jest wykonywany na potrzeby gminy Podedwórze.

Herb gminy Podedwórze w języku heraldyki został opisany następująco: *w polu czerwonym gródek srebrny (biały) z trzema takimiż krzyżykami greckimi luzem, dwoma od czoła, trzecim w otwartej bramie. Barwy ustalone zostały w oparciu o zasady heraldyczne. Czerwone pole tarczy najbardziej typowe jest dla herbów szlacheckich oraz herbów miast, dziś także gmin, należących w przeszłości do dóbr szlacheckich.*

Przy opracowaniu herbu gminy Podedwórze nawiązano do tradycji historycznych terenów wchodzących w jej skład. Podstawowym jego elementem stał się wizerunek drewnianego gródka, to budowla o charakterze obronnym zwieńczona strażnicą nakrytą stożkowym dachem, z otwartą bramą. W bramie oraz powyżej budowli umieszczono trzy krzyżyki. Stanowią one nawiązanie do krzyżyka, który znajdował się w herbie Kopciów. Mogą one też być odczytane jako symbol trzech parafii (katolickiej, unickiej, prawosławnej) i trzech kościołów znajdujących się na terenie gminy. Ułożone w polu herbu gminy dają świadectwo zgodnego współistnienia społeczności parafialnych, ale przypominają zarazem o ich historii.

Nazwa „Podedwórze” stanowi najstarsze zachowane źródło historyczne dotyczące tej miejscowości. Nazwa ta, przez językoznawców zaliczana do nazw kulturowych, wskazuje, że wieś była bądź położona w pobliżu dworu-grodu, bądź wchodziła w skład dóbr ziemskich, których siedziba znajdowała się w nieodległym grodzie. W XVI w. słowo dwór oznaczało: dom mie-



Herb gminy
Podedwórze

szkalny, budynek, siedzibę szlachcica właściciela majątku ziemskiego; a także pałac, zamek, rezydencję, siedzibę zwierzchnika. Dosłownie „pode-dworze” oznaczało plac położony przed dworem. Staropolskie słowo dwór odnosić można do jakiejś formy grodu obronnego. W przeszłości na tym terenie znajdował się drewniany gródek najpewniej w miejscowości Opole. Wnosić to można na podstawie dwóch faktów: informacji płynącej z samej nazwy „Opole”, która w średniowieczu oznaczała większą jednostkę osadniczą, stojącą na czele większej liczby osad rodowych. Miejscowość stojąca na czele takiej jednostki osadniczej mogła posiadać budowlę obronną. Na istnienie w Opolu gródka zdają się też wskazywać wzmianki źródłowe odnoszące się do Opoli z XVI w. W pierwszej połowie XVI w. znajdował się w Opolu ośrodek zarządzania przyległymi dobrami ziemskimi.

Maria Katarzyna z Zaleskich i Roman Rudniewski

Maria Rudniewska z d. Zaleska od wczesnej młodości pisała pamiętnik, kilkadziesiąt brulionów spłonęło w warszawskim mieszkaniu podczas Powstania Warszawskiego. Po wojnie starała się niektóre minione wydarzenia zapisać aby w ten sposób uchronić je od zapomnienia. Pisała tak jakby opisywała inną osobę - autorkę przedwojennych pamiętników.

... poza kilkoma większymi nowelami i powieściami - autorka od 1919 roku pisała „Pamiętniki Marii Zal”. Były to wspomnienia dziecka jeszcze i dlatego ciekawe i charakterystyczne.

Rewolucja październikowa i jej odzew i skutki na Inflantach, gdzie autorka z rodzicami przebywała lat parę w pięknym majątku Eleonorowie - opisy przyrody - nieprzebytych lasów i błękitnych jezior, lazurowego nieba kontrastują z potwornościami rewolucji, napadu bandy armii czerwonej na dwór, zranienie Ojca ciężko w głowę, ukrywanie się incognito w polskim miasteczku, przyjście Niemców co ratuje od niechybnej śmierci wszystkich Polaków - ziemian. W niespełna pół roku armia niemiecka odstepuje Rosji Inflanty i wycofuje się z prawem przewiezienia Polaków do Polski. Rodzina autorki powraca do kraju. Trzy tygodnie kwarantanny w Dźwińsku i dwa tygodnie jazdy towarowym wagonem.

W okolicach Białegostoku, gdzie wagony zostają opróżnione i podróżni mu-



Maria Rudniewska

szą już furmankami dojechać do granicy polskiej grasuje banda ograbiająca reemigrantów. Ojciec autorki cudem ratuje się.

W Warszawie na dworcu gdzie czekają na możliwość dostania się do mieszkania w Alejach, mieszkania którego nie oglądali przez całą wojnę, ojciec autorki kupuje gazetę, gdzie znajduje się długi artykuł pod tytułem Bolszewizm na wsi, czyta: „W majątku Antopol Ziemia Lubelska, pana Bohdana Zaleskiego po wyjściu Niemców miejscowa służba i okoliczni chłopci rozgrabili i ...” Wyrzuceni z Inflant skąd uratowali tylko siebie, w Polsce wracają do ruin, według artykułu nie mają właściwie do czego wracać. W Polsce rozwija się pseudokomunizm.

20 grudnia ojciec autorki odbiera sobie życie. Zostają sami, z młodą, piękną matką, nie przygotowaną do pracy ani do walki. Dwie starsze córki Misia i Mira oddane zostają do klasztoru, do Szymanowa, młodsi Zosia i Janusz pozostają w domu.

Szymanów, cudowny pałac Lubomirskich, gdzie przed kilku laty założyły siostry Niepokalanki swój dom wychowawczy dla panienek ze wsi, tonie w cudownej zieleni ogromnego parku. Kaplica artystycznie i bogato dekorowana, robi niezapomniane wrażenie, na artystycznej duszy zbolelej dziewczynki. Szybko aklimatyzuje się w gronie miłej klasy pod opieką zacnych, białych sióstr.

Po pierwszym wypracowaniu za które dostaje 5+ - upaja ją powiedzenie jednej z koleżanek Wandy Jeżmanowskiej: - Cieszy nas to, że przybyło do nas tak dobre pióro!

Niepokoi ją tylko rodzina, co z domem, jak żyją, czy mama na czas znajdzie pieniądze i czy zdąży nadejść do klasztoru punktualnie. Pięć lat przebywa autorka w Szymanowie. Prześmieszne są opisy różnych figlów dziewczęcych i nieznośnych kawałów koleżeńskich, niewinne a jakże smutne przeżycia „rozmówek” z Mistrzynią czy Przełożoną s. Karolą. Długie rozdziały poświęcone są notatkom z rekolekcji takich mówców jak o. Pawelski, K.M. Nowakowski i innym znakomitościom Kościoła, którzy w ciągu tych pięciu lat urabiali jej duszę.

Pamiętne są opisy wizyty Nuncjusza Papieskiego późniejszego Ojca św. Piusa XI. A w następnym roku odwiedzin Hoovera.



Maria Rudniewska

W międzyczasie Matka z młodszym rodzeństwem zamieszkuje w Antopolu, gdzie już została opanowana sytuacja, więc wakacje są zawsze cudowne. Przerzywa to wojna bolszewicka, ale na krótko. Jako dziecko nie zwraca uwagi na jej skutki, bawi się z całą czeredą chłopaków z czworaków w „Bałacho”, ona jest legendarnym generałem Bałachowiczem i dowodzi bandą dwudziestu bałachowców. Janusz jest Piłsudskim i ma też swoich 20 zuchów, wróg jest niewidzialny, nienamacalny, ale dosięgają go „bomby” z pichu i kule z procy. Gra jest wspaniała.

W następnym roku całe lato to jazda konna. Ma nareszcie dobrego wierzchowca i na koniu, w mniejszym czy większym towarzystwie zwiedza Podlasie, odwiedza po różnych wsiach swoich rodziców chrzestnych, a było ich wielu, nie wszyscy jeszcze wtedy żyli. Było to osiem par chłopów, którzy najbardziej ucierpieli swego czasu prześladowanie za wiarę od caratu.

W tym okresie spotyka się ze swoją pierwszą wielką miłością - cudny szwoleżer Staś Mierzeński z Opola, najbliższy sąsiad, zakochał się diabelnie, chyba z wzajemnością.

Wakacje to słońce, konie, tenis i flirty. Zjawia się uroczy paż Antek, „cow-boy” Wacław - piszący przez wiele lat fantastyczne i urocze do niej listy-nowele, aż nadszedł wielki dzień, gdzie poznała swą wielką miłość. Rozdziały poświęcone jemu to słowa młodziutkiej dziewczyny, którą przeraża ta bałwochwalcza, demoniczna miłość, która instynktem coś rozumie i odczuwa, ale ogromu tego się lęka. Nie lęka się spędzić nocy przy jego łożu gdy całą noc kona, przestrzeliwszy sobie płuca i ramię. Samobójstwo Juragi popełnione na jej oczach nie obudziło w niej większego uczucia do niego, raczej jakiś wielki żal do siebie, że nie potrafi pokochać i dlatego ten dobry, uroczy człowiek nie chce żyć i pragnie śmierci. Ale nie umarł....

W międzyczasie zaręczam się i odręczam i znów zaręczam się.

Komiczne są te wynurzenia na temat narzeczonego. Ale ostatecznie widocznie było jej przeznaczeniem zaręcza się ostatni raz ze swym przyszłym mężem.

W tym czasie kończy z żalem klasztor i wstępuje na uniwersytet, wybuchają rozruchy majowe, gdzie ginie dużo uroczych jej znajomych a specjalnie żałuje i oplakuje Kazia G., który padł w obronie szkoły Sztabu jako porucznik ułanów I Pułku Krechowieckiego. Lato smutne, żałobne, bez tańców. Matka porucznika Kazia bawi latem w Antopolu w wiecznej żałobie i zaczynają się seanse spirytystyczne, tzw. duchy, które z czasem doszły do takiej perfekcji, że przyjeżdżał inż. Stefan Ossowiecki i kilku innych specjalistów zaintrygowanych fenomenalnymi wynikami. Seansom tym

specjalnie oddaje się matka autorki, która święcie wierzy w duchy, w ich prawdziwość i dokładnie wypełnia to, czego duchy sobie życzą i jej radzą robić.

Warszawa zimą, więc całe opisy sztuk teatralnych. Teatr, który zawsze ją pociągał, nawet chciała być artystką. Był czas, że chciała być lekarzem, odwiedzała więc szpitale. Ale obecnie pochłaniał ją teatr, narzeczony jest jednym z dyrektorów operetki warszawskiej „Nowości”, codziennie może mieć łożę, podziwia więc cudowną Lucynę Messal w Bajaderze, „Fras-cicie”, „Katie Tancers” i w wielu innych operetkach zachwyca się uroczym Bolesławem Mierzejewskim, przemiłą Żelską, Sokołowską, Jóźwiakówną, a w Teatrze Polskim niezmiernie (?) piękną Pancewiczo-wą, która w sztuce „Wiera Mircewa” zrobiła na niej niezapomniane wrażenie. A Mila Kamińska w niesamowitych toaletach, a Przybyłko-Potocka i opery, gdzie podziwiała swego stryja Orde Zygmunta Zaleskiego.

I karnawał, nie chciała tylko mieć różowej czy niebieskiej sukni z puszkiem łąbędzim, bo to były obowiązkowe, może przysłowiowe suknie na pierwszy bal. Dostała więc żółtą i czerwoną, a później przyszły zielone, czarne ale nigdy z puszkiem. Bale w „Resursie Kupieckiej”, „Resursie Obywatelskiej”, Hotelu Europejskim, dancingi w „Savoy,u”, ... dalekie dawne czasy rok 1927. Bale z nieodłączną koleżanką Ulinką Berg z Płockiego, a przy niej cała plejada Racięckich, Cichockich i uroczych braci de Thunów. Poznaje bardzo dużo młodych ludzi, podobają się mniej lub więcej, oświadczają się i podkochują, ale jest wszak zaręczona i 28 kwietnia 1927 roku wychodzi za mąż o godzinie 12 w południe w kościele Zbawiciela. Kareta wysadza czarną dziewczynę w bieli w wielkim koronkowym welonie, która bardzo dziecinnie i nieśmiało kroczy przez czerwony dywan do głównego ołtarza. Kościół nabity, za zaproszeniami, ale pełno, ks. Nowakowski daje ślub. Po przyjęciu sakramentu małżeństwa już jako pani Romanowa Rudniewska odchodzi od ołtarza kobieta dorosła, pani wyrobiona towarzysko. Przyjęcie w Polonii, wyjazd za granicę - Francja, Hiszpania, Paryż, Biarritz, Saint



Maria Rudniewska

Jean de Luz. Ciekawe są opisy z tej podróży. Wrażenia z Louvru, Versalu, Palais Royal, pięknych magazynów, teatrów, kabaretów, wytwornych restauracji i dancingów.

Atlantyck, urocze St. Jean de Luz - Luchon - położone w Pirenejach i samotny hotel - pensjonat stojący na jednym ze szczytów francuskich Pirenejów, do którego dojeżdża się kolejką linową. No i Lourde. Nie była nigdy w Częstochowie ani w Ostrej Bramie w Wilnie i dlatego tak silnie robi na niej wrażenie Lourde. W tej emocjonującej podróży poślubnej, gdzie jak w kalejdoskopie przewijają się najróżniejsze wrażenia, najrozmaitsi ludzie, kraje i miasta, życie układa się między młodym małżeństwem zasadniczo dobrze. Są może pewne nieporozumienia, pewne tarcia, ale są natury błahych nic nie znaczących. On często przypomina jej tragiczno-komiczne chwile z dnia ślubu. Po pierwsze w dalekiej Włodawie, jakże dalekiej od słonecznego Biarritz, w dzień ich ślubu Jurago znów usiłował popełnić samobójstwo, w ostatniej chwili wytrącono mu broń, wystrzelił w sufit. Ale ten strzał rozniósł się dalekim echem. Po drugie, w dniu ślubu, gdy wszyscy byli już w kościele czy już w Polonii i służba w Alejach 3 Maja, co chwila odbierała depesze, kwiaty i życzenia zjawiał się z wielkim bukietem pan poseł Urbański, wrócił tego dnia z Berlina, wiadomość o ślubie panienki tak go zaskoczyła, że odebrał z rąk pokojowej swój bukiet i zleciał jak szalony ze schodów.

Po powrocie do kraju spędza ostatnie dni lata u Matki w Antopolu. Mąż w Warszawie remontuje, urządza duże, własne i wyjątkowo efektowne mieszkanie przy ul. Marszałkowskiej 25.

Rodzeństwo już nie jest takie małe, najmłodsza Zosia zapowiada się na bardzo ładną dziewczynę. Uczy się w Tarnowie u sióstr Urszulanek. Janusz nad wiek poważny i zrównoważony kształci się w Chyrowie. Mira, trochę niezdolna, dokuczliwa w Zbylitowskiej Górze w Sacré Coeur. Zastaje wszystkich na wakacjach, miło układają się stosunki. Ona czuje się gościem, jest mężatką, odnoszą się do niej z szacunkiem i należytych respektach. Nikt nie może jej rozkazywać, jest panią swej woli. Fraulein Dettlof opiekunka tych młodszych nie ma też nic do niej. Matka nawet odsyła do niej gospośnię w sprawie dyspozycji obiadu i kolacji czy tortów i ciastek.

Grają całymi dniami w tenisa, z Januszem jeżdżą konno i gadają serdecznie i wyjątkowo szczerze. Zniknęły gdzieś tłumy młodzieży, gwar i zamęt wizyt, nareszcie w Antopolu zapanował spokój. Na pewno nie na długo, bo wkrótce, gdy podrosną młodsze siostry, też będą zjeżdżać do nich ekipy młodych epuzerów.

Wczesna jesienią zjeżdża na stałe do Warszawy. Mieszkanie znajduje

prześliczne, cieszy się i jest naprawdę szczęśliwa, mąż zawsze miły, uśmiechnięty, zgaduje wprost jej myśli i życzenia. Mając dużo gustu i smaku z wykształcenia architekt mieszkanie odnowił i urządził pięknymi antycznymi meblami otrzymanymi od mej Matki, a także otrzymanymi w spadku po swym stryju, podróżniku po Tybecie, wspaniałymi wschodnimi kobiercami, bezcennymi wazami z brązu i pełnymi czaru i tajemniczości obrazami.

Dopóki nie ma jeszcze dzieci, pokój dziecienny zajął brat męża - Wilo, zacny, młody prawnik, a już radca wojewody warszawskiego Sołtana. Wkrótce ożenił się i przeniósł do swego mieszkania.

Pierwsza gosposia, która dzielnie prowadzi gospodarstwo młodego małżeństwa, to Basia miła i zacna, żyje na pewno jeszcze, zawsze ją z serdecznością wspominano na Marszałkowskiej. Świetna kucharka.

Pierwsze Boże Narodzenie spędzamy w Bydgoszczy, u rodziny męża. Teściową swoją, którą wszyscy nazywają Mamcią przez cały czas bardzo lubiła i ceniła. Mika młodsza siostra męża i jej mąż Ludwik, dwie małe córeczki Krysia i Renia, ładne, udane dziewczynki, stanowią miłą rodzinę, miły dom w którym króluje Mamcia, zawsze ładna, dbająca o siebie pani i jej matka Bunia.

Święta przechodzą w miłym i serdecznym nastroju. Po wieczery wigilijnej zjawia się św. Mikołaj z worem prezentów na plecach, przemawia górnolotnie, egzaminuje z pacierzy malutka Kysię przebrana za aniołka, która błednie i różowieje, z wielkiej tremy nagle czuje, że ma mokre majteczki, zaczyna rzewnie płakać i boleśnie zaklina się, że już nigdy więcej, że to ostatni raz, taki wstyd. Ogólna konsternacja, wycieranie kałuży na pięknym dywanie i Krysia na rękach Miki znika w dzieciennym pokoju.

Misia jest już w poważnym stanie, dotychczas nie cieszyła się, ani zbyt nie przejmowała się tem, ale teraz w Bydgoszczy, obserwując swe małe siostrzeniczki, nastąpiło w niej jakieś przedziwne objawienie radości i szczęścia, wtedy chyba zrozumiała, że i ona będzie mieć taką córeczkę jak jedna z tych małych, że i ona będzie mateczką swojej przyszłej córeczki, że później przyjdą inne dzieci, może i syn, o ile będą chcieli. Mąż jej Roman często też mówił tam, podczas świąt: - Zrozumiałem co to za szczęście mieć dziecko. Nie mogłam się doczekać kiedy będziemy mieli córkę czy syna - ale ja zawsze chciałam córkę.

30 stycznia 1928 roku przychodzi na świat upragniona córka. Misia nie pamięta nic z urodzin swej pierwszej dziewczynki, była uśpiona, poród był bardzo ciężki. Gdy po wszystkim przywieziono ją do pokoju leżała jeszcze dłuższy czas senna, nieprzytomna a mały szkrab w białym łóżeczku zapłaki-

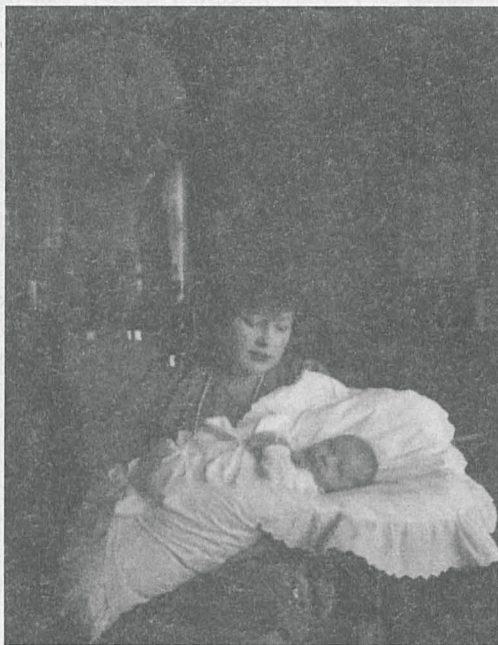
wał się w niebogłosy. I nagle chora poruszyła się, usłyszała krzyk dziecka: Kto tak płacze? Czemu tak głośno krzyczy? Pytała niewyraźnie nie otwierając oczu, ja chce spać, zabierzcie to dziecko stąd! Ależ Misiu to twoja córeczka - Roman nachylił się nad nią i cicho jej tłumaczył: - Urodziłaś śliczną dziewczynkę... . Urodziłam? Tak? A czy urodziły się też filiżanki i spodeczki i talerzyki i laleczki???

- pytała nieprzytomnie. Pani jeszcze nie wie co mówi - odezwał się obcy głos kobiecy, pielęgniarka tłumaczyła mężowi. Po chwili chora otworzyła oczy. Wiem, że mówię głupstwo, bo nie można urodzić filiżanek i spodeczków, ale nie wiem dlaczego musiałam to powiedzieć. Teraz pokażcie mi tą córeczkę, ona będzie Lili! Córka to była maleńka odrobinka o blond włosach i dużych niebieskich oczach. Podobna jest bardzo do ciebie Romanie, to dobrze, będzie szczęśliwa w życiu.

25 marca chrzciny, wielka uroczystość, chrzciny w domu. Za specjalnym pozwoleniem ksiądz Prałat Nowakowski dokonuje tego świętego obrzędu. Gości pełno, cos w

rodzaju balu czy rautu. Ciocia Szlubowska z Radzynia i wuj Genio Frankowski profesor antropologii trzymają małą do chrztu. Cały Antopol w komplecie. Śliczna moja matka jest tak przejęta swoją pierwszą wnuczką, że już nie wiem czym tą małą dziewczuszkę obdarować. Citki Mira, Zosia i wuj Janek czyja się jakoś dostojnie i dorosło i bardzo są dumni ze swojej siostrzenicy. Maria Alicja i odtąd 25 marca zawsze jest dniem imienin małej Lili.

Mijają tygodnie i miesiące, Misia żyje tylko swoją córeczką, która rozwija się dobrze, normalnie, nie ma żadnych kłopotów ani zmartwień. Natomiast nie może sobie dobrać odpowiedniej pielęgniarki. Te Schwestern są naprawdę niemożliwe, zupełnie nie dbają o dziecko. Misia co miesiąc je zmienia i żadna nie może jej dogodzić. Jedna zastrzegła, że nikt do niej nie ma prawa się wtrącać, żadna babcia, żadna ciocia, ani tym bardziej ona, do



Maria Rudniewska z córką Alicją

pokoju dziecinnego nikt poza nią i pokojowa nie ma prawa wstępu. Misia zgodziła się, ale cierpiała przez dwa dni męki opuszczonej matki, której zabrano dziecko i z tej rozpaczy kupiła sobie małego jamnika żeby się nim zajmować. Tak wytrzymała miesiąc. Ale poczcziwa Basia kucharka z zaciętą pokojową, oburzone na zarozumiałą „wielką panią pielęgniarkę”, takich strasznych rzeczy naopowiadała, tak ją przeraziły, że w ciągu godziny po Schwestern Otylii nie było już śladu. I wtedy znaleziono siostrę Brońcię, miłą Polkę, rumianą i wesołą, zdrową i silną, a jamnik poszedł do kuchni pod opiekę Basi.



Boże Narodzenie - Alicja Rudniewska na kolanach u Schwestern; z lewej strony siedzi Maria Zaleska z prawej Maniusia Bernatowicz późniejsza Ułaszynowa; od lewej stoją Roman Rudniewski, Benedykt Sobański i Leon Kozłowski po drugiej stronie choinki, fot. 1929 r.

Lili była coraz mądrzejsza, uśmiechała się, wyciągała rączki, ubierano ją jak lalkę, a Brońcia wieczorami dekorowała śliczny wózek w coraz to inne falbany i kwiatuszki.

W maju Lili odwiedziono do Babci do Antopola. Na parę tygodni przedtem Babcia przewróciła cały dom do góry, odremontowano i upiękuszono boczny apartament składający się z trzech pokoi. Dziecinnie pokój urządzono na

biało nowymi mebelkami z białej laki. Obok na prawo był pokój Brońci z wanną i maszynka do podgrzewania potraw dla małej. Z lewej strony pokój sypialny dla rodziców. Pomimo, że w oborze antopolskiej było przeszło 100 krów holendrów, a w Piechach 80, Babcia kupiła kozy, bo ponoć kozie mleko zdrowsze i bardziej zalecane dla dzieci. Pomimo, że z Warszawy przyjechał wózek spacerowy, Babcia specjalnie zakupiła biały, wiklinowy, głęboki z podnoszona budką śnieżno-biały. Na dworcu w Parczewie wielki powóz oraz cztery konie i wóz pod rzeczy.

Mijając wsie i miasteczka napotykali na grypy ludności miejscowej, którzy domyślając się kto jedzie kłaniali się, kobiety machały rękami, a poczwąwszy od Opola gdzie zaczynała się parafia, gdzie stoi stary, biały kościół z grobowcami dawnych przodków a dalej kościół czerwony zwany nowy, wybudowany przez dziadka i ojca Misi, gdzie w podziemiach spoczywa. I tam gdzie stoi dwór opolski, dawne gniazdo jej przodków, a ostatnio dom rodzinny Stacha Szwoleżera, jej pierwszej miłości. Ludzie już nie zachowując pozorów, nie kryjąc swej ludzkiej ciekawości, zatrzymywali konie, zaglądali do powozu i oglądali to małe dziewczętko, które nic się ich nie bało. A w Antopolu przed dworem na ogromnym gazonie zebrany tłum służby folwarcznej, parobków ich rodzin i gapiów z odległych wsi. Kowalski trzaskając z bicia z kawalerską fantazją okrążył ogromnych rozmiarów trawnik i zatrzymał konie przed gankiem. Tam już stała starsza Babcia Henrykowa Zaleska i młoda Babcia Zofia, ciocie i wuj, i miss Froom, służba i stara gospodyni - wszyscy zbiegli ze schodów by pomagać wynosić dziecko. Ludzie wiwatując i krzycząc niech żyje, zanosili się w wiwatach i powitaniu. Jakaś bardzo stara kobieta zbliżyła się do Misi z bukietem polnych kwiatów i małym kurczakiem w ślicznym koszyczku i całując ją w rękę, prosiła przyjąć te dary dla najmłodszej panny dziedziczki od służby folwarcznej.



Lila Rudniewska w Antopolu 1931 r.

Przez całe życie z miłym rozczuleniem wspominała ten pobyt u swej Matki. Pogoda dopisywała cudownie. Dnie spędza przy Lili bądź z siostrami, gromadnie jeżdżą do lasu na konwalie, na spacer, tenis po podwieczorku, wieczorem po kolacji, po wspaniałych kolacjach antopolskich z karasiami w śmietanie, czy inne tym podobne przysmaki, podstawiano wierzchowca i z Jankiem „leciała w dal”. Była dorosła, nikt niczego nie mógł jej zabronić, nawet nocnych, konnych wypraw z baratem.

Po paru tygodniach wyjeżdża z mężem do Krynicy. Dziecko zostało pod dobrą opieką.

Misia była ładna, młodziutka, radośnie szczęśliwa, w Krynicy otoczyli ją znajomi i świeżo poznani ludzie, i każdy na swój sposób tłumaczył jej, że jest śliczna, tak bajecznie młoda, że życie przed nią, że trzeba z życia korzystać i bawić się, bo życie tak szybko mija. - Ależ ja mam już córkę i męża, co mi więcej potrzeba? - odpowiadała im, zdziwione robiąc oczy i bawiła się bo cieszyło ją powodzenie, przypominała sobie swe panińskie lata i dziwiła się, że teraz też cieszy ją zabawa, powodzenie i flirty..., że i w małżeństwie można się bawić i tańczyć. Nagle depesza z Antopola przerywa bez troski nastrój rozbawionej Krynicy: - Lili ciężko chora, przyjazd konieczny.

Wyjechali natychmiast i zabrali chore dziecko do Warszawy. Grypa czy przeziębienie rzuciło się małej na nerki. Lili zmizerniała, przycichła, miała silne bóle, godzinami leżała otepiała, by znów godzinami krzyczeć.

Nie było lekarzy pediatri w Warszawie, którzy by nie odwiedzali małej. Gdy i tych zabrakło zjawił się wielki Landau, który radził szybki wyjazd do Egiptu, Semerau-Siemianowski znów nie radził wyjazdu. Stary Baczkiewicz przepisał jakieś proszki i kazał czekać. Stankiewicz i Kopeć i wschodząca sława Barański kiwali głowami i dawali zastrzyki, aż pewnego dnia w styczniu jedna ze znajomych pań poradziła młodego lekarza doktora Ludwika Pensona. Przyjechał, miły, sympatyczny, uroczy człowiek i od tej pory on został jedynym lekarzem ich domu. Wyleczył małą. Zmora choroby zniknęła i Misia mogła znów bawić się, a był to karnawał. Bale, dancingi, toalety, wzmianki w prasie o jej sukniach o jej urokach.

25 marca pierwsze imieniny Lili, wielki bal na Marszałkowskiej. Kwiaty, prezenty, kosze wina i egzotycznych owoców od Hirszfelda, bomboniere czekolady - wszystko adresowane Lili Rudniewska. Od 8 godziny dzwonki za dzwonekami, panie w dużych dekoltach, panowie we frakach. Kolacja wystawna, trzech lokai z Franciszkiem na czele, muzyka, tańce, około 6 rano goście raczą się rozchodzić. Już świtało, zimny jeszcze zimowy wiatr wiał przez otwarte okna gdy weszła do dzieciennego pokoju z mężem. Mała cichutko spała. - Pomyśl, ona nic nie wie, że to były jej imieniny, że dostała

tyle kwiatów, tyle prezentów - rzekła do męża uśmiechając się mimo zmęczenia. - Nie szkodzi, dowie się wkrótce i co roku będzie obchodzić gdy dorosnie. Pomyśl jakie to będą bale. Ale czy wiesz, nie wiedziałem, że ty taka młoda, a tak cudnie i sprawnie umiesz gości przyjmować. Dzisiejsze przyjęcie zrobiłaś wspaniale, służba zachowała się znakomicie, wszystko było cudownie udane, cudownie pomyślane. Będziemy częściej robili takie przyjęcia i radzę Ci wybrać sobie jakiś dzień w tygodniu, by wtedy móc przyjąć ludzi, żebyśmy poza tym mieli czas dla siebie na teatr czy na wizyty. - Myślałam o tym, dobrze żeby to był wtorek. I tak zaczęły się sławetne wtorki u państwa Rudniewskich na Marszałkowskiej.

Bywały wtorki skromne, normalne z kawą i petit-fourkami, gdzie zjawiało się kilka osób, przyjaciół, bliższych znajomych, rodzina. Bywały wtorki liczne - huczne, bywały oficjalne, gdzie goście defilowali i po pół godziny znikali. Były i wielkie imieniny pani czy pana domu, czy ich córki.

Misia miała dużo pięknych pań znajomych, piękne kobiety dekorują piękne salony. Salon Misi robił się znany z pięknych kobiet i ciekawych mężczyzn. Ludzie tak zasmakowali w przyjęciach wtorkowych, że od września poczawszy telefony urywały się z pytaniem: - Czy Państwo już we wtorki przyjmują? A Różna niezmiennie zapisywała nazwiska pytających, odpowiadając, że Pani jeszcze na wsi. Albo, Pani jeszcze nie wróciła z zagranicy.

Stopniowo Misia zaczęła się wciągać w pracę społeczną, zapraszano ją do różnych dobroczynnych stowarzyszeń: Koło Polek, LOPP, z panią Leśniewską, panią Makowską, panią Dzieciółowską na czele. A więc zebrania, komitety, bale, dansingi, Zjednoczenie b. Wychowanek SS Niepokalanej, Biały Krzyż z panią generałową Dreszerową Wandą. Towarzystwo Opieki nad Weteranami Przeszłości z panią Janiną Dunin-Wąsowiczową. Opieka nad weteranami 1863 roku, co roku na ich święto i zjazd w Warszawie solenne nabożeństwo z księdzem biskupem Gawliną (?), dekorowanie kwiatami grobów powstańców. Odwiedziny u Marszałkowej Piłsudskiej, gdzie zawsze przebywał marszałek Rydz-Śmigły. A później raut w Europejskim z całą generalicją i niezapomnianym, uroczym generałem Wieniawą-Długoszewskim. Stosunki przyjacielskie z kilkoma paniami z prac społecznych przetrwały poza wojnę, do czasów współczesnych, do Polski Ludowej. Dużo z nich już nie żyje, wiele wyjechało za granicę, jak Zofia Arciszewska, Hania Demidecka, Halszka Drymerowa. Ale z Janką Dunin-Wąsowiczową, J. Dzieciółowską, J. Makowską pozostające w Polsce zawsze były i są najmiłsze, przyjacielskie stosunki, chociaż życie Misi bardzo się zmieniło. Ale pozostały dla niej najmiłszymi przyjaciółkami

i często są jedyną ucieczką i podporą w jej smutnym życiu, pełnym niepowodzeń i smutków.

Wśród tej wielkiej ilości znajomych odwiedzających ich we wtorki, w spisie który często podaje w swym dzienniku poza oficjalnymi znajomymi zagranicznymi, których również przyjmują na kolacjach czy obiadach, poza przyjaciółmi i ludźmi interesów męża, na spisach do końca będą się pojawiać nazwiska kuzynów i kuzynek, ciotek i dalszych krewnych, z którymi Misią utrzymuje serdeczny i miły kontakt. Jest to przeważnie rodzina ze strony jej Matki, ludzie z Kresów, których po stracie majątków na dalekiej Ukrainie, Podolu, Wołyniu, przygarnęła stolica. Młodzież często starsza od Misi już na stanowiskach, dzielnie pracująca, zamożna. A ciotki, to starsze, miłe panie, wspominające ze wzruszeniem swoje dwory czy pałace pełne antyków i pamiątek, swoje konie, lasy, służbę, konfitury i babki tiulowe... A więc ciocia Mania Wiszniewska z Koszykowej, niegdyś wielka piękność a wtedy miła, schorowana staruszka, gościnna i serdeczna z zawsze ujmującym uśmiechem na ustach i jej dwie dorodne córki: Irena, która wyszła za mąż na Litwę Kowieńską za Jerzego Grużewskiego i Manusia nazwana przez Lili ciocią Brukselką, miła, nieco egzaltowana, przez długie lata przyjaźniąca się z młodszą z sióstr Zaleskich - Zofią, i nieodłączne jej koleżanki z MSZ Henrysia i Maryńcia Podhorskie, z zacnym swym bratem panem Piotrem, którego żona pani Stefa długo uchodziła za wielką piękność w Warszawie.

Ciotka Flora Zienkiewiczowa z córką Dziutką i uroczym synem Ziemkiem, żonatym już z pełną powabą Jadziёнką, której córka Zofia zapowiada się świetnie.

Ciotka Emilka Ipohorska-Lenkiewicz, niegdyś piękna pani, dziedziczka wielkich włości, teraz załamana i zboląła po śmierci swego 23 letniego syna Tomka, pięknego jedynaka. I jego koledzy Vaciulko Białokur i Edzio obaj z MSZ.

Generał Sochaczewski ze ślicznym swym synem Adzikiem, Zabłocki-Pomidor, Stas Młodzianowski, piękny rotmistrz szwoleżerów żonaty z uroczą Zosią Betticher. Ciotka Młodzianowska i wuj Roman w tym czasie pomarli, idealnie dobrana para kochających się ludzi.

Ciotka Mania Zdziechowska-Tomaszewska, rodzona siostra matki Misi z dwoma synami Zygmuntem żonatym z Wierą, księżniczką rosyjską i Olkiem.

Trzech braci Kozłowskich Juraś, Włodzio i Lonio, który najbliższy był z rodziną Misi, przebywał często w Antopolu. W rozliczeniu za swą pracę dostał ruiny zamku w Janowcu. Żonaty z Teresą Miączyńską.

Nie wspominam tu często bywających u mnie rodzeństwa - Janek studiuje w Warszawie, więc stale wpada.

W tym czasie zupełnie niespodziewanie Rząd Łotewski wypłaca Polakom mającym tam niegdyś majątki groszowe odszkodowania. To groszowe odszkodowanie wynosiło w pierwszej racie na każde z dzieci i Matkę po 45.000 złotych gotówką na stół! Na parę tygodni zjechała cała rodzina z Antopola do Warszawy, zamieszkali w pensjonacie i zaczęły się fantastyczne zakupy: stroje, futra, fryzjerzy etcetera..., i nagle obie siostry zrobiły się bardzo eleganckie i ładne. Obie na pół roku wyjechały do Paryża i Nicei. Zosia zawsze bardzo ładna, podobna do matki, o świetnej figurze i zadatkach dobrego głosu - ale z Paryża wróciła pięknoscią.

Zosia zaręcza się z pełnym uroku Jankiem Sikorskim, ziemianinem z Pomorza.

Tylko taki fragment wspomnień Marii Rudniewskiej ocalał.

Maria Katarzyna Zaleska urodziła się 25 listopada 1904 r. w Antopolu. Była wychowanką sióstr Niepokalanek w Szymanowie. Wyszła za mąż w 1927 r. za Romana Rudniewskiego. Rodzina zamieszkała w Warszawie, ale Maria Rudniewska czas swój dzieliła pomiędzy Warszawę a posagowe Tokary. O ile mogła odwiedzała też Antopol, Radzyń i była w stałym kontakcie z rodziną.

W Warszawie dała się poznać jako aktywna działaczka społeczna w kręgu pań zgrupowanych wokół marszałkowej Aleksandry Piłsudskiej. Wraz z innymi członkiniami zajmowała się zbieraniem funduszy na rzecz Towarzystwa Opieki nad Weteranami 1863 roku oraz Towarzystwa Opieki nad Dziewczętami z Baraków. Urządzała rauty, bale, koncerty dobroczynne, a także świadczyła pomoc rzeczową dla grupy swoich podopiecznych. Była też aktywną działaczką Ligii Obrony Przeciwlotniczej, a najdłuższy staż pracy społecznej miała w Związku Jazłowieckim Byłych Wychowanek SS Niepokalanek.

Co roku pięć miesięcy przebywała w Tokarach, aktywnie uczestniczyła w życiu tokarskiej społeczności.

Małżeństwo Marii i Romana Rudniewskich dało początek bardzo szczęśliwie układającemu się życiu rodzinnemu. Natomiast dla Zofii Zaleskiej zięć okazał się niezastąpionym doradcą w podejmowaniu trudnych decyzji w bardzo skomplikowanych interesach. Odciążył ją w wielu nieuniknionych posunięciach dążących do ratowania pogarszającej się sytuacji finansowej majątków.

Wydatnie przyczynił się do przyspieszenia otrzymania odszkodowania za

utracone majątki na Inflantach.

Przyczynił się do pozbycia nieuczciwych administratorów i dzierżawców a nade wszystko pomógł bratu żony Januszowi Zaleskiemu w jego pierwszych samodzielnych krokach w prowadzeniu Antopola.

Podziwu godne było tak wielkie zaangażowanie w sprawy rodziny żony.

Roman Rudniewski

Inżynier Roman Rudniewski był człowiekiem niezwykle aktywnym, otwartym na nowoczesność, bez reszty oddany radiofonii. Była to w owym czasie dziedzina nowatorska, w której odegrał poważną rolę jako główny organizator i inicjator, dyrektor administracyjny Spółki Akcyjnej Polskie Towarzystwo Radiotechniczne (PTR)¹³⁾.

Roman Rudniewski (1893-1965) urodził się 7 marca 1893 r. w Stanisławowie, był synem Karola Richtmana Rudniewskiego inżyniera i Heleny z Sas Pasławskich. Ukończył gimnazjum oo Jezuitów w Chyrowie w 1911 r. Studiował na Politechnice Lwowskiej.

Po wybuchu I wojny światowej powołany do wojska austriackiego, walczył w szeregach lwowskiego pułku piechoty, początkowo na froncie wschodnim. A od 1915 r. na froncie włoskim. W listopadzie 1918 r. jako porucznik brał udział w obronie Lwowa. W 1919 r. powrócił na studia, lecz ponownie został zmobilizowany.

Studia architektoniczne dokończył w Wyższej Szkole Technologicznej w Dreźnie. Po praktyce w niemieckich zakładach elektrotechnicznych firmy Simens oraz w radiotechnicznej firmie Dr. Erich Huth w Berlinie przyjechał do Warszawy w 1920 roku. Wspólnie z przyjacielem z okresu studiów inżynierem elektrykiem Władysławem Hellerem założył jedną z pier-



Bracia Roman (1893-1965) i Wilhelm (1897-1935) Rudniewscy

¹³⁾ Maciej Kwiatkowski, Tu Polskie Radio Warszawa, PIW 1980, s. 48.

wszych w Polsce firmę radiotechniczną „Farad”, przy ul. Zajączkowskiej 9 na Mokotowie. Po jej połączeniu w 1923 r. z firmą „Radiopol” i utworzeniu w 1924 r., przy pomocy obcego kapitału nowego przedsiębiorstwa pod nazwą Polskie Towarzystwo Radiotechniczne został jego dyrektorem.

Tu, przy ul. Narbutta 29 powstała pierwsza wytwórnia lamp radiowych, a także sprzętu radiotechnicznego, przede wszystkim na potrzeby wojska.

Był współinicjatorem uruchomienia przez PTR w dniu 1 lutego 1925 r. pierwszej próbnej radiostacji nadawczej. Jako dyrektor handlowy wyjechał do Anglii aby zapoznać się z osiągnięciami angielskiej radiofonii.

Rudniewski należał do działaczy najsilniej zaangażowanych w rozwój polskiej radiofonii. Był członkiem zarządu Stowarzyszenia Radiotechników Polskich, prezesem Zrzeszenia Przedsiębiorstw Radiotechnicznych w Polsce, działaczem powstałego w 1925 r. Centralnego Komitetu Polskich Zrzeszeń Radiotechnicznych CK PZR, prowadził działalność odczytową i popularyzatorską na łamach prasy.

To właśnie Roman Rudniewski 1 lutego 1925 r. ogłosił pierwszy komunikat radiowy na fali 385 metrów, powiadamiając słuchaczy, że uruchomione zostało nowe mass medium.

Był współorganizatorem I Ogólnokrajowej Wystawy Radiowej w Warszawie, maj-czerwiec 1926 r., przewodniczył też komitetowi I i II Dorocznej Wystawy Radiowej w 1938 i 1939 roku w Warszawie.

Po upadłości PTR w 1928 r., pracował w powstałych w to miejsce Polskich Zakładach Markoni. W 1929 r. był jednym z głównych inicjatorów powstania Instytutu Radiotechnicznego w Warszawie.

W 1930 roku inżynier Rudniewski przeszedł do pracy w Polskim Radio, gdzie jako kierownik wydziału zajął się szeroko zakrojoną akcją radiofoni-



JÓZEF EDER



HOTEL ANIELSKI

*Zygmunt Richtman Rudniewski z córką
Halszką późniejszą Laskowską*

zacji kraju. Aby można było posłuchać radia należało zadbać aby łącznie dobrze funkcjonowali ludzie i sprzęt. Na zlecenie dyrektora naczelnego Polskiego Radia dr Zygmunta Chamca, Roman Rudniewski opracował projekt produkcji i sprzedaży popularnego odbiornika detektorowego, aby w ten sposób wpłynąć na upowszechnienie radia w Polsce. Tak powstała akcja Detefon prowadzona przez Polskie Radio od 1930 r. Detefon w okresie międzywojennym był najbardziej upowszechnionym odbiornikiem radiowym, słynne radio kryształkowe, nie wymagające zasilania energią elektryczną.

Śledząc przebieg sprzedaży Dete fonu Roman Rudniewski zwrócił uwagę, że najsłabiej przebiega ona tam, gdzie nie dociera komunikacja.

W związku z tym, w 1934 r. założył przedsiębiorstwo Polskie Linie Samochodowe i uruchomił kilka linii autobusowych w okręgu warszawskim i plockim. Pomysł ten wspierał Eugeniusz Kwiatkowski, który wówczas, w latach 1931-1935 pozostawał na stanowisku dyrektora Państwowych Fabryk Związków Azotowych w Chorzowie i Mościcach. A w latach 1926-30 piastował ważne funkcje państwowe, m.in. ministra przemysłu i handlu.

Znajomość a nawet przyjaźń datuje się z czasów szkolnych w Chyrowie. Kwiatkowski doskonale rozumiał rangę przedsięwzięcia. Polskę podzielono na pięć regionów, w których rozwój linii autobusowych miał ułatwić komunikację.

Roman Rudniewski był inicjatorem projektu typowego dworca autobusowego, połączonego z hotelem. Pierwszy dworzec z tego projektu wzniesiony został w Płocku.

Inżynier Rudniewski był członkiem rady nadzorczej i członkiem prezydium Polskiego Związku Przedsiębiorstw Elektrotechnicznych PZPE. Związek



Karol Richtman Rudniewski w mundurze oficera armii austriackiej, Lwów 1917 r.

ten w 1934 r. powołał komisję do opracowania wytycznych rozwoju polskiego przemysłu radiotechnicznego.

W 1939 r. był delegatem na Międzynarodową Konferencję podziału fal radiowych w Montreux. Był także przez pewien czas wiceprezesem Związku Stowarzyszeń Właścicieli Przedsiębiorstw Samochodowych RP, wieloletnim członkiem i działaczem Automobilklubu Polskiego oraz członkiem Izby Przemysłowo-Handlowej w Warszawie.

W 1939 r. zmobilizowany jako porucznik rezerwy wojsk pancernych, brał udział w kampanii wrześniowej. Internowany w Rumunii, pracował w Radio Philips i studiował na uniwersytecie w Bukareszcie¹⁴⁾.

Inżynier Roman Rudniewski swoją pracą zawodową i społeczną zasłużył się dobrze sprawie organizacji i rozwoju polskiej radiofonii. Stale interesował się wprowadzaniem postępu technicznego w kraju. Był człowiekiem niezwykle zaangażowanym, przedsiębiorczym i energicznym a jednocześnie koleżeńskim, towarzyskim i lubianym. Zmarł nagle 17 kwietnia 1965 r.¹⁵⁾

Ojciec Romana - Karol Richtman Rudniewski urodził się w Małopolsce w styczniu 1862 r. Jego ojciec Zygmunt Richtman Rudniewski był inżynierem budownictwa dróg kolei żelaznej w południowej Małopolsce - w Galicji. Żonaty był z Anną Jastrzębiec Rudnicką, z którą miał troje dzieci: Karola, Franciszka (nie był żonaty) i Halszkę zamężną za Laskowskim. Do dziś prawie w niezmienionej formie stoi ich dom przy ul. Mickiewicza we Lwowie.



Karol Richtman Rudniewski w mundurze majora wojsk polskich, Lwów 1918

¹⁴⁾ Biogram w Słowniku Biograficznym.

¹⁵⁾ Wspomnienie pośmiertne Jerzego Kubiатовskiego o Romanie Rudniewskim.

Karol Richtman Rudniewski po studiach na Politechnice i po ślubie z Heleną z Sas Pasławskich w 1891 roku mieszkał we Lwowie i według informacji w zapisie Księgi Adresowej Królestwa Stołecznego Miasta Lwowa z 1897 r. pracował w Namiestnictwie Lwowskim jako adiunkt.

Z czasem stał się uznanym budowniczym wielu obiektów we Lwowie. Najznakomitszym jego dziełem była budowa kościoła pod wezwaniem św. Elżbiety we Lwowie według projektu Teodora Talowskiego. Arcybiskup Józef Bilczewski podpisał umowę z architektem budowniczym Karolem Richtmanem Rudniewskim, powierzając mu wykonanie wszystkich robót budowlanych¹⁶⁾, artykuł w „Kurierze Galicyjskim” nr 19 z dnia 17.10.1908 r.

Kościół św. Elżbiety, obecnie cerkiew św. Olgi i Jelizawiey jest w stylu neogotyckim wzorowanym na katedrze św. Stefana w Wiedniu, przetrwał II wojnę światową w niezłym stanie, zniszczeniu uległy tylko witraże.

W 1946 r. zamknięty przez bolszewików i zamieniony na magazyn, co spowodowało całkowite zniszczenie wnętrza, w tym freski i rzeźby. Zachowała się ambona, krucyfiks i część ołtarza w stylu Art. Deco.

Dziełem Karola Richtman Rudniewskiego jest także szereg monumentalnych budowli we Lwowie jak na przykład gmach filii Wiedeńskiego Banku Związkowego przy ul. Smolki, projekt gmachu Dyrekcji Kolei Państwowych, gmach Izby Rękodzielniczej, dom przy ul. Fredry 2, dom - ul. Akademicka 28, przebudowa kaplicy w Stryju i kaplicy hrabiów Dzieduszyckich.



*Helena Sas-Pasławska Rudniewska
matka Romna, fot.: 1913 r.*

¹⁶⁾ Informacje o rodzinie Richtman Rudniewskich z archiwum Tomasza Natorffa.

Karol Richtman Rudniewski wedle wzmianek w ówczesnej prasie ...”był znaną figurą lwowską choćby dlatego, że należał do pionierów automobilizmu, jeździł eleganckim czerwonym samochodem marki „Gregoire”. Samochodów nie było jeszcze wiele, więc każdy właściciel stawał się automatycznie własnością publiczną. Na przykład chirurg prof. Ryd-gier ze swą bardzo dużą i sportowo wyglądającą „Italią”, też czerwoną, ale bijącą się z kolorem jego rozwianej rudej brody...

... Czy w roku 1910 kiedy się balon wznosił „Gregoire” jeszcze istniał, nie wiem¹⁷⁾.

Myślę, że już go zastąpił inny samochód. Richtmann był współnikiem firmy architektoniczno-budowlanej Richtmann i Ulejski. Budowano dużo. Lwów się rozwijał, pieniądze płynęły. I Richtmana i Ulejskiego widywałem

później we Wiedniu w latach 1914-1918. Ulejski był oficerem rezerwy i dowódcą oddziału, który zajął serbski konak-pałac królewski podczas zdobycia Belgradu.

Karol Richtman Rudniewski czynnie uprawiał kilka dyscyplin sportowych. Oprócz wspomnianego automobilizmu także jazdę konną, narty, łyżwiarstwo, tenis oraz szermierkę.

Znany bibliograf Ludwik Grajewski wspominał go jako świetnego i znanego szermierza, który szkolił w klubie młodych entuzjastów tego sportu, między innymi późniejszego generała Abrahama.

Największą jego pasją były loty balonem, a lot w którym udział wziął Karol Richtman Rudniewski uznany został w literaturze poświęconej początkom polskiego lotnictwa jako debiut sportowy cywilnego balonu.



*Roman Rudniewski w mundurze
oficera austriackiego z matką
fot. 1918 r.*

¹⁷⁾ Fragment książki Stanisława Reychana „Pamiętnik dziwnego człowieka”, wydawnictwo Universitas, Kraków 1992 r., s. 78-79.

Władysław Abramowski w swojej pracy „Latawce” (aeroplany), drukarnia artyst. K. Kopytowski, W-wa, 1910 r. s. 22 pisze: We Lwowie z inicjatywy inżyniera Edmunda Libańskiego zawiązało się pierwsze polskie Towarzystwo celem popierania awiatyki polskiej pod nazwą „AWIATA”. Do nowo-zawiązanego Towarzystwa przystąpiło przeszło stu członków ze sfer technicznych i sportowych, w ich liczbie szereg ludzi zajmujących wybitne stanowiska w społeczeństwie. Statut zakreśla Towarzystwu szerokie pole działania przez wykłady i dyskusje, próby, badania i doświadczenia tak w dziedzinie teorii, jak i praktyki lotniczej, ogłoszenie fachowych prac i rozpisanie konkursów, reszcie utworzenie biblioteki i muzeum lotnictwa. W porozumieniu z „Awiatą”, z inicjatywy hr. Dzieduszyckiego, inż. Libańskiego, inż. Richtmanna, powstała spółka udziałowa, celem urządzania wzlotów w Polsce.

Projektowano nabycie dwóch płatowców typu Bleriot i Voisin i urządzenie szereg lotów pokazowych w celach propagandowych we Lwowie, Krakowie, Warszawie.

Pilotami mieli być wyłącznie Polacy. W bardzo krótkim czasie wspomniana spółka posiadała około 30000 koron, a więc sumę wystarczającą na rozpoczęcie zamierzonej akcji. Ideowa strona tego przedsięwzięcia zasługiwała na poparcie całego społeczeństwa. Chodziło o uprzedzenie wiedeńskiego Flugtechnischer - Verein, które nosiło się z zamiarem urządzania lotów w Małopolsce, a tym wytrącenie z rąk Polaków możliwości zaprezentowania na ziemiach polskich własnych płatowców i pilotów. Jeszcze w 1909 r. Libański wznosił projekt udania się wraz z Richtmannem i Dzieduszyckim na praktykę do fabryk Bleriota i Voisina w celu zapoznania się ze szczegółami konstrukcji ich produkcji i techniki lotów. Myślą przewodnią tych poczynań spółki było stworzenie podstaw narodowych przemysłu lotniczego, poczynszy od wybudowania własnych warsztatów lotniczych, które z czasem można byłoby przekształcić w fabrykę płatowców mogącą produkować własne samoloty. To zaczerpnięte jest z książki Jerzego R. Koniecznego - Zaranie lotnictwa polskiego, wyd. MON Warszawa 1961 r. str. 207-209.

Bez wątpienia najszacowniejszą budowlą cywilną Lwowa jest i był gmach teatru. Karola Richtmana Rudniewskiego łączyła zażyłość i przyjaźń z ówczesnym dyrektorem Ludwikiem Hellerem a będąc melomanem cechowała go słabość do wszelkich przedsięwzięć i sztuki jaką reprezentował teatr lwowski. W notatce pośmiertnej o jego związkach z Teatrem Lwowskim tak napisała „Gazeta Poranna” z dnia 9 lipca 1921

roku: Śp. Inż. Richtmann był znany także jako wybitny meloman i przyjaciel teatru. Za czasów dyrekcji Ludwika Hellera ś.p. Zmarły niejednokrotnie w ciężkich chwilach podtrzymywał byt naszej sceny, przyczyniając się też swymi funduszami do umożliwienia wyjazdu dramatu lwowskiego do Paryża w 1912 r.

Z hojności Karola Richtmana Rudniewskiego korzystał także kościół katolicki, a w szczególności zakon Jezuitów. W 1892 r. zakon otrzymał od Ministerstwa Skarbu dawną kaplicę hr. Dzieduszyckich i niezwłocznie przystąpił do odnowienia jej po kilkudziesięciu latach użytkowania jako archiwum akt sądowych. Wśród sponsorów finansujących remont był Karol Richtmann Rudniewski, który wspólnie z Andrzejem Romaszkanem ufundował jeden z witraży - św. Ksawerego.

Arcybiskup lwowski ks. Józef Bilczewski sprowadził Jezuitów do Stryja. Superior Ojciec Waszyca zaadaptowanie okazyjnie nabytej rudery na kaplicę Zgromadzenia powierzył inżynierom lwowskim Bauerowi i Richtmannowi. Znane damy z towarzystwa lwowskiego złożyły się na opatrzenie zakrystii nowej kaplicy w konieczne przybory i naczynia kościelne¹⁸⁾.

W cytowanej już pracy ks. Załęskiego na s. 1136-1137, mowa jest o zarządzonej przez kongregację pań Dzieci Maryi w 1904 roku zbiórce kosztowności dla ozdobienia korony i sukienki obrazu Matki Boskiej Większej (Śnieżnej) powstałego w 1570 roku jako kopii obrazu z rzymskiej bazyliki Santa Maria Maggiore. Przyozdobienie koroną obrazu postanowiono uświetnić uroczystością w wielkim stylu, z udziałem duchownych trzech wyznań, przedstawicieli związków zakonnych, oficjeli miejscowych i zaproszonych gości. Na potrzeby tak okazałej uroczystości powołano komitet koronacyjny, z którego wyodrębniono komitet artystyczno-techniczny. W skład tego komitetu weszli profesorowie Politechniki Lwowskiej: Teodor Talowski, Antoni Popiel (rzeźbiarz, autor pomnika A. Mickiewicza we Lwowie, T. Kościuszki w Krakowie i Waszyngtonie, rzeźb na budynku Teatru Lwowskiego), Andrzej Romaszkan, Tadeusz Czapelski (dziennikarz), inżynier Karol Richtmann i Superior Sopuch. Techniczną stroną odnowienia ołtarza i przemienienia go w kaplicę, zajął się Karol Richtmann z nadzwyczajnym poświęceniem i sumiennością, bez honorarium za rozliczne trudy, pomimo, że w tym czasie prowadził budowę wielkiego kościoła św. Elżbiety na Nowym Świecie we Lwowie.

¹⁸⁾ Informacja pochodzi z pracy ks. Stanisława Załęskiego *Jezuici w Polsce porzbiorewej 1820-1905*, Kraków 1906, tom V, cz. II, s. 1126.

Wskrzeszona kaplica z ołtarzem M.B. Pocieszenia przedstawia się artystycznie piękną, bogatą, wspaniałą. Zasluga to Komitetu artystyczno-technicznego, a szczególnie panów Richtmanna, Romaszkana i Czapelskiego, którzy na miejscu roboty doglądali i tysiące spraw ważnych i drobnych, jak to w podobnych razach bywa, z poświęceniem czasu i trudu załatwiali.

Za zgodą kapituły watykańskiej 27 maja 1905 roku odbyła się uroczysta koronacja obrazu Matki Boskiej Pocieszenia. Kościół przyozdobiono, Miasto ozdobiło okoliczne ulice i place flagami, w wielu domach sami mieszkańcy stroili okna i balkony. W procesjach szło duchowieństwo, przedstawiciele miasta, władz rządowych, delegacje, stowarzyszenia. Sam akt koronacji ogłosiły miastu salwy z moździerzy. Po zakończeniu uroczystości - Niestrudzony inżynier Karol Richtmann osadził cudowny obraz w ołtarzu kaplicy Matki Boskiej Pocieszenia, przed którym codziennie odprowadzają się Msze św. Obraz jest obecnie we Wrocławiu w kościele pw. św. Klemensa Dworzaka Ojców Redemptorystów.

Z przekazów rodzinnych i ksiąg adresowych wiadomo jest, że Karol Richtman Rudniewski z rodziną na początku XX w. mieszkał we własnej, pięknej i niezwykle okazałej, trzypiętrowej kamienicy z neobarokową dekoracją rzeźbiarską z 1899 r., w centrum miasta - przy ul. Akademickiej 28. Apteka Pod św. Duchem i lokale mieszkalne były wynajmowane. W jednym z nich mieszkał Aleksander Zakrzewski, który w swych pamiętnikach wspominał swe sąsiedztwo. Następnym ich domem była willa, a raczej pałac z dużym ogrodem i oficyną przy ulicy 29 Listopada 49. Zachowały się zdjęcia wnętrza z okazji ślubu Zofii Laskowskiej siostrzenicy Karola z panem Zawistowskim, a także z uroczystości chrzcina ich córeczki - Marysi Zawistowskiej.

Richtmanowie posiadali również majątek ziemski Byliny koło Olecka.

Dziadka Karola Richtmana Rudniewskiego i pradziadka Zygmunta znam tylko z portretów, fotografii, publikowanych pamiętników i artykułów ukazujących się we współczesnej im prasie, ale bardzo mało z bezpośrednich relacji Babci Heleny i mego Ojca - mówiła o rodzinie ojca Alicja Rudniewska.

Z okresu blisko dwudziestu lat, gdy zamieszkiwano we Lwowie przy ul. 29 listopada 49, mam w pamięci garstkę wspomnień pani Herminy Ehgartner, która mi je przekazała. Pani Herma była guwernantką cioci Miki siostry mego ojca, Niemką z pochodzenia. W czasie okupacji w 1940 roku matka moja zaangażowała ją aby uczyła nas języka niemieckiego. Pamiętam jej zachwyty nad sielankowym trybem życia, mieszkańców

pałacu, nad poziomem prowadzenia domu, wakacjami spędzanymi na Rywierz, w Dalmacji lub Bylinach. Lubiła nam opowiadać, że to dzięki Dziadkowi, który z racji swej pozycji miał wpływy w Magistracie, zbudowana została linia tramwajowa wzdłuż ulicy 29 Listopada z oddalonego śródmieścia. Ciekawe były jej opowieści o zatrudnionej w pałacu służbie, a najdziwniejsze, że do obowiązków pokojowych należało po każdej bytności kogokolwiek w toaletach wyposażonych w W.C. umieszczanie plasterków cytryny w miskach sedesowych!! Od pani Hermy wiemy, że ulubioną rasą psów były charciki włoskie i wyżły, niezbyt dobrze tolerujące małąkę rezusa, który też mieszkał w pałacu, chociaż niszczył portierey i firanki.

Frohlein Herma z rozczeniem oglądała obrazy, rzeźby, niektóre meble w naszym mieszkaniu na Marszałkowskiej, które pamiętała gdy zdobyli mieszkanie Dziadków.

Także od Hermy dowiedziałam się, że brat Dziadka, czyli stryj Franciszek na stałe mieszkający w swej pięknej willi w Badenie pod Wiedniem, został przywieziony przez Dziadka Karola do Lwowa, gdy ciężka i pewnie nieuleczalna choroba odebrała mu siły. Brat zapewnił mu u siebie najlepszą opiekę i poczucie bezpieczeństwa. Po jego śmierci bratankowie odziedziczyli po nim ciekawe eksponaty sztuki starochińskiej przywiezione przez Franciszka z podróży do Azji.

W 1914 r. Dziadek został powołany do armii austriackiej jako oficer rezerwy.

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę, a następnie po zagrożeniu Lwowa podczas wojny polsko-bolszewickiej wstąpił do wojska polskiego wraz ze swym automobilem i jako dowódca O.G. Lwów awansował do stopnia majora.

Zmarł nagle 6 lipca 1921 roku w Warszawie. Jego trumnę wieziono ze szpitala Ujazdowskiego na lawecie do dworca Wiedeńskiego, skąd do Lwowa.

W „Kurierze Lwowskim” nr 162 z dnia 13 lipca 1921 r. ukazał się tej treści nekrolog: Major inżynier Karol Richtman Rudniewski dowódca dyonu wojsk samochodowych O.G. Lwów, były radny miasta Lwowa, zmarł dnia 6 lipca 1921 r. w Warszawie, przeżywszy 58 lat. Pogrzeb odbędzie się dnia 12 lipca z krypty Bernardynów na cmentarz Łyczakowski do grobowca rodzinnego o czym zawiadamia stroskana rodzina. Nabożeństwo żałobne odbędzie się 12 lipca br. o godz. 9 przed południem w kościele oo Jezuitów.

Wdowa Helena z Sas Paślowskich mieszkała z córką Marią - Miką Stojowską we Lwowie. W 1924 roku rodzina Miki i Ludwika Stojowskich

z matką przeniosła się do Bydgoszczy, mieszkali przy ul. Peterzona 14. Helena Richtman Rudniewska bardzo przeżyła śmierć syna Wilhelma. Po wojnie Ludwik Stojowski został dyrektorem banku w Gdyni i tam przeniosła się rodzina. Helena z Sas Pasławskich Richtman Rudniewska zmarła w 1960 r.

Pierwszą prawnuczką bardzo już wiekowej właścicielki Antopola Antoniny z Korwin Piotrowskich Henrykowej Zaleskiej a także pierwszą wnuczką jej synowej Zofii z Doliwa Sobockich Bohdanowej Zaleskiej była urodzona 30 stycznia 1928 roku Alicja Maria Rudniewska.

Drugie dziecko Marii i Romana Rudniewskich - Karol urodził się 5 listopada 1931 roku, jego rodzicami chrzestnymi zostali Władysław Heller przyjaciel Romana Rudniewskiego z radia oraz Mika Jordan Stojowska siostra Romana.

Młodszy syn państwa Rudniewskich **Karol Jerzy Rudniewski** urodził się 5 listopada 1931 roku w Warszawie. Uczestnik Powstania Warszawskiego w oddziałach Szarych Szeregów, literat, dziennikarz, wydawca. Zmarł w Warszawie 4 marca 1997 roku, przeżył 66 lat¹⁹⁾.

Jako harcerz Szarych Szeregów walczył w Powstaniu Warszawskim. Przeżycia z tego okresu znalazły swój wyraz w zbiorze opowiadań „Czaszka na srebrnej tacy” (1964). Miał też w dorobku powieść sensacyjną „Czy pani wierzy w duchy?” (Iskry 1964). Rok później wydrukowała ją w odcinkach wychodząca w Kanadzie polonijna gazeta „Związkowiec”.

Był dziennikarzem, wcześniej studiował orientalistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Współpracował z kilkoma redakcjami: m.in. Sztandarem Mł-



*Pierwszy z prawej
Karol Rudniewski z przyjaciółmi
na tarasie willi w Konstancinie*

¹⁹⁾ Jan G. Fal, Wspomnienie o Karolu Rudniewskim, nekrolog.

dych, Kurierem Polskim, Tygodnikiem Demokratycznym. Etatową pracę podjął w „Przyjacielu przy pracy” w 1962 roku, był z nim związany przez 35 lat. Przez 13 lat kierował działem terenowym, przygotowywał materiały z zakładów pracy. Pisał dużo, śmiało i odważnie, bronił ludzi pracy, pokrzywdzonych w zakładach. Szczególnie starał się być tam, gdzie krzywda dosięgała ludzi poszkodowanych w wypadkach i atakowanych przez choroby zawodowe. Plastycznie przedstawiał stan bezpieczeństwa i higieny w zakładach, jakże często zły, nawet katastrofalny. Pisał o trudnej nie zawsze docenianej pracy służby bhp, o dolach i niedolach społecznych inspektorów pracy, o błędach popełnianych przez niektóre komisje powypadkowe. Mawiał często: „Naszym atutem jest, że możemy pomagać ludziom”. Z tematyka bhp wszedł na łamy ogólnopolskiego tygodnika Kultura, a że pisał tak jak jest, naraził się na pretensję ówczesnych partyjnych decydentów. Perypetie z tym związane przedstawił w artykule „O co kruszyłem kopie” („Przyjaciel przy pracy” nr 10/1979).

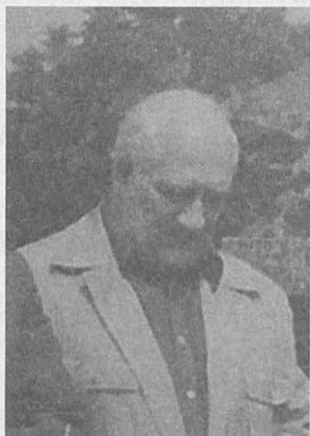


Karol Rudniewski, 1950 r.

Tematyka bezpieczeństwa pracy, a dokładniej dylematy behapowca stały się treścią powieści Karola Rudniewskiego „Sprawa”, wydanej przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie. Była to pierwsza beletrystyczna próba przedstawienia tego zagadnienia.

Nie bał się konfliktów, jakie nie omijały ludzi nie związanych z żadną partią polityczną. Był zawsze bezpartyjny, gdyż dobro ludzi a nie polityka stało się jego najważniejszą ideą.

Przez kolejne lata 1975-1980 był dziennikarzem związkowego „Głosu Pracy”, ale pisywał też do „Przyjaciela przy pracy”. W niespokojnym roku 1981 r. redaktorem naczelnym „Przyjaciela przy pracy” został Jan G. Fal i zaproponował Karolowi Rudniewskiemu powrót do redakcji. Wrócił i przez 7 lat był zastępcą redaktora naczelnego, a od 1988 roku, kiedy Fal przeszedł na emeryturę redaktorem naczelnym tego czasopisma. Od 1992 roku związał swoje losy z tą gazetą na dobre i złe jako jej właściciel i wydawca, szef Agencji Wydawniczej Behapress wydawca miesięcznika „Przyjaciel przy pracy”.



Karol Rudniewski, 1987 r.

Dzieciństwo we wspomnieniach Alicji Rudniewskiej

Rodzice wysłali córkę Alicję do najlepszej prywatnej żeńskiej szkoły w Warszawie, im. Cecylii Zyberk Platerówny. O latach szkolnych, przerywanych wybuchem II wojny światowej pani Alicja Rudniewska mówi: - „Szkoła była moją dumą”, tak pięknie zatytułowała Wanda Szczuka swoje wspomnienia. Mnie też napawała dumą, ale było to coś więcej, albo pojęcie dumy o wiele szerzej potraktowane, bo Szkoła Platerówny była moim dobrym, a właściwie cudownym dzieciństwem, stanowiła ramy pięknych wspomnień, niefrasobliwego życia, zaczątków życia dziecka, które odczuwało tak mocno i miłość rodziców, ich czułą pobłażliwość, ich żywą reakcję na każde uchybienie, czujne baczenie na każdy krok, uczynek, grymas czy uciechę. Tu zaczęło się poznawanie pojęcia dobra i zła, to wszystko było w murach gmachu Szkoły na Pięknej. Nie byłam dobrą uczennicą, nikt mnie nie psuł ani nie wyróżniał, ale mimo to rosło we mnie poczucie przynależności do grona rówieśnic w klasie, wychowawczyni, nauczycielek, utożsamiałam się z gmachem szkolnym, w którym doznawałam - tak jak w domu rodzinnym - błęgiego uczucia bezpieczeństwa, tak nieodzownego dziecku.

Radość codzienności z dźwiękiem dzwonka, modlitwa w dużej sali, gdzie nauczyłam się słuchać i śpiewać piękne pieśni: *My chcemy Boga Panno Święta... i Pójdź do Jezusa do Niebios Bram...*

Emocje inscenizacji jasełek, pierwsza moja rola na scenie: Byłam ubrana w hafty poleskie i chodaki z łyka, nogi owinięte w białe onuce zrobione z bandaży. Miałam wielkie naręcze suszonych, pachnących grzybów i mówiłam, specjalnie dla mnie napisane słowa:



Pierwsza wnuczka Zofii Zalewskiej
Alicja Maria, 1932 r.

**Wianek suchych grzybów
z mokrych puszczy poleskich,
aby las zapachniał
Dziecinie Niebieskiej.**

Pięknie obchodzony, z wózeczkami lalek, loterią fantową był Dzień Matki. Moc rozrywek, jak wycieczki do Chyliczek, wyprawy do ogrodu Raue'a, a przede wszystkim wspaniała uroczystość Pierwszej Komunii Świętej. I nagle z wybuchem wojny zawalił się ten piękny świat jedenastoletniej dziewczynce.

Wojna oszczędziła gmach mojej szkoły, ale przeszło 40 lat nie oszczędzali go podli ludzie, którzy w majestacie prawa rozsiedli się tu i tak, jak to zwykle bywa, gdy nie na swoim, niszczyli, dewastowali, jakby na siłę zacierając ślady innej epoki.

Zajrzałam tu raz, gdy ciężki smutek doskwierał i nie ustępował, zapragnęłam ukłknąć w szkolnej kaplicy. To co zobaczyłam w hall'u było wprost przejmująco straszne, niby to samo wnętrze, ale jakże odmienne, jakże zbrukane, jakże upodlone, zbeszczeszczone, trudno było dostrzec charakterystyczną dekorację stiukową, zatraciły się nawet proporcje przez dostawione przepierzenia, zagrody, lady i szyldy. Szlachetna stolarka obsmarowana podłg farbą, niechlujność, brakładu, w sumie nikczemne zmiany. Przerażała nieodwracalność losu kochanego gmachu, który chylił się ku ruinie - jeśli jeszcze nią nie był. Potem już nigdy tam nie zaglądałam.

Aż dziś w dzień oplatka Platerek, urządzanego w mało znanej większości uczennic - Sali internatu, skąd już krok do małej szatni na pół piętrze, a stamtąd widok na duży hol, na pierwszym planie schody główne...

Nie potrafię wyrazić uczucia doznanej pełni szczęścia na widok tego, co zobaczyłam i wdzięczności za to, że to co oglądałam kiedyś oczami berbecia - a co pod powieką żyło tak długo i piekło tamowanymi łzami, powstało znów i jest niezmienione, nieskalane, jest tak samo jak w dobrych latach Szkoły.

Jeszcze niezupełnie wykończone wnętrze, została jeszcze kosmetyka ścian, filarów, plafonu, ale jest już pięknie, godnie, wspaniale jak kiedyś. Nowymi schodami, minąwszy małą szatnię weszłam na pierwsze piętro, nie ma jeszcze zegara nad gabinetem Panny Reutt, nieśmiało uchyliłam drzwi do dużej Sali i... oniemiałam! Już prawie ukończona, jak dawniej wielka, przestronna, piękna, z tą samą perspektywą na stopnie do ołtarza zapamiętaną sprzed lat.

Brakowało tablicy Hrabianki, na pewno się odnajdzie, ale w przyszłości na tej właśnie ścianie uświęconej tradycją tablicy Hrabianki musimy złotymi czcionkami, złocistymi literami upamiętnić nazwiska tych wszystkich wspaniałych Platerek, które na nowo stworzyły szkołę dając jej z takim pietyzmem cudownie odrestaurowany gmach. Dziękuję Wam za to.

Wierni towarzysze dzieciństwa

W warszawskim mieszkaniu od zawsze domownikami były też psy. Pani Alicja Rudniewska niezwykle barwnie opowiada historie z ich udziałem:

Pierwszą fascynacją niespełna rocznego dziecka, budzącą moje zaciekawienie otaczającym światem był Dżim. Dziś jeszcze mam w oczach rzadko teraz spotykany u jamników kolor sierści, kolor kawy z mlekiem, jasny beż, nie zakłócony brunatną pręgą. Tylko wydłużony pyszczek ciemniał mu stopniowo aż do czekoladowego noska. Wydatne, mocne czarne pazury, groźnie pozaginane, zupełnie nie licowały z jego łagodnym usposobieniem, wesole błyski ślepi i stale merdający ogon świadczyły o dobroduszości i wielkiej sympatii, którą obdarzał otoczenie.

W pamiętniku Mamy znalazłam wzmiankę o Dżimie, okazało się, że kupiła go, gdy po złych doświadczeniach ze stale zmieniającymi się nursami (pielęgniarkami), przyjęła do mnie kolejną Schwestern Otylię. Otóż Schwestern zastrzegła sobie wyłączność opieki nad dzieckiem, jak również i to, żeby nikt nie wtrącał się do niej. Groźnie zapowiedziała, że w okresie mego niemowlęstwa nie życzy sobie, aby babki, ciotki a nawet matka przebywały w pokoju dziecinnym, że oprócz pokojowej nikt nie ma tam wstępu.

Młodziutka wówczas Mama dla dobra sprawy, w najlepszej wierze zdecydowała się podporządkować absurdalnym żądaniom despotycznej nursy - ale, jak przyznaje w pamiętniku - przeżywała męki i katusze opuszczonej i niepotrzebnej matki. Kupiła więc psa wierząc, że on wypełni pustkę, jaką odczuwała po odebraniu jej dziecka.

Otylia panoszyła się w naszym domu niespełna trzy miesiące. Zasadnicza, oschła, bez uśmiechu i wdzięku, taką zapamiętałam ją uwiecznioną na fotografii, na której trzymała mnie na kolanach. Była w welonie w paseczki na głowie i wykrochmalonym sztywno fartuchu. Ten jasny domowy welon zmieniała, gdy wyprowadzała mnie na spacer, kładła wówczas ciemno-granatowy z jakimś znaczkim emaliowanym nad czołem.

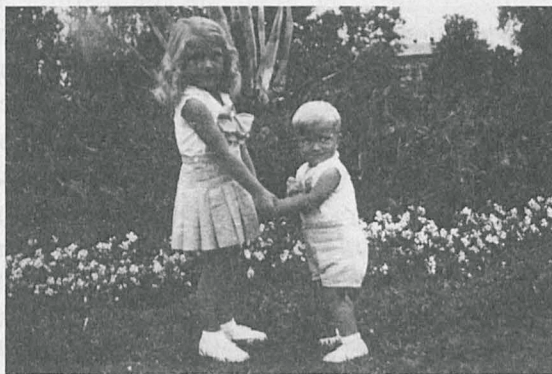
Podobno intrygi kucharki i pokojowej, misternie uknute przeciwko Schwestern, do tego stopnia przeraziły Mamę, że wciągu godziny ją odprawiła. Na

to miejsce przyszła siostra Bronia z Antopola, nazwana później nianią Brońcią, wesoła, rumiana, bez fochów, długo była przez wszystkich mile wspominana.

Dżim został odprawiony z sypialni Mamy, ale znalazł oddaną opiekunkę w kucharce Basi i zdobył też sympatie Brońci. To właśnie Brońcia przyprowadziła go do pokoju dzieciennego, to ona nauczyła mnie głaskać go i pieścić. Dotykanie jego aksamitnych uszków i gładkiej sierści na karku uspokajało momentalnie moje najbardziej gwałtowne wybuchy płaczu i łkania. Brońcia umiejętnie wykorzystywała owe kojące działanie Dżima i pozwalała mu często przebywać w pokoju dzieciennym, ale i chętnie zabierała go na nasze codzienne spacerunki po parku.

Wszystkich cieszyła moja przyjaźń z pupilem Mamy i reszty domowników. A domowników w tym czasie przybyło, w gościnnym pokoju zamieszkał stryj Wilo. Dżim go sobie wielce upodobał i najchętniej przebywał u niego. Dziś rozumiem, że uciekał do stryja przed natarczywymi objawami mej zaborczej miłości, która w miarę jak przybywało mi miesięcy pewnie stawiała się dla niego coraz bardziej męcząca.

Drugim ulubionym miejscem Dżima, gdzie chętnie popołudniami ucinął sobie drzemkę, była wilcza skóra pod biurkiem Papcia w gabinecie. Gdy udało mi się odkryć tę kryjówkę psiny, razem lokowaliśmy się na wygodnym, choć mocno mnie kłującym legowisku. Do jednego z miłszych wspomnień zaliczam zapamiętane rozczu-



Rodzeństwo Alicja i Karol, 1934 r.

lenie kochanego Ojca, gdy raz zastał mnie śpiącą z psem pod swym biurkiem.

Pamiętam nie tylko jego maść, która utożsamiona została z imieniem Dżima i pozostała zawsze w naszym domu określeniem odcienia koloru beżowego, czy dla specjalnego wyróżnienia urody spotykanych później jamników. Pamiętam jego krepą, ale zwinną sylwetkę w różnych sytuacjach - w domu i w parku, gdy smycz przytraczana była do wózka, najpierw mojego a później brata. Pamiętam jego jazgot na schodach, którym oznajmiał powrót ze spaceru, na który czasami wyprowadzała go kucharka Basia, otulona wełnianą, kraciastą chustą.

Pamiętam jeszcze takie zabawne zdarzenie, mogłam mieć wtedy trzy czy cztery latka, wracam z Mamą z firmy BOBO pani Jurjewiczowej przy ul. Kruczej. Mama zamawiała tam śliczne sukieneczki, ręcznie haftowane, zwiewne szatki, bardziej zaspokajające próżność Mamy niż potrzebne takiej smerdzie, jaką wówczas byłam. I właśnie wtedy urządziłam scenę, że trzeba też kupić Dżimowi nową obróżkę. Na Placu Zbawiciela był mały sklepik wyrobów rymarskich pana Orzeszka, na wystawie z wypchanym mopsem w obroży z kryzą z włosia borsuczego. O tę właśnie obrożę uparłam się prosić Mamę dla Dżima. Ponoć zastosowałam pierwszy mój szantaż, grożąc, że nie dam się ubrać w nowe sukienki, jeżeli Dżim nie dostanie obroży z wystawy - obroży z włosianą kryzą. Nie pomogły perswazje, tłumaczenia i klapsy. Obróżka z kryzą dla kochanego psa, który w oczach dziecka jawił się jako biedny i zaniedbany, bo pozbawiony przyjemności noszenia ozdobnej obroży - stało się moją obsesją. Kochany Papcio nazajutrz obróżkę kupił. Nie pamiętam co było dalej, ale wiem, że Dżin nigdy tej obroży nie miał na szyi.

Pewnej zimy, przed FIS'em, przeżyliśmy z bratem niezapomnianą przygodę - spotkanie z górami. Chociaż znaleźliśmy panoramę Tatr z ilustracji w książkach i z widokówek, to jednak to, co ukazało nam się rano z okien pociągu, przeszło wszelkie oczekiwania. Nie zdawaliśmy sobie sprawy ze skali tego kolosa, jakim jawił nam się teraz masyw Tatr. To niesamowite uczucie pokory wobec olbrzyma, ale i dumy, że to też mój kraj. Śnieg jarzył się w słońcu i niebieskie niebo wisiało nad szczytami, malowniczo ubrani furmani powozili rosochatymi konikami i nieznanego kształtu saniami, a nade wszystko ten rozkoszny dźwięk dzwonków.

Już pierwszego dnia dostaliśmy narty z kijkami, jak nam się wydawało z prawdziwego bambusa, bo wszystko ze sklepu Bujaka na Krupówkach przyprawiało o zawrót głowy. Starsza młodzież nosiła już wąskie spodnie kroju norweskiego i epatowała nowoczesnymi wiązaniem kandaharami - natomiast my, w bufiastych spodniach, ze zwykłymi wiązaniem u nart, czuliśmy się nieco pokracznie i to nas boleśnie peszyło. Następnego przedpołudnia byliśmy już na Lipkach, łagodnym zboczu przed Kasprusiami, gdzie instruktor, prawdziwy góral, sportowiec ostro się zabrał do zrobienia z nas rasowych narciarzy, tak przynajmniej zapewniała Mama. Już po paru dniach opanowaliśmy podstawowe, zasadnicze zwroty, christianię, pługowanie i mogliśmy towarzyszyć Papciowi na Cyhrle, gdzie szusowało się daleko stromym zboczem, a pod górę podciągał wynajmowany koń.

Popołudniami rozkoszowaliśmy się skikjoringiem za saniami, starannie omijając końskie pączki, przyczynę niezamierzonych hamowań, a często i wywrotki nieostrożnego narciarza.

Przeżyciem równym oglądaniu sztukmistrzów cyrkowych był konkurs skoków na Wielkiej Krokwi. Smukli narciarze nagle wzbijali się nad progiem zjazdu, szybowali ku górze z ramionami ściągniętymi do tyłu, śmiało opadali na zbocze i zgrabną christianią zatrzymywali się tuż przed publicznością, to zapierało dech w piersiach. Byliśmy świadkami pięknych lotów pana Staszka Marusarza. Zawrotna cyfra 49 metrów była sukcesem, który pasował go na mistrza Krokwi. Ale po kolejnym skoku, upadek skończył się ciężkim urazem. Jak dziś pamiętam ogłoszono głośno, jako wybicie jabłka w kolanie. Mimo to pan Staszek stał się moim pierwszym idolem, godnym podziwu i szczerego uwielbienia. Gdy później przedstawiono go Rodzicom i gdy przywitał się z nami, dziećmi, wiedziałam, że do końca życia będę jego wielbicielką i może naśladowczynią.

Niespodziewanie znajomość z bohaterem skoczni zaowocowała miłymi następstwami. Otóż pan Staszek zaprosił nas do siebie, pokazać szczeniaki owczarki. W szopie u niego hasała cała czereda białych urwisów pod okiem groźnej suki-matki. Pozwoliła nam jednak brać je na ręce, pieścić, nasz zachwyt nie miał granic. Wśród tych białych kłębuszków jeden, chyba wyrodek, bo inaczej umaszczony - beżowo-rdzawy, nawet nieco złocisty, traktowany był przez właścicieli pogardliwie i niechętnie. Szczeniaczek stronił od reszty rodzeństwa, był smutny jakby odtrącony. Ruchami i kształtem sylwetki ani odrobiny nie odbijał się od reszty, różnił się jedynie kolorem. Nasze błagalne spojrzenia, nieśmiałe prośby odniosły skutek. Mama uległa obiecując kupić tego nietypowego owczarka, a jak sama często zapewniała, cieszyła się iż nie jest pospolicie biały. Pozostał jeszcze przy matce do czasu wyjazdu, ale codziennie wpadaliśmy do chaty Marusarzów, aby się z nim pobawić. Radośnie nas witał i zauważyliśmy, że zaczął jak gdyby przewodzić rodzeństwu. To pewnie nasza sympatia dodała mu tyle pewności siebie.

Mamusia zastrzegła sobie wybór imienia, a że był już w Tokarach: Bridge, Poker, Impas, Karo, owczarek został nazwany Szlemem. Gdy już był z nami w Warszawie, wydawał się wcale nie tęsknić za rodziną, wnet zaczął nam przewodzić, okazywać nie tylko przywiązanie, ale i miłość. Był czuły, pieszczotliwy ale i czupurny, i bardzo szybko nabierał cech dorosłości. Objawiał dziwną nerwowość gdy przebywał tylko z jednym z nas, w zabawny sposób zaganiał nas oboje do dzieciennego pokoju i tam najpierw harcował z nami a potem uważnie warował przy drzwiach, obserwując nasze ruchy

i czynności. Papcio nas wyśmiewał, że Szlem poznał się na nas najlepiej, traktując jak barany. Ale skąd on do licha wiedział, że nie przepadamy za nauką i że nie jesteśmy orłami w klasie?

Wiosną przyjechał z nami do Tokar, początkowo onieśmielony czeredą dorosłych innych naszych ulubieńców, szybko zawarł przyjaźń ze wszystkimi i choć bardzo odbiegał charakterem, usposobieniem i obyczajami od reszty psów, stał się z czasem jakby opiekunem tego stada i przewodnikiem. Pan Strus podkreślał jego niebywałą spryt i przebiegłość i pewnie dlatego przeżywał go żulikiem.

Psy! Najbliżsi towarzysze zabaw i smutków, najlepsi nauczyciele serca dziecka. Dzięki tym kochanym stworzeniom, które ożywają we wspomnieniach, wracają zapomniane zdarzenia, widoki, zapachy, kolory - takie, jak je utrwaliła wrażliwość dziecka i do jakich powraca się z rozrzewnieniem, łzą i zadumą. Ileż wzruszeń, przeróżnych doznań, niepokojów, trosk, ale i radości i dumy zawdzięczać właśnie psom.

Rok 1935 zapadł mi w pamięci, jako rok pierwszy raz przeżywanej żałoby. Początek maja, jak nie często upalny, nagle zaskoczył śniegiem. Pamiętam w Łazienkach rozwinięte kiście bzu, uginające się smutno pod jego niepotrzebnym puchem. Oznaczało to ponoć złą wróżbę... i wtenczas właśnie zmarł nasz Marszałek Józef Piłsudski. Jego portrety z dumną głową i wyrazistymi oczami wystawione we wszystkich chyba witrynach sklepowych, wszędzie przybrano żałobnym kirem. Przejęty głos spikera w radio oznajmiał smutną wiadomość, którą nam dzieciom wyciskała lzy żalu, cały czas nadawano marsze żałobne Chopina.

Do wieczornego paciorka dołączona została przez starszych modlitwa: Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków, Amen. Tym wezwaniem mieliśmy wyrazić cześć dla pamięci Marszałka, chociaż nawet dobrze nie rozumieliśmy znaczenia wymawianych słów.

Kondukt żałobny oglądaliśmy z okien gmachu Gimnazjum Królowej Jadwigi w alejach Ujazdowskich - dokąd zaprosiła Rodziców przełożona szkoły ciocia Marta Frankowska. Ostatnia droga Marszałka z Belwederu do Katedry była ogromną manifestacją rządu i ludności stolicy. Pamiętam osieroconą Kasztankę, okrytą czarnym czapakiem, a przed trumną spoczywającą na lawecie, gęsty szpaler tworzyły rzędy szarytek z zapalonymi świecami, jakby wyznaczały szlak doczesnej drogi. Szwadron ułanów i niekończący się pochód sunący wolno i w skupieniu, wokół czarne flagi i dźwięki żałobnego marsza.

Rodzice wrócili z Krakowa, mówiło się dużo o Sawińcu, na którym cały naród ma usypać kopiec nazwany imieniem Marszałka. Maleńkie, niklowe taczki symbolizowały wysiłek i dobrą wolę tych, którzy włączyli się do wielkiego czynu, dostaliśmy ich kilka. I chociaż dom nasz nie był pro pilsudczykowski, a przyjaźń dziadka Bohdana z Romanem Dmowskim skłaniała Rodziców raczej ku endecji, to jednak wielkość Marszałka była doceniana, a jego strata boleśnie odczuta. Pamiętam częste westchnienia pełne obawy i słowa: Kogo to Marszałek pociągnie za sobą?

Przyszło lato, jak zawsze w Tokarach wszystkie rozkosze cudownego otoczenia, swobody i słońca. Aż nagle nadszedł telegram przywieziony przez syna kolonisty i doręczony Mamusi ze słowami niezgrabnych kondolencji: - Oto smutne zawiadomienie o śmierci brata

dzieńca. Nigdy Mama nie wybaczyła tej obcesowej niedyskrecji, pełnej ugrzecznionej nonszalancji.

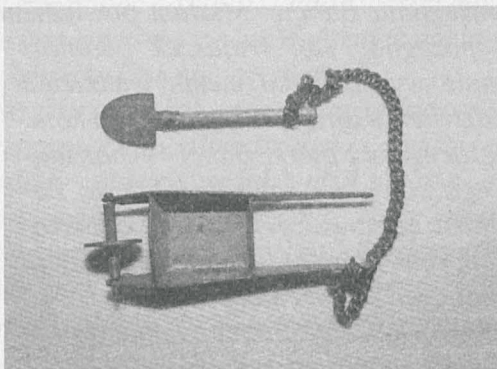
Wujaszek Wilo, czyli stryj Wilhelm, ukochany przez Papcia młodszy brat, trzydziestoparoletni, a już radca i prawa ręka wojewody warszawskiego pana Sołtana, zwykł zadziwiać nas swym kunsztem stawania na głowie. Te wyczyny spowodowały skręt kiszek. Po pośpiesznej operacji zmarł.

Przedwczesna śmierć stryja okryła żałobą naszą rodzinę. Paciorek wieczorny prosił o wieczny odpoczynek stryjowi Wilowi i Marszałkowi, racz im dać Panie i niechaj im świeci światłość wiekuista. To było bardzo smutne lato i pamiętam nieskrywaną rozpacz naszego ukochanego Ojca.

Pod koniec sierpnia nadeszła też depesza z wiadomością o śmierci prababci Antoniny Henrykowej Zaleskiej, matki ojca Mamusi. To już była wiekowa dama i śmierć jej nie zaskoczyła, ale wydało mi się dziwne, że i ją też zechciał Marszałek pociągnąć za sobą.

Mamusia zabrała mnie na pogrzeb i z Wysokiego Litewskiego jechaliśmy koleją do Włodawy, a tam już czekał Kowalski z czwórką koni. Prawie nocą stanęliśmy w Antopolu.

Babcia w otwartej trumnie spoczywała na wysokim katafalku w głównym salonie, z którego wyniesiono meble a lustra zasłonięto krepą. Drzewka



Miniatura - niklowa taczka
(ze zbiorów Szczepana Kalinowskiego)

cytrynowe i wysokie świeczniki otaczały katafalk, a u jego podnóża moc kwiatów ożywiało ten smutny przybytek. Szerokie drzwi na werandę stały otworem, na zewnątrz do połowy alei świerkowej czuwał ogromny tłum służby i wieśniaków, śpiewając pieśni nabożne i litanie. To był miejscowy, odwieczny zwyczaj czuwania przy nieboszczyku na marach.

Wujaszek Janek mimo późnej pory zaprowadził mnie do salonu, abym pożegnała Babcię. Miałam powiedziane, że należy ucałować Babci ręce i pożegnać się. Wujaszek podniósł mnie wysoko i ku memu wielkiemu zdziwieniu ujrzałam ogromnego kota, leżącego na piersi Babci i wpatrującego się w jej zastygłe oblicze. Zamiast ucałować jej dłonie pogłaskałam kota, który nic sobie nie robił ni ze mnie, ani z tłumu nieopodal.

Wyprowadzenie Babci z domu do kościoła w Opolu-Podewórzcu, gdzie trumna miała być złożona do krypty pod kościołem, aby spocząć obok trumny syna Dziadka Bohdana, wydało mi się tak mizerną uroczystością, bo oczywiście wszystko odnosiłam do wspaniałego konduktu pogrzebowego Marszałka. I choć był piękny karawan z ozdobami namalowanymi przez wuja Olka Tomaszewskie i chociaż pięciu księży w asyście kościelnych, organistów i ministrantów poprzedzało trumnę, za którą kroczyła bliższa i dalsza rodzina miejscowa i przyjezdna, a także dużo osób z sąsiedztwa, brakowało mi solennych taktów marsza żałobnego i pochodu zakonnic ze świecami.

Ostatnia droga Babci prowadziła przez wieś antopolską, Piechy do Opola. Szłam za starszymi za karawanem, gdy nagle jakaś wiejska dziewczyna wręczyła mi małą wiązanek gladiolusów, w kolorze fioletowym - lila, ze słowami: Niech to będzie od panienki Lilusi dla jej Babci, naszej dziedziczki, nieboszczki. Do dziś gladiole to moje ulubione kwiaty lata. Choć kojarzą się



JÓZEF PIŁSUDSKI
PIERWSZY MARSZAŁEK POLSKI

Pocztówka wydana przez Komitet Budowy
Kopca Józefa Piłsudskiego 9 czerwca
1935 r., Wydział Wykonawczy w Krakowie;
wznowiona w 2009 r. z okazji 75. rocznicy
nadania Honorowego Obywatelstwa
Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu przez
gminy powiatu białskiego - 19 marca 1934 r.
(ze zbiorów Szczepana Kalinowskiego)

zawsze z pogrzebem Babki, przypominają miły odruch chłopskiej rówieśnicy, tą dziewczynką chyba była córka Śliwów.

Od Piech jechaliśmy końmi, a za nami powozy z Radzyna, Białki, Różanki, Horodyszcz, Romanowa, Sosnowicy, Mełgwi. Ani jednego samochodu. Drogi we Włodawskim nawet w upalne lato bywały grząskie, błotniste i nieprzejezdne.

Nie pamiętam obiadu po pogrzebie, gdzie ponoć do stołu siadło 30 osób, nie pamiętam niczego oprócz dręczącego mnie pytania, po co Marszałek pociągnął za sobą naszą Prababcie - starą, brzydka i tak nieprzystępną?

Po powrocie do Tokar miał miejsce przykry wypadek, otóż w czasie spaceru w kierunku kolonii Lebiodków, tamtejszy pies napadł na Bridgea i dotkliwie go pogryzł. To niepojęte, jaką ten młody cocker-spaniel budził niechęć u wszystkich napotykanych psów. Pan Strus opatrzył psiaka, który miał dosłownie poszarpane uszy i skowyczał w niebogłosy. Serdecznie współczuliśmy biedakowi. Nazajutrz pies Lebiodków przybiegł za ich wozem dowożącym mleko z wieczornego udoju do mleczarni. Rozpoznaliśmy go z łatwością i wskazaliśmy winowajcę panu Strusowi, który nim się zdążyliśmy zorientować, poszedł jak się okazało po dubeltówkę. Na nic zdały się nasze błagania, aby nie zabijał psa, uciekliśmy w głąb parku, gdy nagle dało się słyszeć strzały. Okropnie mną targały uczucia i nie wiem, które przeważało, czy złość na pana Strusa, czy poczucie winy, bo po co wskazałam psa?

Następnego dnia panna Helena zarządziła wyjście nad stawy, gdzie z radością zawsze pływaliśmy na naszych nadmuchiwanym żabach. Karola nigdzie nie było, Róża poszła go szukać, a my objuczone idziemy nad wodę. Aż tu opodał alejki, w krzakach widzimy Karola jak kłęczy i głośno modli się, przybliżamy się, Karol kłęczy przy zabitym psie i łkając powtarza: Wieczny odpoczynek racz ci biedny piesku dać Panie i światłość wiekuista.

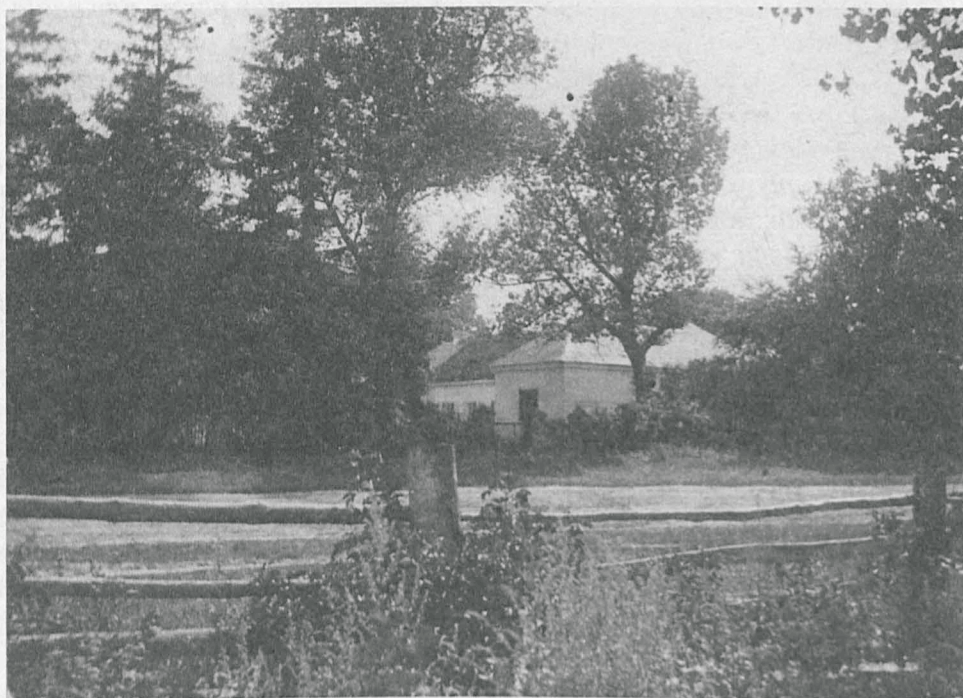
Nieszczęsny pies leżał bez głowy, którą pan Strus kazał wysłać do Brześcia. Wstydziłam się pytać, czyżby i tego psa pociągnął za sobą Marszałek?

Tokary - majątek rodowy Zaleskich

Majątek Tokary dostała w posagu najstarsza córka Zofii i Bohdana Zaleskich - Maria Rudniewska.

W rodzinnej pamięci jest Paweł Zaleski, który stał się właścicielem Tokar przez małżeństwo z Anną z Czarneckich. Niewiele o niej wiadomo.

Od strony prezbiterium w fundament kościoła w Tokarach wmurowana jest tablica nagrobna - szlachcianki z domu Czarneckiej, która umarła w wieku



Tokary 1915 r.

37 lat, w pierwszej połowie XIX w., co też świadczy, że Czarneccy byli właścicielami części Tokar. Nie wykluczone więc, że Paweł mógł mieć dwie żony. Jedną z nich była Aniela Czarnocka.

Paweł Zaleski był adwokatem w Kijowie, gdzie wslawił się wygranym procesem między rodziną Sobańskich a Potockimi. Posiadał rodowy majątek Syczyki na Wołyniu.

Paweł Zaleski umiera w 1875 r., Tokary obejmuje jego syn Adam Zaleski ożeniony z Natalią córką Andrzeja Korwin Piotrowskiego i Marii Salomei ze Szlubowskich. Po ich bezpotomnej śmierci Tokary dziedziczy Bohdan Zaleski syn Henryka rodzonego brata Adama. Od 1927 majątek jest w dyspozycji Marii z Zaleskich Rudniewskiej.

W okresie międzywojennym Tokary należały do gminy Wysokie Litewskie, powiatu brzeskiego, województwa brzeskiego.

W Wysokim Litewskim odbywały się jarmarki, były urzędy, stacja kolejowa, poczta a wokół rynku stały żydowskie sklepiki. Aptekę prowadził magister Moniuszko spokrewniony z kompozytorem. Przy rynku w piętrowym domu była restauracja Libermanowej do której czasami państwo Rudniewscy zabierali też dzieci.

Przy wjeździe do Wysokiego Litewskiego od strony Tokar, przed skrzyżowaniem z szosą na Łumnę stał wielki młyn motorowy Charytona. Jego syn Józef Charyton student Akademii Sztuk Pięknych, został poproszony przez ks. Czyszewicza z Wołczyna do dekoracji niszy bocznej kaplicy, w której złożono trumnę króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Już po drugiej wojnie światowej Józefa Charytona opisał Marian Brandys w reportażu *Strażnik Grobu Królewskiego*.

Obecnie Tokary znajdują się w gminie Mielnik, powiat siemiatycki, województwo podlaskie. Dawny majątek Rudniewskich pozostał po drugiej stronie granicy. Tokary, które zachowały się w pamięci pani Alicji Rudniewskiej już nie istnieją.

Maria Rudniewska utrzymywała kontakty z sąsiedztwem, przyjmując u siebie czy też jeżdżąc z wizytami.

Sąsiedztwo w Tokarach tak wspomina pani Alicja Rudniewska: - *Rówieśnicę miałam w Klukowiczach, miała na imię Mila. Jej ojciec pan Atup, z pochodzenia Łotysz, zwykł powtarzać z zabawnym akcentem - Mila i Lila, Lila i Mila.*

Najdalej rodzice jeździli samochodem do Wierchowic do państwa Rothów, a najdalej końmi byliśmy w Janowie Podlaskim w stadninie państwowej, dokąd jechało się na Mielnik, stamtąd promem na drugi brzeg Bugu.

Maria Rudniewska często gościła w Tokarach bliższą i dalszą rodzinę oraz przyjaciół, kontynuując w ten sposób antopolską gościnność.



*Pani Renia Jaczynowska
z Jancewicz, siostra Adzia*



*Pan Adzio Jaczynowski
z Jancewicz, foto 1939 r.*

Z rodziną Jaczynowskich z Jancewicz Maria Rudniewska była w zażyłych stosunkach

Dwór w Tokarach spłonął przed 1920 r., ocalała oficyna, drewniana, parterowa, zbudowana na rzucie prostokąta. Od frontu był ganek oparty na kilku kolumnkach, dźwigający trójkątny tympanon, wysoki dach kryty gontem. Od strony ogrodu znajdowała się weranda. Budynek był częściowo podpiwniczony, liczył 10 pokoi, kuchnię, sień i korytarze. Proporcjami przypominał dworek w Żelazowej Woli. Pokoje były wygodne i efektownie urządzone, choć meble ciężkie i bez stylu. Dekorowały je suto zawieszane samodzielne portiery, zasłony, story, kapy i kilimy, które Maria Rudniewska zamawiała w sąsiedniej wsi Wielanowie, zamieszkałej przez prawosławnych rękodzielników.

Przed domem zaprojektowała gazon, który troskliwie pielęgnowała, zaprowadziła trawniki i strzyżone żywopłoty z tawoliny, które oddzielały dwór od sadu i parku.

Z lewej strony dworu rozciągał się park krajobrazowy z bardzo pięknym starodrzewiem: kasztanowce, topole nadwiślańskie, jesiony, klony, modrzewie, graby i brzozy. W centralnym punkcie parku, rosła z jednego korzenie grupa sześciu lip, stanowiła unikalny pomnik przyrody. Pani Maria Rudniewska z pasją zajęła się konserwacją starodrzewu w parku, a szczególnie pielęgnacją tych sześciu parusetletnich lip. Sfinansowała kosztowne metalowe klamry dla podtrzymania ciężkich konarów i cementowe plomby w miejscach spróchnienia drewna.

Park przecinały aleje i mniejsze alejki, zawsze gracowane i starannie grabione, niektóre z nich miały nadane nazwy.

W 1935 r. do parku dworskiego została włączona dawna droga wjazdowa wysadzana grabami i brzościami. W związku z tym na tej długości zbudowany został równolegle biegnący wzdłuż parku nowy odcinek drogi bitej. Powstała ona na usypanej grobli oddzielającej zmeliorowane łąki i była przedłużeniem drogi biegnącej prostopadle od szosy w kierunku Klukowicz. Zbudowano wówczas nowy drewniany most.

Powiększony park otoczony został w całości prowizorycznym ogrodzeniem żerdziowym. Przez ten teren przepływał szeroki strumień, nad którym przerzucono dwa mostki z barierami z niekorowanej brzozy, które zaprojektowała pani Rudniewska.

Elektryczności nie było, dom oświetlały lampy naftowe, które codziennie rano oprawiał, a więc czyścił i napełniał naftą lokajczuk odpowiedzialny za oświetlenie domu.

Dom był jednak zradiofonizowany za pomocą akumulatorów, które często wożone były do Wysokiego Litewskiego do młyna i tam ładowane.

W każdej sypialni była tak zwana umywalnia z miednicami i dzbankami na wodę. Przenośna wanna zapewniała kąpiel. Ubikacja zainstalowana była w czymś w rodzaju szafy na końcu korytarza, w której stał fotel z wyciętym siedzeniem, a pod nim kubełek. Zaś obok w mniejszym wiaderku znajdował się popiół z łopatką, którym przysypywało się zawartość kubełka.

Doprowadzenie prądu spodziewane było po 1940 roku i z tą datą Maria Rudniewska wiązała plany budowy nowego dworu. Projektował go Roman Rudniewski, często też wracał do projektów i rysunków doskonaląc je. Dom miał stanąć tuż obok pogorzeliska starego dworu tak, aby na osi jego południowej werandy krótka alejka prowadziła pod lipy. Planowano zainstalować urządzenie, które z zewnątrz doprowadzałoby wodę na pietra do łazienek i ubikacji. Takie rozwiązanie było już zastosowane we dworze w Białce k/Radzynia przez Waldemara Dernałowicza. Oficyna miała być przerobiona na pokoje gościnne i mieszkania dla służby.

Mąż Marii, Roman Rudniewski wstrzymał parcelację majątku Tokary i pomagał w odbudowie zniszczonego majątku Antopol. Uruchomił środki otrzymane ze sprzedaży Czyżewicz na rzecz poprawy kondycji Antopola i Piech.

Czyżewicze położone w gminie Wołczyn wraz z chutorem Krugliki zostały sprzedane w 1929 r.

Wykupiwszy z czasem weksle żony i jej rodzeństwa przyczynił się do uzyskania wyłącznego prawa własności żony do dóbr Tokary, jak również do części Piech.

Ponieważ Tokary uległy zniszczeniu po wojnie 1920 roku zatrudnił, z polecenia pana Przewłockiego z Mord, wysoko kwalifikowanego administratora Wincentego Strussa.

W Tokarach na dużą skalę przeprowadzono melioracje kwaśnych łąk i terenów podmokłych, dzięki czemu uzyskano poważne arealy łąk i pastwisk. Pozwoliło to na zapoczątkowanie hodowli bydła. Wybrano polską rasę krów tzw. czerwoną.

Odnowiono ocalałe zabudowania folwarczne: ogromną oborę z kamienia z narożnikami i nadprożami w cegle, krytą gontem, murowaną stajnię, mały spichlerz, dużą z czterema wjazdami stodołę zbudowaną z potężnych drewnianych bali. Chlewy i kurniki były murowane z kamienia i cegły, ceglane budynki czworaków, kryte były gontem i mieściły po sześć mieszkań.

W dawnym zabytkowym spichlerzu-magazynie zainstalowano w 1935 r. nowoczesną mleczarnię z pełnym wyposażeniem do wyrobu masła i twardych serów. Sprzęt zakupiono w szwedzkiej firmie Alfa Laval, której przedstawiciel na Polskę inż. Molander został zaproszony na uroczystość rozruchu mleczarni. Mleko w mleczarni dworskiej było przerabiane z trzech udojów krów a także dowożone przez gospodarzy ze wsi Tokary i kolonii, którzy w myśl umowy, odbierali mleko spod centryfugi.

Wytwarzano masło i żółte sery twarde o nazwie „Litewskie”. Dojrzewały w dawnych lodowniach, przystosowanych do leżakowania tych serów. „Litewskie” dostarczane były do Warszawy do sklepów Pakulskich i do Brześcia.

Praca, którą dyrygował tzw. szwajcar, odbywała się na trzy zmiany, ponieważ mleczarnia nie była zelektryfikowana, wszystkie prace odbywały się ręcznie. Rozbudowę mleczarni planowano wówczas, kiedy zostanie w Tokarach założona elektryczność. Mówiono o roku 1940.

Naprzeciw mleczarni, pod kasztanami znajdowała się wiekowa lodownia zagłębiona w gruncie. Na powierzchni pozostawał tylko dach na planie

krzyża, kryty gontem. Lodownię dostosowano do leżakowania - dojrzewania serów. W tym celu wybudowano kilka kondygnacji półek wzdłuż ścian. Charakterystyczne było bardzo ozdobne wejście z dekoracyjnym układem wątku ceglanoego. Całość imitowała monumentalną bramę.

W czasie swych corocznych, pięciomiesięcznych pobytów w Tokarach Maria Rudniewska działała w Macierzy Szkolnej, która w środku wsi budowała nową szkołę powszechną. Wspomagała także finansowo i rzeczowo budowę kościoła parafialnego.

Przyczyniła się do zorganizowania oddziału strzelców konnych tak zwanych Krakusów. W uznaniu zasług mianowana została przez rotmistrza Stanisława Młodzianowskiego prezesem Krakusów na powiat brzeski.

Młody sołtys wsi Tokary Bronisław Suszyński, mianowany został komendantem miejscowych Krakusów. Oddział uświetniał każdą uroczystość kościelną i cywilną. Ćwiczył ich instruktor Maksymow, który przyjeżdżał z Siedlec i mieszkał u sołtysa. Na rozległych dworskich łąkach prowadzone były manewry.

- Za mego dzieciństwa pamiętam dwukrotnie urządzone manewry - opowiada Alicja Rudniewska. Oficerowie mieszkali we dworze i w namiotach w parku, natomiast żołnierze rozlokowani byli we wsi, a ćwiczenia sprawnościowe na koniach odbywały się na naszych pastwiskach.

Korzystając z obecności tak dużego zgrupowania wojska, komitet budowy szkoły z nauczycielem panem Możejko na czele parokrotnie urządzał kwestę na cel Macierzy Szkolnej. Do mamy przybyła delegacja z prośbą, aby dziesięcioletnia panna dziedziczka dla zachęty także chodziła ze skarbonką po wsi. Adamek Kamiński, który ze mną kwestował przypominał mi to zdarzenie.

Kościół w Tokarach

W zachodniej części wsi znajduje się drewniany kościół pw. Podwyższenia Krzyża Pańskiego, wzniesiony w latach 1934 - 1935 na miejscu starego, rozebranego w 1867 r. w ramach represji popowstaniowych. Ponoć pierwszy kościół powstał w Tokarach w 1528 r. Pierwotnie parafia była erygowana w Wilanowie-Wielinowie. Kolejny kościół został zbudowany w 1728 r., ponad sto lat później został zabrany na cerkiew, a następnie zburzony. Odnowienie parafii nastąpiło w 1919 r. z wskazaniem lokalizacji kościoła w Tokarach. Ale zanim zbudowano świątynię nabożeństwa odpra-

wiano w kaplicy prowizorycznie urządzonej w budynku plebani. Kolatorami kościoła byli właściciele majątku Tokary.

Obecny drewniany kościół został wzniesiony według projektu Wincentego Wdowiszewskiego w stylu przypominającym zakopiański i poświęcony był przez ks. biskupa Kazimierza Bukrabę w 1935 r. Jeden z bocznych ołtarzy został ufundowany przez Zofię Zaleską a drugi przez Helenę Rudniewską matkę Romana.

- *Na uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod nowy kościół zaprosił nas ksiądz Mieczysław Kasprowicz - wspomina Alicja Rudniewska. Miało to miejsce 13 czerwca 1934 r. Wówczas to pierwszy raz do Tokar zawitał ksiądz biskup Kazimierz Bukraba, uprzednio przyjąwszy zaproszenie do nas na obiad. Przyjechał dużym kabrioletem i po uroczystości, podążając przez wieś, sam prowadził wóz lewą ręką trzymając kierownicę, zaś prawą błogosławił stojących tłumnie przy drodze chłopów. Wyglądało to ogromnie nowocześnie.*

Budowa kościoła była częstym tematem w naszym domu. Ksiądz przyjeżdżał osobiście nadzorując zwózkę ofiarowanych przez dwór drenów, desek, żwiru i słomy. Zakupiony został w tym czasie odgromnik, czyli piorunochron jako dar od nas dzieci. Dwie moje babcie ofiarowały obrazy do bocznych ołtarzy. Matka mojego ojca ofiarowała bardzo smutny obraz, w ciężkiej dębowej ramie - wykonany w stylu neorokoko z tzw. papieru mache wyobrażający scenę Wniebowzięcia NMP. Natomiast babcia Zaleska z Antopola ofiarowała piękny wizerunek św. Katarzyny. Chłopi zdecydowanie wyrazili swoją dezaprobatę postawili veto: żadna św. Katarzyna, ma być św. Antoni i to figura. Obraz do dziś wisi w prawym bocznym ołtarzu, natomiast w lewym obraz św. Antoniego.

Maria Rudniewska z szacunkiem odnosiła się do wyznania prawosławnego co objawiało się tym, że w Tokarach organizowała Boże Narodzenie według kalendarza i obrządku prawosławnego. Wcześniej były święta katolickie, tradycyjnie obchodzone w Antopolu lub Radzynie.

W Tokarach posyłała po żonę popa - matuszkę, która szykowała prawdziwe białoruskie potrawy na kolację wigilijną.

Postawa dziedziczki ośmieliła prawosławnych mieszkańców tokarskiej wsi, aby prosić Marię Rudniewską o zajęcia stanowiska w sprawie toczącego się sporu pomiędzy cerkwią a dworem. Spór był zażarty, dwór w nim przegrał, ale kiedy Maria Rudniewska objęła Tokary zaakceptowała to, co zastała.

Na wschodnim krańcu wsi stała cerkiew, bowiem połowa wsi była prawosławna.

W pobliżu Tokar znajduje się w lesie uroczysko - Koterka. Tam w 1912 r. w podmokłym lesie, na polance otoczonej bagnem wzniesiono świątynię. Szybko pojawiły się krzyże wotywnie. W skromnej kapliczce znajduje się studnia z krystalicznie czystą wodą.

Ludzie opowiadają, że: - W 1852 r. Efrozyna Iwaszczuk z Tokar poszła do lasu zbierać szczaw. W pewnym momencie zobaczyła niezwyklej urody kobietę, która ostrzegła ją przed zbliżającym się morowym powietrzem i prosiła o żarliwą modlitwę. Tak niespodziewanie jak się pojawiła tak zniknęła. Kobieta wróciła do wsi o całym zdarzeniu poinformowała miejscowego duchownego. Z początku Cerkiew odnosiła się sceptycznie do rzekomego objawienia, ale wśród miejscowej ludności zaczął narastać kult świętego miejsca i źródelka z którego woda miała moc uzdrawiającą. Z czasem zaczęto odnotowywać liczne uzdrowienia co przyczyniło się do zgody władz cerkiewnych na budowę cerkwi.

Ludzie opowiadają też, że: - Szedł raz wędrowny ślepiec drogą, usłyszawszy szemrzący strumyk, wodą z niego przemył oczy i przejrzał. Znalazł niedaleko wioskę i cerkiew, zgłosił popu cud. Dla oznaczenia miejsca postawił krzyż prawosławny i zapowiedział wystawienie kaplicy, uznając miejsce za święte a wodę ze źródelka za uzdrawiającą.

Las jednak należał do dworu, który nie życzył sobie prawosławia na swoim terenie. Spór trwał kilka lat, wygrał pop i w dworskim lesie na Koterce powstała drewniana cerkiewka kryta blachą. Otoczona jest niezliczonymi krzyżami, które na wiosnę tutejszym zwyczajem przewiązywane są haftowanymi fartuszkami jako wotami.

Wieś Tokary powstała w XV w. i rozwinęła się w XVI w., w czasach intensywnego zagospodarowywania ziemi mielnickiej, której część wschodnia stanowiła granicę pomiędzy powiatem mielnickim i brzeskim.

Za czasów Kazimierza Jagiellończyka, który hojnie rozdawał majątki szlachcie, na tym terenie osiedliła się rodzina Tokarzewskich - Tokarewskich - Tokarskich, prawdopodobnie już w XVI w. byli oni fundatorami cerkwi prawosławnej pierwotnie poświęconej w części św. Symeonowi Słupnikowi. Przywilej na nadanie gruntów dla parafii z 1592 r. mówi o świątyni w Tokarach jako o starodawnej. Cerkiew w Tokarach po 1596 r. przeszła na unię, ale z czasem szlachta z Tokar powróciła do kościoła rzymskokatolickiego.

Na początku XVI w. właścicielami Tokar byli Jan i Bogusza Tokarski, którzy sprzedali Tokary w 1553 r. Janowi Rawicz Witanowskiemu, w tej rodzinie majątek był ponad 200 lat. W kwietniu 1774 r. Antoni R. Witanowski

odstępuje Tokary Antoniemu Tarassowskiemu chorążemu ussarskiemu i Janowi Telszewskiemu.

Folwark przy wsi w XVIII w. był własnością Józefa i Antoniego Włodków. Od nich został kupiony przez Jerzego Matuszewicza, który posiadał dobra w pobliżu Wysokiego Litewskiego w Raśnie. Matuszewicz był autorem *Pamiętnika kasztelana brzesko-litewskiego*.

Właścicielem Wilanowa i części Tokar do 1772 r. była rodzina Krupickich, kolejnym właścicielem był Paweł Czyż do 1806 r. W 1862 r. Tokary składały się z paru folwarków tej samej nazwy, których właścicielami byli: T. Tokarzewski, J. Ipohorski-Lenkiewicz, Paweł Zalewski, Puczniewski. Ponadto wymieniani w dokumentach są: Wołkowscy, Stanisław Zalewski, Feliks Mańkowski, Ignacy Tokarski, Aleksander Tokarzewski, Ignacy Grześwicki, Jankowscy. W wyniku koligacji rodzinnych, transakcji majątkowych niektóre nazwiska odeszły w zapomnienie.

Obok kościoła znajduje się nagrobek Bolesława Zalewskiego z 1859 r., jednego z właścicieli wsi.

Zachowały się dane o parafianach cerkwi tokarskiej z 1843 r. z podaniem liczby osób zależnych od poszczególnych właścicieli wsi. Paweł Zalewski posiadał w Tokarach 129 chłopów pańszczyźnianych wyznania prawosławnego, Stanisław Zalewski 24 chłopów. Można więc wysnuć wniosek, że w poł. XIX w. największym właścicielem Tokar był Paweł Zalewski.

W tym czasie proboszczem parafii prawosławnej w Tokarach był o. Ignacy Zalewski być może skoligacony z najbogatszym właścicielem wsi.

W dawnych czasach Tokary nie stanowiły zwartej wsi, lecz kilka osad blisko siebie położonych objętych wspólną nazwą.

W samym środku wsi były źródłiska Muchawca, ten tokarski, nie mylić z Muchawcem, który w Brześciu wpada do Bugu, ma kilka kilometrów długości, łączy się z Koterą w Wołczynie i wpada do Pulwy też dopływu Bugu.

Trzeci Muchawiec przepływa pod wzgórzem cerkiewnym w Siemiatyczach.

Dolina tokarskiego Muchawca rozdzielała wieś nie tylko geograficznie, ale również kulturowo. Na wschód od doliny rozpoczyna się część Tokar zwana Kozaczczyną, jej mieszkańcy to od wieków ruska ludność prawosławna²⁰⁾.

²⁰⁾ Fionik Doroteusz, Z dziejów wielkiej wsi Tokary, [w:] „Bielski Gościniec”, nr 1/2005; Zubkowicz Rafał, Na pół, [w:] Tygodnik Powszechny, Nr 35 (2773), 1 września 2002.

Tokary we wspomnieniach Alicji Rudniewskiej

W porze letniej różne były wyjazdy: do Jastrzębiej Góry, Ciechocinka, Dembinek, Kamionki, ale jednak najmiłsze bywały powroty do Tokar. Pełna swoboda, znajome zakątki, serdeczni ludzie zapewniali bezpieczeństwo. Rosło w nas poczucie przynależności do tych miejsc coraz bliższych, coraz bardziej ukochanych. Co roku odkrywaliśmy nowe uroki: smak zielonych jabłek, słodycz płatków koniczyzny, oszałamiający zapach lubinu czy bajeczne kolory kwiatów polnych i łąk.

Nie pamiętam dłuższych pobytów naszego ojca w Tokarach, ale nigdy nie opuszczał polowań. Przyjeżdżał na dłużej gdy jego obecność była konieczna, wówczas objeżdżał z panem Strussem pola i meliorowane tereny. Wytaczali wspólnie przecinki w lesie i obszary nowych nasadzeń.

Wincenty Struss był wdowcem, ojcem dwóch dorosłych synów, którzy letnie wakacje też spędzali w Tokarach. Młodszy Witold student wydziału chemii na Politechnice Warszawskiej, mimo powagi z jaką nosił czapkę bartniacką, nie stronił od nas dzieci, a nawet organizował nam zawody sportowe, wycieczki i tym podobne dystrakcje. Starszy pan Jerzy był wysokiej rangi policjantem i pracował w osobistej ochronie ministra Józefa Becka, z którym odbywał ciekawe zagraniczne podróże. Często były one tematem jego barwnych opowieści.

Natomiast sam pan Wincenty Struss zachwycał nas swym niebywałym podobieństwem do Marszałka Piłsudskiego. Nie tylko miał takie same brwi i wąsy, ale jego sposób chodzenia, trzymania ręki wsuwanej za pazuchę do złudzenia przypominały Marszałka takiego, jakiego znaliśmy z portretów i zdjęć.

Polowania w Tokarach czy w sąsiedztwie zawsze były dużą atrakcją, która polegała głównie na zjazdach licznych gości. Polowania letnie po 15 sierpnia na kaczki, wczesnojesienne w czasie kopania kartofli na kuropatwy, późnojesienne i zimowe na zające, kozły i dziki.



Tokary 1938 r., dzieci Karol i Lila z boną Hanką

Na jedno z takich polowań przybyli goście z Jancewicz panny Jaczynowskie ze swoim bratem panem Adziem, któremu towarzyszyły dwa niemieckie wyżły Joya i Rum. Przybył też z pierwszą wizytą do Tokar ich kuzyn książę Roman Bielski z Atteczyzny, pięknymłodzieniec.

Panny Jaczynowskie dopuszczając mnie do konfidencji, namówiły abym niepostrzeżenie wyniosła z jego pokoju pas z ładownicą. Z pasa wyjęły gilzy - naboje, i zgrabnie wypatroszyły kilka z nich z wierzchniej warstwy prochu i drugiej warstwy drobnego śrutu, a na to miejsce ubiły puch z rozprutego jaśka. Posługiwały się przy tym przyborami do robienia papierosów. Zaklejone gilzy z puchem i prochem w ładownicy odniosłam po kryjomu z powrotem.

Nie mogłam doczekać się wyjścia w pole myśliwych. Na rozległym kartoflisku kurtuazyjnie oddano panu Romanowi pierwszy strzał. Obserwowaliśmy jak ładnie się do niego składa, gdy tylko zafurczało stado kuropatw wystawione przez psy, padł strzał. W górze ukazał się biały gęsty obłok puchu, ale ptak nie spadł. Za drugim strzałem znów ukazał się biały obłok..., pan Roman domyśliwszy się złośliwego zabiegu z nabojami, natychmiast zszedł z pola i ponoć bez pożegnania wyjechał. Nie wiadomo czy był to brak poczucia humoru, czy aż tak wyolbrzymiona miłość własna. Długo jednak chowałam żal do panien Jaczynowskich i wstydziłam się sama przed sobą niefortunnego z nimi aliansu, który zaważył na tak nieoczekiwanym zerwaniu milej znajomości. Wtajemniczeni złośliwie napomykali, że ze strony panien była to forma odwzajemnienia braku wzajemności ze strony kawalera.

Pamiętam zimowe polowania, na których towarzyszyliśmy dorosłym na nartach. Trzymaliśmy wówczas stronę osaczanych zajęcy.



*Polowanie w 1937 r., Aleksander Zaleski
z Rudy, wuj Marii Rudniewskiej
przy zabitym dziku*

Ciekawe były opowieści z polowań w Rudej koło Małoryty na Polesiu u wuja Aleksandra Zaleskiego, dokąd rodzice jeździli na tak zwany odstrzał dzikich kaczek. Wuj Aleksander miał opinię jednego z najwytrawniejszych myśliwych, a polowania przez niego urządzone były sławne.

Polowania na kaczki a odstrzał kaczek to były dwie różne sprawy. Odstrzał kaczek odbywał się tak: 10 łódek na każdej myśliwy ze strzelbą, dwóch Poleszuków, jeden wiosłował, drugi oprowiał kaczki i dwie beczki, jedna duża, druga mniejsza z solą. Myśliwy strzelał, pies przynosił kaczkę, Poleszuk rozcinał brzuch, patroszył nacierał solą i wrzucał do beczki. W ciągu kilku godzin napełniało się 10 beczek kaczkami, które dostarczano do sklepów Pakulskiego i Sternickiego w Warszawie. Takie odstrzały odbywały się wówczas kiedy były kaczki.

W Tokarach pierwszy raz spotkałam Antoninę, starą kucharkę pradziadków, z którymi przyjechała do Tokar, gdzie dostała dożywocie po opuszczeniu Atspuki i Eleonorowa na Łotwie.

Za dawnych czasów była podręczną przy kucharzu u pradziadka Adama, później towarzyszyła państwu wszędzie jako niezastąpiona kucharka, gdy kucharz obrażony, bo przestano korzystać z jego kunsztu odszedł. Odszedł, bo dziadek cierpiący na chorobę kiszek jadł tylko krupnik. Antonina stała się mistrzynią w gotowaniu krupników, których знаła kilkanaście odmian. Zupy w jej wydaniu za każdym razem były wyśmienitym daniem, jak mawiała babcia „na królewski stół”. Pamiętam, że zalecała robienie zapasów kasz: orkiszowej, krakowskiej, manny, grysików, jęczmiennej, jaglanej...

Później Antoninę zabrali Bohdanostwo Zalescy na Inflanty, skąd wróciła do Tokar w 1919 r. Przywiozła z Atspuki nasiona łotewskich warzyw i kwiatów. Był to skarb Antoniny, nawet głośno reklamowane Pudliszki nie miały tak wyśmienitego groszku cukrowego czy karotki. Jej koper utrzymywał woń i barwę nawet po wysuszeniu. Pachnący kolorowy powój i klematis nie miały sobie równych.

Za moich czasów w Tokarach była już na dożywociu, ale „miała oko” na ogród warzywny, który zasłynął dzięki jej nasionkom przechowywanych w lnianych woreczkach zawieszanych pod sufitem.

Prawdziwą jej dumą były jednak, co roku odnawiane stada indyków i perliczek, troskliwie przez nią dogłądane. Dla młodych przyrządzała karmę osobście z siekanych drobno pędów krwawnika, twarogu i osypki. Pilnowała te stadka przed jastrzębiami, a gdy je dostrzegła głośno hukała, zapędzając ptaki do krzaków. Z czasem na sam jej głos stadko chowało się w zarośla.

Antonina знаła też tajniki wykwintnej kuchni, zalecała do pieczenia mięsa a nawet dziczyzny, oprócz wina dodawać miodu. Ale najbardziej wierzyła w magiczny smak trufli, którymi często obdarowywała Mamusię. Do dzisiaj mam w oczach jej pochyloną sylwetkę opartą na lasce, wygrzebującą te krągłe grzyby w alejach parku. Krajała je cienko, suszyła i wkładała do swoich woreczków.

Któregoś roku czasu wojny, gdy Tokary zostały za kordonem w bolszewi, przyszedł do nas w Warszawie ktoś nieznajomy i bez słowa wręczył płócienny woreczek suszonych trufli. Pamiętam rozrzewnienie i łzy wzruszenia Mamy, bo to był znak, że Antonina żyje i stale o nas pamięta.

To chyba za namową Antoniny został dzieciom wytyczony, a nawet ogrodzony miniogródek warzywny i kwiatowy. Małe grządki i klombiki uroczyście nam przekazano z kompletem narzędzi, konewkami i komórką.

Antonina została naszym cierpliwym instruktorem. Potrafiła zaszczepić zainteresowanie a nawet zamiłowanie do pracy w świecie roślin i nauczyła nas doceniać smak wyhodowanych osobiście płodów.

Antoninę wszyscy darzyli serdecznością, odnoszono się z szacunkiem do jej bardzo sędziwego wieku. Była żywą kroniką historii rodzinnych, pamiętała wydarzenia sprzed wojny krymskiej i japońskiej.

Antonina dostała od mojego ojca na własny użytek jeden z pierwszych aparatów DETEFON na słuchawki, lubiła w samotności słuchać radiowej Mszy św. nadawanej w niedzielę.

Antonina zauważyła, że stronię od Lorda, że nawet uciekam przed nim i wówczas opowiedziała mi taką przedziwną historię: Lord nie jest zwykłym psem, to bohater, można go nie kochać, ale należy szanować. Jak Lilusia, tak mnie nazywano, była maleńka, zniknęła raz z kołyski i nie wiadomo było, czy to jastrząb porwał, czy Cyganie ukradli. Wszyscy szukali, ale nie znaleźli. Ale Antonina zauważyła brak Lorda, bo on ruszył na poszukiwania porwanego dziecka. A gdy wrócił nocą zziębnięty i zaczął targać ją za spódnicę, wiedziała, że zaprowadzi do Lilusi. Bez wahania poszła za nim, a on ciągnął do lasu, hen za cerkiew na świętym miejscu, i tam w rowie leżała



Dwór - oficyna w Tokarach
przypominała dworek w Żelazowej Woli

zmarznięta mała Lilusia. Bo Lilusię Cyganie porwali i z taborem ukryli się w głębi boru. Lord doczekał nocy i pod osłoną ciemności wyniósł ją w bezpieczne miejsce, a że nie mógł jej sam donieść do domu, przyprowadził starą Antoninę, żeby dziecko utuliła i odniosła rodzicom. Dźwigał Lilusie w pysku, ale żeby jej nie poranić, zakrywał zęby wargami i od tego czasu cieknie biedakowi ślina. To z wysiłku, gdy dźwigał Lilusię.

Bajka Antoniny wywarła na mnie wielkie wrażenie, wierzyłam bez zastrzeżeń w prawdziwość tej opowieści i odtąd z niekłamanym podziwem spoglądałam na Lorda. A gdy kazała podać mi łapę, co zresztą uczynił z wielką gracją - uścisnęłam ją i z szacunkiem ucałowałam.

Spotykając nieraz zaślinione buldogi, jakże często zadawałam sobie pytanie, czy i one również bohatersko wynosiły z taborów cygańskich wykradzione dzieci?

Mały brat nie był jeszcze dobrym kompanem. Przyjechała kiedyś na dłużej starsza nieco kuzyneczka Krysia Stojowska, śliczna wówczas dziewczynka i ona była tego lata świetnym towarzyszem zabaw. Obydwie darzyłyśmy sympatią starego stangreta Wawrzona. To on pierwszy raz pozwolił nam usiąść koło siebie na koźle. I chyba to on, stary Wawrzon, rozbudził moje zainteresowanie końmi, uczył jak na płaskiej dłoni podaje się kostki cukru, pokazał, że można dotykać i gładzić delikatne końskie chrapy.

Wawrzon godnie reprezentował swój mistrzowski zawód. Nie tylko powoził pewnie i bezpiecznie, ale znał tajniki powożenia z fasonem, szykiem i elegancją. Dbał nie tylko o konie cugowe, ale i o uprzęż. To on decydował, kiedy zakładane miały być szory, a kiedy chomąta z ozdobnymi kantarami i okularami z koroną. Na koźle sportowej bryczki o siedzeniach wybitych brązowym Manchesterem, z kolanami okrytymi derką, nawet bez liberii nikt go by nie wziął za zwykłego furmana. Wyprostowany, jak w postawie na baczność, przytrzymując kciukiem lejce w obu dłoniach, miał w sobie godność, wielkie opanowanie, budził zaufanie i pełny szacunek. Wawrzon wyuczył a raczej przysposobił do zawodu stangreta Antona i jego brata Damiana. Obaj byli już po wojsku, gdzie nabyli nieco poloru i postawy niezbędnej choćby do noszenia liberii. Pamiętam jeszcze, że ich pomocnikiem w tajni był Janek Kamiński.

To właśnie w Tokarach brat Karol dostał swojego własnego psa. Na wzór Zetesa cioci Szlubowskiej z Radzyna, obiecany pies, który miał niebawem zawitać, z góry już ochrzczony został inicjałami brata. Tak więc oczekiwa-

liśmy KAERA. Mały brat nie wymawiał jeszcze wyraźnie litery r, ale dzielnie wprawiał się, wykrzykując gromko imię swego przyszłego psa.

Aż tu któregoś popołudnia zajechała para koni z Wysokiego Litewskiego, z powozu wysiadł pan Lisowski, a za nim wygramolił się spod derki - oczekiwany od dawna Kaer. Był to młody srebrzysty wilczek, jeszcze z opadającymi uszkami, potężnymi łapami, ogromnie niezdarny i ciężki, ale przymilny i od razu nadzwyczaj przyjacielski. Wszystkich częstował zamaszystym lizaniem po twarzy, nadstawiał kark do głaskania. Radość nasza nie miała granic i chociaż nie reagował jeszcze na swoje imię, nie był najposłuszniejszym psem - kochaliśmy go bardzo. Mały brat miał być pasowany na jego pana, czym Mama pewnie pragnęła dowartościować nieśmiałego chłopca.

Troskliwie karmiony Kaer rósł i męźniał nadspodziewanie szybko, trzymał się domu i zapowiadał się na wspaniałego towarzysza zabaw, a także odważnego obrońcę dzieci.

Z czasem okazało się, że był sprytniejszy niż wyglądał. Zauważono, że znikają jaja z kurnika. Chytrze zastawiona przez rządzącą pana Strusa zasadzka nakryła skradającego się rankiem Kaera, który chyłkiem, milczkiem, nie płosząc niosek, podbierał jajka, konsumując je na miejscu w całości. Oczywiście Kaer został ukarany, a kurnik lepiej zamykany. Mama natomiast zamówiła u pana Moniuszki aptekarza w Wysokim większą ilość wapna w proszku, które od tego czasu dosypywano do pokarmów psów. Słusznie bowiem stwierdziła, że to nie złe skłonności, tylko instynkt i potrzeba rosnącego organizmu sprowadziła go na drogę występuku aż między kury.

Gdy Kaer był już przeszło rocznym, prawie dorosłym wilkiem, Papcio przywiózł nam z Londynu cudnego szczeniaka cocker-spaniela, o urzekającej urodzie. Długie uszy dosłownie miał pokryte blond lokami, tułów jasno rudy, „spodnie” blond fryzowane, a rudy kurtyzowany ogonek zakończony był blond kitką w kształcie angleza. Był zalekniiony, bezbronny, uciekał od nas, krył się na klombie, skamlał i reagował tylko na pieszczotliwe wołanie Papcia.

Właściwie to Kaer przełamał nieufność małego, delikatnie go obwąchał, czule wylizał mu pyszczek. Aż nagle szczeniaczek zamerdał ogonkiem i wybiegł ze swojej kryjówki na klombie. Nie odstępował Kaera, czasami nam się wydawało, że widzi w nim swoją mamę, a Kaer naprawdę mu matkował. Psiapsiuś, bo tak czule nazwał go Papcio, dostał imię BRIDGE i zapoczątkował plejadę psów tokarskich o imionach wywodzących się od nazw kart do gry. Bridge stał się szybko ulubieńcem wszystkich. Jego długa, jedwabista, układana w loki sierść, w czasie naszych wspólnych wypadów

na łąki i pastwiska łapała bodiaki i kolczaste szyszki, które należało ostrożnie wyczesać, aby nie dopuścić do prawdziwych kołtunów. Mistrzem w rozczesywaniu splątanych i zlepionych loków Bridge, a okazała się stara Antonina, która przy sposobności wyczesawała też pchły, których, czego jak czego, ale naszym psom niestety nie brakowało.

W tym okresie naszą pasją stały się „krajówki”. Były to kryjówki wspaniale zamaskowane w krzakach czy gęstych szpalerach. Ponieważ dawały nam moc radości i stały się prawdziwym rajem dla naszych zabaw, nazwane zostały właśnie „krajówkami”. Krajówki nasze sąsiadowały ze sobą, wykarczowane, częściowo z udeptanym podłożem, wysypane były piaskiem i żwirem. Dostęp do nich był ostonięty zwisającymi gałęziami od strony mało uczęszczanej alejki - a widok dawały na aleję główną, skąd jednak siedząc w krajówce byliśmy niewidoczni. Rywalizowaliśmy z bratem, czyja krajówka ładniejsza, kto ma lepszą ławeczkę - oczywiście swojej roboty, kto nagromadził więcej skarbów.

Z czasem przekształciliśmy nasze krajówki w stajnie dla koni i uprzęży. Jakie to były konie!? Najwspanialsze rumaki mego cudownego dzieciństwa, a więc siwki! Siwki to były wysmukłe, półtorametrowe pędy młodych brzózek z pozostawionymi paroma gałązkami wierzchołka, które miały udawać ogon wierzchowca. Gniade były z tyczek leszczyny. Kare udawało się osiągnąć z gałęzi jesionu. Nasza wyobraźnia ożywiała te drążki, kije czy tyczki. Widzieliśmy w nich najprawdziwsze konie, które były przez nas troskliwie czyszczone, karmione, pojone, wyprowadzane na pastwiska, pławione w strumykach. Nade wszystko pozwalały nam upajać się jazdą wierzchem. Cwałowało się, galopowało, brało przeszkody bez opamiętania, byle szybciej, byle dalej.

Wbrew pozorom, mało było czasu na rozkoszowanie się krajówkami i zwykle przed śniadaniem pędziło się sprawdzić, czy w nocy ktoś nie skrzywdził koni, czy uprzęż na miejscu.

Uprząż była pleciona ze starych smyczy lub innych znalezionych na strychu rzemieni i postronków, oczywiście wchodziły tu w grę tylko uzdy, trzēle czy kantarki i wodze. Natomiast pejcze i baty mieliśmy w dużym wyborze, a to dzięki zdolnościom jednego z pastuchów, który pięknie wyrzynał korę na leszczynowych prętach i witkach. Wężowe wzory łączone z przemyślną kratką ozdabiały trzonki pejczy lub całego bata. Ach te baty! Nie ma już dziś sklepów czy straganów z takim wyborem prawdziwych ozdobnych batów lakierowanych, oklejanych szpagatem - wspaniałych i tak nieosiągalnych dla dzieci. Bywały miniatutki i takie dostawaliśmy, ale gdzie im było do tych prawdziwych.

Po podwieczorku obowiązywał nas zawsze dalszy spacer z wychowawczynią, ukochaną panią Heleną lub kolejną mademoiselle. Pozwalały nam oczywiście jechać wierzchem, ale prosiły o jazdę stępą..., konie wznosiły masę kurzu! Gdy obrana trasa spaceru wypadła przez wieś, stanowczo domagały się pozostawienia koni w krajówkach. Po prostu wstydyły się pokazywać z dziećmi cwałującymi na kijach.

Psy zawsze towarzyszyły nam na spacerach i wydawało się, że cały dzień wyczekiwały na porę wyruszenia poza obręb parku. Dołączały do nas także i psy myśliwskie pana Strusa - Roland i Impas, piękne stare wyżły i taką niesforną, rozbrykaną czeredę prowadziła panna Helena do pobliskiego lasu za szosą w kierunku na Wołczyn albo meliorowane łąki, w stronę Klukowicz. Po drodze zbierało się polne kwiatki, grzyby, a w drodze powrotnej i to już należało do tradycji - zaglądaliśmy pod stare topole nadwiślańskie, na początku drogi wjazdowej do dworu, bo tam rosły pieczareczki.

Często Mamusia wybierała się z nami i zazwyczaj spacer prowokował opowieści z jej dzieciństwa, o ile bardziej urozmaiconego, bo miała liczne rodzeństwo i moc kuzynostwa, które na długie pobyty zjeżdżało do Atspuki i Eleonorowa na Łotwie. Atrakcją spacerów dzieciństwa Mamy były żmije, których zatrzesienie żyło w lasach łotewskich. Z każdej gromadnej wyprawy tryumfalnie wracano do domu z zabitymi żmijami zawieszonymi na kijach i laskach. Także psy jej dzieciństwa były kochane i były ważne - jakże mi smutno, bo uleciały już z pamięci ich imiona i już nikt mi o nich nie opowie. Wiem tylko, że na pewno był gruby jamnik Jamek.

Niezbyt były karne te nasze psiaki, nie trzymały się nogi, często ze skowytem niknęły w zbożu czy w kartoflisku, mknąc za zającem. Truchleliśmy, czy aby nie złapią się we wnyki zastawione przez kłusowników. Nierzadko też wywęszyły padlinę i wówczas nieprzytomnie się w niej tarzały. Nie pomogło ani bicie, ani krzyki, nic sobie nie robiły z naszego urągania. Odrażający smród, jakim przesiąkały, trzymał się ich po parę dni.

Poważne kłopoty z psami mieliśmy zawsze w niedzielę, przed wyjazdem do kościoła. Należało je zawczasu zwabić, aby zamknąć, gdyż uwielbiały biec za końmi. Na nas spoczywała odpowiedzialność za ich unieruchomienie, a to naprawdę nie było łatwe. W niedzielę wystawiany był na zewnątrz domu głośnik radiowy, aby ci z domowników, czy służby nie mogący udać się do oddalonego kościoła, mogli wspólnie wysłuchać Mszy św. radiowej na ganku.

Obecność psów nie była więc pożądana nawet na ganku i przed domem. Aż tu pewnego razu zdarzyło się coś niesamowitego. W czasie Mszy św. usłyszeliśmy od strony kruchty najpierw groźne pomruki zgromadzonych tam chłopów, jakiś tumult, a zaraz później lament i złowieszcze groźby kobiet ... i nagle do naszej ławki wpada zziąjany Bridge, z ozorem na wierzchu, ale ze szczęśliwym błyskiem w oczach, zawzięcie merdając swym krótkim ogonkiem. Wydawał się być w pełni uradowany, wytropiwszy nas w zupełnie nieznanym sobie miejscu. Na pewno spodziewał się nagrody za tak bezbłędne wytropienie i pokonanie prawie czterech kilometrów w rekordowym tempie. I to jego zdziwienie na naszą reakcję - nerwowe upychanie pod ławkę i zakrywanie płaszcami. Mamusia wiedziała, że bez smyczy nie uda mi się wyprowadzić jego z kościoła. Wyciągnęła więc pasek z prochowca, pokazując mi oczami, co mam dalej robić.

Pomruki i pojedyncze głosy ludzkie, a później i wyciągnięte groźnie pięści przeraziły nas. Umierałam ze wstydu za psa, za nasz brak reakcji, bałam się spojrzeć w głąb kościoła. I nagle ksiądz odwrócił się od ołtarza, dał znak ręką organiście, aby zamilkł i uprzejmym, ale stanowczym tonem rzekł: Pies też stworzenie boskie i może pozostać w świątyni Boga.

Uciszyło się natychmiast. Organista zaintonował Pójdźcie do Jezusa, do niebios bram..., Boże!, jakże ja byłam wdzięczna księdzu, jakże go w tym momencie kochałam. Na spotkaniu po dwudziestu latach z ks. Mieczysławem Kasprowiczem z rozrzewnieniem wspominaliśmy ten incydent.

Tak się dziwnie składało w naszym dzieciństwie, że długo nie mieliśmy do czynienia z macierzyństwem naszych zwierzaków. Od razu stykaliśmy się ze szczeniaczkami, ale już na tyle dużymi, że dawno odłączonymi od ich matki suczki. Mamusia często wąchając pyszczek szczeniaczka uczyła nas zachwycać się zapachem mordki, która wedle jej słów pachniała jeszcze wyssanym mlekiem.

Pamiętam kiedyś przykucnęłam przy starej Antoninie, która siedząc na niskim stołeczku iskała i głaskała domową kocicę, przemawiając do niej czule zwierzyła mi wtenczas jej tajemnicę: Widzi Lilusia, kotka ma młode, ale nie wiadomo, gdzie jej ukryła, tyle tu psów.

A skąd Antonina wie, że są młode? - spytałam zaciekawiona. A niech Lilusia popatrzy, odsłoniła jasny brzuszek kotki i pokazała mi jej nabrzmiałe sutki - to jej piersi pełne mleka, którymi karmi swe młode.

Wiadomość ta nas zelektryzowała - a więc są młode kociaki, ukryte nie wiadomo gdzie, zapewne w niebezpieczeństwie, musimy je odnaleźć i chro-

nić, nie tylko przed psami, ale też przed dorosłymi, bo Antonina wspominała, że pewnie je potopią.

Po dwóch dniach śledzenia kotki byliśmy już pewni, że młode ukryła na strychu. Po kryjomu wybraliśmy się tam z bratem. Ale jak tu, w tak przepastnej przestrzeni, podzielonej tylko kominami odnaleźć po ciemku, między gratami składanymi chyba od czasów potopu szwedzkiego, małe kociaki? Pełznąć wśród pajęczyn i innych paskudztw usłyszeliśmy cichutkie miauczenie. Zaprowadziło nas ono do jakiś szmat pod belką przy kominie, leżały tam małeńkie jasne kłębuszki, już prawie widziały, choć oczki miały przymknięte. Natychmiast zjawiała się spłoszona kocica i siadła na nich w pozycji obronnej, jakby chciała je chronić. Przemawialiśmy do niej łagodnie, więc rozluźniona położyła się, odsłaniając swą gromadkę, jakby dumna z tak licznej progenitury. Malce niezgrabne, ale zaborczo obsiadły jej brzuszek i żarłocznie poczęły ją ssać. To był tak piękny widok, tak rozcudzający, tak nam się wydała godna i wspaniała w swej roli matki karmicielki, że wprost nie mogliśmy się napatrzyć i oczu od niej oderwać. Pierwszym odruchem było zrobienie wygodnego i miękkiego pośłania na tych obskurnych szmatach, które były ich pierwotnym gniazdem. Potem powstała myśl dożywienia koteczki, która musi przecież dostarczać wartościowego pożywienia swym malcom. I tu nasze rozczarowanie, bo kotka nie tknęła ani ciastka ani kanapek. Zaczęliśmy donosić jej śmietankę, która prawie z nabożeństwem, pomrukując spijała. Kociaki rosty, natrętnie ssaty matkę, mlaskając, wręcz krztusząc się pokarmem, a nam ciekła ślinka na taki widok i odgłosy. I nagle, nie pamiętam które z nas pierwsze, zapragnęło poznać smak tego kociego mleczka. I o dziwo, kotka łaskawie nam użyczyła swego cycuszka i udało nam się skosztować. Było słodkie, ciepłe i chyba gęste. Poczuliśmy przedziwną więc solidarność z tym „mlecznym rodzeństwem”.

Aż tu kiedyś zauważyliśmy w krzakach nieznajomego psa, który jakby nas podglądał i obserwował, a potem znikł by pojawić się cichcem nazajutrz. Udało nam się jakoś zwabić i oswoić śmiesznego podglądacza. Okazał się być suczką z czworaków, małą, czarną w białe łaty, z jednym okiem prawie niebieskim, a drugim normalnie brązowym. Suczka dała się głaskać, a nakarmiona merdała wesoło ogonkiem, który zwykle podkuła pod siebie. Po paru dniach przyniosła nam w zębach swego jeszcze ślepego szczeniaczka. Antonina znalazła te suczkę. Była to Kajta z czworaków, której cały miot utopiono, oprócz jednego, którego skrzętnie ukryła, a poznawszy

nas zaufała nam i powierzyła los swego jedynaka. Nazwaliśmy go Bratek, bo Kajta też była przez nas ssana, a przez to on stał się bratem mlecznym.

Kiedyś nadszedł dzień dawno zapowiadanego imieninowego podwieczorku w Jancewiczach. Zmora każdych wizyt w moim dzieciństwie było tradycyjne, na taką okazję czesanie długich włosów w loki anglezy i upinanie na czubku głowy kokardy. Tym razem doszło jeszcze układanie sukienki uszytej na wiosenny popis muzyczny - białej z organdyny w kropki z falbankami i kołnierzykiem wykończonym walansjenką, białych cienkich skarpetek i czarnych pantofelków, czółenka z kokardą lansowanych dla dzieci po projekcji filmu Królewna Śnieżka. Młodszy brat w białym marynarskim mundurku i rękawiczkach czuł się tak samo głupio i nieszczęśliwie jak ja.

Niedaleka droga końmi, wiodła przez pola, a potem chłodnym tunelem szpaleru alei wjazdowej do parku, gdzie stał rozłożysty okazały dwór. Lubiałam tu przyjeżdżać, bo pani Jaczynowska zawsze znajdowała czas i okazję, aby nam dzieciom opowiedzieć jakieś prawdziwe a ciekawe zdarzenie z wojny, związane z Jancewiczami, Tokarami i okolicą. Najciekawsze były opowieści, jak to w 1919 r. niemieckie wojska uciekając z Polesia grabiły wszystko, co nadawało się do transportu, nawet kłamki mosiężne ze dworu w Jancewiczach padły wtenczas ich łupem.

Tym razem przyjechało moc dorosłych, a wnuczek pani domu, nasz rówieśnik, oczekiwał z niecierpliwością naszego przyjazdu znudzony starszym towarzystwem. Po przywitaniu natychmiast pobieглиśmy szukać Joyi i Ruma, pary wyźłów pana Adzia. Joyę znaleźliśmy w wielkiej budzie w otoczeniu rzeszy szczeniaków!!! Ogarnęła nas przemożna żądza natychmiastowego zbratania się z tą gromadką pięknych piesków. W oka mgnieniu wczółgaliśmy się do budy, nie zważając ani na biały marynarski mundurek brata, ani na moje falbanki z organdyny. Joya łagodna i łaskawa jak zawsze, pozwoliła pieścić swe małe i wcale nie broniła się gdy oboje z bratem zabraliśmy się do próbowania jej mleka.

Tymczasem na werandzie podawano podwieczorek i dopiero teraz zauważono nieobecność dzieci. A gdy pani Jaczynowska zarządziła ich przywołanie, stary służący z nieukrywaną drwiną i oburzeniem oznajmił ponoć głośno: Panienska i panicz z Tokar podwieczorku chyba jeść już nie będą, pewnikiem nie głodne, bo cały czas siedzą w budzie i za przeproszeniem ssają naszą sukę!

Wakacje 1936 roku. Pewnego razu stał się cud. Nic go nie zapowiadało, nie było żadnych znaków na niebie czy ziemi, po prostu zwykły cud i to w postaci Kuca, prawdziwego kuca. Kara klaczka z kurtyzowanym, błyszczącym, aż granatowym ogonem i grzywą, w jasnym kantarku z nowymi wódzami, zamiast siodłem opasana wójkowym rudym czaprakiem, z popręgami co prawda parcianymi, ale ładnie splecionymi z rzemykami i sprzączkami. Chociaż bez strzemion i nie podkuta wydawała się nam obojgu ziszczonym marzeniem tak bajecznym, że prawie nierealnym. Pamiętam to uczucie onieśmienia i lęk przed odpowiedzią na nieśmiale zadane pytanie: Czy naprawdę nasza i czy na zawsze?

Wspaniałe nieznane uczucie posiadania czegoś tak wielkiego jak koń, choć karłowaty sprawiło, że we własnych oczach poczułam się ważniejsza i chyba zupełnie dorosła, tak pierwszy raz dorosła, chociaż liczyłam raptem 8 lat.

Ale bardzo szybko opanowały mnie wątpliwości. Przecież to nie jest tylko mój koń ale nasz, co oznacza, że do spółki z bratem, a co z tego wynika, że dosiadać go będziemy na przemian, więc nigdy nie będziemy się ścigać razem, ani wspólnie pływać koni w sadzawce, no i pewnie trzeba będzie ustępować młodszemu bratu.

Kucka w stajni nie bez przyczyny nazwano Szatanką, przez nas pieszczotliwie Szymanką, a przez Mamusię delikatnie Szamanką - nie należała do potulnych kucyków z ilustracji angielskich bajek. Właściwie to nas nie lubiła, zawsze mi się wydawało, że robi łaskę, pozwalając się dosiąść. Pan Strus poznał się na jej nie najlepszym charakterze i parę razy oćwiczył ją, wypróbowując możliwości w klusie i galopie. Świetnie pod nim szła, po prostu czuła zdecydowaną rękę, mocne łydki i kolana.

Zaaplikowano nam na początek jazdę na lonży, na świeżo ogrodzonym padoku. To było zdecydowanie nudne i dla jeźdźcy i dla Szymanki, która przecież w obecności pana Strusa nie pozwalała sobie na okazywanie zniecierpliwienia, potulnie dreptała w wyciągniętym klusie i krótkim galopie, ale jej ruchy choć skoordynowane, robiły wrażenie ociężałych, wymuszonych. W pełni ożywiona i z temperamentem bywała tylko w chwili kończenia ćwiczeń i powrotu do stajni. Demonstrowała wówczas spontaniczną radość, jakimś tanecznym krokiem z podskakiwaniem i machaniem uniesionym łbem. Chyba była leniwą domatorką, bo i pastwiska jej nie nęciły. Oczywiście bywały i dalsze spacer po park, ale niestety nigdy nie udało mi się wybrać samej chociaż w pole, natychmiast za bramą, kładąc uszy po sobie, ponosiła galopem do stajni, jakże często zrzucając mnie po drodze. Tak więc spacer wierzchem na Szymance musiał się odbywać pod

opieką Mamy na Kanoniczce lub prawie skjoringiem za bryczką, na jazdę solo nigdy nie dała się namówić.

Psy nie znosiły Szymanki, oszcze kiwały ją groźnie skacząc do pyska, usiłowały też kąsać jej tylne nogi. To były wybryki dyktowane zazdrością o naszą miłość i poświęcenie jej naszej uwagi i czasu.

*Brat też domagał się swojej porcji jazdy na grzbiecie kucki i tu Szymanka okazywała się nieprzekupna, bo choć obłaskawiał ją marchewką i cukrem, ledwo pozwoliła na wgramolenie się jeźdźca na grzbiet, dawała kilka kroków w dowolnym kierunku i bezceremonialnie zrzucała go na ścianę żywopłotu lub krzak jałowca. Po tak złośliwych manewrach brat nie ryzykował następnych jazd. Zostało to upamiętnione w albumie z rysunkami opatrzonymi rymowanymi opisami: *Dzielny jeździec kuca dosiada
Jeszcze nie wszedł - a już spada.**

Wakacje 1938 roku

Latem 1938 r. miało miejsce pamiętne wydarzenie a mianowicie przekazanie trumny króla Stanisław Augusta Poniatowskiego do Polski.

*- Tego lipcowego dnia - opowiada, przebywał u nas ksiądz Mieczysław Kasprowicz. Umysłny nie zastając go na plebani odnalazł we dworze, niósł bowiem pilny list od ks. proboszcza Antoniego Czyszewicza z Wołczyna. Po wręczeniu listu czekał na odpowiedź. Ksiądz Mieczysław odczytawszy wiadomość wykrzyknął do nas: *Dzieci, szybko proście Mamę, aby zgodziła się jutro kazać zakładać konie, bo planuje dla was wspaniałą mam nadzieję, niezapomnianą wyprawę.**

Pan Struss kręcił nosem, bo to zwózka siana. Mama go jednak przekonała i nazajutrz rano, w dwie pary koni pojechaliśmy do Wołczyna. W wyprawie uczestniczyła Mama, ciocia Wisia z synem Piotrem, Mademoiselle, ksiądz Mieczysław, brat Karol i ja.

Po drodze ksiądz opowiadał nam o nieszczęsnym losie króla, który na wygnaniu zmarł.

Na miejscu panie zostały zaproszone na plebanie, a nas ksiądz zaprowadził do kościoła, i tam przy głównym ołtarzu dokończył opowieść o królu Stasiu, mówił o poniewierce jego trumny, której nie chciał arcybiskup Adam Sapieha przyjąć na Wawel.

Po lewej stronie głównego ołtarza, w niszy spełniającej rolę zakrystii, stała wielka drewniana skrzynia, kryjąca wewnątrz trumnę królewską, przewią-

zaną sznurem. Ksiądz zgrabnym ruchem bez wysiłku otworzył skrzynię i zerwawszy sznur, podważył wieko trumny.

- Dzieci, oto nasz król, zapamiętajcie tę chwilę!

Z duszą na ramieniu ukradkiem zerknęłam do środka, nie ośmielając się sięgnąć wzrokiem dalej ku głowie. Zobaczyłam metalowe klamry przy pantoflach i tydki w brudno białych pończochach. Mogłabym przysiąc, że widziałam nabrzmiałe, wypukłe żyły wzdłuż goleni.

Z prawej strony ołtarza w analogicznej niszy stały skrzynie z urnami, jak się później dowiedziałam jedna mieściła serce, druga królewskie trzewia.

Rząd sowiecki postanowił przekazać trumnę ostatniego króla stronie polskiej z powodu wylewu Newy, rzeka zalala królewską kryptę. Tak pisały gazety.

Tego lata Tokary gościły moc znajomych i rodziny, którzy przyjeżdżali do nas w drodze na Wołczyn - opowiadała pani Alicja Rudniewska. Samochodami przyjechali wujostwo Ułaszynowie, Sikorscy z paniami Szymanowskimi, Adamowie Dernałowiczowie, a także pan Tadeusz Breza, którego królewski grobowiec natchnął do napisania powieści Uczta Baltazara, zaczętej właśnie w Tokarach.

Niektórym do Wołczyna towarzyszyła Mamusia, ale nikt już nie dostał za szczytu oglądania króla, co było naszym udziałem.

Ksiądz Czyszewicz wspominając jesienią wakacyjne wizyty w Wołczynie, mówił, że obrót poczty w ciągu dwóch miesięcy był większy niż w ciągu ostatnich 10 lat.

Coraz bardziej zacieśniała się przyjaźń dzieci z księdzem Mieczysławem Kasprowiczem, jemu zawdzięczaliśmy wyprawę końmi do Wołczyna, ale też ksiądz wynalazł nam karą Kuckę, przywoził nam małe rude kotki, był najlepszym partnerem w grze w serso, krokieta i kunkena - czego nas nauczył. Stawał się naszym rzecznikiem i sojusznikiem w trudnych sprawach z dorosłymi.



Kościół w Wołczynie

Okazało się to bardzo kłopotliwym darem. Decyzję, że trumna spocznie w Wołczynie ponoć podjął Felicjan Sławoj Składkowski ówczesny premier Rzeczypospolitej. Przekazanie trumny i pochówek miało być przeprowadzone w tajemnicy, aby uniknąć publicznej dyskusji na temat króla. Nie udało się jednak zachować tajemnicy.

Wołczyn wybrano nie przypadkiem, bowiem tutaj 17 stycznia 1732 r. przyszedł na świat przyszły król. Jego ojciec Stanisław Poniatowski żeniąc się z Konstancją Czartoryską wziął w jej posagu Wołczyn. Był to prężny ośrodek życia towarzyskiego oraz świadek wielu ważnych wydarzeń i spotkań, ale w 1938 roku czasy świetności miał już poza sobą. Swoje znaczenie zaczął tracić w końcu XVIII wieku, kiedy Izabela Czartoryska przeniosła główną siedzibę rodu z Wołczyna do Puław.

Stanisław August Poniatowski zmarł 12 lutego 1798 r. w Petersburgu. Urządzono mu wspaniały pogrzeb, car Paweł osobiście włożył na jego głowę koronę i nie zaniedbał niczego, co pogrzeb ów czyniło wspaniałym. To car Paweł syn Katarzyny po jej śmierci zaprosił Stanisława Poniatowskiego do Petersburga i przeznaczył mu na mieszkanie Pałac Marmurowy. Paweł uważał się za syna Poniatowskiego.

Trumna królewska spoczywała w podziemiach kościoła katolickiego św. Katarzyny przez 140 lat.

W lipcu 1938 roku dotarła do granicznej stacji Stołpce, przez kolejne 3 dni leżała w towarowym wagonie na bocznicy kolejowej. Wreszcie, po jej otwarciu i oględzinach, w nocy 14 lipca została w największej tajemnicy przewieziona przez Wysokie Litewskie do Wołczyna. Na miejscu okazało się, że nie można jej umieścić w krypcie kościoła, bo jest za duża. Ostatecznie złożono tam urny zawierające serce i wnętrzności króla. Wążącą zaś 600 kilogramów trumnę umieszczono w jednej z nisz kościoła, starannie ją przy tym zabezpieczając.

Dopiero w końcu lat 80. XX w. możliwe stały się próby sprowadzenia szczątków króla do Polski.

Chciałam, żeby mnie włączyli do jednej z pierwszych ekspedycji - opowiada pani Rudniewska, ponieważ wówczas była to jedyna możliwość aby odwiedzić Tokary, ale Marek Kwiatkowski nie umożliwił mi tego wyjazdu.

W tym mniej więcej czasie miałam kontakt z panem Busslerem plenipotentem barona Thyssena, który prowadził w Warszawie negocjacje w sprawie dziesięciu szpitali pod klucz, które baron chciał podarować Polsce jako zadośćuczynienia za krzywdy II wojny światowej. Jego ojciec subsydiował Hitlera. Ówczesne władze polskie odmówiły przyjęcia tego daru.

Pan Bussler pochodził z rodziny łódzkich fabrykantów, po wojnie jako syn kapitalisty pochodzenia niemieckiego został razem z żoną aresztowany i osadzony w więzieniu. Odebrano im małego synka, którego umieszczono w sierocińcu na terenie Związku Radzieckiego.

Po wyjściu z więzienia państwo Busslerowie wyjechali do Niemiec i zamieszkali w Kolonii, gdzie pan Bussler pracował dla barona Thyssena.

Opowiadając o swoich przeżyciach powojennych podzielił się ze mną swoją troską o żonę, która z powodu długich i bezskutecznych poszukiwań syna zapadła w głęboką depresję. Prosił abym nawiązała z nią kontakt. Najpierw był to kontakt telefoniczny. Podczas długich i częstych rozmów dowiedziałam się, że pani Lidia była Polką urodzoną i wychowaną w Petersburgu. Była niezwykle przywiązana do historii naszego narodu, mówiła że często modliła się w kościele św. Katarzyny miejscu wiecznego spoczynku ostatniego króla Polski. Opowiedziała jej swoje przeżycia z Tokar i Wołczyna z 1938 r. To był częsty temat naszych rozmów.

Po wielu, wielu latach poszukiwań Busslerowie odnaleźli syna. Miał już swoją rodzinę, był inżynierem w fabryce w Brześciu.

Pani Lidia w drodze do Brześcia zatrzymała się w Warszawie i wówczas poznałyśmy się osobiście.

Po pierwszym spotkaniu z synem stwierdziła: - Mego syna wychowali na bolszewika. Ale była szczęśliwa, że go nareszcie odnalazła i mogła nadal ich odwiedzać.

Przed jedną z kolejnych wypraw pani Lidii do Brześcia zasugerowałam jej, aby syn, który z pewnością dysponuje samochodem zawiózł ją do Wołczyna, o którym tak wiele jej opowiadałam. Liczyłam też, że zajrzy do Tokar i zechce mi zrelacjonować, co tam zastała. Po powrocie opowiadała, że wielkie wrażenie zrobił na niej tłumek kobiet koczujących, jak się okazało już od paru dni w ruinach kościoła w Wołczynie. Rozmawiając z nią czystą polszczyznę powiedziały: - od chwili kiedy dowiedziałyśmy się o polskim papieżu czekamy tu na niego, bo z pewnością upomni się o polskiego króla i przyleci po niego, a my uczepimy się jego szat i wyrwiemy się nareszcie stąd.



*Pani Lidia Bussler,
Köln 1975 r.*

Po następnej bytności opowiadała mi, że rozmawiała z człowiekiem, który przedstawił się jako dawny stangret z Tokar Damian. Spodziewał się on, że do Wołczyna z komisją przyjedzie panienska i ukrył króla, tylko jej pokaże gdzie on jest. Ta historia wydała mi się tak przerażająco nierealna i mogąca nasuwać najrozmaitsze podejrzenia, że zaniechałam dopytywania się o dalsze szczegóły.

W grudniu 1988 roku specjalna grupa naukowców pod wodzą profesora Aleksandra Gieysztoru udała się do Wołczyna. W 1995 roku szczątki ostatniego króla Rzeczypospolitej spoczęły w podziemiach katedry świętego Jana w Warszawie. Mając na uwadze różne wersje i wątpliwości, nie można jednak wykluczyć jeszcze jednego pochówku króla Stanisława Augusta.

Ostatnie wakacje przed wojną

Dzień 15 sierpnia to nie tylko dzień Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, Matki Boskiej Zielnej i Święto Kawalerii, ale i imieniny Marii Rudniewskiej, które zawsze były bardzo uroczyście obchodzone w Tokarach. Kolumny ganku oplatano girlandami z widłaka i gałęzi dębiny, drzwi też zdobiono. Gości zawsze bywało dużo a przed południem, po kościele, przyjeżdżała pod ganek banderia Krakusów z ich dowódcą Maksymowem na czele, aby złożyć życzenia.

- Była komenda, śpiew, wszystko malownicze, wzniosłe - wspomina Alicja Rudniewska, jeźdźcy imponujący i tacy sympatyczni. A raz, gdy jeden z Krakusów dosiadł klaczy, przybiegł za nią żrebaczek, niesforny i płochliwy i zabawnie pomieszał szyki Maksymowowi.

Ostatnie przed wojną imieniny Mamy utkwily mi szczególnie w pamięci, bo przy pięknej pogodzie rozstawione zostały stoły w parku pod lipami. Dwóch chłopców folwarcznych ubrano w liberię i białe rękawiczki, aby pomagali pokojowym w podawaniu do stołu. Biegali z półmiskami z kuchni, szalenie zaafserowani i zabawni, za każdym razem poprawiali rękawiczki jakby pragnąc je demonstrować.

Dopiero na podwieczorek przyjechały Jancewicze, to znaczy państwo Jaczynowscy i pan Adzio wręczył Mamie piękny bukiet oraz wiklinowy tajemniczy koszyk ze słowami: A tu są dwie czekoladki, mleczna i deserowa dla dzieci, aby też im sprawić radość w dniu Pani Święta. Zelektryzował nas ten kosz czekoladek. Były w nim monstrualnie wielkie dwie czekolady, rzeczywiście jasna i ciemna i dwa szczeniaki - wyżły niemieckie, synkowie

ulubionej przez nas pary wyźłów Joy'i i Ruma pana Adzia. Cóż za nieoczekiwana radość!

Pan Adzio przyszedł nam jeszcze powiedzieć dobranoc, zastając nas w łózkach trzymających w objęciach przerażone czekoladki. Ten jaśniejszy, czyli czekoladka mleczna, przypadł memu bratu i nazwany został Harry. Mój ciemny, czekoladka deserowa Ralf. Ściskając nas serdecznie, pan Adzio prosił, abyśmy tym szczeniakom okazali tak dużo serca i sympatii, jak kiedyś Bridge'owi i Kaerowi, których śmierć we wnykach stale nam jeszcze wyciskała lzy z oczu.

W 40 dni później nadszedł straszny moment porzucenia wszystkiego, co kochaliśmy. Nie można było zabrać ze sobą naszych psów i tych najmłodszych, bezbronnych szczeniaków, podarowanych w dzień imienin Mamy przez pana Adzia Jaczynowskiego. W nadziei, że choć trochę ulżę ich doli, ofiarowałam swój rower, nową damkę, pokojowej Róży z prośbą o opiekę nad nimi. I nigdy już więcej ich nie zobaczyłam. Ani nikt mi o nich nie opowiadał.

Po piętnastu latach spotkałam pana Adzia przypadkiem w pociągu. Nie mógł mnie poznać. Przypomniałam scenę naszego pożegnania w dniu imienin Mamy. Wspomnienie szczeniaków po Joy'i i Rumie jemu teraz wycisnęło serdeczne lzy.

Ostatnie dni w Tokarach - pierwsze dni wojny

Wybuch wojny zastał Marię Rudniewską z dziećmi w Tokarach. Na początku września przyjechał w mundurze wojsk zmotoryzowanych pułkownika Maczka Roman Rudniewski. Przywiózł żonie dużą sumę pieniędzy. To było ostatnie spotkanie rodziny w czasie wojny.

Pani Rudniewska postanowiła najbliższe miesiące pozostać w Tokarach, uznając to miejsce za bezpieczne, tym bardziej, że nie miała pewności, czy warszawskie mieszkanie ocalało. Zupełnie nieświadoma niebezpieczeństwa i zagrożenia, jakie niesła bolszewicka armia, czyniła przygotowania na dłuższy pobyt.

Do 20 września organizowała pomoc żywieniową dla uciekinierów, którzy przewijali się tłumnie przez Tokary, leżące w pobliżu trasy Siemiatycze-Brześć. Zdobyła kuchnię polową, którą ustawiła przed domem, zapewniając gorący posiłek przejezdnym żołnierzom i całej rzeszy spanikowanych, umęczonych uciekinierów.

Niespodziewanie około 20 września 1939 r. zjechał do Tokar pułk artylerii niemieckiej 8. Regiment majora Fredricha Haarde i jego adiutanta Carla Heinza Knorra, który w myśl porozumienia Ribbentropp-Mołotow wycofywał się z terenów zabużańskich, przekazując wschodnią Polskę Związkowi Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Tak to wydarzenie wspomina Alicja Rudniewska:

- Pod ganek dworu tokarskiego zjechał samochód osobowy, z którego wysiadł młody oficer niemiecki i w zaskakująco uprzejmy sposób spytał o możliwość zakwaterowania we dworze dowództwa 8. Regimentu artylerii, gdyż chcieli przegrupować swoje oddziały przed przekroczeniem Bugu, zanim ustąpią te tereny Armii Czerwonej. Pytali też o pokoje dla poznanych



Major Friedrich Haarde 1939 r.



Porucznik Carl Heinz Knorr 1939 r.

w Brześciu, a później napotkanych po drodze, uciekających ze swego majątku Atteczyzna, trzech księżniczek Gedyminowicz-Bielskich i ich opiekuna wuja Stanisława hr. Czarneckiego z córką i guwernantką.

Oficerowie przedstawili się: major Friedrich Haarde i jego adiutant Carl Heinz Knorr. Zajęli we dworze większy salon. Park i folwark otoczyły czołgi i działa artyleryjskie.

Następnego dnia rano żołnierz z niemieckiej straży przyprowadził do majora chłopą przybyłego z sąsiedniej wsi kościelnej Tokary z informacją, że człowiek ten od wieczora żądał rozmowy z majorem, tłumacząc że wie o tym, iż dowódca niemiecki zna język rosyjski, a on sam ma dla niego ważny meldunek. Przyprowadzony chłop mimo obecności Mamy i mojej padł na kolana, chciał zwyczajem wschodnim, siedzącego na leżaku majora objąć pod kolana. Wykrzyknął: *Hospodin pułkownik, ja was proszę, dajcie mnie mołojców waszych, germańskiego sałdata koniecznie z kulomiotem. Ja poprowadzę, tam za kurhanem ukrywa się reszta kawalerii polskiej, salwá ich położymy.*

Major zwrócił się po francusku do Mamy, że serdecznie współczuje Polsce takiej mniejszości narodowej, ale szczęśliwie jego żołnierze nie znając języka, nie orientują się z jakim to „meldunkiem” chłop się zgłosił. Dał oficerskie słowo honoru, że nic polskim kawalerzystom nie grozi ze strony niemieckich żołnierzy.

Mamusia uznając, że ma do czynienia z człowiekiem honoru, zaryzykowała pytanie, czy wśród oficerów niemieckich są też inni podobnie myślący, do których można mieć zaufanie. Jeśli tak, to czy może prosić o lekarza, bo ukrywa trzech polskich rannych żołnierzy, ich stan wymaga fachowej pomocy. Major obiecał, ale poprosił o cierpliwość aż do zmroku, tak aby przybycie lekarza nie zostało zauważone przez osoby niepowołane.

Szlachetność oficerów niemieckich wobec rannych żołnierzy polskich, dla których zorganizowali pomoc lekarską, kazała zainteresować się mu dalszym ich losem, wobec panujących, jak się zdążył zorientować, wrogich nastrojów wśród miejscowej ludności. Zaproponował przetransportowanie ich na drugi brzeg Bugu. Żołnierze jednak odmówili.

Maria Rudniewska ukrywała ich w tak zwanej lodowni-piwnicy, znajdującej się na terenie folwarku.

Na drugi dzień major Haarde rozmawiał z panią Rudniewską w obecności jej córki Alicji, która dobrze zapamiętała jego słowa skierowane do obu pań: - *Na pewno twój ojciec jako dżentelmen, jest teraz w wojsku...* - mówił. Gdyby sytuacja była jednak odwrotna, że to twój tatuś natknąłby się na moje dwie córeczki, które są w twoim wieku i na moją żonę, a zagrażałoby im takie samo niebezpieczeństwo ze strony naszego wspólnego wroga, jakim jest armia bolszewicka, to jestem przekonany, że twój tatuś a pani małżonek - jako dżentelmen skłoniłby moją żonę do przyjęcia pomocy przy wyjeździe z zagrożonego terenu. Dlatego apeluję do pani o przyjęcie mej propozycji, by jak najszybciej opuściła Tokary. Gwarantuję pani, jej rodzinie i przyjacielom pełne bezpieczeństwo i zapewniam miejsce w mych samochodach.

Po raz pierwszy wówczas moja mama spytała mnie o zdanie, miałam 11 lat. Ponieważ proboszcz tokarski ks. Mieczysław Kasprowicz, jako były kawalerzysta mógł być zagrożony ze strony miejscowych współziomków i zbliżających się najeźdźców, również i jemu major Haarde zaproponował miejsce w samochodzie. W sumie grupa opuszczająca Tokary liczyła 11 osób.

Dojeżdżając do wsi kościelnej Tokary kolumna wojsk niemieckich z uciekinierami natknęła się na świeżo postawioną bramę powitalną z pni brzoźowych, umajoną dębiną i świerkiem, z napisem - Witajcie towarzysze, oczywiście bukwami. Major zatrzymał kolumnę i rozkazał przywołać mężczyzn z okolicznych zagród, aby natychmiast rozebrali bramę. Towarzyszącym Polakom oznajmił, że nie pozwoli, aby przejeżdżali pod tym widowym znakiem zdrady swych współziomków.

Takie bramy były dawniej często stawiane z okazji dużych uroczystości czy na przyjazd biskupa do wsi.

Na noc kolumna artyleryjska z uchodźcami zatrzymała się w Ostrowie-Komorowie w dawnych koszarach wojska polskiego, a w to samo miejsce zjechała jednostka niemiecka rozbita po nieudanym ataku na Pragę. Niemcy rozwścieczeni byli obroną cywilną, ponieważ kobiety z przedmieść Warszawy broniły wstępu do miasta butelkami z benzyną i rzucaniem płonących szmat z okien. Na wiadomość o obecności przywiezionych Polaków żołnierze zapalali zemstą i chcieli ich natychmiast rozstrzelać. Na szczęście porucznik Knorr całą polską grupę wprowadził do opuszczonego mieszkania na piętrze, maskując wejście szafami.

Następnego dnia przekroczono granicę Prus Wschodnich przez wieś Puppen i dojechano do Sensburga (dzisiejsze Mrągowo), gdzie uchodźcy polscy zatrzymali się w hotelu. W nocy do restauracji hotelowej wtargnęli funkcjonariusze gestapo, aby aresztować Polaków.

Uchodźcy, wyspani po nocy spędzonej w wygodnych pokojach, dowiedzieli się, że nocą w piwiarni i restauracji wrzała walka wręcz, zakończona palbą pistoletową. To major Haarde z adiutantem Konorrem poczuwając się do odpowiedzialności za bezpieczeństwo Polaków przeciwstawili się gestapowcom z bronią w ręku, w wyniku czego tamtejszy Kreisleiter NSDAP został ciężko ranny. Niestety porucznik Knorr otrzymał cios nożem. Obawiając się poważnych konsekwencji za zranienie oficera Wehrmachtu w czasie wojny, gestapowcy zgodzili się na ustępstwa wobec polskich uchodźców i dla złagodzenia sprawy przystali na ich internowanie a nie uwięzienie. Miało to trwać do momentu podjęcia decyzji przez wielkorządcę gdańskiego Forstera, który przypuszczałnie miał ich zesłać do obozu koncentracyjnego.

Uchodźcy spędzili przeszło 10 dni internowani pod strażą w pawilonie myśliwskim Waldheim pod miastem, bez prawa wyjścia na zewnątrz. W nocy zjawił się nagle por. Knorr nakazując szybkie opuszczenie budynku. Okazało się, że z kilku żołnierzami, transporterem pancernym, częściowo na gaśnicach, sforsowali strzeżoną bramę parku, związali, zakneblowali strażników i uwolnili Polaków.

Tym samym pancernym pojazdem wywiózł ich Knorr do podstawionego pociągu, który ruszył do Królewca (Konigsberg - dzisiejszy Kaliningrad). Na stacji w Sensburgu po raz ostatni Polacy widzieli swoich wybawców.

Na dworcu w Konigsbergu oczekiwali ich przyjaciele por. Knorra, wręczyli fałszywe paszporty, dzięki którym wszyscy mogli zameldować się w Park-Hotelu, aby tam oczekiwać umówionego kapitana norweskiego statku, który miał ich przewieźć do Skandynawii.

Niestety, oczekiwanie na statek przedłużało się niebezpiecznie, do tego doszła wiadomość o aresztowaniu krewnych pp. Donimirskich, których majątek był celem wyprawy uchodźców do Prus Wschodnich. Nowi opiekunowie poradzili w tej sytuacji ucieczkę na zachód przez Berlin. I tak po wyczerpującej podróży przez Tczew, Lisewo, Gdynię znaleźli się w Berlinie, w Central Hotelu. Ale po dziesięciu dniach okazało się, że przywiezione polskie pieniądze stały się w jednej chwili nic nie warta makulaturą.

Szczęśliwie hrabia Czarnecki posiadał numer prywatnego telefonu majora Haarde, zatelefonował do niego, prosząc o ułatwienie wyjazdu do Paryża, gdzie miał w banku potrzebne środki. Wkrótce uchodźcy zostali poinformowani, że rano zjawi się u nich sekretarz dyrektora Banków Niemieckich pana von Ilberg i to jemu należy przekazać wszystkie polskie pieniądze. Po godzinie sekretarz przywiózł Polakom dolary, wymienione po tak korzystnym kursie, jaki podobno nigdy dotąd nie istniał.

Pani von Ilberg, żona dyrektora Banku złożyła pani Marii Rudniewskiej wizytę. W rozmowie przyznała, że jej mąż jest antyhitlerowcem, że nie wiadomo jak długo utrzyma się na tak eksponowanym, stanowisku, ale jest usatysfakcjonowany, że może cokolwiek uczynić dla poszkodowanych przez reżim, dla którego na razie pracuje.

Pani Rudniewska z hrabią Czarneckim złożyli wizytę nuncjuszowi papieskiemu, który między innymi upoważnił uchodźcę ks. Mieczysława Kasprowicza do odprawiania codziennej Mszy św. w kościele pw. św. Jądwigi.

Polacy wrócili do kraju pod koniec listopada 1939 roku.

Historia ta epilog znalazła na początku XXI wieku, tyle lat potrzeba było żeby powiedzieć, że wśród narodu niemieckiego byli różni ludzie i tacy, którzy nie popierali Hitlera ale walczyli na froncie jako Niemcy, dla Ojczyzny, pamiętając cały czas o honorze, a więc o wartości, która nie jest nikomu raz na zawsze dana.

Ostatni dziedzic Antopola

W okresie międzywojennym (1918-1939) nazwa Antopol była nazwą majątku, a Hołowno niezależną, sąsiednią wsią, zamieszkałą w większości przez prawosławnych. Z Antopolem łączyły się Piechy. Oba majątki graniczyły ze sobą i należały do rodziny Zaleskich. W tym czasie upowszechnia się pojęcie dóbr antopolskich, Antopol jest centrum dóbr rodziny Zaleskich.

Od 1932 r. w Antopolu zaczyna gospodarować Janusz Zaleski, ma ukończoną Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, doświadczenie zdobyte w Antopolu i odbyte praktyki rolne w Poznaniu.

Był jedynym synem Bohdana i Zofii z Doliwa Sobockich Zaleskich.

Antopol wraz z Piechami miał ok. 800 ha, nieszczegółnej ziemi, gleba przeważnie piaszczysta o zakwaszonych łąkach i bagnach poleśnych. Ratowały go dwa zakłady przemysłowe - gorzelnia i cegielnia oraz dobrze postawiona hodowla krów. Ale majątek położony w zapadłym kącie, odległym o 40 km od stacji kolejowej we Włodawie, prawie bez dróg bitych, przez większą część roku był niedostępny dla samochodów. Okowitę z gorzelni odstawiano furgonami zaprzęgniętymi w czwórkę a nieraz w szóstkę koni, bo tylko taki zaprzęg mógł przejechać z obciążeniem przez błotniste i grząskie drogi.



Janusz Zaleski

W okresie 1918-1939 do powiatu włodawskiego administracyjnie przynależało trzy miasta: Ostrów, Parczew, Włodawa oraz 14 gmin: Dębowa Kłoda, Hańsk, Krzywowierzba, **Opole** - w tej gminie położone były dobra antopolskie, Romanów, Sławatycze, Sobibór, Tyśmienica, Uścimów, Wisznice, Włodawa, Wola Wereszczyńska, Wołoska Wola, Wyryki.

Roman Rudniewski w latach 30.XX w. nabył Wolę Wereszczyńską.

Powiat włodawski pod względem przyrodniczym stanowi przedłużenie Polesia, od którego oddzielony jest rzeka Bug²¹⁾.

Duża część powiatu pełna była jezior, błot, bagien i moczarów, ciągnących się nieprzerwanym pasem w poprzek powiatu ze wschodu

na zachód. W ten sposób teren powiatu otaczał jakby wieniec bagien i moczarów, oddzielających go od zewnętrznego świata i utrudniający ludności przez większą część roku komunikowanie się z nim. Najtrudniej było podczas wylewów rzek, na wiosnę w czasie tajenia śniegów i na jesieni w okresie deszczy i szarugi. Błotniste drogi stawały się nieprzejezdne. - *Nawet w upalne lata, błoto zalegało na drogach i to był powód dla którego do Antopola nie jeździło się samochodem* - wyjaśniła pani Alicja Rudniewska.

Powierzchnię powiatu pokrywały gleby liche, występujące w postaci piasków, nieraz lotnych, glin piaszczystych, szczerków gliniastych, przerywane mniejszymi, występującymi na niewielkich obszarach pokładami czystych glin, bielic, rędzin lub ilów. Gleby te występując na terenach niskich, tworzyły przeważnie podmokłe piaszczyste sapy. Produktywność takich gruntów była nieznaczna.



Pierwszy z lewej Janusz Zaleski

²¹⁾ Charakterystykę terenów wiejskich powiatu włodawskiego w okresie międzywojennym zawarł Stanisław Kopczyński w publikacji *Przemysł ludowy na tle stosunków gospodarczych Powiatu Włodawskiego*, wydanej w 1930 r.

Produkcja rolna na terenie powiatu była bardzo mała i tylko dlatego, że teren był słabo zaludniony mogła pokryć miejscowe potrzeby. Lepiej rozwijała się hodowla zwierząt domowych i przemysł leśny. Prawie nie istniał przemysł i handel a bardzo trudne warunki komunikacyjne uniemożliwiały wykorzystanie pozyskiwanych na miejscu surowców takich jak: skóry, wełna, włosie, drzewo.

Ludność zagospodarowywała to na miejscu. Chłop zaspokajał potrzeby własnego gospodarstwa i dostarczał towary na targi i jarmarki, które dość licznie odbywały się na terenie powiatu, ale nie przekraczały swojego lokalnego znaczenia.

W wieku XIX rozwija się bednarstwo, koszykarstwo, garncarstwo, wyrób łapci z лыка, garbarstwo, kuśnierstwo, tkactwo, kowalstwo, kołodziejstwo, szewstwo, krawiectwo, co wraz ze wzmożeniem rozwoju handlu i przemysłu rzemieślniczego pod koniec wieku powoli upada.

Jeszcze w drugiej połowie XIX w. pieniądź był małym pośrednikiem w układach gospodarczych na tym terenie. Ale to się stosunkowo szybko zmieniało. Druga połowa XIX w. to czas poprawy bardzo trudnych warunków życia ludności na tym terenie.

Z powodu zniesienia pańszczyzny (październik 1861 r.) a po powstaniu styczniowym w 1864 r. przeprowadzonego uwłaszczenia zmienia się struktura gospodarstw rolnych. Duża własność ziemska była słabo zagospodarowana, przemysł znikomy, potrzebowała do pracy taniej siły roboczej ale zatrudnienie ludzi było niewielkie. Nie udało się nadrobić zapóźnień gospodarczych.

Mała własność prawie bezrolna, lud nieoświecony, zabobonny, z przywarą pijaństwa. Powiat słaby gospodarczo wchodził w XX w.

Jeszcze w okresie międzywojennym wielkie obszary nieużytków stanowiły tereny bagienne, ale to uległo zmianie dopiero pod koniec lat 40. XX wieku. Powstał projekt melioracji ok. 10 tys. ha bagien i użytków zielonych w dorzeczu górnej Zielawy położonych w gminach Opole, Krzywówierzba, Wisznice powiat włodawski i Jabłoń powiat radzyński. Na bazie tego projektu narodziła się w 1952 r. koncepcja budowy kanału Wieprz-Krzna. Realizacja inwestycji nastąpiła już w latach 60. XX w.

Dane Urzędu Statystycznego z 1921 r., Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie i Urzędu Starościńskiego we Włodawie z 1928 r. informują o zmniejszeniu areалу nieużytków, pozyskiwaniu ziemi ornej poprzez wycinanie lasów, powiększaniu areалу użytków zielonych, zakładaniu sadów.

W 1921 r. gmina Opole miała pow. 11251,1, zamieszkiwało ten teren 3153 osoby, w tym katolików było 1981 osób, co stanowiło 63 proc. mieszkań-

ców; prawosławnych 955 osób, co stanowiło 30 proc.; 180 osób wyznania mojżeszowego, co stanowiło 5,5 proc, oraz 1,5 proc. przedstawicieli innych wyznań.

Gminę Opole w 1928 r. zamieszkiwało 3773 osoby, w tym 144 Żydów. Widzimy, że liczba ludności zwiększa się, ale maleje ilość Żydów. Żydzi emigrują z Polski, ale też osiedlają się na terenach gospodarczo lepiej rozwiniętych.

Na terenie gminy Opole zarejestrowanych było zaledwie 15 warsztatów rzemieślniczych, w tym: jeden stolarz Żyd, 4 kołodziei Polaków, 5 kowali Polaków, 3 szewców Polaków i jeden Żyd; jeden cukiernik Żyd. Porównując do innych gmin powiatu, gmina Opole znajdowała się na ostatniej pozycji.

Na terenie gminy Opole targ odbywał się w Podedwórzcu raz w miesiącu w pierwszą środę po 10 dniu miesiąca.

W 1928 r. na terenie gminy Opole było tylko 3 km dróg bitych, był to bruk tak zwane „kocie łby”, a więc jedynie krótki odcinek drogi pomiędzy Włodawą a Wisznicami, który przebiegał przez teren gminy Opole.

W 1930 r. na terenie powiatu włodawskiego gospodarstw posiadających ponad 100 ha ziemi było 54, dla porównania gospodarstw dysponujących ponad 1.000 ha było 8.

Poprawa warunków gospodarowania wpływa na rozwój hodowli bydła i trzody chlewnej i to warunkuje konieczność przerobu mleka czy mięsa na miejscu. Na przykładzie Antopola widzimy, że serownie przynosiły dochód, produkowano sery, twarożek, maślanek, śmietanę - produkty w większości odbierane były przez Żyda - Grzybmachera pachciarza, który zajmował się handlem tymi produktami. Żydzi też arendowali - dzierżawili antopolskie sady.

W ostatnim dziesięcioleciu XIX w. zbudowano pierwszą kolej - stacje Włodawa-Domaczewo, co zapoczątkowało regularne komunikowanie się ludności z innymi terenami. Potem powstała linia kolejowa na przeciwnym końcu powiatu ze stacjami: Uhrusk-Sobibór i Parczew, ale nie poprawiło to stanu komunikacji na terenie powiatu.

Do Parczewa jeździł też autobus z Warszawy.

Warunki gospodarcze były trudne, co też wyjaśnia stale nękające Zofię Zaleską, później Janusza Zaleskiego kłopoty w prowadzeniu gospodarstwa oraz zagrożenie jego licytacją.

We wrześniu 1921 roku Janusz Zalewski rozpoczął naukę w Zakładzie Naukowym Ojców Jezuitów w Chyrowie. Został przyjęty do klasy drugiej. Z tego okresu zachowały się listy pisane przez niego do matki, babuni Antoniny oraz listy od Zofii karmelitanki, rodzonej siostry Antoniny. Alicja Rudniewska przeczytała i przepisała na maszynie wszystkie listy Janusza do matki.

Z tej korespondencji wyłania się postać żywa i jakby tuż obecna. Młody, wrażliwy, chwilami chciałoby się powiedzieć przewrażliwiony chłopiec. Nerwowość, która wręcz emanuje w niektórych fragmentach korespondencji do matki, szczególnie kiedy prosi, żąda aby go odwiedziła, czyni jej wyrzuty, że nie przyjechała - pokazuje jeszcze dziecko, ale o jakże zdecydowanym charakterze. Tęsknota za matką, za rodziną, za domem w Antopolu to stały motyw listów wysyłanych do domu. Z czasem tęsknota łagodnieje, co tylko świadczy o postępującej dojrzałości.

Był dziedzicem Antopola i to mu wpajano od dziecka. Miał poczucie wielkiego obowiązku wobec rodziny i majątku, który przejmie i doprowadzi do świetności. Był do tej roli wszechstronnie przygotowywany.

Pierwszy list nosi datę 21 września 1921 r. Nauka od początku mu się podoba, ale wręcz bolesna tęsknota za Matką, rodziną, za domem, będzie mu towarzyszyła przez cały pobyt w Chyrowie. Z ogromem poczucia nieszczęśliwości musi uporać się sam. Zdaje się, że Zofia Zaleska miała świadomość, że syn powinien zmężnieć i dorosnąć do roli jaką mu wyznaczono. Trzeba też pamiętać, że był wychowywany przez same kobiety.

Z listu Janusza Zaleskiego dowiadujemy się, że we wrześniu 1921 r. w Chyrowie są rekolekcje, które prowadzi ojciec Barglerski. Kiedy w czasie nauki mówił o celu człowieka, modlitwie, a trzech sądach, o sakramentach św., o potępieniu człowieka, to jego kazania wzruszały i nastrojały refleksyjnie Janusza.

Ponadto w tym pierwszym zachowanym liście pisze: - *Co w domu słysząc, czy Mamusia dostała ode mnie list i czy Mamusia odpisała, ja mamusię*



*Janusz Zaleski
w mundurze
gimnazjalisty
w Chyrowie fot. 1925 r.*

bardzo proszę żeby mamusia napisała list do mnie, już z 10 dni upłynęło a ja ani jednego listu nie otrzymałem. Jutro są 3 tylko lekcje. Prawie zawsze umiałem na lekcji wszystko, tylko kilka razy nie umiałem odpowiedzieć na pytania z łaciny. Kiedy Mamusia przyjedzie do Chyrowa. Już koniec jest miesiąca.

(...) Jak mamusia przyjedzie, to niech mamusia przywiezie pomadkę i szczotkę do butów, wprowadzie w Chyrowie czyszczą nam buty, ale od tego czyszczenia buciki pękają bo czyszczą jakąś czerniną. Niech mamusia przywiezie mi nożyczki i kajety i jedną parę butów marnych, co były zrobione we Włodawie. Niech mamusia przywiezie chleba i masła. Proszę bardzo mamusię żeby napisała do mnie list i jak najprędzej przyjechała. Całuję z całego serca drogą i Kochaną Mamusię, **kochający syn Janusz Zaleski.**

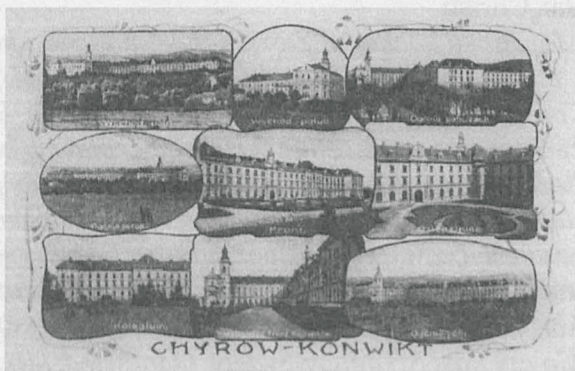
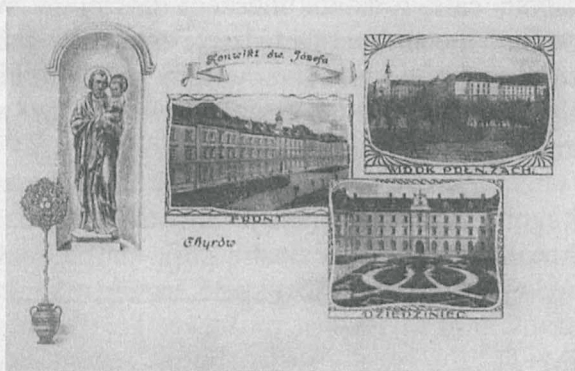
Tak podpisuje wszystkie listy do matki.

Powodowany tęsknotą prowadził dużą korespondencję, pisał do matki, ale nie zapomina o babci Antoninie Zaleskiej, siostrach Zosi, Mirze i Misi.

Zofię ostrzega przed jej zbliżającym się wyjazdem na naukę do Urszulanek w Zbylitowskiej Górze. Pisz: - ... sto razy jest lepiej w domu, sama się przekonasz jak będziesz w Zbylitowskiej Górze.

Zanim Zofia Zaleska odwiedzi syna w listopadzie, otrzyma jeszcze ponagląjące listy: - Dlaczego mamusia nie pisze do mnie listu? Kiedy Mamusia do Chyrowa przyjedzie. Jej przyjazd odrobinę łagodzi tęsknotę.

Jeszcze tego samego roku w Chyrowie 8 grudnia przyjmuje sakrament bierzmowania, o czym listownie informuje matkę.



Chyrów

Myśli już tylko o wyjeździe do domu na święta Bożego Narodzenia, ale okazuje się, że może nie wyjechać. Zgodnie z wolą księdza prefekta, taka była wychowawcza zasada, ale też sposób zapewnienia bezpieczeństwa wyjeżdżającym uczniom, Janusz śle list z zapytaniem czy może przyjechać na święta, jeśli tak, to prosi o depeszę. Takie zapytania do rodziców i odpowiedzi rodziców do konwiktu będą obowiązywały przed każdym wyjazdem na święta Bożego Narodzenia, Wielkanocy i na wakacje.

Święta Bożego Narodzenia 1921 spędza w domu.

Zofia Zaleska zawsze na święta zapraszała rodzinę i przyjaciół z Wołynia, z Ukrainy. Byli też ci co na wschodzie wszystko potracili. Do świątecznego stołu zasiadało dużo ludzi. Zofia Zaleska celebrowała święta, tym samym dawała całej rodzinie bliższej i dalszej do zrozumienia jak oni są dla niej ważni i potrzebni. Dla dzieci obecność licznych gości, choinka i inne atrakcje świąteczne stanowiły o niezapomnianym świątecznym nastroju. Czy to Boże Narodzenie czy Wielkanoc, to święta zawsze były w Antopolu tradycyjne i polskie.

Regularną korespondencję prowadził też Janusz z rodzoną siostrą babci Antoniny Zaleskiej - siostrą Zofią karmelitanką. Zachowały się listy pisane do Janusza latem 1922 roku z Karmelu w Krakowie:

JM+JT

Pax Christi

Mój Janku kochany! Zawsze byłeś dobrym i kochanym, modłę się za Ciebie i chciałabym abyś pamiętał o swojej babci w Karmelu, która Cię kocha i pragnie tylko tego abyś był zawsze dobrym. Bądź pewnym i ufaj Bogu tego, że Twój Ojciec jest zbawiony. Nacierpiał się biedak bardzo - ale dobrym był bardzo i chciałabym abyś i Ty Janku Kochany pamiętał o swoim zadaniu aby do domu nie dopuszczać hałaśliwych i bawiących się po nocach. Antopol znany był zawsze jako dom pobożny, w którym przemieszczują osoby oddane dobrym uczynom. Mój Dobry Janku módl się bardzo codziennie, odmawiaj koronkę, noś Szkaplerz Święty. Kiedy Twój Ojciec był u mnie spytałam się Go czy nosi Szkaplerz Święty. Odpowiedział, że jest umieszczony w dobrym miejscu. Otóż Janku Drogi nie na to przyjmujemy Szkaplerz by Go schować, ale na to aby Go nosić i stąd mieć korzyści duchowe. Bądź dobrym katolikiem i Polakiem a choć teraz Litwini robią zaburzenia jednak lepiej by zrobili, ażeby złączyli się wspólnie i Boga chwalili razem. Modłę się bardzo za Ciebie i choć słaba jestem jednak modlić się mogę.

*Serdecznie Cię pozdrawiam i Bogu oddaje
Twoja Babcia S. Zofia*

JM+JT

PC

Kochany Janku, bardzo się cieszę żeś tak dobrze zdał egzamin i nawet dostał nagrodę. Był u nas Ojciec Krysa ze Mszą św. i pożegnaniem bo jedzie do Wilna, umarł tam jeden z głównych Ojców Jezuitów. On go ma zastąpić.

Janku drogi, wiem że jesteś pociechą babci Antosi, chodź więc do niej na rozmowy, a może Babcię nakłonisz żeby pojechała z Wami na Mszę św. w święto Matki Boskiej 15-go. Otrzymałeś drogie dziecko od Boga z łaski Jego, bez twojej zasługi wiele darów, jak najpierw ten żeś się Katolikiem i Polakiem urodził, że masz rozum, zdrowie, dobre wychowanie, a mogłeś urodzić się w rodzinie luterskiej lub żydowskiej, biednym kaleką etc. Patrz Janku abyś tych darów używał dla Boga, to jest rozwijał w sobie cnotę a nie wady, które natura skażona grzechem musi w sobie dostrzec, aby je ujarzmić. Dopóki będziesz w Chyrowie będziesz dobry, pod opieką Ojców. Ale gdy pójdziesz na Uniwersytet strzeż się złych kolegów. Pamiętaj Janku jaki ranek taki cały dzień. A jeszcze bardziej jeśli się spało dobrze w nocy to jest czas i siła zacząć dzień od modlitwy i pracować. A jeżeli życie złożone z dobrych dni, to i wieczność szczęśliwa. Masz jedną duszę, zbawisz ją wszystko zyskał, stracisz ją wszystko stracił na wieki. Ale Bóg zawsze przebacza żałującemu. Maryi w opiekę Cię oddaje.

Siostra Zofia od Jezusa

Misie, Mirę z miłością ściskam.

Odpisz mi Janku za babcię, która siły nie ma.

Zawarta w listach nauka i rady, świadczą nie tylko o miłości, ale również ważności tego wnuka w rodzinnych rachubach. Był to jedyny syn Zofii i Bohdana, dziedzic nazwiska i nadzieja na przyszłość. Siostra Zofia swoimi modlitwami otoczyła rodzinę opieką, ale doskonale zdawała sobie sprawę jak ważna jest postawa Janusza, który będzie musiał przejąć na siebie obowiązki związane z prowadzeniem gospodarstwa i opieką nad rodziną.

Będąc w Chyrowie Janusz korespondował z Babunią Antoniną. Jej listy do wnuka pisała Mira, Babunia dyktowała to co chciała wnukowi przekazać.

Babka Antonina w 1922 roku napisała, że: - ... gospodarstwo źle idzie, uruchomić gorzelni nie mogą...

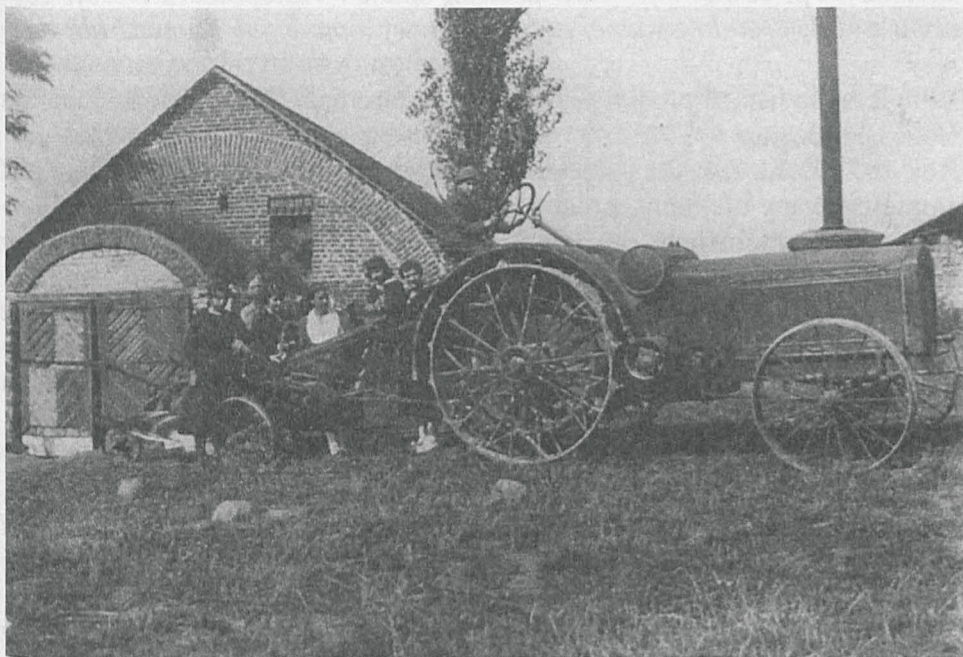
W liście z 9 października Janusz pisze: - Kochana Babciu moja! Pisząc ten

list biję się w piersi, moja wina, moja bardzo wielka wina, że tak długo do kochanej Babci nie pisałem. Jak Babci zdrowie? Jak się Babcia czuje, czy dobrze? O tej kocieczce z kurczenia Babcia pewnie już zapomniała. Nie miło była to wtedy sprawa. Jaka w Antopolu pogoda, czy już nastały chłody jesienne? Czy babcia wychodzi jeszcze teraz na dwór? O ile wilgoć panuje to lepiej nie wychodzić, bo teraz pogoda bardzo zdradliwa. Cóż teraz w Antopolu słyhać. Wszystko tak pozostało pewnie jak w dzień mego wyjazdu. Godzina 6 po obiedzie. Na dworze mrok zapada otulając ziemię ciemną oponą. Babcia otulona siedzi sobie przy oknie i patrzy na gazon, na którym Ralf z Lordem toczy bohaterską walkę pełną uciesznych kozłów i skoków. Misia i Mira siedzą na górze. Misia pochylona nad stołem maluje coś lub wyszywa zawzięcie. Mira siedzi zamyślona i patrzy w płomień lampy. Nagle drzwi otwierają się z trzaskiem i hukiem i do pokoju wpada Ralf a za nim Lord zziąjany. Babcia tymczasem wstaje od okna i idzie wolnym krokiem do swego pokoju, by się położyć i zdrzemnąć trochę. W kuchni służba kręci się żwawo i słyhać wciąż głos pani Zielińskiej. Tymczasem noc już zapada, fornale wracają z pola, słyhać skrzyp żurawi i parskanie koni. A z przeciwnej strony zmierza pan Wacław z kilkoma zającami na plecach. Tymczasem wiatr świszczę na dworze, kręcąc i unosząc zwiedłe liście w górę. Nocny koncert sów i puszczyków w pełni. Zewsząd dolatują ich denerwujące śmiechy i piski. Godzina duchów się zbliża, ale na szczęście kolacja - a ja tu siedzę nad tym listem i tylko sobie palce oblizuję. Po kolacji Schlafen gehen alles. Ciche, spokojne, monotonne życie, zabarwione jednak wielkim urokiem. Chciałbym sobie teraz tak na przykład siedzieć w Antopolu mając świadectwo maturalne w kieszeni! Ale dość tych marzeń. Sądzę, że Babcia ucieszy się z tego długiego listu. Ja również ucieszę się o ile otrzymam nie krótszą odpowiedź, od Babci, Misi i Miry. Przy końcu września odbyła się pielgrzymka z Chyrowa do Wilna. Ja w niej brałem również udział. Było wesoło. Byliśmy również przed cudownym obrazem w samej kapliczce. Modliłem się dużo, dużo i bardzo serdecznie o wiele rzeczy i także o Babcię. Teraz siedzę sobie przy stoliku i piszę, piszę ten długi list. Teraz jestem w dobrym humorze. Ale może za chwilę inny wiatr powieje i smutek spadnie mi na duszę. O często się tu martwiłem i smuciłem. Czasami sam nie wiem dlaczego. Taki to już mój charakter nieszczęsny, że lubię brodzić w czarnych i smutnych myślach. (...)

Pyta: Czy groby pod kościołem ukończone? Pan Szczesniewski obiecał mi iż tym się zajmie. Jak on gospodaruje, czy dużo zasiał oziminy? Czy dokupił trochę krów? Jak gospodaruje pan Antoni Targoński na Piechach? Najlepiej będzie się można dowiedzieć o tem od zwykłych ludzi. Czy pan Czesław ożenił się już? Co słyhać w okolicy? Czy pan Szczesniewski dużo poluje?

Babka Antonina uchodziła za osobę wymagającą i despotyczną, a treść listu i tematy poruszane przez wnuka świadczą o ich bardzo bliskim stosunku oraz życzliwości jaką Babunia otoczyła wnuka. Janusz zwierza się jej ze swoich emocji, co świadczy o dużym zaufaniu. Babka Antonina również pokłada duże nadzieje w swoim jedynym wnuku.

Rok 1922 był dla Janusza Zaleskiego czasem intensywnej nauki. Pokonuje w sobie niechęć do łaciny i osiąga bardzo dobre wyniki, uczniem jest dobrym.



*Automobil - traktor na folwarku antopolskim,
po lewej stronie rodzeństwo Zaleskich, Tomasz Lenkiewicz*

Prosi w liście matkę o przyjazd 2 lutego na półroczną klasyfikację, informuje, że liczy dni do świąt Wielkanocnych, - *zostało 80 dni*.

Zachorował na żółtaczkę, pisze z lecznicy krótki list, w którym jest dopisek ks. J. Burego, że: - *Januszek za dwa dni wróci do zdrowia*.

Pisze jeszcze 30 stycznia 1922 r., skarży się, że nie ma listu od Mamusi, pyta o Antopol, o Radę Familijną. Ksiądz Bury zamieszcza informację o jego poprawiającym się zdrowiu.

W kolejnym liście dziękuje za długi list, ale prosi o przyjazd, w kolejnym liście ta sama prośba. Zbliżają się święta Wielkanocne, prosi o telegram do

o. Generalnego, że może jechać dna święta. Tu pisze: *Ja jestem pewny, że pojedę na święta, ale proszę Mamusię żeby wysłała telegram...* Kolejny list przynaglaający o telegram. Święta spędza w domu.

W maju pisze już o wakacjach, prosi aby - *Mamusia przyjechała na Zielone Świątki*. Pisze, że kilka dni był w lecznicy z powodu kaszlu. Lekcje idą mu dobrze. W kolejnym krótkim liście prosi o przyjazd na Zielone Święta.

Wakacje 1922 roku spędza w domu w Antopolu.

Pierwszy list po wakacjach pisze już 23 września, skarży się: *Dlaczego nikt do mnie nie pisze z domu*. Pyta o to, co się dzieje w Antopolu. Interesuje go, - *czy wszystko zostało zasiane, czy kartofle wykopane, jak Mamusi idą interesy*.

W kolejnych listach prosi o przyjazd i częstsze listy. Pisze, że czeka już na Boże Narodzenie.

Rok 1923 Zofia Zaleska rozpoczyna podróżą na Inflanty, więc Janusz jest zainteresowany efektami, prosi o wiadomości, wyraża też swoje zniecierpliwienie brakiem listu od matki, 18 lutego 1923 roku pisze: *Dlaczego Mama dotąd nie napisała do mnie listu? Czy Mama może jest chora? Czy Mama prędko wróci z tych głupich Inflant i przyjedzie do Chyrowa - przecież Mama jeszcze przed samym wyjazdem do Rygi obiecała przyjechać do mnie. (...) Czasami jest mi tak przykro - wszyscy dostają listy od Rodziców a ja jeszcze żadnego nie dostałem. Misia mi pisze, że podobno Mira była chora. Czy Mamusia jest zdrowa? Nie rozumiem dlaczego Mamusia tak długo nie daje wiadomości o sobie. Mamusia nie ma pojęcia jak mi jest smutno, przykro czasem, zdaje mi się, że o mnie zapomnieli, chociaż ojcowie Jezuici są bardzo dobrzy. Kiedy będzie Msza żałobna za Tatusia, już grudzień przeszedł. Czy w Antopolu już była*.

W jednym z kolejnych listów pisze, że chciałby aby jego imieniny były obchodzone nie 24 czerwca a 12 lipca. Chce imieniny obchodzić w Antopolu w gronie rodziny.

Piąta klasa, kolejny rok szkolny 1924/25, Janusz Zaleski nadal jest konsekwentny w swoich prośbach o jak najbardziej szczegółowe informacje o wszystkim co się dzieje w Antopolu. W liście z 7 lutego 1925 r. pisze: - *Droga i kochana Mamusiu! Znów minął tydzień od ostatniego listu i znów nadeszła sobota. Sobotę w Chyrowie bardzo lubię, bo zwykle z soboty na niedzielę dłużej śpimy i w ogóle można odpocząć trochę. I tak powoli przejdzie luty, potem marzec i nadejdą święta. Ale to jeszcze daleko, jednak mam nadzieję, że na ostatki Mamusia przyjedzie. Najlepiej by było gdyby Mamusia przyjechała 20 w piątek to bym mógł być z Mamusią 21, 22, 23, 24 a więc prawie cztery dni. Więc niech koniecznie Mamusia mi napisze czy*

przyjedzie, naturalnie razem z Misią. Teraz jeszcze mam jedną prośbę do Mamusi, mianowicie żeby Mamusia mi odpisała kto to jest pan Abranowicz i jak się nazywa ten Wujaszek, który był u nas parę razy w Warszawie, i który uciekł z Ukrainy będącej pod bolszewikami. Teraz jeszcze jedno czy Mamusia nie pamięta jak się nazywała partyzantka Wujaszka Szymka i w którym roku mniej więcej ją miał i potem z kim on był właściwie, do kogo przystał, czy do Denikina czy do kogo? Więc proszę Mamusię bardzo aby Mamusia odpisała mi na te pytania. Pyta mnie mamusia czy jestem zdrow i jak mi idą lekcje. Jestem zupełnie zdrow tylko mam niewielki kaszel. A nauki idą mi nie źle. Zresztą już pewnie do tego czasu doszło moje świadectwo półroczne do Antopola.

Właściwie już się przyzwyczaiłem znów do Chyrowa, ale jak wszędzie każdy ma różne przykrości - tak samo i ja. Najgorzej, że nie mam tutaj takiego szczerego, prawdziwego przyjaciela, do którego mógłbym zwierzyć się ze wszystkiego. Może jednak się mylę nie wiem.

Latem 1925 roku w Antopolu panowała wścieklizna, ale minęła bez większych strat.

Zofia Zaleska często podróżowała, przebywała w Warszawie, prowadzeniem gospodarstwa zajmowali się kolejni administratorzy i rządcy. W 1925 roku administratorem w Antopolu jest pan Podhorski spokrewniony z Zofią Zaleską, a oprócz rządcy Gorskiego Zofia przyjęła jeszcze jednego rządcę.

Nowy rok szkolny tradycyjnie już otwierają wrześniowe rekolekcje w Chyrowie. List do matki z 14 listopada 1925 roku Janusz Zaleski podpisuje - *ostatni Lis Bzura*. W liście wspomina o jakimś przykrym wydarzeniu o którym opowie jak się spotkają. Dalej pisze: *Szerzą się chamskie czasy, chamstwo panuje. Nasza sfera upada. (...) Niedawno otrzymałem list od Zosi, pisze m.in. że pan Podhorski już nie zajmuje się naszymi interesami, tylko zdaje się pan Targoński. Ale to zdaje się będzie z deszczu pod rynnę. Kto bierze Piechy w poręczającą administrację? Czy pan Czesław Targoński czy pan Pleszczyński? Dlaczego nie ma pana Podhorskiego?*

Janusz Zaleski nigdy nie zapominał o imieninach matki, zawsze wysyłał list, rysował też laurki, imieninowe życzenia maj 1926 rok: - *Droga i kochana Mamusiu! Z okazji imienin Mamusi spieszę z najserdeczniejszymi życzeniami! A więc naprzód ażeby Mamusia szczęśliwa, ale naprawdę szczęśliwa, teraz i zawsze. I żeby poznała skąd może to szczęście wypływać. Życze*

długiego życia i zdrowia i również ażebyśmy wyrosli na prawdziwe cztery pociechy Mamusi. Ponadto ażeby Łotwa powróciła i interesy się polepszyły. I w ogóle spełnienia życzeń.

Co Mamusia porabia? Jak zdrowie, czy kto będzie na imieniny Mamusi? Cóż słyszać w domu? Jak się ma Babcia dziewczynki?

Mamusia pewno była niedawno w Warszawie, to w każdym razie niech Mamusia będzie łaskawa napisać mi co mówią o monarchizmie w stolicy i czy on się szerzy prędko w Warszawie i na prowincji. Jestem bardzo ciekawy, czy może wujaszek Aleksander nie pisał do mnie? I prosiłbym jeszcze Mamusię o jego adres do Brześcia, bo chcę napisać a nie mam adresu.

Jak się ma Lord, Pikuś, Jamek i reszta całej bandy. Pewno hałasują sobie wesoło po polach, a o budzie i łańcuchu z obrozą nie myślą. I pewnie znów się z nimi tak skończy jak z wściekłą Migdałą. Czy dużo wody na łąkach, a jak się przedstawiają drogi. Pewno w tym roku będzie dużo kaczek. Cóż robi pan Rudzki? Czy Orda gra teraz w operze, czy pojechał na wakacje?

Którego będzie biskup w Antopolu? Czy Lord nie rozwydrzył się zupełnie? Ja jestem zupełnie zdrowy. Nauki mi idą nie źle. Oczekuję z niecierpliwością na 24 czerwca a może 18.

Teraz jest bardzo ładnie w Chyrowie. Wokoło wszystko kwitnie i zieleni się. Co wieczór chodzimy na nabożeństwo majowe. Bardzo jest przyjemnie tylko wszystko psuje matematyka i upały. Jak Mamusia będzie w Warszawie, to niech Mamusia mi wyśle kostium kąpielowy i letnie płócienne półbuciki.

Całuję serdecznie Kochaną Mamusię i przysyłam jeden prezent Mamusi, którego o ile Mamusia będzie używała szczerze i z wiarą to wszystko przez niego uzyska. Wiem to z własnego przekonania.

Tym prezentem był Szkaplerz.

*W 1927 roku Janusz pisze: *Lubię Chyrów, ale ta nauka już mi tak zbrzydła, że gdyby nie to, że to ostatni rok, to nie wiem co bym robił.**

*Pyta: - *Jak gospodaruje pan Szczęśniowski? A pan Targoński na Piechach?**

Boże Narodzenie tradycyjnie Janusz Zaleski spędza z rodziną w Antopolu a święta Wielkanocne w 1927 roku spędza w Warszawie.

*Po wakacjach, we wrześniu 1927 roku z kolegami z Chyrowa pojechał do Wilna, gdzie spotkali się z uczniami takiego samego zakładu naukowego prowadzonego przez oo Jezuitów. Wycieczka mu się podobała, ocenia że: - *była bardzo sympatyczna.**

W czasie pobytu w Chyrowie był aktywnym członkiem Sodalii Marianus, co przyczyniło się do pogłębienia jego wiary.

W 1928 roku Janusz Zaleski zakończył naukę w Chyrowie.

Z lektury listów widać jak dorasta, mężnieje, uświadamia sobie swoje powinności, obowiązki i prawa ale na zawsze, najbardziej charakterystycznym rysem jego korespondencji pozostanie tęsknota za rodziną i domem.

List wysłany z Warszawy 3 marca 1928 r.: - *Droga i kochana Mamusiu. List mój przychodzi mocno spóźniony, ale to spóźnienie miało swoje powody. Otóż nie chciałem wprawdzie wysłać listu nim nie będę miał wszystkie interesy załatwione. Przyjazd Misi był niemożliwy z tego względu, że Misia robiła zaraz po moim przyjeździe wielkie porządki przed imieninami. A teraz nie ma ochoty jechać gdyż zaczynają się roztopy. Co do służącej, Roman jest przeciwny żeby Stasię wziąć gdyż nie chce więcej służby ze wsi, potem bał się, że będzie odpowiadać etc. A tymczasem jest ta sama u nich Paulina. Misia ciągle się na nią gniewa, ale kto wie czy ona nie pozostanie nadal.*

Romanowi o ogrodzeniu mówiłem i obiecał, że napisze o tym Monsiołowi (dzierżawca Tokar). Gazetę Warszawską zaprenumerowałem od marca, opłaciłem za cały kwartał. Możliwe, że przez parę dni nie będzie ona przychodziła, gdyż parę razy uległa konfiskacie. Panu Janowi wysłałem na razie tylko „Lot Polski” gdyż „Młody Lotnik” lutowy jeszcze nie wyszedł. Kanta „Krytyki czystego rozumu”, „Krytyki praktycznego rozumu” i „Ewolucji twórczej” Bergsona nie mogłem dostać nigdzie w porządnej księgarni. Były tylko te rzeczy po niemiecku. Chodziłem także po antykwariatach i nic. Jutro albo po jutrze pójde jeszcze do jednej specjalnej antykwarni, która podobno ma te rzeczy, może się znajdzie. Ovomaltinę wyślę. Sielawy prawdziwe są szalenie drogie 13-15 zł za kilo, więc nie wiem. Są i inne sielawy tak zwane duże szproty 4-5 zł za kilo, może o te chodzi.

Jak mamusi prawdopodobnie wiadomo licytacja jestznaczona na 11 marca. Sprawa będzie w ten sposób załatwiona. Albo jutro w poniedziałek Romek dojdzie do porozumienia z Żylińskim, o ile się nie da sprawy załatwić polubownie - wówczas Rulikowski przyjedzie i kupi meble. Do Romana przyszły zgłoszenia od ks. Oleksego o te 1200 zł, potem Kiersnowski zgłosił się żądając 3000 zł.

U nas wszystko po staremu. Niedawno były imieniny Romana. Było moc gości między innymi i wujostwo Szlubowscy. Lilusia była wspaniale przybrana w błękitną sukienkę i kokardę. Roman był w świetnym humorze i chodził jak paw napuszony. Przyjęcie było wspaniałe. Bardzo byli wzruszeni Romkowie i zadowoleni z życzeń przysłanych przez Mamusię i Babcie.

Niedawno, tydzień temu była kolacja u wujostwa Szlubowskich na której byliśmy wszyscy z wyjątkiem Miry. Kolacja była bardzo dobra, sarnina, wina etc.

Tutaj w Warszawie wszyscy tęsknimy za Mamusią i nie tracimy nadziei, że Mamusia przyjedzie. Jutro imieniny Miry. Będzie drobne przyjęcie u Romanów urządzone niby przez Mirę.

Teraz Zosia ma moc pracy i jest bardzo zajęta, gdyż około 20 marca będzie składała egzamin. Ja również pracuję z napięciem. Mira teraz rzadziej przyjeżdża do Warszawy. O tych kombinacjach z tymi panami nic jej nie mówiłem, tylko to gorzej, że się zaniedbuje i tyje.

Byłem u doktora i zalecił mi on dietę, tak że teraz mniej jadam. Obiady na Koszykowej, kolacja u siebie - kefir z chlebem razowym. Romek jeszcze prosił żeby Mamusia była łaskawa napisać do Niego list stwierdzający, że on jest naszym szwagrem i pozwalający mu kiedy będzie w Brześciu zaść do Bodnera i zażądać dokładnych relacji w sprawie Czyżewickiej. Gdyż Roman teraz jadąc do Tokar może będzie w Brześciu i chciałby się zorientować w sprawie Czyżewickiej. Adwokat zaś Bodner bez upoważniającego listu nie będzie mógł mu wszystkiego przedstawić. Jaki adres Bodnara bo nie pamiętam.

Będziemy mieli gości na Wielkanoc. General Sochaczewski przyjedzie z Adzikiem na święta. A teraz kończę list. Całuję serdecznie Kochaną mamusię z prośbą, ażeby zawitała do nas do Warszawy. Ucałowania dla babci i ukłony i pozdrowienia dla Pana Jana. Proszę pamiętać o liście do Romana w sprawie Czyżewickiej.

W 1928 roku Antopolowi grozi licytacja. Wówczas dużą pomoc świadczy mąż Marii Rudniewskiej Roman, który skutecznie wspiera Zofię Zaleską w jej zabiegach o uratowanie Antopola. Pomaga też Bronisław Szlubowski z Radzyna Podlaskiego. Udaje się majątek uratować i zainwestować.

Zachował się list pisany przez Janusza 31 sierpnia 1928 r. z Antopola do matki, która wówczas przebywa w Warszawie. Z listu wynika, że Zofia Zaleska załatwia sprawy związane z groźbą licytacji Antopola. Janusz pisze, że ośmiomiesięczna Lilusia przebywa pod opieką Ciemniewskiej, ponieważ Broncia musiała wyjechać.

Na bieżąco informuje matkę o wszystkim co się dzieje w Antopolu.

Janusz rozpoczyna naukę w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie.

List z czerwca 1929 r. Warszawa: - *Kochana Mamusiu, wybacz mi mama żem tak długo i uporczywie milczał, a tylko ograniczył się na małym skrypcie wysłanym wraz z paczką winogron na imieniny Babci. Ale doprawdy bardzo byłem zajęty, gdyż zbliżał się koniec semestru I i kiedy już się zakończył - wówczas dopiero mam czas. Tutaj nic nowego nie słysząc. Klewin bywa u Zosi, na Marszałkowskiej odbywają się jak zwykle wtorki tańcujące. Chorował trochę Roman, teraz leży Wilo. Wszyscy i Lilusia zdrowi. Na Koszykowej też nic nowego. Ciocia pisze, że jej bardzo dobrze na Litwie i nie bardzo pewnie chce się jej wracać do dusznej i zamknie tej Warszawy. Teraz akurat jest Mira trochę zaziębiona. Bardzo nas zaafferowała wiadomość o tym konkurencie nowym. Cóż więcej słysząc w tamtych stronach?*



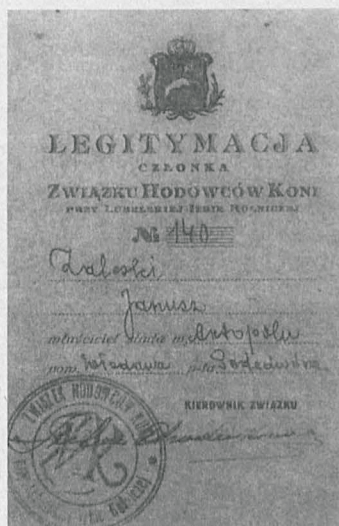
Pensjonat na Koszykowej prowadzony przez panią Bernatowicz-Wiśniewską, czwarty od lewej stoi komandor Stoklasa, obok Zofia Zaleska, za mężczyzną w mundurze Maniusia Bernatowicz, ostatni Leon Kozłowski, na fotelu pierwsza z lewej siedzi Mira Zaleska, na kanapie ciotki

Jak zdrowie Mamusi? Jak się miewa babcia? Czy są jeszcze ci dwaj akademicy Jan i Witold? Jak się sprawuje nowy ksiądz? Smutno musi i pusto teraz w Antopolu, zwłaszcza że jedyna tymczasowa atrakcja wyjechała - gramofon. Mało z niego korzystamy, gdyż Maniusia nie lubi go bardzo, poza

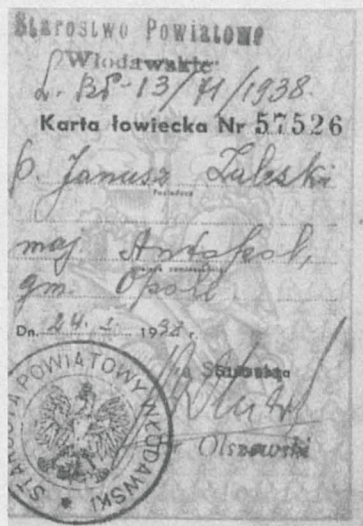
tym nie zawsze chce nam się tańczyć, raz ja jestem zmęczony, innym razem Zosia. Zapomniałem napisać Mamusi, parę dni temu, w sobotę, było pierwsze większe przyjęcie urządzone na Koszykowej i wydane przez Maniusię. Było dość dużo osób: p. Podhorska, p. Ohorowiczówna, jeszcze jakieś panny, Zosia, Mira, Misia - z panów: Stoklasa, Klewin, Adzik Sochaczewski, p. Pufcio Giżycki (...). Dość dobrze się udało, były świetne kanapki, niezłe. Kiedy Mamusia przyjedzie do Warszawy w pierwszych dniach lutego to dziewczynki opowiedzą wszystko z najdokładniejszymi szczegółikami.

PS. Teraz co do interesów. Rulikowski zgodził się dać plenipotencję i Roman podjął się te rzeczy poprowadzić. Za parę dni będę u Romana i wspólnie napiszemy list o interesach - będzie wówczas dokładniejszy.

W tym liście jest jeszcze dopisek od Maniusi Bernatowicz: - Cioieńko Droga - Kiedyż nareszcie Droga Ciocia do nas przyjedzie, co dzień Ją



Legitymacja
Związku Hodowców Koni
Janusza Zalewskiego



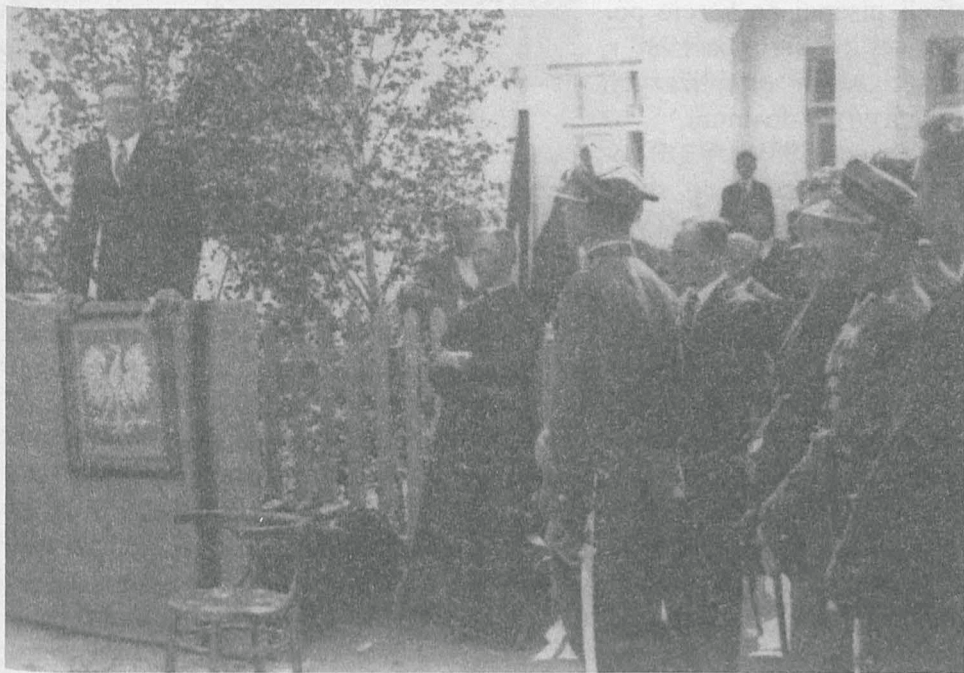
Karta łowiecka
Janusza Zalewskiego

oczekujemy ale jak dotąd nadaremnie bo nawet Ciocia Kochana znaku życia nam nie daje. Janeczek i Mira sprawują się dobrze. Tak mi tylko przykro, że Mira tak mało się bawi, tak bym chciała by choć na jeden bal poszła. Gdyby Ciocia Droga pozwoliła to bym ja kiedy z Irką zabrała, a najlepiej gdyby Ciocia Kochana prędzej sama przyjechała to byśmy razem coś obmyśliły.

Będąc już na studiach Janusz aktywnie uczestniczy w procesie decyzyjnym w sprawach majątkowych. Roman Rudniewski nie tylko wspiera Zofię Zaleską ale również wprowadza Janusza w zawilości spraw związanych z całokształtem prowadzenia majątku.

W Antopolu Janusz Zaleski prowadził hodowlę koni remontowych dla wojska, był członkiem Związku Hodowców Koni przy Lubelskiej Izbie Rolniczej, numer legitymacji 140.

W ramach pierwszej częściowej mobilizacji - 23 marca 1939 r., zostaje zmobilizowana 9 Podlaska Dywizja Piechoty. Ppor. Janusz Zaleski pod koniec marca 1939 r. jest już oficerem żywnościowym w III/9Pal (III Dywizjon 9 Pułk Artylerii Lekkiej, Poczta Polowa 23) w Białej Podlaskiej.



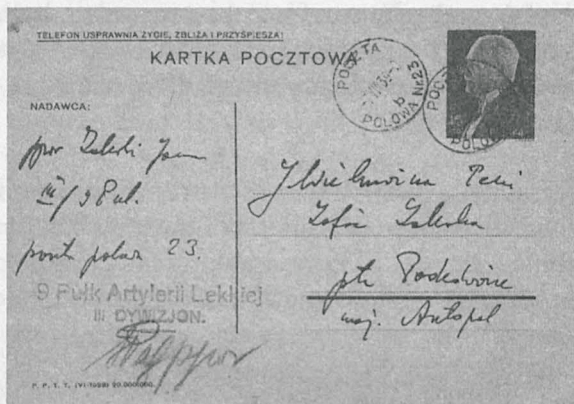
1938 rok - uroczystość w gminie Podedwórze, przemawia Janusz Zaleski

W krótkim liście z 24 marca 1939 r., informuje Matkę: - *Prasa podaje bardzo spokojne wiadomości. Przypuszczam, że wszystko się skończy tylko na tygodniowym pobycie w pułku. Z dawnych oficerów mało pozostało, prawie wszyscy przeniesieni. Por. Brzezik, którego Mira poznała w zeszłym roku odebrał sobie życie, podobno z powodu nieszczęśliwego pożycia z żoną.*

Jutro może wpadnę do Zdziechowskiej. Dzisiaj nie ma mowy.

W maju prosi Matkę o zaświadczenie z Urzędu Gminnego w Opolu, że jest właścicielem gospodarstwa rolnego i gorzelnii, które osobiście prowadzi. W uzasadnieniu wydania tego zaświadczenia prosi, aby napisano, że: - *Dla dobra gospodarstwa, z uwagi na generalny remont gorzelnii obecność jego jest konieczna.*

Informuje, że jeśli to zaświadczenie dotrze przed 25 czerwca, to wówczas może być zwolniony 10 lipca z wojska. W krótkiej informacji pisanej na karcie pocztowej z 7 sierpnia 1939 r. pisze, że w najbliższych dniach wraca do domu.



Ostatnia kartka Janusza do domu

W czerwcu 1939 r. 9 DP zostaje przerzucona do strefy przyfrontowej. Przybyła wtedy do rejonu Koronowa w korytarzu pomorskim, wchodząc w skład przewidywanej Armii Toruń (Pomorze) pod dow. Gen. W. Bortnowskiego.

Po walkach wrześniowych w szeregach 61 Rezerwowego Pułku Artylerii Lekkiej - 39 Rezerwowej Dywizji Piechoty, znalazł się w niewoli niemieckiej, uciekł. Następnie dostał się do niewoli sowieckiej. Z transportu w głąb Rosji zbiegł wraz z podoficerami: Skrzypczakiem, Kowalkowskim, Mańkowskim. Około 20 października dotarli do Antopola, gdzie zamierzali zaopatrzyć się w niezbędne środki i ekwipunek i przedzierać się przez Karpaty do Francji.

Zofia Zaleska przewidując długie rozstanie poprosiła syna, aby ostatnią noc w domu spędził w jej sypialni. Przyniesiono kozetkę, którą ustawiono w rogu pokoju pod kominkiem.

Pani Alicja Rudniewska powołując się na informację Zofii Zaleskiej wspomina: *Kiedy Babcia wróciła z łazienki do pokoju wuj Janusz już nie żył. Kula przebiła okiennicę, naruszyła krawędź szafy, zgasiła świecę przy jego łóżku, uderzyła w marmur kominka i rykoszetem przebiła skroń.*

Niemcy powołali komisję do zbadania tego morderstwa, zarządzili śledztwo. Jeszcze przed pogrzebem wuja policja niemiecka kazała spędzić na gazon

przed dworem mężczyzn. Stojący u szczytu schodów oficer policji niemieckiej, Ślęzak, władający językiem polskim, między innymi wyrzekł te słowa: Teraz rozumiem, dlaczego Polska tak łatwo skapitulowała - bo ludność polska, a zwłaszcza chłopci nie są warci wolności. Dali tego dowód dokonany mordem w Antopolu. Wraca z wojny wasz dziedzic, wasz pan, wasz polski oficer, wraca do domu, a wy go skrytobójczo mordujecie! Ludzie, których stać na taką podłość, nie są warci aby żyć, a tym bardziej żyć w wolności.

Postanowili rozstrzelać co dziesiątego z tej grupy. Tylko dzięki interwencji Zofii Zaleskiej nie doszło do egzekucji.

Pięknie kiedyś pisała do wnuka, Karmelitanka z zakonu w Krakowie, ale nie wymodliła Mu, ani szczęśliwego, ani długiego życia, chociaż wojna tak łagodnie się z nim obeszła. Uciekł najpierw z niewoli niemieckiej a potem z transportu do Kozielska, aby zginąć we własnym domu, od kuli skomunizowanej bandy, rekrutującej się z miejscowych ludzi.

Sprawców śmierci Janusza Zaleskiego nie udało się odnaleźć, domysły rozbudzały emocje, ale niczego nie wносиły do wyjaśnienia. Jego śmierć była różnie interpretowana.

W 2009 r. rozmawiałam z ludźmi z Antopola, Piech i Podedwórze na temat Janusza Zaleskiego, ostatniego dziedzica Antopola i Piech. Panuje zgodna opinia, że zapowiadał się na bardzo dobrego gospodarza, potrafił i chciał kierować procesem produkcji w swoich majątkach. Umiał słuchać doradców, ale miał własne zdanie i decyzje podejmował samodzielnie, był człowiekiem życzliwym i wyrozumiałym dla ludzkich słabości. Swoją postawą zyskiwał szacunek i respekt wśród chłopów jak i wśród pracowników folwarcznych i służby.

Tragedia wstrząsnęła nie tylko rodziną, którą okryła ciężką żałobą, ale

Non omnis moriar

W 70. rocznicę tragicznej śmierci

ś. † p.

Janusza Zaleskiego

Dnia 22 października 2009 r. o godz. 7.30
w kościele parafialnym Opole-Podedwórze
odprawiona zostanie Msza św. za spójność Jego duszy.
Janusz Zaleski (1909-1939) - wychowanek Zakładu
Naukowego oo Jezuitów w Chyrowie,
członek Sodalicii Marińskiej, absolwent SGGW,
ostatni właściciel majątku Antopol-Piechy, ppor. rez.
III dywizjonu, 9 pułku artylerii lekkiej, 9 Dywizji Piechoty.
W kampanii wrześniowej walczył
pod dowództwem gen. W. Bortnowskiego.
Skrytobójczo zastrzelony przez miejscowych komunistów
w zamachu na dwór w Antopolu.

O zachowanie Go w modlitewnej pamięci
prosi siostrzenica Lila Rudniewska

*Nekrolog Janusza Zalewskiego,
w Słowie Podlasia, nr 42
z października 2009 r.*

również bliższym i dalszym otoczeniem. Janusza Zaleskiego wspominano z najwyższym szacunkiem i nawet podziwem, dla Jego postawy życiowej i nieskazitelnego charakteru.

Pani Alicja Rudniewska z okazji 70 rocznicy śmierci swojego wuja Janusza Zaleskiego zamówiła 22 października 2009 r. o godz. 7.30 w kościele parafialnym pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w parafii Opole-Podedwórze Mszę św. za spokój Jego duszy.

Została odprawiona przez ks. kanonika Jana Liwaka proboszcza parafii, który w czasie kazania powiedział:

- Śp. Janusz był gotów i służył wiernie Bogu i Ojczyźnie. Bóg go odwołał we własnym domu w Antopolu. Odszedł jako żołnierz, oficer Wojska Polskiego, który bronił Ojczyzny przed wrogiem. W październiku 1939 r. Polska była pod okupacją dwóch wrogów Niemców i Rosjan.

Dzisiaj chcemy podziękować za dobro, które czynił.

Za to dobro, które wyświadczyła rodzina Zaleskich dla naszej parafii, dziękujemy. Dziękujemy, że możemy się tutaj modlić.

Niech Bóg mu wynagrodzi - Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie. Amen.

Wojna i okupacja

Pod koniec listopada 1939 r. z Berlina do Warszawy wraca Maria Rudniewska z dziećmi. Jedną z pierwszych wiadomości jest ta, o tragicznej śmierci brata Janusza Zaleskiego. Natychmiast jedzie do Antopola i sprowadza matkę do Warszawy, gdzie otacza ją opieką.

W listopadzie 1939 r. umiera Bronisław Szlubowski krewny, przyjaciel i opiekun rodziny Zaleskich.

Pani Rudniewska wie, że jej mąż Roman przedostał się z wojskiem do Rumunii, skąd napisał list na adres Antopola.

Zaraz po smutnych świętach Bożego Narodzenia 1939 r. Zofia Zaleska wraca do Antopola, razem z nią jedzie wnuk Karol, wiosną 1940 r. dołącza Lila.

- W tym czasie byłam już na tyle dorosła - opowiada, że dostałam do własnej dyspozycji pokój na piętrze, konia zaprzężonego w pajączek. Jeździłam całymi dniami po okolicy i do kościoła.

Mama z Warszawy przywiozła dwa piękne, rasowe gryfony niemieckie, kupione na ulicy Bednarskiej. Mój Putzy, z którym przyjechałam wszedł z Handrą i Gryfem w komitywę. Wykazałam się wówczas dzielnością i zapobiegliwością żądając od administracji niemieckiej specjalnego przydziału mleka dla moich psów. Nie pozwolono



Maria Rudniewska z dziećmi na ulicy w Warszawie, pierwsza wiosna okupacyjna, Alicja prowadzi psa Putzy, którego kupiono po powrocie z Berlina przed Bożym Narodzeniem 1939 r.

mi trzymać ich w sypialni. Stelmach wykonał z gontów domek, który ustawiono na werandzie i w tym domku na noc zamykałam Handrę i Gryfa. Putzy spał ze mną.

Były jeszcze psy nocnego stróża Artema przetrzymywane w dzień w mrocznej drwalni. Jednym z nich był Bobik, którego dokarmiałam.

Na początku października dzieci Marii Rudniewskiej wracają do Warszawy.

- Po pierwszych wakacjach szkołę nam zamknięto - opowiada pani Alicja Rudniewska. Mama i pani Maria Potocka uznały, że należy zatrudnić nauczycielkę, która będzie mnie i Natalię Potocką przygotowywała do egzaminów. Zatrudniono panią Halinę Auderską, która uczyła nas wszystkich przedmiotów. Dwie klasy uczyliśmy się w Jabłonie, a egzaminy zdawaliśmy u Platerówny.

Pan Maurycy Potocki na wieść o tym, że Antopol przestał istnieć, w przemyły i serdeczny sposób prosił, abym pokochoła Jabłonnę tak, jak utracone domy i traktowała Jabłonnę jak swój drugi dom.

Pani Maria Rudniewska włączyła się do pracy społecznej pod kierunkiem pani Bortnowskiej, bratowej generała.

Dzięki niemieckim, pokaznym deputatom z majątku Antopol zorganizowała stołowanie kilkorga dzieci z rodzin oficerskich. Udostępniała też swoje mieszkanie na koncerty dobroczynne Rady Głównej

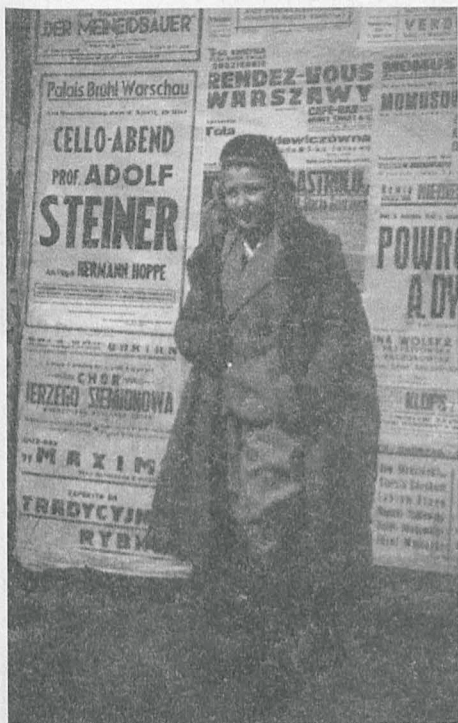


Alicja Rudniewska i Natalia Potocka
w Jabłonie

Ausfuhrgenehmigung.	
Frau v. Talaska aus Antopol, wird hierdurch die Erlaubnis erteilt,	
50	Kg. Fleisch, Wurst und Fett.
10	Kg. Butter
5	Kg. Zucker
4	Brote
2	Kuilen Kaibfleisch
3	Pfaffen
180	Eier
aus dem Kreise Biala Podlaska auszufuhren.	
Biala Podlaska, den 18. XII. 1939.	
LANDE Kreis BIALA PODLASKA	

Informacja o przyznanej kontyngencji żywnościowym

Opiekuńczej, w czasie których zbierano fundusze z przeznaczeniem na pomoc ludziom potrzebującym. Wciągnięta do pracy konspiracyjnej, była



*Okupacja 7 kwiecień 1942 r.
Lila Rudniewska na tle plakatów
słupa ogłoszeniowego na rogu domu
- Marszałkowska 25*



*Lila Rudniewska na balkonie
swojego mieszkania,
kwiecień 1943 r.*

łączniczką członków Delegatury Rządu na Kraj o pseudonimie „Renata”. Dla nich organizowała spotkania między innymi pod pretekstem uroczystości rodzinnych czy przyjęć.

- *Bywało u nas wielu panów z konspiracji* - opowiada pani Alicja Rudniewska, *Bora Komorowskiego znaleźmy jako inżyniera z Holandii, bywał pan Ludwik Muzyczka, pan Zbigniew Stypułkowski, pan Jankowski, mecenas Dullinicz minister sprawiedliwości w Delegaturze Rządu.*

Pierwsze kwiaty od mężczyzny 25 marca otrzymałam od „inżyniera z Holandii”, były to krokusy.

Wakacje 1941 roku okazują się ostatnimi, jakie Alicja i Karol spędzają w Antopolu. Pod koniec 1941 r. Zofia Zaleska opuszcza swój dwór w Anto-

polu i zajmuje dom w Podedwórzu po wysiedlonej żydowskiej rodzinie Szyjów. Dom urządził meblami i sprzętami z Antopola.

Drewniany domek zamieszkiwany przez Babcię miał trzy pokoje z kuchnią i pomieszczeniem gospodarczym - opowiada pani Rudniewska. Pokoiki były małe, trudno było w nich pomieścić potężne meble antopolskie. Najłatwiej było uporano się z dywanami. Zawieszane pod sufitem, przykrywały całą ścianę, wyścielały podłogę a końcówką przylegały do

połowy ściany przeciwległej. W jednym z pokoi był dostęp do piwnicy - podnoszona w podłodze klapa, należało wyciąć w dywanie dostęp do niej. Pamiętam, że gdy rozeszła się wieść, jakoby partyzantka bolszewicka nocami buszuje po sąsiednich wsiach, nachodziły nas zacne babiny, troszcząc się o moje bezpieczeństwo, zalecały, że powinienam noce spędzać właśnie w tej piwnicznej osłoniętej dywanem.

W tym czasie doszedł list od zaprzyjaźnionego z dworem antopolskim pachciarza Grzybmachera, z prośbą o udzielenie pomocy jego siostrzenicy ukrywającej się w Lublinie. Babcią sprowadziła Leję, młodą,

przystojną kobietę, która w Lublinie pracowała w zawodzie kosmetyczki. Została oficjalnie zarejestrowana w gminie jako pomoc domowa u Babci. Niestety posterunek granatowej policji zainteresował się nią i trzeba było określoną kwotą zapewnić Lei względny spokój z ich strony. Leja spokojnie pracowała, cieszyła się naszą szczerą sympatią. Utkwiło mi w pamięci, że obdarowana przeze mnie letnią, kolorową sukienką nagle wybuchnęła



Końmi z gminnego szarwarku Zalescy wyjeżdżają z Antopola, po wakacjach 1941 r. Zdjęcie robił Stanisław Nowostawski ówczesny sekretarz gminy w Podedwórz



Pogorzelisko dworu antopolskiego, fot. 1943

gwałtownym szlochem. Drżącym głosem tłumaczyła, że nie może zmienić swojej czarnej garderoby bo wie, że w każdej chwili mogą ją zabić, a chce umierać w swojej żałobnej sukni. Wszystkich nas do łez wzruszył jej los. Nikt nie zdawał sobie sprawy, w jakim zagrożeniu żyła, i że cały czas była świadoma czyhającego niebezpieczeństwa. Niestety po roku zginęła od kuli niktzemnika, jakim okazał się jeden z granatowych policjantów, mieszkaniec Podedwórza.

Ciocia Maniusia Ułaszynowa, której mąż dostał się do oflagu, przeniosła się do Podedwórza z córeczką, małą Tesią i jej wychowawczynią panną Olgą. Wynajęły mieszkanko u dawnego ogrodnika antopolskiego Łukasza Szewczuka, który pomagał w aprowizacji, z czym było w owych czasach najtrudniej. W ślad za ciocią Maniusią, znaną we wsi jako „panią majorową”, zjechała z synem i gosposią ciocia Zita Sikorska. Zamieszkali w pani Kiljańskiej.

W tym czasie sekretarzem gminy był Stanisław Nowostawski, a jego siostra Jasia pracowała w sklepie.

W Podedwórzu zabito Krasickiego, był wówczas znaną postacią na tym terenie, został pochowany na cmentarzu przy parkanie.

Kilkanaście lat temu zawiadomiono mnie, że pewna stara kobieta pragnie się ze mną zobaczyć. Wie dużo, bo w czasie okupacji pracowała w pałacu w Antopolu. Okazało się, że to córka Artema Krugleja nocnego stróża, którego doskonale pamiętałam, ale córki jego nie mogłam sobie przypomnieć.

Stefania Szechniuk w latach 40. była zatrudniona przez administratora Strehla jako pokojówka, później służyła u niemieckiego rządcy z ramienia Liegenschaftu. Swoich niemieckich pracodawców wspominała z sympatią, a zwłaszcza żonę administratora, która ponoć szydziła z dziedziczki, za to, że kazała stangretowi Kowalskiemu używać bata na konie. Ona natomiast nie pozwalała popędzać koni batem, takie miała złote serce.

Opowiadała, że niemiecki rządcza z Liegenschaftu często posyłał bryczkę po organistę Wojeckiego z Podedwórza, aby w salonie przygrywał do tańca, gdy do pałacu przyjeżdżali jego koledzy, dla których sprowadzano chętne dziewczyny z czworaków.

Mówiła, że na miejsce Strehla wyznaczony został Krasicki, a późniejszym administratorem był Flichtner, którego brat był generałem. Do Antopola przyjeżdżał spod Kodnia, gdzie prowadził majątek ziemski. W kuchni przy-

gotowywano dla niego soczewicę i kluski pyzy. Ostatnim administratorem był Mercier, przeniesiony później do Horodyszcza. Na koniec swojej relacji powiedziała, że po wybuchu wojny z Rosją, Niemcy bywający w Antopolu nadlatywali samolotami nad pałac i zrzucali na gazon paczki z czekoladą. Z wielkim niesmakiem odniosłam się do wspomnień Stefani Szechniuk.

Powstanie Warszawskie we wspomnieniach Alicji Rudniewskiej

Po sześćdziesięciu paru latach nie jest łatwo zmobilizować pamięć i przywołać wspomnienia z Powstania, chociaż ten czas był bardzo nabrzmiały znaczącymi wydarzeniami.

Z licznych scen i zapamiętanych obrazów, jakie były moim udziałem i jakie widziałam, kilka pozostało w mej pamięci i tak głęboko zapadły w mą świadomość, że gdy je przywołuję - widzę wszystko wyraziście.

Zostałam zaprzysiężona w 1943 r. przez płk. Ludwika Muzyczkę ps. Benedykt i on przyjął mnie do służby w AK.

W każdą rocznicę wybuchu powstania składam kwiaty na jego grobie na Powązkach.

Miałam 16 lat kiedy wybuchło powstanie.

4 sierpnia Niemcy napalmem podpalili naszą kamienicę i sąsiednie domy.

Uciekaliśmy z płonącego budynku, ja chwyciłam swoją torbę, z którą 1 sierpnia szłam do powstania, miałam tam kilka potrzebnych rzeczy.

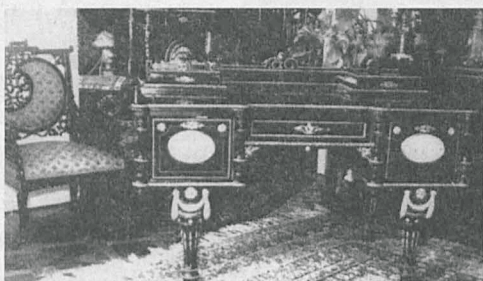
Wszystkich mieszkańców tych domów, Niemcy spędzili do pobliskiego kościoła Zbawiciela. Staliśmy przed kościołem. Nie mogłam się zdecydować, czy wejść do kościoła, ponieważ miałam psa.

W pobliżu stał bliski znajomy rodziców pan inżynier Stefan Ossowiecki z żoną, znane przedwojenne medium, przyjaciel marszałka Piłsudskiego. Słysząc było głos pani Ossowieckiej, która wyrzucała mężowi, że nie przewidział sytuacji, w której się znaleźli.



*Warszawa - Alicja Rudniewska
z suczką Dixi w Ogrodzie
Ujazdowskim w ostatnią
niedzielę przed Powstaniem
Warszawskim*

Wyszli księża i podeszli między innymi do mojej matki, która wyjaśniła, że ze względu na psa nie chcemy wejść do kościoła. Zaproсили nas na plebanię. Mama podeszła do państwa Ossowieckich, którzy widać było, że mieli opory przed wejściem do kościoła i oznajmiła, że księża zapraszają do siebie. Na co pan inżynier Ossowiecki tubalnym głosem, odkrzyknął prawie: - Do klechów nie idę! To okropnie zażenowało moją matkę. Obok stał Jurek Dzwonkowski przyjaciel brata, który mieszkał w tym samym domu. Jego ojciec był u Andersa, matka w Ravenzbriku. Wyszedł pod opieką gosposi, niosąc jedynie klatkę z kanarkiem. Mama zarządziła aby dołączył do nas. Na co Jurek powtórzył załyszane przed chwilą słowa pana Ossowieckiego.



Ul. Marszałkowska 25, kamienica i fragment salonu,
gdzie mieszkała rodzina Rudniewskich

Byliśmy skonfundowani taką reakcją znajomych na uprzejmość księży. Bez słowa ruszyliśmy na plebanię.

Matka była opanowana, zachowywała się niesłychanie dzielnie w tych tragicznych chwilach. W krótkiej przemowie do nas oznajmiła, że musimy zachować spokój, jesteśmy razem, nic nam się nie stało. Trzeba być niesłychanie opanowanym, trudno, nie takie rzeczy się dzieją - podkreśliła. Nie wykazywała lęku, nie ulegała hysterii, czuła, że musi nas wesprzeć, dodać wiary w siebie, ufności w opiekę Boską.

Wczesnym rankiem, jeszcze było ciemno, mama nas zbudziła, i kazała natychmiast wychodzić. Przeszliśmy przez Mokotowską na ul. 6 sierpnia, a tam już byli żołnierze Armii Krajowej, była budowana barykada, już byliśmy w Polsce.

Do Kościoła Zbawiciela pełnego ludzi, o 7.00 rano weszli Niemcy, wszystkich stamtąd wygarnęli.

Mężczyzn zapędzono do ogródka Jordanowskiego przy ul. Bagatela. Wszystkich zabili, kazali się kłaść i strzelali leżącym w tył głowy.

Z kobiet uformowano żywą osłonę, tarczę ochronną czołgów, pędzono je Alejami Ujazdowskimi w stronę ul. Pięknej, pod gmach ambasady niemieckiej. Kiedy padły strzały gros tych kobiet uratowało się uciekając na boki ulicy.

W latach 50. tych mój ojciec był w więzieniu na Mokotowie, zetknął się tam z więzionym panem Plebańskim, który był świadkiem tej egzekucji i śmierci pana Ossowieckiego. Widział też chłopca z klatką z kanarkiem. To nas utwierdziło w przekonaniu, że Jurek Dzwonkowski też zginął.

Po 30 latach, będąc w Genewie spotkałam inż. Majsnera, znajomego z dzieciństwa, był moim rówieśnikiem, który opowiedział mi swoje przeżycia z pierwszych dni powstania. Mówił, że przeżył wówczas tak okropną traumę, która nie pozwala mu nawet myśleć o powrocie do Warszawy. 4 sierpnia w nocy dostał rozkaz aby otworzyć kościół Zbawiciela i zamkniętych tam ludzi przeprowadzić na stronę polską. Tymczasem ksiądz odmówił kluczy do kościoła, ponieważ Niemcy zapowiedzieli poranny powrót. Gdy po jakimś czasie dowiedział się, że wszyscy ludzie zamknięci w kościele Zbawiciela zostali straceni..., nie mógł sobie darować, że siłą nie zmusił księdza do oddania kluczy. Świadomość, że mógł ich wszystkich uratować a tego nie uczynił odebrała mu spokój na długie lata.

Pani Alicja Rudniewska spisała kilka powstańczych epizodów, które w tym miejscu cytuję:

Jako łączniczka kompanii sztabowej kpt. „Sasa” około 15 sierpnia zostałam wysłana na placówkę „Kazika”, mieszczącą się po nieparzystej stronie ul. Nowogrodzkiej u zbiegu z Marszałkowską. Przejście z rogu Wilczej i Kruczej 14, jak zawsze prowadziło piwnicami, z których podziemne przekopy łączyły ze sobą sąsiednie kamienice, później biegło się przez podwórze, aby znów zanurzyć się w czeluściach następnych piwnic połączonych przekopem. Podwórze narożnej kamienicy pod numerem 31 było dziesiąte z kolei od ul. Kruczej. Pozycja Kazika zajmowała frontowe mieszkanie na pierwszym piętrze a centralny narożny pokój ze wspaniałą palmą na środku, zapewne spełniający rolę salonu teraz tonął w półmroku, gdyż jego pięć okien założone było szczelnie workami z piaskiem. W jednym z zabarykadowanych okien tkwił karabin maszynowy, inne stanowiły pozycje strzeleckie i obserwacyjne. Gdy wzrok powoli oswoił się z półmrokiem, oprócz palmy rozpoznałam piękne stylowe meble niemiłosiernie potraskane kulami, a dwa trema, które wynurzyły się z cienia wydały mi się

zasnute jakby gruba pajęczyną. Po chwili jednak zdałam sobie sprawę, że to nie sieć pajęczna, tylko splekania taflí lustrzanej przestrzelonej na wylot.

Obsługa karabinu maszynowego, strzelcy wyborowi oddziału Kazika, sanitariuszki i łączniczka wydali mi się najsympatyczniejszą paczką żytych przyjaciół, dumni z roli, jaką odgrywała ich placówka osłaniająca na pierwszej linii frontu, od zachodniej strony polskie pozycje przed naporem Niemców. Po przeciwnej stronie Marszałkowskiej niemieccy strzelcy wyborowi, strzałami w okna tego pięknego salonu, systematycznie niszczyli front tej kamienicy od strony Marszałkowskiej.

Nagły ruch przy wejściu oznajmił przybycie nowych osób, owacyjnie witanych przez załogę w salonie. Nowo przybyli to lekarz z sanitariuszami, robiący jak się okazało, codzienny obchód kilku sąsiednich placówek. Lekarz żartobliwym tonem podał komendę: - rozbierać się do pasa, na co karna załoga szybko pozdejnowała wiatrówki i koszule, a miły doktor z sanitariuszkami przystąpili do mycia odsłoniętych torsów, pleców, szyj, ramion i twarzy tamponami nasączonymi spirytusem. W powietrzu unosiły się opary alkoholu, przyprawiając mnie zawrót głowy.

Nagle usłyszałam głos doktora, który tonem nie znośącym sprzeciwu kazał mi się rozebrać i poddać zabiegom higienicznym. Zapraǳnęłam się natychmiast zapaść pod ziemię, podjęłam jednak rodzaj pertraktacji, aby tylko wymówić się od zabiegu, a więc, że nie należę do załogi, że szkoda dla mnie cennego spirytusu... . A wszystko dlatego, że miałam na sobie tak nieprzyzwoicie brudną koszulę, że umarłabym raczej ze wstydu, niż bym pozwoliła aby ktokolwiek mnie w niej zobaczył.

Miły pan doktor nie nalegał, może przejrzał moje skrupuły. Nagle poprosił o odsunięcie paru worków, tak aby można było zobaczyć ulicę i kazał mi wyjrzeć przez tę szparę. Ku memu przerażeniu zobaczyła, tuż pod naszymi oknami kilkanaście trupów leżących bezładnie na asfalcie jezdni i płytach chodnika, przed wejściem do kawiarni Szwajcarskiej.

Jak zahipnotyzowana patrzyłam na te nieszczęsne zwłoki, tak przeraźliwie bezbronne. Pierwszy raz w życiu widziałam tak porzrzućane trupy. Niektó-



Eugeniusz Lokajski
fotografował
walczącą Warszawę,
zginął w Powstaniu
Warszawskim.
Jego siostra wyniosła
z powstania
dokumentację
fotograficzną.

re ciała były poranione i zniekształcone, u wielu dostrzegłam grymas cierpienia i przerażenia, parę ciał zastygło z powyciąganymi ramionami jakby wołając o ratunek.

Wszystkie zwłoki były w zaawansowanym stanie rozkładu. Okropnie przykre wrażenie robiły chmary much i os, które krążyły i siadały na tych nieruchomych ciałach. Leżały na ulicy od 1 sierpnia, nie można ich było pochować ponieważ ulica była pod stałym obstrzałem.

Miły doktor w przystępny sposób usiłował uświadomić nam grozę niebezpieczeństwa, jakie stanowi bliskie sąsiedztwo rozkładających się ciał i o roli much w przenoszeniu zarazków.

W ciągu 65 lat, często mijam narożnik Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej. Za każdym razem staje mi przed oczami tragiczny widok tych ciał ludzi, którzy pierwszego dnia Powstania spotkali śmierć. I zawsze jednakowo wzruszona ślę westchnienie do Boga, z prośbą o wieczny odpoczynek dla Ich dusz. To nie pozwala mi zapomnieć o ludzkiej tragedii czasów Powstania.

Dzień 18 września, to dzień pamiętny dla każdego kto przeżył Powstanie w Warszawie. To był dzień, w którym odżyła nadzieja i wiara w pamięć aliantów o nas. Tego dnia, całe niebieskie, pogodne niebo przystroili najwspanialsze confetti, majestatycznie opadające na ruiny naszego miasta. Bajecznie kolorowe czasze spadochronów z zasobnikami cieszyły nasze rozradowane oczy. Nareszcie! Składaliśmy dziękczynnie dłonie i chwaliłiśmy Boga, za łaskę wysłuchania modlitw o pomoc.

Gdy jednak pod wieczór i nazajutrz okazało się, że gros tych darów wiatr zagnał na tereny nieprzyjaciela w okolice Łazienek i Alei Szucha, ta bolesna prawda, chyba wszystkich ze stanu radosnej euforii, wtrąciła w stan ciężkiej depresji.

I właśnie wtedy radio zza Wisły zaczęło kokietować zapowiedzią zrzutów, z gwarantowaną dokładnością celności lotniczej dostawy. Od niedawna nad Śródmieściem, sporadycznie krążył mały dwupłatowiec, którego pieszczotliwie, bądź złośliwie nazywaliśmy „traktorkiem” lub „terkotką”, a miał on zwyczaj wyłączania silnika i wówczas bezgłośnie nadlatywał, jak niczego dobrego nie wróżąca zjawa. I właśnie ten traktorek, o ironio losu, miał stać się naszym dobroczyńcą. Na wieczornej odprawie u kapitana Sasa padł rozkaz przygotowania się do odbioru zrzutu, który według zapowiedzi miał nastąpić w godzinach nocnych.

Osiem łączniczek z latarkami na piersiach położyło się tworząc krąg na jezdni placu u zbiegu ul. Mokotowskiej i Wilczej. Zadaniem naszym było rytmiczne zapalanie i wyłączanie świateł latarek - takie pulsacyjne światło.

Nasłuchiwalismy także uważnie. Uprzedzano nas, że zasobniki zrzutowe to worki z juty, które spadają zniechęca i bezszelestnie, bez żadnego ubezpieczenia, z maszyny o wyłączonym silniku, więc niesłyszalnej. Należało więc wyteżać wzrok, aby w odpowiedniej chwili uskoczyć przed spadającym ładunkiem. Ale ostrzegano też nas przed innymi. W kamienicy Wilcza 8, obok której przechodziliśmy była siedziba PAL-u czyli Armii Ludowej, ugrupowania niezbyt przyjaznego akowcom. Czyhali na ekipy odbierające zrzuty, aby je zagarnąć. Nie lubiliśmy ich. Oni nie włączali się w żadne walki, w obronę żadnej barykady, chodzili i tylko epatowali swoim czystym strojem i dystynkcjami.

Leżąc na brudnej jezdni, w tę chłodną, wręcz zimna noc, czułam jak powoli opadają emocje, jakie owładnęły mną od momentu wyznaczenia do nocnej akcji przy zrzutach. Czułam jak powoli ogarnia mnie nowe, inne uczucie - przemożny lęk. Aż wstyd przyznać, że był to lęk przed duchami, których obecność tu wszędzie wyczuwałam, bo z tyłu za mną rozciągało się wielkie, nowe cmentarzysko w ogrodzie pałacyku Kraszewskiego, a przede mną majaczyła na rogu kamienica o złej sławie, bo ponoć nawiedzał ją duch zamordowanej przez zazdrosnego policmajstra tancerki. Okna jej apartamentu osłaniały zawsze okiennice. Od wojny japońskiej nikt nie ośmielił się tam mieszkać. Jakże bardzo bałam się, aby duchy obojga nie ukazały mi się tej nocy.

Nagle dziwne odgłosy jakby z zaświatów: szum, łoskot, szuranie... . Przy takim akompaniamencie spadły obok pierwsze worki zrzutowe, szczęśliwie w bezpiecznej od nas odległości. Koleżanki momentalnie poderwały się, aby przeciągnąć wory pod ścianę, - wtem prawie w zasięgu mej ręki z głośnym plaśnięciem i grzechotem spadł kolejny wór. Rzuciłam się dosłownie na niego, dosiadając go okraciem i ściskając mocno nogami i ramionami - bo jednocześnie dwóch mężczyzn zaczęło wyszarpywać go spode mnie. Przyłgnęłam do niego całym ciałem i z całych sił, chociaż spadały na mnie mocne ciosy, wyzwiska i plugawe słowa. Trzymając oburącz śmierzdzący wór nie mogłam się bronić, tym bardziej atakować, czy oddawać ciosy, ale gdy jeden z tych odważniaków zbliżył się celując w moją głowę, udało mi się raptownie odwrócić i choć z obrzydzeniem, ale wbiłam się zębami w jego nos. Jak się okazało był to strzał, a raczej kęs-gryz w dziesiątkę. Facet odskoczył, oburącz osłaniając twarz, złorzecząc i wyjąc wycofał się klnąc w niebogłosy.

Worki paskudnie cuchnęły, był to melanz stęchlizny, zjełczałego tłuszczu, smaru, smoły, brudu i tranu. Pamiętam, że jeden z tych worków przypadł naszej kompanii. Zawartość wydała nam się jakimś tragicznym żartem, bezczelną kpina, bo w 80 proc. zawartości były suchary z ciemnego chleba, nasączone łojem i zjełczalym olejem, pełne robactwa żywego i martwego. Natomiast 20 proc. to naboje do pepesz wrzucone luzem, skancerowane, odkształcone fabryczne braki, lub pogięte od uderzenia w podłoże przy lądowaniu, zmieszane z tymi sucharami.

Długi czas do bardzo przykrych obowiązków łączniczek należało wybieranie z worków zdatnych naboji i ładowanie ich do bębnow pepesz.

Jedna wielka fikcja, jedna wielka kpina z nas. Kpina!

Każda z nas chciała być narażona na jakieś niebezpieczeństwo aby wykazać się odwagą, sprytem w trudnej sytuacji. Ja osobiście nie miałam takich możliwości.

Praca moja do 20 sierpnia polegała na obsłudze tzw. tajnego punktu obserwacyjnego na Marszałkowskiej róg Jerozolimskiej. Przynajmniej dwa, trzy razy dziennie chodziłam z meldunkiem do dowództwa naszego na róg Wilczej i Kruczej, wydawało się, że krótki dystans, ale nie szło się chodnikiem ale piwnicami. To zabierało moc czasu, piwnice zapchane były ludźmi.

Tam przeżyłam trudne, przykre doświadczenie. Było bombardowanie wzdłuż ul. Kruczej, zobaczyłam pagórek gruzów, nawet to zmyliło moją orientację, nie wiedziałam w którą skrócić przecznicę.

Zobaczyłam rękę, która machała, to była ręka kobiety, miała pierścioneł czy obrączkę. Pobieglam po pomoc, żywy człowiek jest, wołałam ludzi, kiedy wróciliśmy ręka leżała, była sina i bez pierścionka.

Nie mogłam sobie z tym dać rady, że nie zostałam przy tej ręce.

Nareszcie udało mi się skokietować chłopca w panterce. Dlaczego w panterce, bo byli to chłopcy, którzy przyszli ze Starówki a tylko dla nich śpiewał Fogg. Pójść na jego koncert z chłopcem ze Starówki, było marzeniem każdej dziewczyny. Umówiliśmy się pod barykadą na Kruczej. Wysztafirowana jak mogłam najlepiej czekałam na mojego chłopca.

I nagle granatniki, to taka broń, która nie wiadomo skąd pada. Tam w pobliżu była studnia. Woda najcenniejsza rzecz w powstaniu. Z wiadrami szły kobiety, jedna była przy mnie, nagle drugi granat, ona się przewraca, woda

się wylewa pod drzewko, robi się błoto, następna seria i ja wpadam w to błoto. Słyszę wołanie: sanitariuszka, sanitariuszka ranny...

Co się okazało, Sławek stał po drugiej stronie barykady, ja tu, on tam, ja w błocie on został ranny, stracił oko.

Na koncert nie poszliśmy. Fogg, zawsze kojarzy mi się z nieszczęściem tego chłopca.

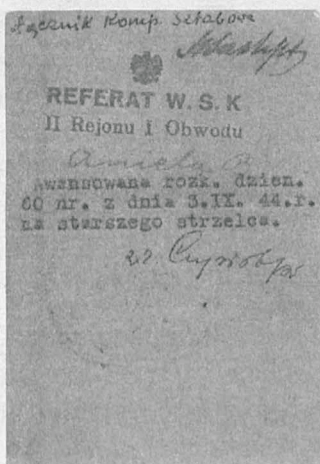
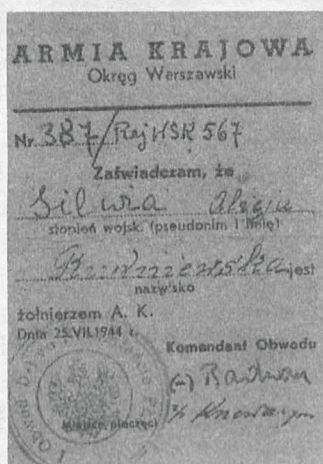
Mieczysław Fogg był uwielbianym pieśniarzem Warszawy.

Kiedy wybuchło Powstanie stanął do walki jako starszy strzelec Batalionu Szturmowego "Odwet". Dawał też koncerty dla powstańców jak też cywilów w szpitalach, salach kinowych i schronach.

Jeszcze przed kapitulacją Powstania, ogromną radość sprawiła nam wiadomość podawana w naszej prasie powstańczej, że zachód wymógł, że Powstańcy uznani zostali za kombatanatów. To wiele dla nas znaczyło, że nie jesteśmy zwykłymi partyzantami, a prawdziwym wojskiem.

Moment kapitulacji był dla nas zaskoczeniem, mieliśmy ogromną wolę walki, brakowało wyobraźni, chcieliśmy się jeszcze bić... Umawialiśmy się, że jeśli ktoś nie idzie do niewoli to idziemy bić się do lasu.

Nie wiedzieliśmy co działo się na Woli i Ochocie. Mało kto w Śródmieściu



Legitymacja akowska Alicji Rudniewskiej: Armia Krajowa Okręg Warszawski nr. 387 Rej. WSK (Wojskowa Służba Kobiet), PS. Sylwia, Alicja jest żołnierzem AK, dnia 25 lipiec 1944 r. podpis: Radwan, Krzesław; druga strona: łącznik kompanii sztabowej, (nieczytelny podpis - kpt. Sas-Kulczycki) Referat W.S.K. II Rejonu I obwodu Aniela B. Awansowana rozkazem dziennym 60 nr. z dnia 3 września 1944 r. na starszego strzelca. Podpis Krzesław (Władysław Roman)

słyszał o masowych mordach i egzekucjach - stosy trupów do czwartego piętra. Co się działo to przechodzi ludzkie pojęcie.

Powszechnie nie wiadomo też, o tym co działo się na Bagateli.

To jeszcze był niedosyt. Byliśmy w straszliwy sposób sponiewierani, upodleni do reszty. Nie chcieliśmy zemsty, myśmy chcieli godnie żyć, godnie umierać, ale tą godność zdobywać w walce.

Alicja Rudniewska starszy strzelec Sylwia, służyła w Setnej Kompanii Sztabowej Zgrupowania „Sławbora” - Jana Szczurka-Cergowskiego, ofice-



Zofia Poniatowska ps. Zoń, zmarła
9 kwietnia 1997 r. przeżywszy
93 lata, była żołnierzem AK,
komendantką łączniczek Setnej
Kompanii Sztabowej Zgrupowania
Sławbora.



Alicja Rudniewska
w czasie Powstania
Warszawskiego

ra Wydziału Artylerii Komendy Głównej Armii Krajowej; pod bezpośrednim dowództwem Zofii Poniatowskiej ps. Zoń komendantki łączniczek. Choć byłam żołnierzem - mówiła, to jednak mój udział w Powstaniu, był tak znikomy, że prawie niczym się nie zaznaczył, wobec znanych nie od dziś dokonań tych najdzielniejszych sanitariuszek i bohaterskich łączniczek z pierwszej linii.

W czasie jednej z rozmów, z koleżanką, żołnierzem z Parasola padło pytanie: - Czy my powstańcy czujemy się jeszcze dzisiaj elitą? Długo zastanawiałam się co odpowiedzieć, nie powtarzając sloganów i zdecydowanie potwierdziłam, oczywiście, jesteście elitą, ale specyficzną elitą, bo:

- *posiedliśmy tajemnicę prawdziwej wolności, chociaż trwała ona tylko 63 dni.*
 - *Posiedliśmy tajemnicę poświęcenia bez reszty, bez żalu godziliśmy się na utratę naszych domów.*
 - *Tylko my wiemy, jakże trudno było nie pokazać po sobie słabości, strachu i lęku.*
 - *Znamy tajemnicę mężnego, milczącego cierpienia po utracie najbliższych.*
 - *Jesteśmy elitą, bo z doświadczenia wiemy, co to służba dla sprawy.*
 - *Znamy też gorycz klęski, którą duma kazała nam przyjąć z godnością.*
- Czasami mam wrażenie, że ci przez których etos powstańczy jest pomniejszany, czynią tak dlatego, bo po prostu zazdroszczą nam tej wiedzy, wiedzy o naszych „tajemnicach”.*

Od roku 1979 jako sekretarz komisji historycznej w środowisku byłych żołnierzy AK Grupy Krybar, Alicja Rudniewska zbierała i opracowała dokumentację III Zgrupowania AK Konrad.

W 37 rocznicę Powstania Warszawskiego, w 1987 r. wydała „Zarys działań III Zgrupowania w relacjach uczestników powstania”.

Byli żołnierze Zgrupowania Konrad serdecznie dziękowali pani Rudniewskiej za pomoc w gromadzeniu materiałów historycznych - relacji żołnierzy służby sanitarnej oraz innych służb walczących w Zgrupowaniu Konrad.

Ta praca stała się początkiem dużego opracowania, które napisała wspólnie z panem Adamem de Michelis pod tytułem: *Pod rozkazami „Konrada”*. Książka została wydana w 1994 r. a opisuje losy żołnierzy Grupy Bojowej „Krybar”, szczególnie żołnierzy III Zgrupowania Konrad i walk prowadzonych na Powiślu i w Śródmieściu Północnym. Pani Rudniewska uzyskała ponadto fundusze na wydanie tej pracy.

Adam de Michelis (1935-2010) urodzony w Warszawie, jako dziecko przeżył powstanie warszawskie, stracił wówczas nogę, przeszedł obozy na Zieleniaku i w Pruszkowie. Z wykształcenia był historykiem, w stanie wojennym został internowany.

W tomie 6 Wielkiej Ilustrowanej Encyklopedii Powstania Warszawskiego na s. 408 czytamy: Rudniewska Alicja Maria „Sylwia”, c. Romana, ur. 30.01.1928 r. Warszawa, łączniczka, Śródmieście, bat. „Miłosz”.

Pani Rudniewska jest też autorką wielu haseł do tej encyklopedii.

We wrześniu 1973 r. Komisja Krzyża AK przyznała Alicji Rudniewskiej Krzyż Armii Krajowej, nr Legitymacji 12275, podpisał Przewodniczący Komisji Krzyża Karol Ziemiński - „Wachnowski”.

Krzyż Armii Krajowej został ustanowiony 1 sierpnia 1966 r. przez dowódcę



Nazwisko RUDNIEWSKA
 Imię Alicja
 Pseudonim "Alicja"
 Przydziel W.S.K. Rej. II. Obw. I.
Zgr. "Bogumił" Okr. Warszawa.
 Odznaczony został
KRZYŻEM ARMII KRAJOWEJ
 ustanowionym dnia 1 sierpnia 1966 roku
 przez dowódcę A.K. gen. Tadeusza Bora
 Komorowskiego dla upamiętnienia wysiłku
 żołnierza Polski Podziemnej w latach
 1939 — 1945,
 Niegodniej
 Podpisał
 Komisji Krzyża
K. Ziemiński
 K. Ziemiński - „Wachnowski”
 Londyn, dnia 26-9-1973

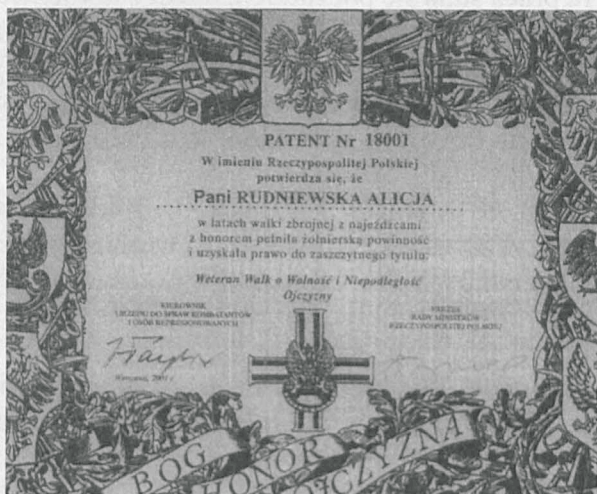
*Legitymacja
 Krzyża Armii
 Krajowej, którym
 Alicja Rudniewska
 została odznaczona
 w 1973 r.*

AK gen. Tadeusza Bora Komorowskiego dla upamiętnienia wysiłku żołnierza Polski Podziemnej w latach 1939-1945.

Pani Alicja Rudniewska jest członkiem Stowarzyszenia Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu Warszawskiego, koła nr 4. Została odznaczona Warszawskim Krzyżem Powstańczym, który przyznał jej Prezydent Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej 13 grudnia 1989 r.

W 2000 roku Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej mianował Alicję Rudniewską na stopień podporucznika Wojska Polskiego, a w 2002 r. Minister Obrony Narodowej mianował na stopień porucznika.

W 2001 r. Wojewoda Mazowiecki przyznał pani Alicji Rudniewskiej Patent „Weteran Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny”.



*Patent „Weteran Walk o Wolność
 i Niepodległość Ojczyzny”.*

W albumie poświęconym udziałowi pani Alicji Rudniewskiej w Powstaniu Warszawskim pierwsze zaproszenie upamiętniające bohaterów walczącej Warszawy nosi datę 30 lipca 1994 roku. 50 rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego uczczono otwarciem Muzeum.

Pani Alicja Rudniewska była wśród zaproszonych przez Lecha Kaczyńskiego ówczesnego Prezydenta m.st. Warszawy na uroczystość otwarcia Muzeum Powstania Warszawskiego. Uroczystości odbywały się 31 lipca 2004 r. Od chwili otwarcia Muzeum Powstania Warszawskiego uroczystości rocznicowe odbywają się w muzeum i w Parku Wolności przy muzeum.

Po Powstaniu... i po wojnie

Po kapitulacji, dopiero 6 października, z tłumem wypędzanych warszawiaków wyszliśmy z miasta - opowiada pani Alicja Rudniewska. Szliśmy do dworca zachodniego, skąd podstawione pociągi wywoziły tłumy uciekinierów do obozu w Pruszkowie.

Korzystając z krótkiego postoju na stacji w Ursusie wyskoczyłam z pociągu, za mną podążyła mama z bratem i towarzyszący nam znajomi. Mimo sztywnej obandażowanej nogi, mobilizując siły, pędzona strachem uciekałam polnym traktem, oddalając się od stacji i peronów. Nagle zorientowałam się, że gonią mnie policyjne psy, wielkie niemieckie owczarki. Obawiając się ich napaści zakryłam głowę kurtką i stoczyłam się do pobliskiego rowu. Psy dobiegły i zamiast atakować zaczęły skomleć i łaść się. Lizwały po twarzy. Zdziwienie nie miało granic, ale uświadomiłam sobie, że psy w moim ubraniu poczuły zapach suczki, która towarzyszyła mi przez ostatnie dwa miesiące, nie mogłam zabrać jej z Warszawy. Psy nie reagowały na wołania i odgwisdywanie przez Niemców, którzy z karabinami pilnowali transportu ludności. Zachowanie tych groźnych psów dało mi poczucie bezpieczeństwa. Cieszyły się moją bliskością i mnie strzegły.

Korzystając z ciemności skierowałam się w towarzystwie psów do widocznego budynku, ponieważ do niego weszli moi bliscy i znajomi. Był to parterowy budynek, jak się okazało pralnia, i tutaj na słomie spędziliśmy pierwszą noc po powstaniu.

Kiedy zapadła noc do drzwi zaczęli stukać miejscowi proponując zakup żywności - chleba, masła, szynki, pomidorów. Konsternacja, myślności i głodni, nie rzucamy się na kupno, bo nie wiemy czy nas na to stać. Oni zdziwieni naszą rezerwą. Zapytałam ile to kosztuje, usłyszałam 5, 10, padły tylko cyfry. Myśleliśmy, że to tysiące. Zanim opuściliśmy Warszawę został uruchomiony bazar przy ul. Kruczej, gdzie wszystko szło już w tysiące. Odpowiedzieliśmy mając świadomość, że stoimy przed nową rzeczywistością, nową biedą, że nie stać nas na zakup żywności. Odmowa spowodowała

wyjaśnienie, że 5, 10 to złoty. Wtedy zakupiliśmy wszystko co oni zaoferowali i nastąpiła uczta.

W Ursusie zostaliśmy kilka dni, przyjęli nas do siebie nadzwyczaj serdeczni ludzie państwo Lewandowscy. Wskazali nam targ, który powstał we Włochach. Sprytni i odważni ludzie, też z podwarszawskich wsi robili wyprawy w gruzy Warszawy, wydobywali z opuszczonych piwnic, z mieszkań rzeczy i nimi handlowali na wielkim targu we Włochach. Mama tam nas zaopatrzyła w najpotrzebniejsze rzeczy.

Tak mi przykro, że nigdy nie odnaleźliśmy państwa Lewandowskich i im nie podziękowaliśmy za 10 dniową gościnność i okazane nam serce.

W naszej grupie był pan Jerzy, w czasie pobytu w Ursusie odnowił on znajomość z jednym z członków Delegatury Rządu na Kraj panem Rudzińskim, który był dyrektorem szkoły w Piotrkowie Trybunalskim a jego żona nauczycielką.

Dlatego pojechaliśmy do Piotrkowa Trybunalskiego.

Od października 1944 roku, przez dwa lata mieszkają w Piotrkowie Trybunalskim, najpierw przy ul. Piłsudskiego, później na Promenadzie 14. Dom prowadziła bona Zofia Górską.

Dzieci podejmują naukę, Karol w Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego, Alicja w liceum, gdzie dyrektorem był pan Budzanowski-Tum, jak się później okazało dowódca oddziału walczącego na Czerniakowie - kapitan Tum. W ciągu jednego roku zrobiła dwie klasy i w 1946 r. napisała maturę.

Kiedy jeszcze mieszkają przy ul. Piłsudskiego przyjeżdża do nich z Wolbromia Zita Sikorska z 8 letnim synem Robertem. Maria Rudniewska zdobywa mieszkanie przy Promenadzie i wówczas sprowadza swoją matkę, wypędzoną z majątku na Podlasie.

W 1946 roku Maria Rudniewska przeniosła się do Warszawy. Wyremontowała mieszkanie na rogu Chocimskiej i Olszewskiej w pobliżu własnych placów przy ul. Pułaskiej, graniczących z remizą tramwajową. Z mecenasem Dułiniczem, założyła hurt materiałów budowlanych.

Dobrze prosperująca firma przynosiła poważne dochody, ale bardzo szybko musiała ulec likwidacji, ponieważ teren, który zajmowała, upatrzili sobie dla potrzeb kinematografii ówcześni decydenci i zbudowali kino Moskwa, obecnie jest tam Europlex.

W tym czasie przystąpiła do remontu willi w Konstancinie wiedząc, że cała rodzina będzie mogła tam zamieszkać, bowiem gwarantowała to „promesa”, ówczesne przepisy, które pozwalały korzystać z ponadnormatywnej

większej powierzchni mieszkalnej w obiektach remontowanych ze zniszczeń wojennych przez właścicieli lub użytkowników.

W 1950 r. władze administracyjne wycofały promesę i pod nieobecność właścicielki wprowadziły do willi przypadkowych lokatorów ze skrajnego lumpenproletariatu.

Maria Rudniewska od 1951 roku pracowała jako urzędniczka w Narodowym Banku Polskim. Z uwagi na zły stan zdrowia w 1961 roku przeszła na rentę.

Nadal jednak swój czas i energię poświęcała na pracę społeczno-charytatywną, do końca życia pomagała podrzucanym i wyrzucanym psom.

Zmarła po krótkiej chorobie w październiku 1983 roku.

Roman Rudniewski powrócił do kraju latem 1946 r.

i podjął pracę w Polskim Towarzystwie Handlu Zagranicznego Varimex. Aresztowany w kwietniu 1948 r., na podstawie fałszywych oskarżeń został skazany w 1949 r. na 15 lat więzienia. W więzieniu mokotowskim pracował jako projektant w Biurze Architektoniczno-Konstrukcyjnym BAK, wyróżniany nawet jako przodownik pracy. Po zwolnieniu z więzienia w 1956 r., był starszym projektantem w Wojewódzkim Biurze Projektów w Warszawie, a po przejściu na emeryturę w 1960 r. kierownikiem spółdzielni budowlano-mieszkaniowej Dziennikarz; w 1964 r. przeszedł do spółdzielni Cepelianska. Zmarł nagle 17 kwietnia 1965 r. w Warszawie i został pochowany na cmentarzu Powązkowskim.

Był styczeń 1948 r., moje dwudzieste urodziny obchodziłam już w Warszawie, w nowym, skromnym mieszkaniu przy ul. Chocimskiej 13 - opowiada pani Alicja Rudniewska. Czekaliśmy na skończenie remontu naszej nieco zrujnowanej willi w Konstancinie. Byłam już studentką II roku Wydziału Historycznego Sekcji Historii Sztuki, zaliczyłam też jeden rok na Wydziale Prawa.

Mój drogi Ojciec zajmował pokój w dawnym pensjonacie Home przy ul. Przemysłowej. Mamusia założyła wraz ze współnikami magazyn artykułów budowlanych na terenie własnych placów u zbiegu ul. Puławskiej i Olszewskiej. Wiedliśmy w miarę spokojne i dostatnie życie. Dom prowadziła moja guwernantka madame Sophie z pomocą służącej. Odnalazły się moje dawne koleżanki Jola Dzierżanowska, Tessa Czarnecka, Anusia Potulicka. Nawiązałam nowe znajomości i przyjaźnie - Magusia Marczeńska, później

żona Jurka Stawińskiego, Tosia Cyprysińska. Życie towarzyskie, choć w małym wymiarze ale nabierało rumieńców.

Nic nie zapowiadało tragedii, jaką wiosną było aresztowanie mego ukochanego, tak nie dawno odzyskanego Ojca. Przez cały rok nie można było nawiązać z nim kontaktu, gdyż więziony był podczas śledztwa w kaza-matach Urzędu Bezpieczeństwa na ul. Koszykowej róg Alei Ujazdowskich. To nieszczęście diametralnie zmieniło moje życie. Mamusia związana już od dawna z innym mężczyzną, nie chciała lub może nie mogła zająć się ratowaniem Ojca. W związku z czym - mimo, że jednak zupełnie nie byłam przygotowana do dorosłego życia, wzięłam na siebie pełną opiekę nad Ojcem i jego sprawą. Szczęśliwie w tym trudnym czasie spotkałam się z nadzwyczajną życzliwością i pomocą znajomych Ojca. Mecenasa. Ludwik Szczerbiński przedwojenny radca Papci, pokierował moimi krokami. A w tym czasie ważne było znalezienie adwokata z listy tzw. obrońców oskarżonych przez sądy wojskowe. Ci zaś byli bardzo kosztowni i trudno dostępni, jak na przykład mecenas Maślanko, Nowogródzki. W końcu polecono mi mecenasa Mariana Wagnera, który radził, abym sama też starała się o kontakt z prokuratorem. W końcu przyjął mnie prokurator Lityński, na ul. Koszykowej, gdzie teraz, o ironio losu, swą siedzibę ma Światowy Związek AK. Prokurator Lityński, Żyd, z ruskim akcentem poinformował mnie, że Ojciec jako pracownik handlu zagranicznego dopuszczał się szpiegostwa gospodarczego i sabotował transakcje, które nie przynosiły prowizji!!! Po roku, proces trwał tydzień. Oskarżał prokurator Kulesza a sądził sędzia Pawłowski. Na ławie oskarżonych jeszcze sześciu pracowników Varimexu i moc świadków doprowadzonych z więzienia jak i z wolnej stopy. Żądano kary śmierci, później dożywocia, skończyło się na 15 latach więzienia. Ojciec trzymał się dobrze, odwołał swe zeznania w śledztwie, czym dał do zrozumienia, że wymuszone były torturami. Osadzony został w więzieniu mokotowskim przy ul. Rakowieckiej. Dozwolono na widzenie raz w miesiącu a także na podawanie paczek. W paczkach tylko cebula, pieczywo, nieco słoniny i cukier. Najsmutniejsze wspomnienia z tego okresu to widzenia, za podwójną kratą przy stałej obecności strażnika, w takim gwarze i hałasie, że wprost nic się nie słyszało. Czekanie na widzenie przeważnie przeciągało się do 3-4 godzin. Przed deszczem, śniegiem czy słońcem chroniliśmy się ogromną grupą rodzin więźniów, pod arkadami starego gmachu SGH, vis-avis zachodniego narożnika budynku więziennego. Z czasem nawiązały się bliskie znajomości, zażyłości tak ważne i cenne, bo wymienialiśmy istotne informacje dotyczące na przykład adwokatów, dojść do różnych czynowników, od których wiele zależało. I właśnie tam

dowiedziałam się, że istnieje legendarna persona z bezpieki, władna załatwić więźniowi pracę. Zatrudniony więzień zyskiwał prawo do lepszych i częściej otrzymywanych paczek, bez ograniczeń co do asortymentu i wagi.

Zdobyłam się na odwagę, jakimś psim śwędem dostałam adres tego ubeka, a był to w randze chyba pułkownika nijaki towarzysz Góra. Mieszkał w pięknej kamienicy, przy nie zniszczonej w czasie Powstania ul. Jaworzyńskiej nr 10. Przygotowałam prezent w postaci kryształowej karafki ze stylowymi srebrnymi okuciami i komplet kieliszków do likieru i z duszą na ramieniu zadzwoniłam do drzwi. To na pewno żarliwe modlitwy i nowenna do św. Judy Tadeusza sprawiły, że cel tej wizyty został osiągnięty! Po pierwsze cud, że w ogóle wpuścił mnie do mieszkania, że wysłuchał mą prośbę, że obiecał, nawet ucieszył się, że Ojciec jest architektem - bo właśnie organizuje pracownię architektoniczno-konstrukcyjną dla potrzeb resortu mając do dyspozycji tak wielką ilość więźniów. Prezent z zadowoleniem przyjął, nawet podziękował... i rzeczywiście od listopada Papcio już pracował w tzw. BAK-u.

Na Boże Narodzenie 1949 roku przygotowałam wspaniałą paczkę świąteczną, ważącą ok. 12 kg, w tym moc smakołyków osobiście przeze mnie przygotowanych, dietetycznych, przemyślane odżywczych i pięknie spakowanych. Pamiętam, że na paczkę wydałam 17 tys zł!

W tym czasie już pracowałam - początkowo w Muzeum Narodowym przy Inwentarzu, do którego wpisywałam rewindykowane cymelia i ryciny. Była to praca na godziny, którą zawdzięczałam panu Stefanowi Kozakiewiczowi w nagrodę za przygotowanie bibliografii dla potrzeb programu do prac inwentaryzacyjnych na pierwszy obóz naukowy dla studentów Historii Sztuki w Sulejowie. Bardzo mi się przydała znajomość i biegłość w piśmie technicznym, które przyswoiłam sobie jeszcze w czasie okupacji w szkole w Nazarecie na Czerniakowie, gdzie w czasie okupacji uczyłam się 2-3 miesiące i gdzie też zdawałam egzaminy. Zarabiałam mało, nigdy nie udało mi się więcej wypracować jak 10-12 tys. Moje potrzeby były w tym czasie minimalne, bo dostawałam paczki, co prawda z używaną garderobą z zagranicy, ale były to rzeczy tak atrakcyjne, że mogłam je z łatwością sprzedać. Adwokat i paczki pochłaniały moc pieniędzy. Pierwsze zdobyte pieniądze na potrzeby sprawy Papcia uzyskałam ze sprzedaży, stojąc na ulicy, puszek UNRowskich, jakie znalazłam w pokoju ojca na ul. Przemysłowej.

Papciu czuł się wyśmienicie w nowym otoczeniu, pasjonowała Go praca, w której się wyżywał, a z czasem został ... przodownikiem, a gdy po paru latach przyznano pracownikom biura wynagrodzenia nawet zarabiał i w lokalnej kantynie mógł kupować potrzebne artykuły.

Zaprzyjaźnił się z panem inżynierem Sztompką, bratem słynnego pianisty, o którym mówiło się, że uratowany został od kary śmierci koncertem granym w Belwederze. Pan Jerzy Węgierski, pan Śpiewak, pan Noreyko, pan Oppenheim, pan Ziemięć, inż. Mieczysław Twarowski - było jeszcze bardzo dużo zaprzyjaźnionych z mym Ojcem panów, ale z biegiem lat zagubiłam ich nazwiska w pamięci. Natomiast na wolności nawiązywały się przyjaźnie między członkami rodzin więźniów. Dziś już nie żyje Marysia Węgierska, do końca jej życia byliśmy w wielkiej zażyłości.

Finansowo radziłam sobie całkiem dobrze, a to za sprawą poznanego w czasie urzędowania willi w Konstancinie - właściciela wspaniale prosperującej firmy i pracowni artystycznej produkującej wówczas bardzo modne lampy, świeczniki, kinkiety, ramy. On to zaproponował mi współpracę, wyuczenie wyrobów tzw. małej galanterii, a więc broszek, bransoletek, wisiorków, nawet popielniczek z blachy miedzianej. Pan Antoni Konderak okazał się być opatrnościowym dla nas człowiekiem, niesłychanie uczynnym. Wypożyczył mi nieodpłatnie pełne oprzyrządowanie mini warsztatu metalurgicznego i wykazał maksimum dobrej woli i cierpliwości w uczeniu mnie tajników wspaniałego zawodu. Okazało się, że moje wysiłki nie poszły na marne, bo produkcja mojej biżuterii, choć raczej to była robota kowalska, a nie jubilerska, znalazła chętnych odbiorców i miałam stałe zamówienia. Bardzo szybko poczułam się niezależna finansowo i nareszcie mogłam dokładać się do kosztów utrzymania domu.

W tym czasie dwukrotnie brałam udział w Obozach Naukowych zorganizowanych przez Wydział Historii Sztuki UW i Muzeum Narodowe. Była to akcja autorstwa wspaniałego profesora Stanisława Lorenza, która miała na celu nie tylko zorganizowanie atrakcyjnych ferii studentom historii sztuki z uczelni warszawskiej, poznańskiej, toruńskiej, lubelskiej i krakowskiej a także studentów Wydziału Architektury ale i przygotowanie do zawodu poprzez ciekawie pomyślany program inwentaryzacji zabytków z terenu kilku powiatów dwóch województw. Panu profesorowi zależało także na odżywieniu i poprawieniu formy braci studenckiej, z których większość miała za sobą niedawny powrót z niewoli, powstanie czy długie lata w partyzantce.

Obóz urządzony był nad Pilicą pod Sulejowem na terenie nie zniszczonego obiektu rekreacyjnego, przedwojennej organizacji YMCA. Około 50 fińskich, sześćoosobowych domków, wokół ogromnej stołówki - świetlicy z kominkiem, łaźnia z prysznicami, kuchnia i gospodarcze zaplecze. Były boiska do siatkówki, nawet zabezpieczone nabrzeże Pilicy, dostosowane do kąpieli rzecznej.

Przemiałą niespodzianką okazało się zatrudnienie całego zespołu kucharek, które od rana serwowały nam wielkie kotlety schabowe, nawiały i zachęcały do wielokrotnych repet.

Do kierownictwa naukowego zostali zaproszeni profesorowie: Zbigniew Hornung, Gerard Ciołek, Władysław Tomkiewicz, Bogdan Guerquin i asystenci: Stefan Kozakiewicz, Anna Piwocka, Sławska z Poznania. Asystenci mieli podporządkowane grupy liczące 8-10 studentów.

Na przygotowanych mapach sztabowych mieliśmy zaznaczone miejscowości, w których pod kierunkiem instruktorów przeprowadzaliśmy inwentaryzację, pomiary, zdjęcia fotograficzne itp., nawet sporządzaliśmy wnioski konserwatorskie. Mieliśmy do dyspozycji samochody, pewnie z demobilu lub UNRY, wypożyczone z Koła Medyków, a także wynajmowane furmanki. Zwiedzanie pięknej okolicy, oglądanie zabytków architektury, słuchanie mądrych instruktorów, którzy przede wszystkim uczyli nas patrzeć i rozpoznawać style, a nawet datować napotkane obiekty - uzupełniały program. Prawie każdy wieczór urozmaicały śpiewy przed wielkim kominkiem, w którym podtrzymywała ogień niezmordowana i niezapomniana Biruta Gerlach. Był nawet bal kostiumowy, na którym wystąpiły najładniejsze koleżanki: Bożena Steinborn, Lenta Henisch, we wspaniałych krynolinach, własnoręcznie uszytych z kretonu w inscenizacji: Ostatni Bal w Tarze, ulubionej powieści o Scarlett z Przemineło z wiatrem.

Nic nie zapowiadało przykrych wydarzeń, które miały miejsce tego samego dnia w dwóch miejscowościach: w Gorzkowicach i Skarżysku Kamiennej. Był to dzień targowy, wszędzie pełno ludzi, którzy jakby na komendę napadli nas studentów, czekających grupami na powrót do obozu. Z okrzykami - bić kocią wiarę, bić metodystów - (tak rozumiano napisy na naszych samochodach, należących do Koła Medyków), bili na oślep czym popadło. Kolega Mańczak dostał cios kłonicą w szczękę, doznał jej złamania w trzech czy czterech miejscach. Jego sympatię ostry kamień ugodził w policzek, przebijając go na wylot. Pani Borowiczowa dostała cios nożem w brzuch, co spowodowało poronienie, kolega Olgierd Puciata uderzony w twarz, przegryzł sobie język. Monika Moraczewska własną kasetą oberwała w głowę, co spowodowało odklejenie siatkówki. Jedną koleżankę za długie włosy zaciągnięto po bruku do zrujnowanego budynku, gdzie usiłowano podłożyć pod nią ogień.

Uratował te grupę kierowca, który wjechał w tłum, co pozwoliło wielu z nas wskoczyć na platformę komandorki i uciec przed razami napastujących.

W innym miejscu, gdzie byłem ja, czekałyśmy na transport w piwiarni przy rynku. Nagle wtargnęło kilku mężczyzn i zaczęli prowokować, wyciągając

ławkę spod siedzących dziewczyn. Właścicielka wskazała boczne wyjście za szynkwasem, więc zdołałyśmy uciec, kierując się na plebanię w pobliżu kościoła. Niestety ksiądz nas nie wpuścił.

W nocy przyjechał do Sulejowa profesor Lorenz i natychmiast zorganizował transport kolegi Mańczaka do Łodzi, gdzie dr Meissner, ówczesnie bardzo znany chirurg, operował najbardziej uszkodzonego kolegę.

Prasa opisywała te przykre wypadki. Minister Sikorski uhonorował wszystkich uczestników Obozu Naukowego srebrnymi Krzyżami Zasługi; prof. Zbignie Hornund z Wrocławia udekorowany został Złotym Krzyżem Zasługi.

Przez długie lata obóz sulejowski był głównym czynnikiem integrującym środowisko historyków sztuki. Wyroki sądowe jakie zapadły w tej sprawie, wytoczone powodyrom tych zajęć, a także proboszczowi, wcale nas nie satysfakcjonowały.



Maria Rudniewska w swojej willi w Konstancinie

Dostałam propozycję pracy w Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków w Biurze Inwentaryzacji Zabytków - w skrócie nazywanym CBI, które mieściło się w gmachu Zachęty przy Placu Małachowskiego.

Z żalem żegnałam Muzeum Narodowe i grono wspaniałych pań pod kierunkiem których miałam tam zaszczyt pracować i brać z nich przykład. Nie ma już dziś tak urokliwych dam, które najwyższe szczyty wysublimowanego profesjonalizmu łączyły z elegancją wytwornych salonów. Taka była pani Maria Rogoyska, pani Krystyna Sroczyńska - wybitny znawca malarstwa, imponowała nam swoją pasją i erudycją. Pani Czajka, czyli Izabela Stachowicz - oficer armii Berlinga, a dawniej muza Skamandrytów, pod której opiekę oddał profesor Lorenz cenne zbiory miniatur. Opiekuńczy i wzór koleżeńskości to kustosz pan Zawanowski czy pani Richterówna - troskliwy opiekun zbiorów bibliotecznych. To byli cudowni ludzie z innej epoki, którzy przekazywali nam wzorce postaw i wartości odchodzących teraz w cień.

Czytelnia w zachodnim skrzydle gmachu Muzeum Narodowego była pierwszą gruntownie wyremontowaną salą po Powstaniu Warszawskim.

Ściany pomalowano jak na owe czasy, niesłychanie nowocześnie, nawet nowatorsko, w kolorze jasnego, ale intensywnego błękitu. Na tle tych lazurowych ścian ładnie prezentowały się jesionowe regały, także krzesła i stoły, a na półkach rzędy opasłych woluminów, encyklopedii, albumów i słowników z bogato złożonymi grzbietami - tworzyły barwną mozaikę ożywiającą wnętrze.

Pani Rottertowa i panna Richterówna dyżurowały w tym sanktuarium wiedzy, czuwając nad bezpieczeństwem podręcznego księgozbioru a i czytelnikom służyły często pomocą w zawiłościach katalogów. Czytelnia stała się z czasem salonem tej części gmachu Muzeum, można tam było spotkać a nawet poznać, choćby z widzenia wszystkich pracowników naukowych, bo zaglądali tu wszyscy.

I właśnie tam po raz pierwszy zobaczyłam panią Marię Rogoyską, gdy szeroko otwierając przeszklone drzwi stanęła na progu i nieco zdziwionym, ale pełnym zaciekawienia wzrokiem przyglądała się nielicznym czytelnikom. Być może wypatrywała znajomych, być może przyszła nacieszyć się widokiem wnętrza, tą miłą oazą świeżości, pogody, optymizmu i pewną niefrasobliwością, które tak wyraźnie emanowały z błękitu ścian czytelnii.



Maria, Roman, Alicja Rudniewscy w ogrodzie
w Konstancinie

To ponoć za namową pani

Marii Rogoyskiej czytelnia dostała lazurowe ściany, można sobie wyobrazić satysfakcję i radość pani Marii z przeforsowania jej projektu, dzięki któremu uniknięto instytucjonalnego wystroju typowego dla bibliotek.

W tym jasnym wnętrzu sylwetka pani Marii i jej swoisty koloryt przenosił patrzącego jakby w inny świat, świat harmonii, elegancji, wytworności - cech tak bardzo już zapomnianych i nieobecnych w powojennej Warszawie, tak zdawałoby się już zupełnie nierealnych.

Niewysoka, trzymająca się prosto, z ładnie uniesioną głową na długiej szyi, zadziwiała pięknymi kasztanowymi włosami upiętymi w luźny węzeł nad karkiem. Sznur koralu czy pereł, apaszka jakby od niechcienia związana, czy zarzucony szal podkreślający jej elegancję, dodawały charme'u wzbogacając jej wrodzony szyk, nie mający nic wspólnego z nowocześnieścią.

Lekko utykając, wspierała się laseczką, być może była to forma kokieterii... Cechy, które ją charakteryzowały dyskretnie i pięknie pokazane są przez Axentowicza na jego portretach w pastelach początku wieku.

Na pewno nie bez przyczyny mistrza Teodora nazywano jednym z najświetniejszych w Polsce wyrazicieli „uroków kobiety”, a malował kobiety w typie pani Marii Rogoyskiej.

Dyrektorem CBI był prof. dr Ksawery Piwocki, później był też rektorem ASP. Jego sekretarkami były - pani Janeczka Grodecka i pani Maria Węgierska, jej mąż był więziony na Mokotowie z moim Ojcem. W ogromnej Sali przy oddzielnych stołach pracowały: pani Elżbieta Sawicka - żona słynnego prawnika prof. Jakuba Sawickiego, Irena Malinowska, Anna Berdecka-Dobrzyńska, Maria Łuszczkiewiczowa, Monika Moraczewska, Bożena Ma-



Roman, Alicja, Maria Rudniewscy w ogrodzie w Konstancinie

jewska-Maszkowska, późniejszy dyrektor Zamku Królewskiego; Olga Majewska później żona prof. Wł. Tomkiewicza, Anna Piwocka, Zygmunt Sonik, pani Wanda Peretiatkowicz - ongiś przełożona pensji dla panien w Kijowie, pani Hulimkowa, Nina Miks. Do dziś żyje już tylko Ania Piwocka, Ania Berdecka i ja.

Praca nasza polegała m.in. na porządkowaniu rewindykowanych w owym czasie zbiorów Towarzystwa Opieki Nad Zabytkami Przeszłości (TONZP), wywiezionych przez okupanta z gmachu Ministerstwa Oświaty i Wyznań Religijnych na ul. Szucha 25, w czasie II wojny siedziba Gestapo. Był to zbiór szklanych klisz w formacie 13x18, 18x24 - zdjęć fotograficznych wykonywanych przeważnie przez słynnego Poddębskiego i Bułhaka a dotyczących architektury zabytkowej z całej Polski. Dziś są przechowywane w Instytucie Sztuki PAN na ul. Długiej 26.

Naprzeciw naszej sali mieściła się pracownia prof. Bohdana Marconiego, w której poddawane było konserwacji ogromne płótno obrazu Matejki - Bitwa pod Grunwaldem.

Po pewnym czasie dostałam etat asystenta, obowiązywał siedmiogodzinny dzień pracy, nie było wówczas wolnych sobót, ale przysługiwało nam studentom zwalnianie na określone wykłady. Większą ilość godzin przeznaczonych na wykłady trzeba było odpracowywać. Mieszkając w Konstancinie uzależniona byłam od koleżki wilanowskiej, która często miewała opóźnienia, a w tym czasie jeszcze nie było autobusów. Bojąc się nagany za ewentualne spóźnienia się do pracy poprosiłam w kadrach o zezwolenie na odpracowanie mogących się zdarzyć spóźnień. Otrzymałam na to zgodę.

Praca była ciekawa, stosunki w zespole przeżywcze, mieliśmy wielu ciekawych interesantów, a uznanym za najmilszego pana odwiedzającego Zachętę, był pan pułkownik Stanisław Łoza - autor cennego słownika architektów. Przed wojną prowadził w Belwederze Wydział Odznaczeń. Pamiętam, gdy kiedyś zaafierowany wszedł do naszej sali z „Przekrojem” w ręku i przeczytał nam tam zawartą informację, o powrocie do Muzeum Czartoryskich - Pani z Łasiczką. No cóż - dodał, jeśli ta demokracja nadal będzie się u nas panoszyć, to ten piękny obraz nazwą Dziwką ze szczurem!!! Drugim kawalarzem był też częsty gość w CBI pan Tadeusz Przytkowski z Jędrzejowa.

Natomiast moją antypatią była nowa personalna niejaka Zenobia Świadek. Codziennie od rana warowała w hallu, sprawdzając punktualność stawiania się do pracy poszczególnych zespołów. Parę razy miałam pecha spóźnić się niecałe 15 minut. Meldowałam jej, że mam zgodę na odpracowanie, na co ona wzruszając ramionami, gromiła mnie wzrokiem. Za każdym razem łączyła się z kimś telefonicznie i głośno rozmawiała po rosyjsku. Przyjrzałam się babie z bliska i stwierdziłam, że nie ma w ogóle rzęs, brwi też wygolone, ale narysowane w połowie niskiego czoła, włosy dziwne - dlatego budziła dosłownie moją odrazę, wygląd miała doprawdy nikczemny.



Alicja Rudniewska 1965 r.



Alicja Rudniewska 1968 r.

Aż tu nagle słyszę wymawiane po rosyjsku moje nazwisko, a więc meldowała gdzieś wyżej moje spóźnienie. Wściekłam się. Zaprzysięgåłm jej zemstę. Codziennie czyhałam na nią za filarem, wypatrując momentu, gdy nie będzie osób trzecich. Aż nareszcie udało się, stała sama. Podbiegåłm do niej i groźnym tonem wypaliłam: - Uprzedzam, że mordę objęję jak jeszcze raz będzie po rusku przez telefon na mnie donosić. Jeszcze jakieś przekleństwo i posgåłm do swojej pracy. Czułam ulgę i satysfakcję, bo widziałam przestrach w oczach tej więdźmy, ale też przeczuwałam, że przyjdzie mi za tą wątpliwą satysfakcją zapłacić.

Nazajutrz wszedł do naszej sali umundurowany stary woźny z Ministerstwa Kultury. Dawniej wydawało mi się, że pamiętałam go z karabinem.

Podszedł do mojego stołu, wręczył mi kopertę i szeptem powiedział: Kazano mi panienkę wyprowadzić z gmachu, ale tego nie zrobię, bardzo proszę wyjść samej. W kopercie pismo do mnie adresowane, że niniejszym w trybie natychmiastowym zwalnia mnie się z pracy na podstawie paragrafu nr 36/ ale już dziś nie pamiętam tej cyfry. Później dowiedziałam się, że paragraften dotyczył traktowania jednostki niebezpiecznej dla kraju w okresie jego odbudowy. Ale się baba potrafiła zemścić! Było to coś więcej jak osławiony dawniej wilczy bilet. Byłam przekonana, że nie ujawni tego, co usłyszała ode mnie - wobec tego, jakimi argumentami się posłużyła??? Zostawiłam otrzymane pismo u sekretarki dyrektora, koleżankom oznajmiłam, że właśnie zwolniono mnie z pracy. Zdziwienie było niesamowite. Ania Berdecka nagle poprosiła, żebym ją odprowadziła do domu. Zrozumiałam, że to był piękny odruch, abym nie została sama, z niedobrymi myślami. W domu Mamusia przyjęła moje wyrzucenie z pracy w miarę spokojnie, a Jej reakcji najbardziej się obawiałam. Oczywiście nie przyznałam się do mojej „napaści” na personalną. Pocieszałam się tym, że strata pracy nie uderzy mnie po kieszeni, bo w każdej chwili mogę powiększyć mój wkład pracy w produkcję „kowskiej biżuterii”, którą teraz w skromniejszym wymiarze prowadziła zaprzyjaźniona sąsiadka Ela Domańska. Poczułam się dopiero parszywie, gdy przyszło pismo z Dziekanatu o odebraniu mi czasowo praw studenckich. Następne oficjalne pismo dostałam z mego dawnego miejsca pracy z CBI, w formie zaproszenia na określony dzień i godzinę. Oczywiście stawiałam się pełna najgorszych przeczuć. Tymczasem w sali konferencyjnej Zachęty zobaczyłam samego profesora St. Lorenza, prof. A. Gieysztorę, prof. Wł. Tomkiewicza, prof. St. Herbsta, prof. Ks. Piwockiego i mecenasa Kojdeckiego z Muzeum Narodowego. Wszyscy przywitali się ze mną i wskazali mi miejsce przy długim stole. Profesor Lorenz zwracając się do mnie wypo-

wiedział mniej więcej te słowa: Zaprosiliśmy tutaj panią aby wyrazić nasze zaniepokojenie faktem otrzymania przez panią wypowiedzenia pracy w trybie natychmiastowym, co stanowi precedens, że bez uzgodnienia z bezpośrednimi szefami - kadry Ministerstwa same wydały tę decyzję. Nasz niepokój budzi również paragraf, który w pani wypadku zastosowano - domyślamy się, że nie bez przyczyny jest sytuacja pani ojca, który jak wiemy jest skazany na 15 lat więzienia. Naczelna Dyrekcja Muzeów, w której placówce była pani zatrudniona na stanowisku asystenta wystąpi z protestem, to chcieliśmy pani oficjalnie przekazać. Natomiast prywatnie chcemy panią zapewnić o naszym zaniepokojeniu pani losem i dlatego poprosiliśmy prof. Bohdana Pniewskiego, który prowadzi niezależną pracownię architektoniczną i cieszy się zaufaniem najwyższych władz państwowych, aby panią zatrudnił i otoczył należytą opieką. Na wykłady proszę uczęszczać a egzaminy zdawać u mnie w Muzeum.

Ogromnie byłam wzruszona tym co usłyszałam, podbudowana serdecznym tonem Pana Profesora, ale i zażenowana, że moja skromna osoba stała się przedmiotem troski i zainteresowania Rady Naukowej CBI.

Ojcu, na widzeniu oszczędziłam drastycznych szczegółów, mówiąc tylko, że szukam nowej posady w innym resorcie. Oczywiście zgłosiłam się do prof. B. Pniewskiego, który mi zaproponował tłumaczenie tekstów francuskich. Zresztą nieźle płatne zajęcie, nad czym mogłam pracować w domu.

Niestety lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość o mojej porażce w pracy, co w konsekwencji sprawiło, że moja opinia stała się na tyle fatalna, że matka mojej przedwojennej koleżanki Niusi - pani Zdańska poprosiła abym nie odwiedzała jej córki, która jako lojalna studentka nie może sobie pozwolić na utrzymywanie znajomości z osobą tak napiętnowaną.

Papcio poradził mi abym się zgłosiła do jego znajomego, który zajmuje wysokie stanowisko jako dyrektor Wścigów Konnych na Służewcu. Po sprawdzeniu mej sprawności jeździeckiej generał Paszkiewicz zaproponował mi pracę na torze. I tak oto zostałam chłopcem stajennym, do którego obowiązków należały m.in. ranne przeloty - galopy ogierów, czyli dosiadanie koni dla ich rannego rozruchu. Ponoć dżokeje nie chcieli brać w tym udziału. Po miesiącu zorientowałam się, że to dla mnie zbyt trudne z powodu dojazdów, często nocowałam u koleżanek bądź ciotki Grużewskiej, gdyż z Konstancina nie było połączenia ze Służewcem o godz. 5 rano. Pierwszym chłopcem stajennym była pani Zula Szwajcercówna, która swój kunszt jeździecki wykazała na filmie, w którym grała wspaniałą amazonkę.

Właśnie na Służewcu odżyły moje ciagoty do koni i jazdy konnej, uwiel-

białam zapach stajni, z czym nie miałam kontaktów od czasów Antopola i Jabłonny.

W tym czasie generał Paszkiewicz ulegając namowom różnych koniarzy założył Stajnię Koni Bohaterów, aby ustrzec ich od grożącego im uboju, bo nagle w Warszawie stały się modne i pożądane restauracje z koniną w menu, jak na przykład Canaletto przy ul. Żurawiej.

W nowej stajni pod troskliwą opieką dżokeja Augustyniaka znalazły się konie, które z ważnymi oficerami przemierzały szlak bojowy od Lenino do Berlina, a więc Barsal pod Żymierskim, Bagnet i wiele, wiele innych a teraz zarabiała na siebie służąc amatorom jazdy konnej.

W Konstancinie mieszkał znany jeździec pan Tadeusz Daszewski, już dobrze starszy pan po sześćdziesiątce. Moje opowieści o służewieckiej Stajni Koni Bohaterów, tak go zaintrygowały, że któregoś dnia prosił, abym mu towarzyszyła w wyprawie na Służewiec, gdzie on pragnie ostatni już raz w życiu dosiąść konia. Generał Paszkiewicz i Augustyniak dobrze znali, zapewne ze słyszenia, pana Daszewskiego, który swego czasu proszony był przez pana Prezydenta Mościckiego aby zechciał towarzyszyć Królowej Rumuńskiej w przejażdżkach konnych w czasie jej oficjalnej wizyty w Polsce. Czułam się niezmiernie dumna, że tak znany i świetny jeździec na swą ostatnią konną przejażdżkę wybrał mnie do towarzystwa.

Powoli dojrzał pomysł posiadania własnego konia i tak z moją przyjaciółką Wandą Sierakowską również entuzjastką hipiki doprowadziłyśmy do realizacji śmiałego marzenia. Pomógł nam w tym dżokej Augustyniak, którego szwagier miał w Powsinie ubojnię koni. Okazało się, że badylarze podwarszawscy pozbywają się jesienią koni i ten rzeźnik stał się naszym pośrednikiem. Zawczasu zupełnym przypadkiem trafiłyśmy na doskonałe usytuowane miejsce, gdzie można było urządzić stajnię, tuż za placem, za Wiatraczną w ogromnej zagrodzie ogrodnika. Poczciwy nasz gospodarz już z góry cieszył się na naszego przyszłego konia, bo marzyły mu się pieczarki, które najlepiej rosną na końskim nawozie. Trafiła nam się stosunkowo młoda klacz, oczywiście zaniedbana, ale za całkiem nieduże pieniądze. Siodło angielskie prawie nowe choć przedwojenne dostałyśmy od pani Marczewskiej, a kantarek otrzymałyśmy od pana Daszewskiego. Szorowałam ją dwukrotnie, w tajemnicy dodając nieco chlorku, była naprawdę mleczno-biała, kopyta dobrze utrzymane, a podkuta została u zaprzyjaźnionego kowala w Jeziornie. Wiosną klacz była już dobrze odkarmiona i sierść ładnie jej porosła. Na zadzie ukazały się czytelne znaki. Pan Daszewski pomógł nam sprawdzić pochodzenie owych znaków, które okazały się symbolem znanej niemieckiej stadniny. Niebawem Marysia siostra mej przyjaciółki nabyła

drugiego konia, a jej koleżanka Wiesia trzeciego. Stajnia nasza przyciągała znajomych, oni znów postarali się o klientów i uczniów jazdy konnej. Miałysmy wielkie ambicje ale najgorzej było z czasem. Dziś z rozrzewnieniem wspominam konne spacery do Olszynki Grochowskiej. Wspaniałym i hojnym naszym Klientem okazał się pan Blikle, któremu jazda na rowerze, choć dawała ujście jego energii, przestała wystarczać i z pasją oddawał się u nas jeździe konnej.

Wielką niespodzianką była wizyta w naszej stajni pewnego starszego pana - a był nim rotmistrz Jakobson, który bezceremonialnie oznajmił, że stajnia i konie bez mężczyzny niczego dobrego nie wróżą. Po czym zadeklarował chęć przyłączenia się do nas, tym bardziej, że dysponuje czasem, którego jak przyznał, nie ma jak zagospodarować, że jest względnie dobrze sytuowany, bo ma żonę dentystkę, że kocha konie i że pragnie nas odciążyć. Okazał się wspaniałym i mądrym opiekunem koni i profesjonalnie potrafił zająć się początkującymi adeptami jeździectwa.

Latem 1950 czy 1951 nadszedł list z Muzeum Narodowego, w którym mecenas Kojdecki radca Muzeum zapraszał mnie na rozmowę. Stawiłam się punktualnie. Nieśmiało zapukałam do drzwi sekretariatu. Oniemiałam ze zdziwienie, gdy sekretarka z uśmiechem oznajmiła, że pan mecenas czeka. Byłam pewna, że mnie z kimś myli, a gdy otworzyła drzwi do gabinetu a mecenas zerwał się od biurka by mnie powitać, święcie byłam przekonana, że oboje wzięli mnie za kogoś innego. Mecenas nie zrażony moją zupełnie głupią miną poprosił siadać, pytając czy życzę sobie kawy. Oczywiście podziękowałam a on stojąc mówił do mnie: Zaprosiłam panią aby w imieniu resortu przeprosić i oznajmić pani, że profesor Lorenc zlecił mi przygotowanie procesu rehabilitacyjnego. (!!??) To pojęcie rehabilitacji jeszcze nie funkcjonowało tak powszechnie i w takim znaczeniu, jak je później poznaliśmy. Kojarzyłam to raczej z bandytami czy złodziejami gdy fałszywie oskarżeni zostali rehabilitowani na podstawie ponownych czynności procesowych. Żachnęłam się nerwowo, że nie życzę sobie żadnej rehabilitacji. Mecenas zdziwiony, chcąc mnie zapewne uspokoić, ciągnął dale: Oczywiście, może pani zrezygnować, ale zapewne jest pani ciekawa, dlaczego pragniemy panią przeprosić. Otóż parę dni temu miało miejsce uroczyste otwarcie Muzeum Martyrologii na Majdanku w Lublinie. Otwarcia dokonała dyrektorka Kadr Ministerstwa Kultury i Sztuki znana pani Zenobia Świadek. Na tą uroczystość przybyło do Majdanka moc byłych więźniów, którzy w osobie przedstawicielki resortu z Warszawy rozpoznali

swego najgroźniejszego kapo - faszystkę, nazistkę, hitlerówkę. Natychmiast została aresztowana.

Dlatego postanowiliśmy panią przeprosić i poprzez proces rehabilitacyjny przywrócić pani wszelkie prawa. W każdym razie dostanie pani etat w dowolnej placówce resortu.

Dużo później uzmysłowiłam sobie, że źle się stało, że tak pochopnie odmówiłam procesu, mogłam przecież zażądać wysokiego odszkodowania.

Ale wówczas odpowiedziałam mecenasowi, że mam wielką satysfakcję, bo to ja jedna poznałam się na tej parszywej babie i nie żałuję, że zagroziłam jej mordobiciem za donosy na mnie i to po rosyjsku.

Po parcelacji Antopola z wyroku reformy rolnej, Zofia Zaleska nie mogła pozostać w pobliżu majątku. Przed opuszczeniem swoich stron oddała na przechowanie meble i srebro księdzu proboszczowi na plebanię.

Zachowały się listy pisane do Zofii Zaleskiej przez wieloletniego proboszcza parafii Opole ks. Leona Rydera, z listu pisanego 29 września 1947 roku dowiadujemy się, że wszelkie dokumenty dotyczące majątku Antopol zostały zniszczone, Urząd Gminy nie ma żadnych dokumentów, ale wydał zaświadczenie, że Zofia Zaleska nie posiada żadnego majątku na terenie gminy. To zaświadczenie i wyciąg śmierci Janusza Zaleskiego ksiądz Ryder wysłał pani Zofii Zaleskiej. Informuje, że nie chciano w Urzędzie Gminy wydać zaświadczenia, że Antopol został rozparcelowany wskutek reformy rolnej.

Dalej ksiądz Ryder pisze: *U nas na ogół nastrój minorowy, gdyż od czerwca trwa akcja wysiedleńcza. Z Rusi, Opola, Grabówki, Mostów itp. wysiedlono około 120 rodzin, ale jeszcze nie koniec. W Mostach pozostało jedynie sześć rodzin, zresztą Mosty spalono, jak również Grabówkę, Kalinkę, Wyhalew, nie mówiąc już o dalszych wsiach.*

Wszyscy pozostali przy życiu są na miejscu, nie zdradzają żadnej chęci do pracy i raczej się błakają ze zwieszonymi głowami i rękami. Ogólnie biorąc nastrój przykry. Oczywiście i taka atmosfera i mnie się udziela, gdyż trudno aby jeden kwiat rósł wśród chwastów. Jedynie reperuję stare rudery, ale mam do poszczycenia się, że sprawiliśmy główny ołtarz bardzo piękny za sumę 750.000 zł. i dwa nowe budynki, ale na starym miejscu, włącznie z ogrodzeniem plebani kosztuje 250.000 zł. Jak dotąd zebrałem z parafii 1 miliona złotych. Oczywiście jest to suma dość pokaźna i wiele się zrobiło. Na placu przy nowym kościele nic się nie zrobiło i wątpię czy coś w najbliższej przyszłości można by było zrobić.

W ogóle staram się mniej o świątynię - ale ja się już uszarpałem. Trudno oczywiście zdrowiem przypłacić swój pobyt w Opolu. Gdy zdobędę się jeszcze na większą sumę to przestawię starą plebanię aby stworzyć sobie możliwe warunki egzystencji i mieć ręce wolne do postawienia czegoś koło czerwonego kościoła, ale to pieśń dalekiej przyszłości.

Jestem teraz wdzięczny św. Antoniemu za tyle dokonanego. W tym roku wskutek bardzo niskich urodzajów ogólna koniunktura gospodarcza pod psem. Polecając się modlitwie Pani Dziedziczce pozostaję życzliwy ks. Leon Ryder.

Ks. Leon Ryder informował listownie Zofię Zaleską w styczniu 1948 r., że Pawłowi Chalimoniukowi z Zaliszcza odebrał część mebli, że wielki ołtarz w kościele jest już wykończony.

W liście ks. Leona Rydera pisanym 27 grudnia 1956 r. do Zofii Zaleskiej czytamy, że:

... ołtarz główny bardzo się udał i pięknie zdobi świątynię, ale nie sam, lecz w asyście bocznych ołtarzy i pięknej ambony, oczywiście wszystko gotyk i wykonany jedną ręką. Do bocznego ołtarza dostosowana jest piękna szopka, urządzona ze smakiem, która stanowi atrakcję dla dzieci w okresie świąt Bożego Narodzenia.

Na pewno pamięta Pani Dziedziczka jak wszystko było opuszczone, ile potrzeb koniecznych istniało dziesięć lat temu, a jak mało ofiarni są parafianie.

Robię co mogę, a to się wlecz i po dziesięciu latach powstają nowe braki. Wszystko poświęcałem kościołom i nie zauważyłem jak plebania wrasta w ziemię i rozłazi się i stanąłem wobec problemu budowy domu parafialnego, a to nie łatwa sprawa.

Gdyby nie dwa plusy bardzo ważne, które podniosły tutejszą okolicę, to już poprosiłbym Jego Ekscelencję o przeniesienie. Tymi plusami są światło elektryczne, do którego przez siedem lat przyzwyczałem się i szosa Wisznice - Podedwórze, czyli komunikacja dobra. Samochód dochodzi do młyna państwa Bilkiewiczów. Wkrótce ma kursować jeszcze jeden samochód. Przestrzeń między Rusilami a Podedwórzem zabudowana jako POM i to domami nawet piętrowymi. Wystarczy, że w roku 1956 wydano tylko trzy miliony złotych. Ten Państwowy Ośrodek Maszynowy był pomyślany jako baza zaopatrzeniowa dla spółdzielni produkcyjnych. Nacisk na zakładanie kolchozów był tak silny, że prawie w każdej wsi parafii Opole założono kolchoz z wyjątkiem Podedwórza. Dziś już wszystkie się rozleciały jak domki z kart. Podobno ma utrzymać się w Hołownie, ale i w to wątpię. Czekamy co wiosna przyniesie.

Najgorzej im poszło z kolchozami w Antopolu i Piechach, gdyż w jesieni zrobili wspólny siew, ale zbiory dokonali indywidualnie. Gdy wtórnie usiłowano zorganizować, już mimo presji, nie zdołali. Antopol i Piechy bardzo zaniedbane, nawet światła nie rozprowadzono do tych wsi, gdyż opierali się kolchozom. Warunki mieszkaniowe w Piechach były opłakane, dlatego najwięcej domów pobudowali Piechowcy, zaś w Antopolu mają murowane czworaki, dlatego zaledwie kilka domów wystawiono.

Ogólnie nic się nie zmieniło w Piechach i Antopolu, od czasu wyjazdu Pani Dziedziczki, pozostały jedynie ruiny. Z gorzelni nawet cegły rozprzedano, a o cegielni nic nie słyhać. Wystawili cegielnię parową w Hołownie, ale bardzo małą. Ja miałem zamiar uruchomić cegielnię parafialną i nawet wystawiłem dużą szopę, ale po przejęciu przez państwo wszystkiej ziemi kościelnej, zmuszony byłem rozebrać szopę, nie robiwszy ani jednej cegły. Z ziemi kościelnej pozostało przy parafii 3 ha koło kościoła czerwonego i 6 ha koło plebanii, ale ja i tę ziemię oddałem chłopom do uprawy, aby tylko płacili podatek i kontyngenty. Nie miałem dużego gospodarstwa, ale i to zlikwidowałem całkowicie. Nawet gospodarstwo 3 ha przeszkadzało mi i więcej kosztowało niż dawało korzyści.

Co zaś do służby, o którą Pani pyta, to trudno mi dać dobrą odpowiedź: Cichy, Kowalski, Gruszka nie żyją, ale wszystkie izby w antopolskich, dworskich domach są nabite ludźmi. Nawet wczoraj po niesporach pochowano Drzewicką z Antopola, żonę tego, który ma skalęk w oku, ale jej matka stara Przybylska jeszcze żyje. Najsprawiedliwszą kobietą w Antopolu jest stara Bujanowa, której mąż był kowalem we dworze. Mimo jej wieku jest w kościele w każde święto i niedzielę i podziwiam jej siły i pobożność. Jaroszewicz jest w Antopolu, w Piechach Szalata, dawny karbowy postawił sobie domek i ten człowiek podoba mi się. Nie żyje zaś Śliwa, człowiek dość młody i silny, umarł na wozie jadąc do Podedwórze. Ciemniwska żyje, ale jej żywot bardzo przykry, gdyż syn ożenił się i stał się dla matki bardzo przykrym. Stary Paluszkiewicz zmarł dwa lata temu.

O Panu Januszu pamiętam zawsze w Dzień Zaduszny i chociaż nie znałem Go, zawsze słyszę dobre słowa, cieszył się szacunkiem u wszystkich, gdyż tak miło o nim wspominają.

Co zaś do mebli to podaję opis, które się znajdują na plebanii: kanapa, bankietka, dwa fotele, cztery krzesła, stolik, sekretarzyk-biurko, klęcznik, łóżko. Te meble są zawsze do dyspozycji Pani i gdyby mnie nie było w Opolu, to też zawsze może je Pani zabrać. Przyznam się, że one nie są mi potrzebne, gdyż kupiłem sobie trochę mebli nowoczesnych. Meble Pani Dziedziczki były kiedyś ładne i modne, ale już dziś należą do antyków a i czas wyciska na nich

swoje ślady. Co zaś do innych mebli, to nie wiem i nie jestem pewny czy Pani łatwo je wydobędzie. Trzeba znać chłopów. Oni mają jedną odpowiedź: rzecz zmienia właściciela przez przedawnienie. Czy to będzie ziemia wydzierżawiona, czy pieniądź, który pożyczyc, czy rzeczy dane na przechowanie. W tym wypadku nic nie radzę.

W Jabłoniu był podobno pan Zamoyski, który przyjechał do Polski na chwilowy pobyt i odwiedził swój Jabłoń. Kiedyś czytałem w gazecie, że ma przybyć do Polski z Rio i nawet ma wygłosić w Warszawie odczyt. Warunki ku temu sprzyjają. Ciekawe czasy Pani Dziedziczko! Ale co robić, kiedy ten czas jest tak nieubłagany, wszystko i wszystkich niszczy. Cieszymy się więc, że Dobry Bóg obdarzył człowieka nieśmiertelnością i to nadaje cały sens życiu.

Życzę Pani Dziedzicze i Jej Rodzinie wszelkiej pomyślności i wiele, wiele rozśonecznionych dni.

Z wyrazami szacunku

Ks. Leon Ryder

PS. Kowalski, dawny stangret dworski żyje.

Zalączę przekaz na 300 zł. dla Pani Dziedziczki.

Alicja Rudniewska postanowiła odwiedzić Opole i Podedwórze (rok 1956) dla zorientowania się w stanie grobowca oraz odnowienia dawnych kontaktów. - To była kosztowna, długa i bardzo męcząca wyprawa - opowiada. Przemilił, wręcz wzruszającym zaskoczeniem było przywitanie jakie mi zgotował Janek Bilkiewicz, mój towarzysz zabaw z okresu okupacji. Teraz dobiegał trzydziestki, miał śliczną żonę i dwóch małych jeszcze synków. Prowadził młyn swojego ojca i gospodarował na kawałku ziemi. Teściowa pomagała przy maluchach i w kuchni. Tworzyli szczęśliwą wielopokoleniową rodzinę. W niedzielę poszliśmy na sumę do Czerwonego Kościoła, gdzie Janek przedstawił mnie proboszczowi i obaj odprowadzili mnie do ławki kolatorskiej przy głównym ołtarzu. Było mi tak bezgranicznie smutno, bo bezpowrotnie minęły czasy, gdy siedziałam tu z ukochaną Babcią, że z Nią nie zejść do grobowca, aby uklęknąć u trumny Wujaszka Janka. Grobowiec był zamknięty, od dawna czekano na przyjazd saperów, w celu rozminowania podziemi. A gdy kościelny zbliżał się z tacą, Janek dyskretnie podsunął mi banknot o dużym nominale, prosząc abym go położyła na tacy. Uczyniłam jak powiedział, ale zdziwiona i pełna zażenowania i skrupułów prosiłam później o wyjaśnienie. Janek skwitował krótko: Nie

chciałem żeby szydzili, że dziedziczki nie stać na większy datek na tacę, a nie wiedziałem czy masz pieniądze. Miałam wówczas bardzo mieszane uczucia: złość do siebie samej, że bezwolnie postawiłam się w tak fałszywej sytuacji, a z drugiej strony podziwiałam Janka za jego delikatność i chęć oszczędzenia mi upokorzenia.

W czasie kolejnej wizyty, to było przed pożarem Podedwórze, złożyłam wizytę księdzu na plebani, proboszcz opowiedział mi o bolączkach, jakie gnębią parafię i o konieczności remontu kościołów, do których zakradł się grzyb z zawilgocenia. Obiecał pona-glić jednostkę wojskową do rozminowania podziemi. Spytałam o los mebli anto-polskich, bo nie zauważy-łam ich na plebani. Ksiądz z rozbrajającą szczerością wyznał, że przeniósł je do obory, bo takie stare i nie-modne, że woli mieć nowe sprzęty na wysoki połysk. Obiecałam uwolnić go od przetrzymywania naszej starzyzny, która zabiera tak dużo miejsca w jego oborze. Jak zauważyłam sprawiło mu to wielką przyjemność.



Anna i Jan Bilkiewiczowie

I tym razem Janek Bilkiewicz okazał swą nieocenioną pomoc. Znalazł miejsce w swym przestronnym domu i oczywiście pomógł przewieźć meble do siebie. Tu też miał miejsce incydent, który zapamiętałam. Chcąc towa-rzyszyć Jankowi i jego pomocnikowi przy przenoszeniu mebli, weszłam na wóz drabiniasty, którym ta przeprowadzka miała się odbyć. Janek stanowczo prosił abym na plebanie poszła osobno, bo nie chciał aby ludzie widzieli wnuczkę pani dziedziczki, na pustym drabiniastym wozie. Wówczas troska Janka o mój image wydała mi się śmieszna wręcz absurdalna, ale dziś doceniam jego dbałość nie tylko o pozory.

Latem 1961 r. odbywała się uroczystość otwarcia kanału Wieprz-Krzna, na którą wyruszyli mieszkańcy Podedwórze i Opola. Młodzież i dzieci pozosta-wione bez opieki, przypadkiem zaproszyły ogień, który ogarnął dosłownie całą wieś. Począwszy od plebanii, spłonęła większość zabudowań. Dom Janka stoi w pewnym oddaleniu od wsi, dzięki czemu pożar go ominął. I znów antopolskie meble ocalały. Czy to nie cud!

Przyjaźń Janka i gościnność jego żony Anusi-Andzi sprzyjały moim stosunkowo częstym odwiedzinom Podedwórze. To dzięki nim mogliśmy względnie uroczyście pochować w krypcie śp. Babcię Zofię Zaleską w 1959 r. i moją Matkę jesienią 1983 r.

Zadziwiający był dalszy kontakt z ówczesnym proboszczem, który w jednym z listów w latach pięćdziesiątych zasugerował, że jako potomkowie głównego fundatora kościoła powinniśmy wyłożyć pewną sumę na remont, który zamierza przeprowadzić dla jego ratowania. To był chwyt poniżej pasa lub może strzał kulą w płot, bo cała nasza rodzina znalazła się w oplakanych warunkach materialnych, gdyż ustrój komunistyczny pozbawił nas nawet tego, co ocalało z pożogi wojennej. Ale, że cel był szczytny, postanowiłam poszukać możliwości, aby dofinansować zapobiegliwego plebana. Poradziło mi biuro poselskie Stowarzyszenia Społeczno-Chrześcijańskiego, gdzie energicznymi działaczami byli moi znajomi panowie Zdzisław i Kazimierz Morawscy, wnukowie Regenta z lat dwudziestych księcia Zdzisława Lubomirskiego.

Panowie Morawscy zaoferowali daleko idącą pomoc, łącznie ze sfinansowaniem ekspertyzy przeprowadzonej przez wybitnych fachowców w dziedzinie odgrzybienia budowli. Nawiązali kontakt z proboszczem, na co on w niegrzeczny sposób odrzucił oferowaną pomoc. Natomiast mnie w swojej homilii napiętnował, że ośmieliłam się proponować, czy narzucić pomoc ugrupowania politycznego współpracującego z komunistami.

Kościół szczęśliwie doczekał się wspaniałego, operatywnego gospodarza w osobie księdza Kanonika Jana Liwaka, który w latach 2001-2006 uzdrowił gruntownym remontem piękną, starą budowlę.

Jego konsekwencja, zaangażowanie, trud jaki włożył w pozyskiwanie darczyńców, zaowocowały nadzwyczajnym wynikiem. Po żmudnych i kosztownych zabiegach kościół został nie tylko odnowiony, ale i sama budowla uzdrowiona z zawilgocenia, grzyb usunięty, tynki i część cegieł zmurszałych, zlasowanych wymienione.

Ten generalny remont rozpoczęto od wymiany dachu i położenia nowego pokrycia.

W roku 1995, pani Alicja Rudniewska napisała list do Księdza Biskupa Alojzego Urszulika, w którym zwróciła się z prośbą: ... o rozpatrzenie możliwości udzielenia pomocy kościołowi w Opolu-Podedwórze, który obecnie staraniem proboszcza ks. Liwaka jest w trakcie remontu - pisała.

Postawiono nową wieżbę dachową kościoła i wieży, a sam dach pokryto solidną blachą miedzianą. Antywłamaniowe drzwi wejściowe kościoła stanowią nie tylko barierę bezpieczeństwa. Podziw budzi solidność wykonania i są niezaprzeczalną ozdobą wejścia do świątyni. Nowo położona kostka kamienna prowadzi od furty do portalu, godnie akcentując powagę uświęconego miejsca.

Wejście do grobowca zyskało nowe schodki z poręczami, krypta oczekuje podłączenia do elektryczności. Pani Małgorzata Knorr złożyła ofiarę na schody prowadzące do krypty i poręcze.

- Już dawno prosiłam Wielmożnego Księdza o łaskawe odprawienie okolicznościowych modłów w intencji szczęśliwego zakończenia moich starań o rekompensatę za utracone za kordonem ziemie tokarskie - mówiła pani Alicja Rudniewska w grudniu 2008 r. Całość uzyskanej sumy przeznaczyłam bowiem na ufundowanie witraży w absydzie. Marzy mi się jeszcze jeden witraż nad naszą tablicą komemoratywną. Tak bardzo proszę Boga, abym mogła zrealizować chociaż to marzenie....

Poczytuję sobie jako obowiązek doprowadzenie do wmurowania we wnętrzu czerwonego kościoła tablicy z nazwiskami moich pra pra dziadów, dawnych dziedziców Antopola i Piech, którzy pochowani zostali na cmentarzu w Opolu, a których mogiły mimo pomników na nich postawionych nie istnieją.

Chcę uhonorować pamięć dziedziców Antopola, rodziców i braci Antoniny:

Śp. Maria Salomea Piotrowska ze Szlubowskich

Śp. Andrzej Korwin Piotrowski

Zmarły 18.IX.1880 r. w Antopolu

Uczestnik Powstania 1831 r.

Śp. Gustaw Antoni Jan Nepomucen Korwin Piotrowski

zm. 1878 r. w Antopolu

Śp. Adam Jan Feliks Antoni Maryjan Korwin Piotrowski

zm. w Antopolu

Z inicjatywy Alicji Rudniewskiej za zgodą Biskupa Siedleckiego w kościele parafialnym umieszczono w 1998 r. tablicę komemoratywną z wymienieniem wszystkich osób pochowanych w krypcie pod kościołem. W tej uroczystości uczestniczyła wdowa po Karolu Rudniewskim z synem Konradem Rudniewskim.

- Na prośbę Babci i ciotki Zity wzięłam na siebie trud opieki nad grobowcem rodzinnym w krypcie pod kościołem w Opolu - opowiada pani Alicja Rudniewska. Nie zdawałam sobie sprawy, na czym to będzie polegało, ile czasu, odwagi i środków to będzie wymagało.

W czasie pierwszego mego pobytu w Podedwórzcu po wojnie krypta była niedostępna - ponoć była zaminowana. Razem z proboszczem wystąpiliśmy do jednostki wojskowej o przyspieszenie rozminowania. Niedługo potem dostaliśmy wiadomość, że prośba nasza została spełniona, dzięki czemu mogłam już wybrać się w konkretnym celu sprawdzenia stanu zachowania wnętrza grobowca i uporządkowania w miarę potrzeby. Nie bez tremy wypuszczałam się w tą daleką drogę, gdyż Zita uprzedzała mnie o swych przeżyciach z dzieciństwa na Inflantach, gdzie widziała rozbijanie grobowców przez barbarzyńskie bandy bolszewików, walczące w ten sposób z burżujami.

I tym razem, goszcząc u niezawodnych przyjaciół Bilkiewiczów, którzy i teraz zaoferowali swą pomoc, z miotłami, szczotkami i szmatami ruszyliśmy do grobowca. Dochodząc do kościoła Janek nagle przypomniał sobie, że obiecał Dudowej, której zagroda znajdowała się naprzeciw kościoła, że odwiedzi ją po drodze. Pamiętam świetnie tę zagrodę, bo tam zawsze zostawiałam konia, gdy pajaczkę sama przyjeżdżałam na Mszę św. Z pewnymi oporami zgodziłam się wstąpić do niej, a Jankowie obiecali czekać na mnie w ogrodzie.

Pocziwa Dudowa przygotowała smaczny poczęstunek, coraz to stawiając na stół inne potrawy, zasypywała mnie pytaniami o wszystkich z rodziny, zabawiła wspomnieniami z dawnych lat. Miło było kosztować te różne ciasteczka i konfitury, a i niezręcznie szybko żegnać tak gościnną gospodynię aby dołączyć do Janków, którzy cały czas czekali na mnie w ogrodzie. Dudowa umiejętnie przeciągała rozmowę, zadając parokrotnie te same pytania i podsuwając nowe konfitury, wreszcie wyrwałam się pełna skrępowań, że tak długo kazałam na siebie czekać. Ale Janków nie znalazłam ani pod domem, ani w ogrodzie. Rozglądając się za nimi poszłam w stronę kościoła, nikogo nigdzie nie było. W pewnym momencie zauważyłam tumany kurzu wydobywające się z zakratowanych okienek krypty. Wrota do grobowca pod absydą były otwarte, a w środku Andzia, Janek i dwoje ich sąsiadów, wszyscy w ferworze pracy przy zamykaniu przestronnego wnętrza. W końcu dostrzegli mnie. Miotły mną sprzeczne uczucia i wielkie wzruszenie, jakie zawsze budziło wnętrze grobowca ... i złość, że nie poczekano na mnie, że ominęło mnie sprzątanie, które w duszy obiecywałam sobie jako umartwie-

nie za dusze moich zmarłych, że nie wywiązałam się osobiście z przyrzeczenia danego Babci.

Janek chyba odczytał z mej miny zawód i zdziwienie, że skruczą prosił o wybaczenie, że nie poczekali na mnie z otwarciem grobowca, ale jak mnie szczerze zapewnił, nie chciał mnie narazić na ewentualne przykre widoki, gdyby okazało się, że trumny są otwarte czy nawet rozbite, że mogłabym się natknąć na zdechłe kuny czy zające.

Okazało się później, że to z jego inicjatywy było zaaranżowane zaproszenie przez Dudową i ten podwieczorek, przedłużający się, jak mi się wydawało w nieskończoność.

Niebywała i niespotykana delikatność, jakiej nigdy przedtem ani potem od nikogo nie doznałam. Minęło więcej niż pół wieku, a ja zawsze pamiętam ten dobry uczynek obojga Bilkiewiczów.

Kolejni proboszczowie potraktowali niestety nasz grobowiec jako skład rupieci kościelnych, połamane feretrony, zniszczone elementy szopek bożonarodzeniowych, stare ramy, sprzęty itp. długo zalegały wewnątrz krypty.

Kiedyś przyjechałam do Podedwórza na Zaduszki, spotkałam w grobowcu kilku gospodarzy z Antopola. Znamienna była moja z nimi rozmowa. Zagadnęli mnie o zdrowie Starszej Pani Dziedziczki. Pytamy, bo to już niedługo pewnie czas nadejdzie i na Panią Dziedzickę. Pomarli już ci, co mieli jej lata. Proszę pamiętać, że jeśli ten czas nadejdzie, to Dziedziczka tu musi wrócić, tu jest Jej miejsce i przy Dziedzicu mężu i przy młodym Dziedzicu synu. Przykro mi było słuchać tych uwag i zakładania przez tych chłopów rychłej śmierci Kochanej Babci, która jak do tego czasu cieszyła się najlepszym zdrowiem i była w pełni sił. Poruszyła mnie też troska o los jej ewentualnego pochówku. Szczerze im powiedziałam, że nigdy dotychczas nie myśleliśmy o śmierci Babci, ale też nie wyobrażam sobie, aby nas stać było na przewóz Jej trumny z tak odległego Konstancina, bo to i trudności z transportem i wielkie koszty. Na co oni jednogłośnie, jakby to już uprzednio ze sobą uzgodnili, zapowiedzieli mi, że wystarczy abym wysłała telegram, a oni wszystko urządzą, bo to właśnie są winni Pani Dziedziczce - chociaż to! Nie kryłam wzruszenia w obliczu tak pojętej dobrej woli i obowiązku.

Gdy po powrocie do domu relacjonowałam Mamie tę rozmowę z antopolskimi ludźmi, lzy rozczulenia zalewały nam oczy, a widmo nieodzownej żałoby przygnębiło nas okrutnie.

W niespełna rok później Babcia umarła i rzeczywiście trumna Jej spoczęła obok trumny Jej męża i Syna.

To był najsmutniejszy powrót z wygnania do najbliższych już nieobecnych.

Przywrócona pamięć

- *Długo nie opowiadałyśmy o tym co wydarzyło się we wrześniu 1939 r. w Tokarach - mówi Alicja Rudniewska. Trochę wstydziłyśmy się faktu, że uratowali nas Niemcy, ale w rozmowach z Mamą, Bratem nie mieliśmy wątpliwości, że dzięki tym szlachetnym ludziom zostaliśmy uratowani przed podzieleniem losu tysięcy Polaków wywiezionych na Syberię, do Kazachstanu, do bolszewickich więzień i obozów.*

Podczas spotkania w Polskim Towarzystwie Ziemiańskim historyk dr Krzysztof Jasiewicz zaapelował do tych, którzy pamiętają co wydarzyło po 17 września 1939 r. o sporządzenie relacji.

Pani Alicja Rudniewska przygotowała dokładną i wyczerpującą relację (patrz rozdział Tokary - majątek rodowy rodziny Zaleskich, Ostatnie dni w Tokarach), która wymagała weryfikacji, obawiała się, czy jej relacja wiernie oddaje zaszłe wydarzenia, ponieważ wówczas miała 11 lat. Wysłała opis do siostr Bielskich uczestniczek tej ucieczki, które mieszkały już w Kanadzie.

W liście od Janiny Gebethnerowej z Bielskich czytamy: - *Podziwiam twoją fotograficzną pamięć. Dzięki tobie przypominałam tyle szczegółów z naszej nieprawdopodobnej ucieczki. Cudownym zbiegiem okoliczności mieliśmy szczęście spotkać, w tych tragicznych momentach, tak nadzwyczajnych dżentelmenów, ludzi o nieprzeciętnym poczuciu przyzwoitości, chociaż wrogów naszej Ojczyzny, a jednocześnie zdających sobie sprawę z grożących niebezpieczeństw właściwie obcym im ludziom, którym ich przyzwoitość i poczucie honoru kazało podać rękę w ich trudnej sytuacji. W efekcie im zawdzięczamy życie, bo strach pomyśleć co by się z nami stało gdybyśmy musiały pozostać za Bugiem.*

Z kolei otrzymaną relację Zofia Byszewska z Bielskich przetłumaczyła na język niemiecki i wysłała do pani Małgorzaty Knorr wdowy po poruczniku Carlu Heinzem Knorr, z którą uprzednio nawiązała już kontakt.

Po jakimś czasie pani Małgorzata Knorr przysłała list do Alicji Rudniewskiej, w którym prosiła o więcej informacji.

Tak został nawiązany kontakt, później znajomość przerodziła się w przyjaźń, która trwa do dzisiaj.

Długo się zastanawiałam - mówiła pani Alicja Rudniewska, czy nasza opowieść o bohaterskiej postawie niemieckich oficerów stanowi zrozumiały argument dla historyków. Pomoc nam udzielona może być tylko oceniana w kategoriach solidarności międzyludzkiej, solidarności ponad podziałami narodowymi.

Dlatego też postanowiłam podziękować fundując tablice komemoratywne w kościołach. Jedna została umieszczona w kościele pofranciszkańskim w Drohiczynie, druga w kościele parafialnym w Opolu-Podedwórz. Podczas uroczystości, które odbyły się 9-10 lipca 2006 r. tablice zostały poświęcone. Przypominają i będą przypominały o bohaterskiej postawie w jakże trudnych wojennych czasach.

Po uroczystościach Alicja Rudniewska przygotowała pamiątkowy album poświęconych tym wydarzeniom pod tytułem „Przywrócona pamięć, My i nasze spojrzenie na 1939 rok”, który otrzymali wszyscy uczestnicy spotkania.

W tym albumie czytamy:

Od jesieni 2005 roku do lipca 2006 roku nastąpił ciąg starań uwiecznionych aprobatą prof. dr Krzysztofa Andrzeja Kunerta, historyka środowiska AK, aż po błogosławieństwo udzielone przez Jego Eminencję księdza kardynała Stanisława Dziwisza.

Z inicjatywy nie żyjącego już ks. Infułata prof. dr Eugeniusz Borowskiego, za aprobatą Jego Ekscelencji księdza biskupa Antoniego Dydycza i księdza prałata Stanisława Ulaczyka, zaprojektowana tablica o uzgodnionej treści znalazła godne miejsce w pięknie odrestaurowanym kościele pofranciszkańskim pw. Wniebowzięcia NMP w Drohiczynie²²⁾.

Za zgodą Kurii Siedleckiej uzyskano też pozwolenie na wmurowanie drugiej tablicy komemoratywnej o podobnej treści w kościele parafialnym w Opolu-Podedwórz, który do 1945 roku był parafią majątku Antopol, należącego do rodziców Marii Rudniewskiej.

Oślonięcie i poświęcenie tablic, pod którymi umieszczono repliki róż z brązu odbyło się w dniach 9-10 lipca 2006 r. w Drohiczynie i Opolu Podedwórz.

Redaktor Ryszard Lassota, przyjaciel Karola Rudniewskiego, uczestnik tego wydarzenia, tak pisał: *Wmurowanie tablic komemoratywnych to ważne wydarzenie o wielorakiej wymowie. Przede wszystkim to gest wdzięczności ze strony uratowanych. Dług spłacony po latach wobec wybawców. Ale dla*

²²⁾ Maria Rudniewska, Album Przywrócona pamięć, My i nasze spojrzenie na 1939 r., Warszawa 2007.

Drohiczyn od 1991 roku jest siedzibą Diecezji Drohiczyńskiej przeniesionej po wojnie z Pińska. Do pińskiej diecezji przed wojną należał kościół parafialny w Tokarach, poświęcony w 1934 roku przez ks. biskupa Kazimierza Bukrabę z Pińska, pochowanego w katedrze w Drohiczynie.

mnie dziennikarza i powieściopisarza, to sygnał i znak naszej wolności. Bowiem przez kilkadziesiąt lat, na polecenie ze Wschodu, w Polsce obowiązywała sztucznie podsycana nienawiść. Organizowano ją szczególnie wobec Niemców, ale spotykali się z nią także inni. Ponieważ wreszcie jesteśmy wolni, możemy otwarcie mówić co jest złe, a co dobre.

Szlachetność, pomoc wobec bezbronnym cywilów jest w czasie okrutnej i zbrodniczej wojny zawsze dobrem. O tym dobru głoszą tablice. Spytacie może, czemu umieszczono je w kościołach? Ponieważ dla nas, Polaków, kościół jest miejscem podwójnie świętym, i to polski Episkopat był tym głosem, który rozgraniczył dobro od zła i rzekł już w roku 1964 do naszych niemieckich sąsiadów „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie.” Kto żył w tamtych czasach ten wie, ile trzeba była odwagi i jakie prześladowania spotkały Kościół za te słowa. Dziś dostrzegamy ich wagę. Zatem jedynym miejscem, w którym te piękne tablice mogły się znaleźć - są kościoły. Niech mówią następnym pokoleniom, w jak trudnych czasach żyli ich przodkowie. I jak potrafiliby się wyzwolić.

Pani Margarete Knorr od lat boleśnie odczuwała panujące wśród młodego pokolenia Niemców nastawienie utożsamiające Wehrmacht z nazistami, gestapowcami, gdyż w ich ocenie to byli mordercy i kryminaliści²³⁾.

Od lat w miarę możliwości czyniła wysiłki, aby przywrócić dobre imię formacji wojskowej, w której służył jej mąż. Generał brygady Heinrich Felikx Beckmann w swoje książce Walka pancerna, przytacza słowa byłych przeciwników z armii alianckiej: marszałka polnego Alexandra i Auchinlecka, a generała Younga, którzy charakteryzując 8. Regiment podkreślali, że „jego żołnierze walczyli zawsze doskonale, po rycersku, wierni dobrem niemieckim cnotom żołnierskim”.

Pani Margarete Knorr i obie córki majora Friedricha Haarde - pani Allmut Weber Haarde starsza córka i pani Ursula Traap zaskoczone zostały faktem, że właśnie w Polsce zachowana została pamięć o humanitarnej i szlachetnej postawie ich najbliższych w czasie wojny.

W uroczystości udział wzięli członkowie rodzin i przyjaciele rodzin obu oficerów oraz rodziny ich podkomendnych, goście pani Alicji Rudniewskiej inicjatorce tego wydarzenia.

Po drodze do Drohiczyzna zatrzymano się w kościele w Tokarach, gdzie witał gości ks. proboszcz Bohdan Sawicki, następnie przy cerkiewce na Koterce, znajdującej się w lasach tokarskich. W Drohiczyźnie zwiedzano Muzeum

²³⁾ Maria Rudniewska, Album Przywrócona pamięć, My i nasze spojrzenie na 1939 r., Warszawa 2007.

Diecezjalne, po którym oprowadzał ks. dyrektor prof. dr Infułat Eugeniusz Borowski.

Mszę św. w kościele pw. odprawił ks. prałat Stanisław Ulaczyk, asystowali ks. Bohdan Sawicki proboszcz z Tokar i ks. Benedykt Klinkosz z Niemiec. Piękne kazanie wygłosił ks. Bogdan Sawicki, inspirowane było słowami Mojżesza ze Starego Testamentu: „Naród, który został wyprowadzony z Egiptu...”

Zanim ks. prałat Ulaczyk poświęcił wmurowaną tablicę powiedział do zebranych: - Po tragicznej II wojnie światowej jeszcze nie wszystkie serca stoją otworem dla nowych czasów wspólnej Europy. Ale coraz więcej ludzi pragnie pojednania z Niemcami, gdyż dopiero teraz poznają prawdziwą historię. Wielu Polaków pragnie oczyszczenia historii zafałszowanej przez komunistów. Odzyskaliśmy wolność i pragniemy dziś uhonorować dwóch oficerów niemieckich, którzy ratowali Polaków na początku II wojny. Były to czasy, pamiętajmy, gdy w Niemczech doszła do głosu nieprawda i fałsz - a ci oficerowie wzniesli się ponad kłamstwo. Dziś jest już najwyższy czas, aby wyrazić im naszą wdzięczność i szacunek.

Pragnę, aby poświęcenie tej tablicy pamiątkowej otworzyło bramy do jedności Europy.

Przy ołtarzu ojca Maksymiliana Kolbe, męczennika okupacji hitlerowskiej, znaleźliśmy właściwe miejsce, aby wmurować tę właśnie tablicę. Powinni ją zobaczyć młodzi Niemcy i młodzi Polacy.

Słowa księdza wywołały wielkie wrażenie zarówno na Polakach, jak i na gościach z Niemiec. Ksiądz prałat poprosił w języku niemieckim zebranych o modlitwę, o jedność i pokój na świecie i za dusze tych dwóch oficerów.

Tablicę odsłoniła pani Alicja Rudniewska.

Obok wieńca z białą czerwonymi szarfami pod tablicą stał postument z kutego żelaza - replika świecznika wykonanego do Oświęcimia z okazji pielgrzymki Ojca Świętego Benedykta XVI, z zapalonymi na nim trzema świecami w niemieckich barwach narodowych.

Na Mszę św. do kościoła pofranciszkańskiego przyjechali dawni sąsiedzi Tokar: pp Jaczynowscy z Jancewicz, pp Rothowie z Wierzchowic, pp Wołkowie z Czartajewa, z ramienia Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kresowian Wierzyieli Skarbu Państwa był mecenas Krzysztof Dobrowolski.

Mimo nietypowej pory - niedziela i godzina trzecia po południu, kościół był wypełniony.

Pani Alicja Rudniewska zwracając się do zebranych wyraziła wdzięczność Jego Eminencji ks. kardynałowi metropolicie krakowskiemu Stanisławowi Dziwiszowi za to, że swym błogosławieństwem patronuje uroczystości.

Hierarchom diecezji drohiczyńskiej dziękowała za przyjęcie do świątyni tablicy komemoratywnej, dzięki czemu spełniło się życzenie śp. Matki Marii Rudniewskiej, aby znaleźć godną formę upamiętnienia szlachetnego czynu.

Przez długie lata nie mogliśmy głośno mówić o tym, co im zawdzięczamy - mówiła, ale w naszych sercach, w naszej prywatności, w rozmowach domowych jakże często wspominaliśmy mądrą troskę majora Haarde i zaskakująca opiekuńczość porucznika Knorra. Długo nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jakiej tragedii i nieszczęść dzięki nim los nam oszczędził.

Od niedawna świat poznał prawdę o martyrologii mieszkańców Kresów po 17 września 1939 roku. Odkryto archiwę, udostępniono przekazy, ujawniono zbrodnie, jakich dopuszczały się wojska sowieckie. Wreszcie przestała działać zмова milczenia o zsyłkach na Sybir i mordach tu dokonanych. Pan major Haarde znał mechanizmy tego strasznego systemu, bo był na przeszkoleniu artyleryjskim w Moskwie. On wiedział, przed czym nas bronił.

Jest za co być wdzięcznym. Dziś jedyną formą i wyrazem tej wdzięczności może być tylko pamięć i modlitwa za Ich dusze, które pragniemy polecić Miłosierdziu Bożemu. Dziękuję wszystkim za dar życzliwej modlitwy w Ich intencji.

Pan Ryszard Lassota, przyjaciel nieżyjącego już syna pani Marii Rudniewskiej, pięknie powtórzył zasłyszane od Karola Rudniewskiego wspomnienie ośmioletniego wówczas skauta i jego mieszane uczucia wobec zderzenia rycerskiej postawy najeźdźców z agresywną napaścią tak zwanych swoich - wieśniaków podbechtanych przez agentów czerwonego wroga, grabiących dwór i napadających na służbę. Ci dwaj oficerowie wyprzedzili czas o pół wieku, bo dziś zarówno Wojsko Polskie jak i Bundeswehra tworzą demokratyczny, obronny pakt NATO.

Pani Maria Mączyńska zabrała głos w imieniu rodziny Gedyminowicz-Bielskich, odczytała list Niny Bielskiej-Gebethnerowej z Kanady: - *Jako wnuczka księcia Edwarda Bielskiego przypominam sobie relacje moich ciotek - siostr mej matki - Marii, Zofii i Janiny, które uratowali odważni oficerowie wrogiego wojska. Tym dzielnym oficerom zawdzięczamy życie, bo zabrali nas z szosy na chwilę, przed wkroczeniem Armii Czerwonej. Czyn tych dzielnych Niemców pozostanie w pamięci całej naszej rodziny.*

Jako ostatnia przemawiała starsza córka majora Haarde pani Allmut Weber Haarde. Zwracając się do pani Alicji Rudniewskiej, czcigodnych księży i gości wyraziła w swoim, swej siostry Ursuli Trapp i pani Margaretę Knorr radość z tego, że w tej świątyni manifestować mogą swą wielką radość

z uczczenia pamięci drogich, nieżyjących już naszych bliskich - Ojca i Męża - oficerów Wehrmachtu.

Wspomnienie ich odważnych czynów połączone z nieustannym uwielbieniem Boga i odwołanie się do stale aktualnego przesłania o przebaczeniu udzielanym człowiekowi przez Jezusa Chrystusa napawa nas wzruszeniem i wielką wdzięcznością. Oby te modlitwy wyprosiły u Boga trwały pokój między naszymi narodami, abyśmy znaleźli, naszą wspólną Ojczyznę w Europie i uświadomili sobie wspólną przynależność do chrześcijańskiej kultury Zachodu.

Zaapelowała, abyśmy pamiętali o napomnieniu św. Pawła Apostoła: Nie ustawajmy w naśladowaniu tego, co służy pokojowi.

Ten dzień zakończyła uroczysta kolacja w pensjonacie Uroczysko-Zaborek, w powiecie bialskim.

Na drugi dzień wszyscy udali się do Opola-Podedwórze, gdzie w kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego odbyła się Msza św., którą odprawił ks. kanonik Jan Liwak, proboszcz parafii. Jako ministranci służyli do Mszy św. zaprzyjaźniony pan Józef Cichy, syn kowala z majątku Antopol; pan Robert Hołod z Podedwórze, syn zaprzyjaźnionej pani Haliny i kościelny pan Bohdan Chojnacki.

Pani Alicja Rudniewska usiadła w ławce kolatorskiej, do której zaprosiła panią Margaretę Knorr, siostry Haarde zajęły klęczniki przygotowane dla nich po drugiej stronie ołtarza.

Po Mszy św. ksiądz kanonik przeszedł do bocznej nawy, gdzie pod tablicą fundatorów kościoła, dziedziców dóbr Antopola, Piech i Tokar wmurowana została tablica komemoratywna, którą odsłonięto i poświęcono.

Pani Alicja Rudniewska podziękowała ks. Janowi Liwakowi, że tak życzliwie odniósł się do ich inicjatywy oraz wszystkim uczestnikom uroczystości za obecność.

Ten kościół jest dla mnie nie tylko świątynią Boga - mówiła, ale i prawie domem rodzinnym, bo tu spoczywają doczesne szczątki moich najbliższych. Jest też pamiątką czasów, które bezpowrotnie odeszły wraz z moimi bliskimi. Jest też symbolem nieistniejącej tradycji kresowej, bo z Kresów wywodzili się moi Nieobecni: z Inflant, Polesia, Wołynia i Galicji.

Po stracie dóbr na tamtych Kresach ich potomkowie żyli i gospodarowali na tutejszych ziemiach. Stąd brat mojej Matki poszedł na wojnę w 1939 roku i tu wrócił po udanej ucieczce z niewoli niemieckiej i bolszewickiej. I tu zginął od zdrazieckiej kuli miejscowych barbarzyńców w 1939 roku.

Dlatego tu, w miejscu umarłej i zapomnianej tradycji kresowej, którą wypelniały piękne cnoty obrońców Polaków i całej chrześcijańskiej Europy

przed barbarzyńcami, Wasze nazwiska, majorze Friedrichu Haarde i poruczniku Carlu Heinzu Knorze, przypominać będą potomnym Wasz szlachetny czyn, który pozwala mi zaliczyć Was do kresowej tradycji rycerskich obrońców cywilizacji, którzy na wzór przodków potrafili obronić naszą grupę Polaków przed barbarzyńcami z NKWD i gestapo.

Panie Majorze i Panie Poruczniku!

Los nie dał nam okazji podziękować Panom za wszystko osobiście, przede wszystkim za to, że pogłębiliście naszą wiarę w człowieka i w dobro. Wielkie dzięki.

Zwracając się do przewielebnego księdza Kanonika, pragnę wyrazić nadzieję i prośbę, że modląc się za zmarłych wymienionych na naszej tablicy nie pominie również nazwisk naszych oswobodzicieli z rąk nazistów i nazwisko gen. Botho Henning Elstera, który jako odpowiedzialny za swych oficerów poniósł bardzo przykre konsekwencje za ich dobry uczynek.

Następnie wszyscy obecni zeszli do krypty grobowej, gdzie generał-baron Friedrich von Senden złożył wieniec z szarfami w barwach narodowych Niemiec u trumny pani Marii Rudniewskiej.

Generał von Senden postąpił według rycerskiej zasady, że za okazany honor odwzajemnia się w równie szlachetny sposób. Jednostka Bundeswehry z Boblingen, która jest spadkobierczynią tradycji 8. Regimentu upoważniła pana generała do wyrażenia wdzięczności za pamięć i szacunek wobec oficerów byłego 8. Regimentu.

Odpoczynek czekał gości w pobliskim Antopolu. Do gościnnego gospodarstwa Barbary i Tadeusza Kisielów, położonego najbliżej parku podworskiego, na terenie dawnych zabudowań folwarcznych zaprosiła Alicja Rudniewska na smaczny i obfity poczęstunek wszystkich przyjezdnych i zaprzyjaźnione osoby spośród mieszkańców Opola, Podedwórze i Antopola.

W czasie tego spotkania pani Alicja Rudniewska przypomniała inicjatywę swojego brata, zainspirowanego zamysłem majątnych krewnych ze Szwajcarii - o wykupie ośrodka rozparcelowanego majątku Antopola i odbudowie zabytkowego dworu. Członkowie rodziny Knorr zaproponowali postawienie ekologicznej przetwórni dla liofilizacji warzyw - na potrzeby koncernu niemiecko-amerykańskiego.

Zapewniłoby to zatrudnienie dla wielu ludzi i dawałoby możliwość współ-

pracy z okolicznymi rolnikami - polegającej na kontraktowaniu określonych płodów rolnych.

Ale gdy zainteresowani z zagranicy przybyli na miejsce, po rozmowach w ministerstwie, dla uzgodnienia lokalizacji i innych szczegółów, zorientowali się, że park pałacowy został przez gminę oddany pod zabudowę wiejską, że wzdłuż zabytkowej alei grabowej powstały cztery gospodarstwa, że część dawnego folwarku też została zabudowana.

Zaskoczeni zaistniałym stanem rzeczy zerwali wszelkie rozmowy i zawiesili dalsze projekty.

W drodze powrotnej zatrzymano się w Radzynie Podlaskim, gdzie historię najpiękniejszego na Podlasiu pałacu opowiedziała pani **Alicja Lutostańska**



Dziedziniec pałacu w Radzynie Podlaskim

- historyk sztuki, autorka pracy naukowej poświęconej tej rezydencji. Radzyn od 1834 roku należał do rodziny Korwin Szlubowskich wywodzących się z Antopola i Opoła, krewnych Alicji Rudniewskiej.

Nakręcony przez Zofię Kunert film dokumentalny dla TVP z opisanego wyżej wydarzenia został przez panią Margeretę Knoor pokazany szerokiej publiczności w Niemczech. Uznała ona, że to wydarzenie ma znaczenie dla stosunków polsko-niemieckich i niemiecko-polskich.

Przytłacza nas barbarzyństwo II wojny światowej - mówił ks. Witold Broniewski, jeden z uczestników projekcji filmu Zoffii Kunert, która odbyła się 18 października 2006 r. w Heilbronnii. W tej otchłani zła zdarzały się jednak wyjątki. Zakrawały niemal na cuda - cuda natury moralnej. Takich bohaterów jak obaj panowie w wojsku niemieckim było na pewno wielu, ale nietaktem było i nadal jest gloryfikowanie ich postawy. Dobrze, że można wspominać. Niemieccy oficerowie oraz ich dowódca gen. Botho Henning Elster ponieśli konsekwencje swego czynu, byli pomijani w awansach, a por. Knorr został wysłany na front wschodni. Za taką niesubordynację - jak miłowanie nieprzyjaciół, za karę wysyłano na front wschodni. Niemcy jak dotychczas nie uczcili znaczącym pomnikiem milionów ofiar hitleryzmu we własnym państwie. Przeprócili jedynie ofiary Shoah, dobrze że pamiętano o Żydach. Natomiast zarówno ofiary z państw podbitych przez Adolfa Hitlera, a także jego niemieccy przeciwnicy nie doczekali się hołdu ze strony swych rodaków.

Tablice ufundowane przez panią Alicję Rudniewską są pierwszym w Polsce uhonorowaniem postawy oficerów Wehrmachtu wobec ludności cywilnej. Dziękując księżom, którzy brali udział w uroczystościach w Drohiczyńie i Opolu-Podewórzcu pani Margareta Knorr zaprosiła ich na pielgrzymkę śladami Ojca św. Benedykta XVI, która odbyła się w dniach 7-11 maja 2007 roku pod patronatem Friedricha Kardynała Wettera, Metropolity Monachium.

Pani Alicja Rudniewska we wrześniu 2009 r. na zaproszenie Towarzystwa Niemiecko-Polskiego odwiedziła Berlin, gdzie na spotkaniu w siedzibie Towarzystwa opowiedziała wojenną historię, która zaczęła się w Tokarach a skończyła po powrocie w Warszawie.

Jej wystąpieniu towarzyszyła prezentacja filmu pani Zofii Kunert - Inna pamięć.

Pani Alicja Rudniewska jedenaście lat starała się o odszkodowanie za utraczone Tokary. Kiedy jesienią 2009 r. otrzymała rekompensatę, to dla upamiętnienia Tokar, które w jej sercu są wyidealizowaną, ukochaną, małą ojczyzną ufundowała do kościoła w Opolu witraże.

Pisze o tym w albumie wspomnieniowo-dokumentacyjnym: - „O Tokarach od początku... do końca”, który złożyła w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich w 2010 r. Dokument zawiera historię Tokar i rodziny, dokumenty,

listy, fotografie, ilustracje, wypowiedzi prasowe na temat starań o rekompensatę za mienie zaburzańskie. Dołączona została decyzja o przyznaniu rekompensaty z uzasadnieniem oraz listy Antoniego Studniarskiego.

Skromnemu tomikowi, który funkcjonuje na prawach rękopisu, powierzam spełnienie doniosłej roli, bo pragnę mu nadać rangę świadectwa istnienia Tokar, których już nie ma - napisała Alicja Rudniewska we wstępie.

Dalej czytamy... *Opasła teka skrywa nagromadzoną przez lata korespondencję - to dokumentacja wielokierunkowych starań, dobywanych zaświadczeń, listy do wielu adresatów w poszukiwaniu świadków, zeznania wiarygodnych świadków odszukanych w Gdańsku, Olsztynie, Bydgoszczy, Siemiatyczach, Wysokim i Brześciu n/Bugiem, poświadczenia notariuszy, tłumaczenia pism i dokumentów sprowadzonych z archiwum w Brześciu, operaty szacunkowe itp.*

Nie sposób dziś oszacować ile energii, czasu, pieniędzy, rozmów, porad, konsultacji kryją te karty w skoroszytach, dziś już nikomu nie potrzebne.

Jednak nie mogę pozbyć się i zniszczyć paru listów od człowieka, o istnieniu którego nie miałam pojęcia, a który po lekturze artykułu w Polityce z 2002 r. odszukał mnie.

To mieszkaniec wsi tokarskiej - pamiętał mnie gdy oboje byliśmy dziećmi, emerytowany pułkownik Antoni Studniarki zaskoczył mnie wyznaniem rozczulającego sentymentu, jakim mnie darzył w dzieciństwie. Wzruszył mnie do łez, że zachował we wdzięcznej pamięci uroki parku tokarskiego i jego otoczenia, a nade wszystko klimat tamtych czasów...

Listy Antoniego Studniarskiego powtarzają i potwierdzają ulotne słowa, uwydatniają moc i temperaturę uczuć małego chłopca i jego fascynację - czysty i piękny to dar serca przechowywany latami.

Już tylko modlitwa za spokój Twej duszy - Drogi Antosiu, mogę ci podziękować za tyle dobrych słów i myśli!!! Dziękuję Ci, że z własnej inicjatywy zgłosiłeś się na świadka w sprawie tokarskiej - to pewnie dlatego ja wygrałam.

Pani Rudniewska ma ciekawy, chociaż niewielki dorobek twórczy, pisała na temat twórczości Barrominiego, o sieci ulicznej w Starym Egipcie. Opracowała bibliografię dotyczącą zabytków powiatu piotrkowskiego, przygotowała opisy poszczególnych obiektów zabytkowych do Katalogu Zabytków Sztuki w Polsce, województwo łódzkie powiat piotrkowski i opoczyński. Zajmowała się bibliografią dotyczącą etnografii i sztuki ludowej na Podhalu. W swoim archiwum ma spisane wspomnienia o ludziach i wydarze-

niach ważnych dla niej w wymiarze osobistym, ale są to ludzie, którzy potrafili kreować otaczającą ich rzeczywistość.

O publikacjach związanych z Powstaniem Warszawskim pisałam, warto wspomnieć, że wspólnie z Adamem de Michelis przygotowała również pracę: *Ślady świetności Polski na ziemi mińskiej*.

Pani Rudniewska jest autorką ciekawej monografii *Architektura sakralna w drzeworytach tygodników warszawskich XIX wieku*, wydanej w 1993 r. przez Wydawnictwo Archidiecezji Warszawskiej. W rekomendacji wydawniczej z października 1986 r. prof. dr J. Adam Miłobędzki z Uniwersytetu Warszawskiego napisał: - *Podjęcie opublikowania (...) stanowi celową i ze wszech miar pożyteczną inicjatywę wydawniczą. Drzeworyty przedstawiające architekturę sakralną, którymi zajmuje się Autorka, były ważnym wkładem w polską kulturę XIX wieku. W epoce pozytywistycznej laicyzacji życia i z drugiej strony nacisków cenzury pełniły one funkcję przekazu polskich tradycji artystycznych, narodowych i religijnych, zastępowały w dużym stopniu brak inwentaryzacji zabytków; ich znaczenie w ówczesnym życiu polskim podnosiła ówczesna prasa, której wypowiedzi znajdują się również w omawianym dziele. Warto tu dodać, że w dotychczasowym piśmiennictwie polskim nie ma skomasowanej informacji o przekazach ikonograficznych architektury sakralnej, tak jak i polskim drzeworytnictwie ilustratorskim XIX w. (...) Kwalifikacje Autorki, która od przeszło 30 lat zajmuje się ikonografią historyczną, stanowi rękojmię wysokiego poziomu wydawnictwa.*



Dokumenty i literatura

Źródła:

- Dokumenty rodzinne i listy z archiwum Alicji Rudniewskiej
- Rozmowy z Alicją Rudniewską prowadzone od jesieni 2008 roku do wiosny 2010 roku
- Albumy: - autorstwa Alicji Rudniewskiej i Anny Jara-Witeckiej na temat: Wyjazdu z Tokar w 1939 r. i Alicji Rudniewskiej Dzieciństwo i psie przyjaźnie oraz „O Tokarach od początku... do końca” (złożony w Ossolineum)
- wypisy Zofii Dernałowicz z 1985 r., w Archiwum Państwowym w Lublinie: Archiwum Rulikowskich (1520-1952) i rodzin z nimi spokrewnionych: Leszczyńskich (1532-1836); Szlubowskich (1590-1889); gen. Haumana (1792-1835)
- Karol Rudniewski, Czaszka na srebrnej tacy, Wydawnictwo Literackie, 1974
- ks. Bohdan Sawicki, Wspomnienia z pielgrzymki do Bawarii, [w:] Niedziela, Głos Siemiatycz
- Wspomnienia pośmiertne o Karolu Rudniewskim, Jan G. Fal
- Drzewo genealogiczne opracowano na podstawie: Archiwum Rulikowskich i Szlubowskich w Archiwum Państwowym w Lublinie (przejrzano tylko niektóre akta)
- Adam Boniecki, Herbarz, (Jasieńscy, Karscy, Kielczewscy, Rulikowscy); Jerzy Dunin-Borkowski, Genealogia żyjących utytułowanych rodów polskich (Szlubowscy), Lwów 1895 r.; Jerzy Dunin-Borkowski, Rocznik szlachty polskiej, 1883 r. (Szlubowscy, Rulikowscy, Lubińscy); Jenerał Zamoycki t. III Poznań 1914 r. (wiadomości o kupnie przez Szlubowskich Radzyna); Obrazek żałobny Konstancji Woronieckiej.
- Siostra Alma Sołtan Matka. Życie i działalność Matki Marceliny Darowskiej 1827-1911. Szymanów 1982 r. (o Edw. Łubińskich i Karskich); Nekrolog w „Świecie” Stanisława Szlubowskiego; Nekrolog Józefy ze Szlubowskich Kielczewskiej; Żychliński, Złota księga szlachty polskiej t. 1 (Szlubowscy) - zestawiała Zofia Dernałowicz 1985 r., uzupełniła Alicja Rudniewska w 2008 r.
- Piechota K., *Dobra opolskie Szlubowskich w końcu XVIII i na początku XIX wieku*, praca magisterska napisana w Zakładzie Historii Nowożytnej pod

kierunkiem prof. dr hab. Tadeusza Mencla, Lublin 1979, maszynopis UMCS w Lublinie, s. 4-5

- Kowalik J., Dobra ziemskie Radzyń Szlubowskich w XIX i XX wieku, praca doktorska napisana w Zakładzie Historii Nowożytnej UMCS w Lublinie pod kierunkiem prof. zw. dr hab. Albina Koprukowniaka, Lublin 2007.

- Herb gminy Podedwórze Polskie Towarzystwo Heraldyczne Oddział w Lublinie, Archiwum Urzędu Gminy Podedwórze

Literatura:

- Aleksandrowicz Piotr, Diecezja siedlecka czyli podlaska (1818-1968), Siedlce 1971

- Bartoszewicz, biogram gen. Filipa Haumana w Encyklopedii Orgelbranda

- Boniecki Adam, Herbarz polski, Warszawa 1899-1913

- Brzoza Cz., K. Stepan, Słownik - Posłowie polscy w parlamencie rosyjskim (1906-1917), Warszawa 2001

- Derwich Marek, Cetwiński Marek, Herby, legendy, dawne mity, Wrocław 1989

- Dziedzictwo duchowe i materialne szlachty podlaskiej od XIX wieku do III Rzeczypospolitej, praca zbiorowa, Muzeum Regionalne w Siedlcach, Siedlce 2006

- Fionik Doroteusz, Z dziejów wielkiej wsi Tokary, [w:] „Bielski Gości-niec”, nr 1/2005

- Gątarczyk Agnieszka, Seweryn książę Czetwertyński, biografia, Radzyń Podlaski 2007

- Gil Andrzej, Dokument z 1521 r. dla cerkwi w Opolu koło Włodawy (w części brzeskiej diecezji włodzimierskiej). Z kart działalności edytor-skiej Wileńskiej Komisji Archeograficznej, [w:] Wschodni Rocznik Humanistyczny, t. 1/2004

- Kopczyński Stanisław, Przemysł ludowy na tle stosunków gospodarczych Powiatu Włodawskiego, Warszawa 1930

- Kraszewski Kajetan, Kronika domowa, Silva Rerum. Warszawa 2000 r.

- Kraszewski Kajetan, Generał Filip Hauman i rodzina Antoniego Malczewskiego, Warszawa 1888

- Anna Matalowska, Z tym nazwiskiem, Warszawa 1998

- Michałuk Dorota, Ziemia mielnicka województwa podlaskiego w XVI-XVII w., Toruń 2002

- Górak Artur, Kartusz herbowy kościoła św. Anny w Radzynie Podlaskim [w:] Radzyński Rocznik Humanistyczny, tom 4, 2006
- Katalog Zabytków Sztuki w Polsce
- Kowalik Joanna, Dobra ziemskie Radzyń Podlaski w posiadaniu rodu Szlubowskich, [w:] Radzyński Rocznik Humanistyczny, tom 4, 2006
- Kwiatkowski Maciej Józef, „Tu Polskie Radio Warszawa...”, PIW 1980
- Morawski Krzysztof, Wspomnienia z Turwi, Kraków, 1981
- Nazwy miejscowe Polski, pod red. K. Rymuta, t. II
- Niemirka Bogusław, Ród Korwin Szlubowskich z Radzyna Podlaskiego, [w:] Radzyński Rocznik Humanistyczny, tom 4, 2006
- Omilanowska Małgorzata, Architekt Stefan Szyller 1857-1933, Instytut Sztuki PAN, Warszawa 2008
- Pełka Leonard J., Eugeniusz Frankowski antropolog i etnograf, [w:] Intelktualiści rodem z Podlasia, praca zbiorowa pod redakcją Janusza Sekuły, wydawnictwo Seculum 1997
- Polski Słownik Biograficzny, Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk: tom XXXII/4, zeszyt 135/1991
- Polski Słownik Biograficzny t. XIII, Kopec Sidor Wasilewicz T. Wasilewski, Wrocław-Warszawa-Kraków 1967-1968
- Rejestr poborowy województwa lubelskiego, opracowali J. Kolasa, K. Szuster, Wrocław 1957
- Rodzina, Herbarz szlachty polskiej opracowany przez Seweryna hrabiego Uruskiego, Warszawa 1906
- Sikorski Jan, Ziemianin bez kompleksów, Gdańsk 1990
- Słownik Biograficzny Ziemianie Polscy XX wieku, T. III, s. 116, Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk, 2004
- Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich pod red. Bronisława Chlebowskiego, Józefa Krzywickiego, Filipa Sulimierskiego, t. XV, Warszawa 1902
- Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich pod red. Filipa Sulimierskiego, Bronisława Chlebowskiego, Władysława Walewskiego, t. I, 1880 r.
- Skorowidz miejscowości RP opracowany na podstawie wyników pierwszego powszechnego spisu ludności z dnia 30.09.1921 r., województwo lubelskie, Warszawa 1924
- Spis ludności diecezji krakowskiej z 1787 r. [w:] A.K.H. nr 7 z 1894 r.
- Studia z dziejów ziemian 1795-1944, pod redakcją Albina Koprukiwniaka, Lublin 2005

- Tarasiuk Dariusz, Wisznice, Dzieje miasteczka i okolic do 1918 r., Lublin-Wisznice 2006
- Tarasiuk Dariusz, Dzieje parafii w Opolu wpisane w dziedzictwo regionu, Podedwórze-Lublin 2010
- Tobota Adam, Karty do dziejów Tokar, [w:] Ziemia Mielnicka nr 1-2 2008, Kwartalnik Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Mielnickiej
- Wawrzyńczyk Alina, Rozwój wielkiej własności na Podlasiu w XV i XVI w., Wrocław 1951 r.
- Województwo Lubelskie, Słownik Geograficzny 1880-1904, Lublin 1974
- Zgorzelska Aleksandra, Powrót Króla, Warszawa 1991
- Zubkowicz Rafał, Na pół, [w:] Tygodnik Powszechny, Nr 35 (2773), 1 września 2002
- Żywicki Jerzy, Architektura neogotycka na Lubelszczyźnie, Lublin 1998
- Żywicki Jerzy, Obrady rosyjskiej Dumy nad kościołem w Opolu-Podedwórz na Lubelszczyźnie, W: Nasza przeszłość T.88/1997.

Spis treści

Wstęp	3
Rodzina Zalewskich vel Zaleskich	13
Budowa czerwonego kościoła	23
Parafia Opole - Gmina Podedwórze	25
I wojna światowa	31
Antopol we wspomnieniach Alicji Rudniewskiej	38
Park w Antopolu	53
Gościnny dwór antopolski	57
- Leon Kozłowski - brat cioteczny Zofii Zaleskiej	59
- Eugeniusz Frankowski	71
- Zofia z Zaleskich i Jan Sikorski	75
Historia dóbr opolskich	78
Ród Szlubowskich herbu Ślepowron	81
- Jan Szlubowski	82
- Ignacy Szlubowski	86
- Antoni Szlubowski	87
Herb gminy Podedwórze	91
Maria Katarzyna z Zaleskich i Roman Rudniewski	93
Roman Rudniewski	106
Dzieciństwo we wspomnieniach Alicji Rudniewskiej	118
- Wierni towarzysze dzieciństwa	120
Tokary - majątek rodowy rodziny Zaleskich	128
Kościół w Tokarach	133
Tokary we wspomnieniach Alicji Rudniewskiej	137
Wakacje 1938 roku	149
Ostatnie wakacje przed wojną	153
Ostatnie dni w Tokarach - pierwsze dni wojny	154
Ostatni dziedzic Antopola	160
Wojna i okupacja	181
Powstanie Warszawskie we wspomnieniach Alicji Rudniewskiej	186
Po Powstaniu... i po wojnie	198
Przywrócona pamięć	222
Źródła i literatura	233
Aneks - dokumentacja fotograficzna	239

Wskrzeszone wspomnienia



Biały Kościół pw. Zwiastowania Najświętszej Marii Panny, zbudowany przez właścicieli Opola - Szlubowskich, stanowił kaplicę grobową rodziny



Alicja Rudniewska przy grobowcu Józefa i Joanny Szlubowskich, 2007 r.



Kapliczka z 1646 r. w centrum Podedwórza, najstarszy zabytek powiatu parczewskiego



*Czerwony Kościół parafialny pw.
Podwyższenia Krzyża Świętego, zbudowany
w latach 1911-1914*



*Opole - Podewórze, krypta grobowa
rodziny Zaleskich*



*Pałac Szlubowskich w Radzynie Podlaskim, który Bronisław Szlubowski w okresie
miedzywojennym przekazał Państwu Polskiemu*

Uroczystość odsłonięcia i poświęcenia tablic
komemoratywnych w Drohiczynie i Opolu-
Podedwórz - 9 i 10 lipca 2006 r.



Warszawa - pałac myśliwski w Łazienkach, grupa zaproszonych niemieckich gości, wśród których byli: Margarete Konorr, Allmut Weber Haarde, Ursula Trapp z mężem Hermanem Trapp, hrabina Maria von Vitzthum, Dorrit Halverscheidt, Ruth Ballhaus, prof. dr Rolf Gminder z żoną Franciską Gminder, Marina Thilo z mężem Eberhardtem Thilo, baron Friedrich von Senden, Hans-Jurgen Sostmann z żoną Barbarą Sostmann, ks. Benedykt Klinkosz



Kościół pofranciszkański w Drohiczynie, w czasie nabożeństwa w ławce siedzą, od lewej: Allmut Weber Haarde, Ursula Trapp - córki majora Friedricha Haarde; Margaret Knorr wdowa po majorze Carlu Heinrichu Knorr i Alicja Rudniewska



*Alicja Rudniewska odsłania tablicę upamiętniającą
bohaterskich oficerów niemieckich*



*Podczas uroczystości poświęcenia tablicy w Drohiczynie Alicja Rudniewska
mówi do zebranych o historii powstania tablic komemoratywnych*



Przed kościołem w Tokarach polsko-niemiecka grupa uczestników uroczystości. Wśród polskich gości byli: prof. dr Andrzej Kunert z żoną Zofią Kunert i córką Anną, Alicja Lutostańska, Krzysztof Dobrowolski, Andrzej Laudowicz, Ryszard Lassota, Maria Mączyńska z mężem Maciejem Mączyńskim, Anna Jara-Witecka, Piotr Jaczynowski, Maria Rothowa, Adam de Michelis z żoną Janiną de Michelis



Wnętrze kościoła w Tokarach, proboszcz ks. Bohdan Sawicki opowiada wojenną historię Tokar, tłumaczy ks. Klinkosz



*Msza św. w czasie której poświęcono tablicę komemoratywną
w kościele Opole - Podedwórze*



*General, Baron Friedrich von Senden składa
wieniec u trumny Marii Rudniewskiej
w imieniu jednostki wojskowej z Boblingen*

*Chwila zadumy w krypcie grobowej
rodziny Zaleskich, od lewej stoją:
ks. Jan Liwak proboszcz parafii
w Opolu - Podedwórz, Jan Bilkiewicz,
Alicja Rudniewska, Margarete Konor,
baron Friedrich von Senden*



Foto z archiwum Alicji Rudniewskiej



*Alicja Rudniewska
i ks. Liwak opuszczają
kryptę grobową
Zaleskich*



*Uroczysty obiad w Antopolu
w gościnnym domu Barbary
i Tadeusza Kisielów*



*W ogrodzie państwa Kisielów,
od lewej: Robert Hołod,
Baron Friedrich von Senden,
Józef Cichy*



*Od lewej Maria Bobowska z Hrabinią
Marią von Vitzthum*



*Alicja Rudniewska lipiec 2009 r. - dawniej stał tu dwór antopolski
otoczony zadbanym parkiem*



Odpust Matki Bożej Szkaplerznej zawsze licznie gromadzi wiernych, lipiec 2009



Alicja Rudniewska przyjmuje Komunię św. z rąk biskupa Henryka Tomasika, biskupa pomocniczego, wikariusza generalnego Diecezji Siedleckiej



Alicja Rudniewska w gościnnym domu Barbary i Tadeusza Kisielów w Antopolu; od lewej: Tomasz Kisiel z narzeczoną Moniką, Tadeusz Kisiel, Alicja Rudniewska, Sylwia Kisiel, Barbara Kisiel, lipiec 2009



*Hołowno - Ośrodek Edukacji Regionalnej, od lewej Jan Bilkiewicz,
Gabriela Bilkiewicz, Alicja Rudniewska, lipiec 2009*



Pani Alicja Rudniewska i Ewa Koziara, Antopol 2009



Alicja Rudniewska w swoim warszawskim mieszkaniu, 2010



Dom Szyi - w czasie okupacji niemieckiej tu mieszkała Zofia Zaleska

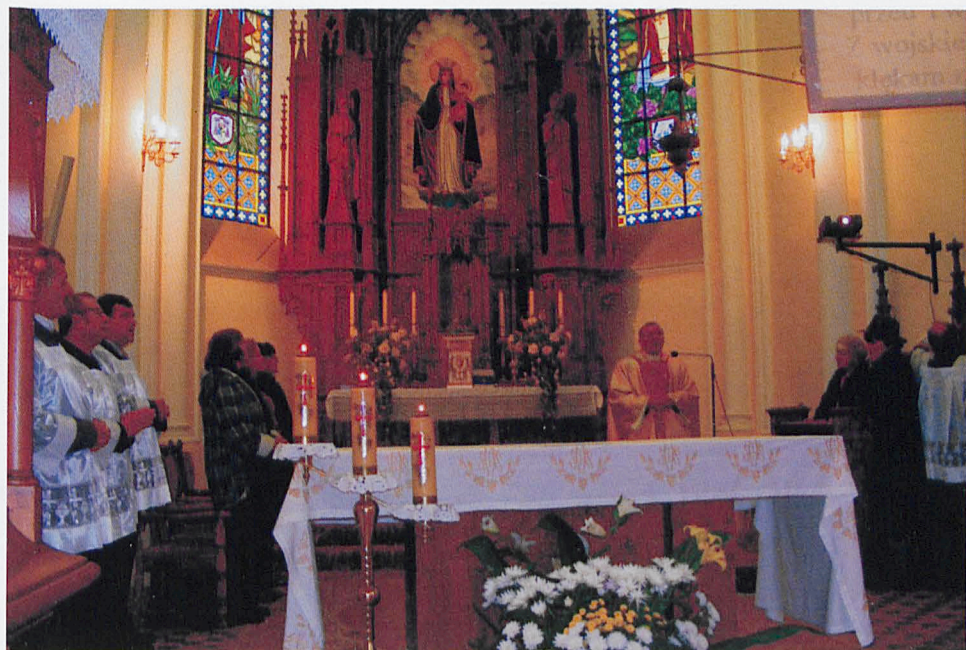
Uroczystość poświęcenia witraża
w Czerwonym Kościele - 29 września 2010 r.



Alicja Rudniewska z gośćmi wchodzi do kościoła w Opolu - Podedwórz



*Alicja Rudniewska wita się z Janem Kisielą (rocznik 1922),
który dobrze pamięta rodzinę Zaleskich*



Uroczystą Mszę św. odprawił ks. kanonik Jan Liwak - proboszcz parafii



W Mszy św. uczestniczyli mieszkańcy Antopola, Piech, Opola, Podedwórze



Ksiądz Jan Liwak święci witraż



W Mszy św. uczestniczyli mieszkańcy Antopola, Piech, Opola, Podedwórze



Antonina Słyszko w imieniu parafian wręcza Alicji Rudniewskiej podziękowanie za dar witraży

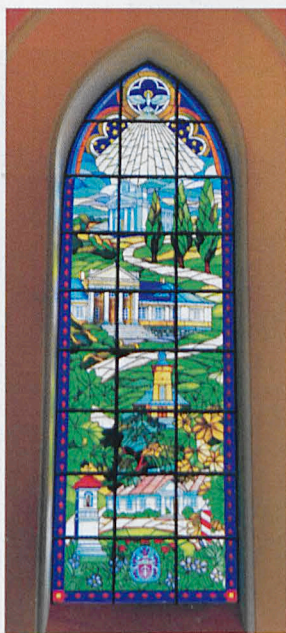


Pamiątkowe zdjęcie - od prawej: Artur Becher - przewodniczący Rady Gminy, Alicja Rudniewska, ks. Jan Liwak, Krzysztof Chilczuk - wójt Gminy Podedwórze, Mirosław Spirowski - wykonawca witraży, Elżbieta Zubowska - projektantka witraży, Teresa Poniewierska, Zofia Dernałowicz

Foto: Ewa Koziara



Witraże w prezbiterium przedstawiają wielkie postacie polskiego kościoła: Jana Pawła II i Stefana Kardynała Wyszyńskiego, projekt M. Piwocka i E. Zubowska



Witraż przy bocznym ołtarzu przedstawia historię rodziny Zaleskich, według pomysłu fundatorki Alicji Rudniewskiej projektowały M. Piwocka i E. Zubowska

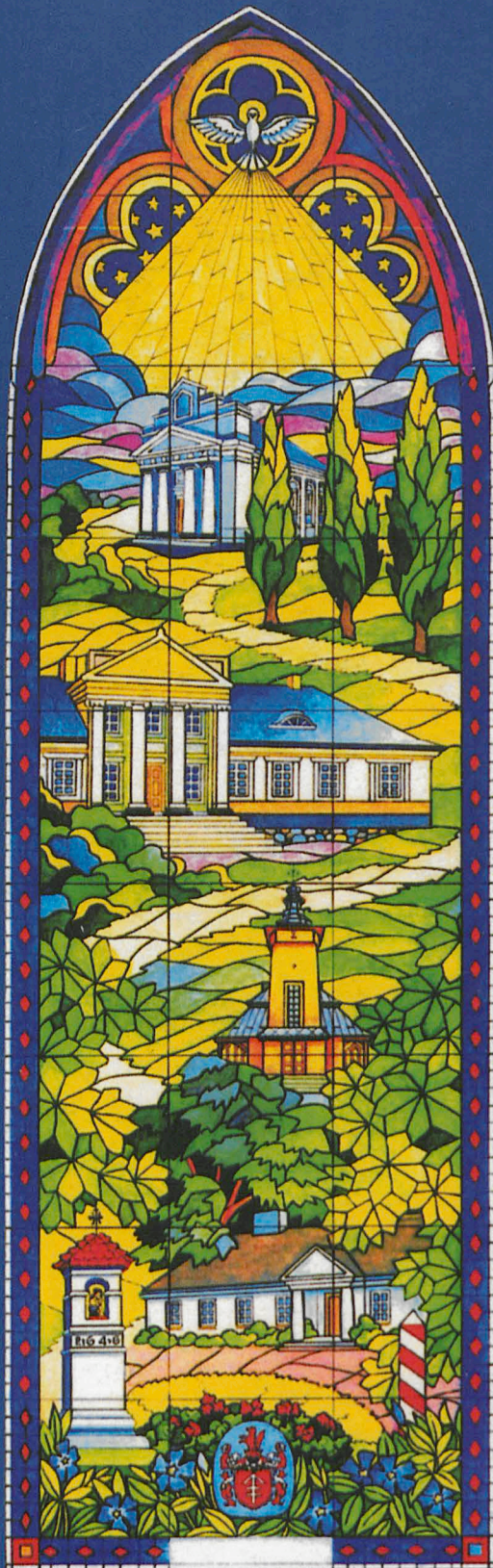


Wnętrze czerwonego kościoła, witraże wykonała pracownia Mirosława Spirowskiego

Foto: Adam Trochimiuk







ISBN 978-83-925461-4-6